

Czarownice z Walwyk

The Witches

przełożył
Łukasz Głowacki

Peter Curtis



*Peter Curtis to pseudonim Norah Lofts
wybitnej brytyjskiej powieściopisarki
historycznej, zmarłej w 1983 roku; książki
jej autorstwa są wciąż publikowane.*

1

Rozmowa kwalifikacyjna została zaplanowana na 15.30 w sobotnie popołudnie i miała odbyć się w Londynie. Godzina ta dla panny Mayfield była tak dogodna, iż skłonna była myśleć, że to zrządzenie Opatrzności. Oszczędziło jej to kłopotu związanego ze zwalnianiem się z pracy na czas rozmowy kwalifikacyjnej, która i tak mogła nie pójść po jej myśli, a z której musiałaby wrócić i stanąć twarzą w twarz z jej obecną, urażoną, dyrektorką. Nieśmiało i stale się wahając, próbowała utrzymać swoje plany w tajemnicy. Opuściła Alchester, nie starając się nawet o referencje. Uznała to za akt głupoty, ale przecież w tym paskudnym miasteczku położonym w środkowej Anglii uczyła zaledwie od dwóch lat, a w należącej do niej wytartej torbie trzymała bardzo pochlebną rekomendację dotyczącą jej dwudziestoletniej pracy w Afryce. Gdyby to nie wystarczyło, a rozmowa wskazywałaby na możliwość otrzymania nowej posady, nadszedłby wówczas odpowiedni czas, aby udać się do panny Stevens i oświadczyć jej, że rozważa odejście.

Kanonik Thorby napisał: „Hotel Claridge byłby - jeśli chodzi o mnie - odpowiednim miejscem, ponieważ wcześniej spotykam się tam jeszcze z kimś innym. Będę na Panią czekał. Proszę pytać o mnie w recepcji”, Wiadomość zostawił na grubej i gładkiej kartce papieru, którą zasadnie można by określić słowem „kremowa”. Jego pismo było małe, eleganckie i bardzo czytelne. Przywoływało na myśl obraz autora listu: pulchny, rumiany, z grzywką srebrzystych włosów i spokojnymi, niebieskimi oczami. Uprzejmy i, być może, nieco pompatyczny.

Dla panny Mayfield, która miała niewielkie doświadczenie z miejscami tego typu, hotel wydawał się bardzo duży, imponujący i pełen kobiet, których stroje w żaden sposób nie przypominały jej ubrania. Kiedy weszła do środka, przysła jej do głowy myśl, że nowy kapelusz byłby mądrą inwestycją. Jednak zaraz porzuciła ten pomysł w przekonaniu, że byłoby to marnotrawstwo i w dodatku folgowanie sobie. Kapelusz to kapelusz, a ten, który nosiła, był wystarczający. Chociaż była wstydliva, tym razem, praktycznie bez żadnego skrępowania, zapytała o kanonika Thorby’ego i z zewnętrznym spokojem, maskującym jej wewnętrzną trwogę, podążyła za wyniosłym, młodym mężczyzną, który żwawym krokiem zaczął ją prowadzić.

Kanonik Thorby zajmował stolik w rogu, na wpół zamaskowany przez ogromną misę wypełnioną różami o długich łodygach, a także frezjami i białym bzem - składanka niespotykana o tej porze roku. Zza tego kwiecistego ekranu sprawiał wrażenie bardzo czujnego. Wstał i badawczo się jej przyglądał, a potem - zanim jeszcze zbliżyła się do niego na tyle blisko, by mogli rozmawiać - na jego twarzy pojawił się serdeczny uśmiech. Wyglądał zupełnie inaczej niż ten, którego stworzyła sobie w wyobraźni. Był wysoki i szczupły, miał śniadą, zniszczoną cerę i bujną czuprynę rdzawego koloru; skronie miał przyprószone odrobiną siwizny. Niemniej jednak, jego oczy rzeczywiście były niebieskie i spokojne.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym panna Mayfield usiadła i zajęła się odpowiadaniem na pytania dotyczące jej podróży oraz komentarzami związanymi z zimmem i listopadową pogodą.

- Domyślam się, że po tak długim czasie spędzonym w Afryce, odczuwa to pani dotkliwie - powiedział kanonik. - Powiniennem panią w tym miejscu ostrzec, że w Walwyk jest znacznie zimniej niż w Londynie.

Być może, pomyślała, wcześniej spotkał się z bardziej odpowiednim kandydatem i teraz, w delikatny sposób, robi aluzje, chcąc dać do zrozumienia, że Walwyk nie jest dla niej. Poczucie zawodu i porażki dało o sobie znać. Ta posada wydawała się jej taka idealna, taka spokojna i tak bardzo różniąca się od tej, którą miała teraz.

Dyskretnie podano herbatę, a z pozycji filizanek i dzbanka wywnioskowała, że to ona powinna ją rozlać. Zabrała swoje wytarte rękawiczki i mając nadzieję, że drżenie rąk nie zdradzi jej zdenerwowania, podniosła dzbanek.

- Piję z mlekiem i lubię wlewać je najpierw. Żadnego cukru - oznajmił kanonik.

Doskonale poradziła sobie z jego filizanką, ale kiedy nalewała sobie, czuła drżenie ręki. Trochę herbaty wylało się na spodek.

- Zdaje mi się, że jest pani zdenerwowana - powiedział z uśmiechem na twarzy kanonik. - Nie ma takiej potrzeby. To ja powinienem siedzieć jak na szpilkach, ponieważ jeszcze czeka mnie próba. Otrzymałem zaskakującą liczbę podań, ale w pani liście było coś szczególnego... - Z wdziękiem skinął ręką i dodał: - Chociaż mogę wydawać się osobą pochoptną i działającą zbyt pospiesznie, to jeżeli chodzi o te rzeczy - rzadko się mylę. A teraz, kiedy już panią z o b a c z y ł e m, nie mam żadnych wątpliwości.

- Znaczy... - zaczęła, ale zabrakło jej tchu, by dokończyć pytanie.

- Znaczy, że jest pani właśnie tą osobą, której szukam. Pytanie jednak brzmi: czy da się pani przekonać, że my jesteśmy tym, czego pani szuka?

To wydawało się zbyt łatwe. Oczywiście, być może była to odpowiedź na modlitwy,

ale panna Mayfield - choć jej wiara była silna i pokorna - miała z modlitwami duże doświadczenie i wiedziała, że rzadko kiedy odpowiedzi na nie są tak bezpośrednie i proste jak ta.

Odpowiedziała:

- Nie poprosiłam mojej obecnej dyrektorki o referencje. Posada w Walwyk zdawała się być tak atrakcyjna, że obawiałam się dużej konkurencji. A gdybym musiała wrócić, wcześniej wyraźnie oświadczając, że chcę opuścić Alchester, to wyglądałoby to... No cóż, nie chciałabym znaleźć się w takiej sytuacji.

- Panna Tilbury, z którą przez długi czas pracowała pani w okolicznościach stanowiących zapewne prawdziwe wyzwanie, miała - jak się zdaje - wysokie mniemanie o pani.

- Przyniosłam nawet na to oryginalny dowód. A jeżeli mam być zupełnie szczerą, to prawdopodobnie powinnam jeszcze wspomnieć, że Rose - panna Tilbury - była moją przyjaciółką.

- To dopiero referencje. Dwadzieścia lat spędzonych razem, gdzieś na odludziu... Nawet na mapie o dużej skali miałem problemy z odnalezieniem Entuby. Jakiego rodzaju była to misja, panno Mayfield? Stowarzyszenie Kościoła Misyjnego?

- Ściśle rzecz biorąc, wydaje mi się, że nie była to żadna misja, u przynajmniej nie w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. To było raczej prywatne i osobiste przedsięwzięcie Rose. Ona jest... wyjątkową osobą... prawie świętą, powiedziałabym.

W tej chwili panna Mayfield zdała sobie sprawę, że nie przyszła tutaj po to, aby opowiadać o Rose Tilbury.

- Proszę kontynuować - zwrócił się do niej kanonik Thorby. - To szalenie interesujące.

- Ojciec Rose Tilbury był dziedzicem i mieszkał na wsi, gdzie mój tato był lekarzem. Nie miałam rodzeństwa, a ona była jedyną dziewczyną w rodzinie pełnej chłopców, tak więc spędzałyśmy razem sporo czasu. Kiedy poszłam do college'u, Rose udała się do Londynu na sezon towarzyski, podczas którego wywarła spore wrażenie. Była piękna, jednak nie wyszła za mąż. Potem wyjechała, aby spotkać się z jednym ze swoich braci, który osiedlił się w Kenii. Powiedziała, że jak tylko dotarła na miejsce, od razu wiedziała, czym chce się zajmować w życiu, a mianowicie: pracować z miejscowymi i na ich rzecz. Miała trochę własnych pieniędzy oraz kilku zamożnych krewnych, których dość bezwstydnie prosiła o wsparcie finansowe. Zaraz po tym jak skończyłam studia, ona wróciła do domu, aby porozmawiać z rodziną oraz zebrać potrzebne zapasy i fundusze. Wtedy też oznajmiła mi co... co planowała. Ponieważ mój tato już wtedy nie żył, powiedziałam, że chcę wyjechać z nią. I

tak też zrobiłam. - W przypiływie entuzjazmu panna Mayfield zapomniała o ostrożności. - Według mnie, wszystko to wyglądało bardzo amatorsko. Szkoła zdawała się rozrastać sama z siebie, a potem kolejna przyjaciółka Rose, która miała trochę doświadczenia w leczeniu ludzi, przyjechała i dołączyła do nas. W ten sposób powstał szpital. Wszyscy byliśmy młodzi, pełni ideałów i planów, a potem - co również stało się bardzo szybko - postarzelśmy się i zrobiliśmy się twardsi oraz nabraliśmy doświadczenia. Niemniej jednak, cały czas byliśmy przekonani, że nie marnujemy czasu. Trójka dzieci, które przyszły do nas, nie wiedząc niczego, naprawdę kompletnie niczego, poszła potem na Uniwersytet Fort Hare, gdzie dobrze sobie radziły. Inne dzieciaki także były obiecujące... Kiedy musiałam wyjechać, myślałam, że pięknie mi serce. - Nagle zamilkła, czując ścisk w gardle i bojąc się, że jej głos zacznie drżeć.

- Chyba mówiła pani, że z powodów zdrowotnych.

- Tak. Miałam nawracające napady gorączki. Ostatecznie stałam się większym kłopotem aniżeli pomocą. Powiedziano mi, że... jedynym lekarstwem dla mnie byłby powrót do domu.

Czuła wstyd, że nie była do końca uczciwa ze swoim rozmówcą i nie wspomniała, iż gorączka ostatecznie doprowadziła ją do załamania nerwowego. Nie zrobiła tego, ponieważ nauczyła się, że ludzie, a zwłaszcza potencjalni pracodawcy, bardzo dziwnie reagowali na to słowo. Myśleli chyba, że ktoś kto raz tego doświadczył, może w każdej chwili wpaść w szal i zacząć ganiać z siekierą.

- A czy panna Tilbury przez cały ten czas finansowała swoje przedsięwzięcie wyłącznie z własnych funduszy?

Panna Mayfield pomyślała, że jej rozmówca wtrącił swoje praktyczne i przyziemne pytanie, chcąc uspokoić nadmierne emocje, które nią owładnęły, i dlatego spojrzała na niego wdzięcznym wzrokiem.

- Praktycznie tak. Kiedy zbliżał się moment mojego wyjazdu, mieliśmy prawo ubiegać się o dotacje, ale Rose zawsze powtarzała, że otrzymanie ich wiązało się z takimi warunkami, iż nie warto było zawracać sobie tym głowy. Potem umarła matka chrzestna Rose, zostawiając jej całkiem sporą sumę pieniędzy. Oczywiście, nasze potrzeby były niewielkie, za to książki, jedzenie dla dzieci i prowadzenie szpitala już trochę kosztowały.

Kanonik Thorby rozsiadł się wygodnie na krześle, a na jego twarzy pojawiło się ogromne zadowolenie.

- To dość niezwykle, jak czasami w dziwny sposób coś się nam udaje. Tak się składa, że jest pani osobą z takim doświadczeniem, jakie akurat jest potrzebne na tym stanowisku. A szkoła również jest prywatna, no chyba że woli pani termin: niepubliczna.

Ach, to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. I tu pojawiał się problem. Płace w szkołach prywatnych były cały czas niskie i chociaż panna Mayfield wciąż nie miała wielkich potrzeb, to przez ostatnie dwa lata zwykła wysyłać Rose każdy grosz, który udało się jej oszczędzić. Po tym jak ją zawiodła i opuściła, to i tak wydawało się jej bardzo niewiele.

Jakby z oddali docierały do niej słowa kanonika Thorby'ego, który mówił o szkole założonej przez jego prapradziadka na długo przed tym, zanim w ogóle myślano o nauczaniu powszechnym.

- Zaczęło się praktycznie przez przypadek. Moja rodzina miała prywatnego nauczyciela, którego uwielbiała. W końcu zrodziło się pytanie, co dalej z panem Seeleyem. I tak otwarliśmy szkołę. Sądzę, że kiedy w 1870 roku uchwalono, iż wszystkie dzieci mają obowiązek uczęszczać do szkoły dobrze się stało, że nowa placówka powstała na terenie Renham, a nie Catermarsh czy Walwyk. W tamtych czasach wciąż uważano, że dzieci mogą przemierzać pięć kilometrów rankiem i po południu. Rozważaliśmy zamknięcie naszej szkoły, ale ponieważ stała się ona rodzinnym hobby, istnieje do dzisiaj.

- To musi być bardzo drogie hobby.

- O, tak. Zwłaszcza dzisiaj z tymi wszystkimi dodatkami. Muszę dostarczać darmowe mleko i obiady dla wszystkich uczniów. Nie zniósłbym tego, gdyby jakiegokolwiek dziecko z Walwyk miało powód myśleć, że w szkole państwowej byłoby lepiej! Moja młodsza siostra nauczycielka posiada kwalifikacje w zakresie nauczania i wychowania według systemu edukacyjnego Fröbela, a druga - bardziej kompetentna - skończyła studia. Mój ogrodnik - były sierżant sztabowy - uczy chłopców wychowania fizycznego, ogrodnictwa i stolarki. Ja osobiście uczę wszystkie dzieci religii oraz - te ambitniejsze - łaciny i matematyki. W tej chwili mamy jedną wyróżniającą się uczennicę, jest nią Juliet Reeve, córka mojego kamerdynera. Mam nadzieję, że dostanie się do Cambridge. Wie pani, moi przodkowie byli dość obrzydliwie zamożni. - Powiedział to, nie chwając się, ani nie wyrażając żadnej dezaprobaty, tak beznamiętnie, jak gdyby mówił, że byli łąsi. - Mój dziadek, człowiek wykazujący się dalekowzrocznością, który wziął pod uwagę możliwą dewaluację pieniądza, niezwykle szczerze wspomógł szkołę finansowo. Do tej pory nie wydałem na nią ani centa z własnej kieszeni, a nawet gdyby... No cóż, pomimo płacenia podatków jak wszyscy, wciąż pozostaję dość obrzydliwie bogaty.

Niemniej jednak, czy gotów będzie zaoferować wypłatę zgodną z taryfą wynagrodzeń Burnhama obowiązującą w szkołach państwowych?

- W swoim ogłoszeniu, kanoniku Thorby, nie wspomniał pan nic o wynagrodzeniu.

- Zrobiłem to celowo. Nie zgadzam się z tym nowomodnym pojęciem, że aby mieć

dobrą kadre, trzeba zaoferować wysokie wynagrodzenie. To przyciąga jedynie oportunistów. Ludzie, zwłaszcza ci, którzy pracują w zawodach wiążących się z powołaniem, wykonują swoją pracę lepiej, kiedy robią to z miłości. Czy tak właśnie nie jest?

Właśnie tego się obawiała!

- To częściowo prawda, jak i większość uogólnień. Jednak muszę być z panem szczerą. Mam zobowiązania. W Alchester dostaję płacę według taryfy wynagrodzeń Burnhama dla absolwentów z tytułem licencjata. Nie brano pod uwagę tych wszystkich lat, które spędziłam w Afryce, Przypuszczam, że w Walwyk koszty życia byłyby niższe i nie musiałabym wydawać pieniędzy na dojazdy do szkoły. Mogłabym zaakceptować... powiedzmy... pięćdziesiąt funtów mniej, niż zarabiam teraz. Gdybym zgodziła się na coś skromniejszego, to zachowałabym się egoistycznie.

- Brzmi to, jakby chciała pani jednak do nas przyjść.

- W rzeczy samej. Od chwili, gdy przeczytałam pana ogłoszenie. Mieszkać na wsi... Być dyrektorem... Ach, wiem - powiedziała z powagą - że miasta typu Alchester są, z ekonomicznego punktu widzenia, potrzebne i ktoś musi w nich mieszkać i uczyć w tamtejszych szkołach. Wiem też, że większość nauczycieli musi być asystentami i wypełniać polecenia. Jednak przypuszczam, że w moim przypadku prawda jest taka, iż jestem już za stara, by dostosowywać się do innych.

Glupio było to mówić, ale przecież, jeżeli nie zgodzi się zapłacić jej tyle, ile potrzebuje, to nie będzie to miało żadnego znaczenia. I tak musi wrócić do Alchester, do kapryśnej panny Stevens, której eksperymentowanie nigdy nie przynosiło sukcesów, oraz do hałaśliwych, przepelnionych i często wrogo nastawionych klas.

- Myślę - powiedział kanonik Thorby - że nie powinniśmy się kłócić o pieniądze. Jestem gotów zapłacić pani według taryfy Burnhama dla absolwentów studiów wraz z dodatkowym wynagrodzeniem dla dyrektorek w szkołach wiejskich. Wezmę również pod uwagę dwadzieścia lat, które spędziła pani w Afryce. Co więcej, zupełnie za darmo zapewnię pani raczej uroczy, mały i umeblowany domek. Kiedyś należał on do mojej ciotki, która po śmierci zostawiła go mnie. Pomyślałem, że najlepszy sposób, w jaki mógłbym go wykorzystać, to sprawić, aby stał się on przyjemnym i godnym miejscem do mieszkania dla osoby, która jest gotowa z nami żyć i poświęcić się nauce naszych dzieci. Zdaję sobie również sprawę z wszelkich niedogodności. Jesteśmy bardzo odizolowani. Po wyjątkowo deszczowej porze lub obfitych opadach śniegu w zimie byliśmy odcięci od reszty świata przez piętnaście dni. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach do najbliższego kina trzeba jechać ponad dwadzieścia kilometrów, a do teatru - czterdzieści pięć. Nasze życie towarzyskie jest

bardzo ograniczone i w promieniu wielu kilometrów nie znajdzie pani żadnych intelektualistów. Jest to życie samotne, wymagające poświęcenia i musimy ten fakt zaakceptować. Już czegoś takiego pani doświadczyła i być może teraz pragnie pani odmiany.

- Już ją miałam w Alchester.

- Staram się nakreślić jak najbardziej prawdziwy obraz całej sytuacji. Widzi pani, ja głęboko nie znoszę zmian i nie chcę, aby za sześć miesięcy, po sześciu tygodniach spędzonych w Walwyk, przyszła pani do mnie i powiedziała mi, że czuje się samotna, nieszczęśliwa, pogrzebana żywcem i że w naszym zaścianku pogrąża się pani w marazmie. - Każdy z tych wyrazów wypowiadał tak, jakby ujmował je w cudzysłów. - Mam długą pamięć. Jakieś dwadzieścia cztery czy dwadzieścia pięć lat temu dokonaliśmy trzech zmian w ciągu trzech lat. Nikomu nie wyszło to na dobre. Potem wszystko się uspokoiło i to było uroczę. Nasza obecna dyrektorka jest z nami od dwudziestu dwóch lat i odchodzi z najszcześniejszego powodu, jaki można sobie wyobrazić. Po świętach wielkanocnych chciałbym znowu poczuć ten sam spokój. A więc... czy chce pani trochę czasu do namysłu przed podjęciem decyzji?

Raz lub dwa razy w życiu panna Mayfield słyszała w swoim umyśle głos, który albo wyrażał krytykę, albo ostrzegał, i nie miało to nic lub niewiele wspólnego z jej świadomymi myślami. Wyglądało to tak, jak gdyby inna osoba, bardziej ostrożna i wyrafinowana, wygłaszała komentarz. To samo stało się teraz. Głos dość wyraźnie oznajmił: *Powinnaś zobaczyć to miejsce.*

Ale przecież - przekonywała samą siebie - jest ostatni tydzień listopada. Jeżeli mam opuścić Alchester pod koniec okresu wielkanocnego, to wymówienie muszę złożyć na koniec grudnia, aby weszło w życie z końcem kwietnia. Do świąt Bożego Narodzenia nie będę miała kolejnego wolnego weekendu. W dodatku jeszcze te opłaty za przejazd do szkoły. Pomyślała o panie Stevens, o „mieszkanku”, które dzieliła z inną osobą, o mgle i zgiełku.

Odpowiedziała:

- Myślę, że już podjęłam decyzję. Jeżeli uważa pan, że się nadaję, to bardzo chciałabym przyjechać do Walwyk.

- Wspaniale. Potwierdzę na piśmie moją ofertę pensji i zakwaterowaniu. I mam szczerą nadzieję, że spędzi pani z nami wiele radosnych lat. A jakie są pani najbliższe plany? Czy na noc zostaje pani w Londynie?

- O, nie. Muszę wracać. Sprawdziłam rozkład jazdy pociągów. Jeden odjeżdża kwadrans po piątej, być może nawet na niego zdążę.

Spojrzał na swój zegarek.

- Jeżeli tego pani chce, to tak będzie - odpowiedział.

Wstali i poszli w stronę wyjścia. Nikt nie pobiegł za nimi, skarżąc się, że nie zapłacili za herbatę. Oczywiście, znali go tutaj i mieli do niego zaufanie.

Na zewnątrz czekał mężczyzna w mundurze, który skinął ręką i przywołał taksówkę. Ta zwolniła i wykonała gwałtowny skręt. Kiedy to się działo, nagle, zupełnie znikąd, pojawiła się mała, pomarszczona stara kobieta. Na ramieniu miała płaski koszyk, w którym znajdowały się małe wiązanki wysuszonego białego wrzosu. Mechanicznym, jęklwym głosem powiedziała:

- Kup, panie, na szczęście trochę białego wrzosu dla pani.

Portier wykonał szeroki, pogardliwy gest ręką, próbując zlekceważyć staruszkę. Jednak kanonik Thorby zawołał:

- Zaczekaj! Obojgu nam się poszczęściło, czyż nie, panno Mayfield? A teraz moglibyśmy mieć również symbol naszego szczęścia.

*

W ciągu następnych tygodni panna Mayfield od czasu do czasu patrzyła na małą wiązankę kruszących się gałązek wrzosu, aby utwierdzić się w przekonaniu, że całe zdarzenie nie było tylko snem.

2

- Potrzebuje pani taksówki? - zapytał bagażowy z Selbury, patrząc na sponiewierany kufer, walizkę i przewiązaną sznurkiem skrzynkę panny Mayfield. - Bo jeżeli tak, to niech pani biegnie i jakąś złapie, a ja pójde za panią.

- Nie dziękuję, jestem z kimś umówiona.

W torebce miała ostatni list od kanonika i kiedy wyjmowała bilet i monetę dwuszylingową, którą trzymała w gotowości, musnęła palcami kopertę.

Schody stacji w Selbury mocno zalatywały rybą i dymem z lokomotyw, którym nasiąkły przez lata. Ale na zewnątrz powietrze było świeże i czyste. Był to jeden z tych ciepłych dni w środku kwietnia, który zwiastował nadejście lata.

Dwie taksówki właśnie odjeżdżały. Kobieta z dzieckiem, która dzieliła przedział z panną Mayfield, została przez kogoś przywitana, następnie jej rzeczy zapakowano do małego, błyszczącego samochodu, świeżo pomalowanego zieloną farbą. Oprócz tego, kiedy rozejrzała się w krąg, zobaczyła jeszcze trzecią taksówkę bez kierowcy oraz dwa, niepasujące do siebie wielkością psy, które z radością zaangażowane były w krzyżowanie ras.

Bagażowy ze szczękiem otworzył drzwiczki przedziału bagażowego, z którego po kolei wyciągał dobytek panny Mayfield. Popatrzył na nią, a jego wzrok jasno wyrażał zdziwienie: „Umówiona, co?”.

- Nie musi pan czekać - zwróciła się do niego grzecznie.

Chociaż przez ostatnie dwa lata mieszkała w Anglii, to wciąż nastawiona była na beczasowe tempo życia Entuby, gdzie bagażowy - jeżeli nic powie mu się, że może odejść - czekałby całą wieczność. Mężczyzna z Selbury delikatnie parsknął, co miało oznaczać: „Chwila, nie wydaje mi się”. Następnie - nieco udobruchany florenem, chociaż spodziewał się sześciu pensów - oddalił się ciężkim krokiem.

Plac wokół stacji okalał wysoki, oszałamiająco zielony żywopłot z głogu. Była w nim dziura, przez którą przeszedł niski, krzywonogi mężczyzna. Kiedy zobaczył pannę Mayfield i jej bagaż, przyspieszył kroku.

- Przepraszam, że przeze mnie musiała pani czekać - powiedział.

- Nie czekam na pana. Ktoś ma się tutaj ze mną spotkać.

Skinął głową i odszedł. Oparł się o maskę swojej taksówki, skręcił papierosa i zaczął palić. Wiedziała, że ją obserwuje. Po chwili zawołał:

- Może zechciałaby pani wsiąść i dać odpocząć nogom? Ja będę tutaj aż do dwunastej dwanaście.

- To bardzo miło z pana strony - odpowiedziała panna Mayfield.

Z wdzięcznością spoczęła na wytartym skórzanym siedzeniu i wyciągnęła list od kanonika Thorby'ego. Nie pomyliła się. Była umówiona na stacji w Selbury w piątek siedemnastego kwietnia o jedenastej trzydzięści. Spojrzała na zegarek - była za kwadrans dwunasta.

Nagle pojawił się mężczyzna na rowerze. Niedbale oparł pojazd o ścianę, po czym powiedział:

- Witaj, Ed. Coś się popsuło?

- Tylko czekam - odpowiedział mu Ed.

- Jesteś wolny jutro wieczorem?

- Tak myślę. Ale nie wcześniej jak o wpół do ósmej. Wtedy po ciebie przyjadę. Pasuje?

- Świetnie - odpowiedział mężczyzna, po czym wszedł do budynku stacji.

Ed zrobił sobie kolejnego skręta i powoli zaczął palić. Cała ta procedura trwała jakieś dwanaście minut. W końcu odrzucił niedopałek na bok, otworzył drzwi od strony kierowcy, wetknął głowę do samochodu i zapytał:

- Czy nie wydaje się pani, że coś jest nie tak? Dokąd pani jedzie?

- Do Walwyk.

Na jego twarzy pojawiło się zainteresowanie połączone z rozbawieniem.

- Stary royce kanonika Thorby'ego? Zwykle punktualny jak Big Ben. W końcu musiał się popsuć. Ma dwadzieścia pięć lat, ale dbają o niego jak o dziecko. Mimo to... hm? - powiedział. - To pani jest tą damą, która ma zająć miejsce pani Westleton?

Uśmiechnęła się. Był to pierwszy dowód na przyjacielskie i pełne serdeczności życie, jakie wiodą ludzie na obszarach wiejskich, o czym kiedyś czytała i za czym tęskniła.

- Tak, jestem nową nauczycielką w szkole w Walwyk.

- A to dopiero. A może bym tak zawiózł tam panią. Do Walwyk prowadzi tylko jedna droga i jak natkniemy się na royce'a, to wtedy pani się przesiądzie. A nawet jeżeli zawiozę panią na miejsce, czyli przejedziemy całe dwadzieścia dwa kilometry, to nic się nie stanie. Zrobię to za piętnaście szylingów.

- Ale dlaczego miałby pan to robić?

- Chciałbym jeszcze raz spojrzeć na to miejsce. Mówi się, że utracone rzeczy mają wartość sentymentalną, i właśnie taką wartość ma dla mnie Walwyk. Minęła już dwunasta - powiedział przekonująco. - Coś musiało się przytrafić Baxterowi, że jest aż tak spóźniony. A jeśli ktoś wysiadzie z pociągu przyjeżdżającego tu o dwunastej piętnaście i zechce wziąć taksówkę, to będę musiał jechać, rozumie pani?

- W porządku. Proszę więc podrzucić mnie do Walwyk.

Mężczyzna, który wcześniej przyjechał na rowerze, pojawił się ponownie w bardzo odpowiedniej chwili i na prośbę, aby im pomóc, odpowiedział odczłocz. Kiedy już załadowali bagaż do samochodu, opuścili plac przy stacji.

Selbury było małym miasteczkiem i poza jedną główną ulicą, która w pewnym miejscu rozszerzała się, tworząc rynek, nie było tam wiele więcej. Prawie niedostrzegalnie ulica zmieniała się w drogę podmiejską, wzdłuż której stały, wyglądające na nowe, domy piętrowe i parterowe, otoczone kwitnącymi drzewami wiśniowymi i różowymi migdałowcami.

- Niech pani popatrzy na lewo. Zaraz będzie taki biały dom z niebieskimi okiennicami. Widzi pani? To nowy dom pani Westleton. Mówią, że jest cudowny. Podobno nawet zmywa się w nim naczynia za przyciśnięciem guzika. W końcu zasłużyła sobie na trochę szczęścia. Zasłużyła.

- Dlaczego?

- Miała chorego męża, którym musiała się zajmować przez prawie dwadzieścia lat. Facet miał dobrą pracę. Kiedy za niego wyszła, zamierzała odejść ze szkoły i wtedy on zachorował. Za tamtych czasów nie mówiło się wiele o chorobie Heinego-Medina, jak ma to miejsce teraz, ale chyba właśnie to go dopadło. Nigdy potem nie mógł już stanąć na własnych nogach. Mógł jedynie sam jeść i grać w totka i a niech mnie, jeżeli w zeszłym roku w listopadzie nie wygrał sześćdziesięciu tysięcy funtów! Mówią, że złagodziło to również jego charakter, i nie ma się czemu dziwić. To na pewno nic zabawnego, kiedy żona musi z tobą iść i cię przytrzymywać, prawda?

Panna Mayfield przypomniała sobie, jak kanonik Thorby mówił, że pani Westleton odchodzi z „najszcześniejszego powodu, jaki można sobie wyobrazić”.

Droga, idealnie równa, ciągnęła się pomiędzy szerokimi, zielonymi polami. Były to dobre grunty rolne. Ziemia była czarna i wyglądała na żyzną, ale wcale nie było tak pięknie: niewiele drzew i żadnych żywopłotów. W rowach lśniła woda, a pola oddzielały ogrodzenia z drewnianych słupków, pomiędzy którymi przeciągnięte były druty.

- Kiedyś - odezwał się Ed, jak gdyby dawał odpowiedź na myśl, która pojawiła się w

głowie panny Mayfield - były tu mokradła. Ta ziemia daje dobre plony: buraki, selery naciowe, ziemniaki. Służy także jako pastwiska, ale, niestety, nie jest ładna. Nie taka jak w Walwyk. Walwyk wygląda zupełnie inaczej. To najpiękniejsza mała miejscina, jaką kiedykolwiek pani widziała.

- Jaki jest pana związek z Walwyk?

- Cóż, nie jest to nic, co naprawdę można by nazwać związkiem. Tylko raz, kiedy byłem jeszcze dzieciakiem i chodziłem do szkółki niedzielnej, wzięli nas tam na wycieczkę. Teraz już takich wycieczek nie organizują, i tym gorzej. Wolą raczej pójść do wesołego miasteczka w Southend i jeździć samochodzikami. Ale kiedyś, jak gdzieś jechaliśmy, to zawsze brekami¹. Sama przejażdżka nimi była przyjemnością. No i pewnego dnia wybraliśmy się do Walwyk. Bawiliśmy się i piliśmy herbatę na łące. Miało to miejsce jeszcze za czasów starego proboszcza, a pan Harold - ten, który jest teraz kanonikiem - był w domu i nosił cudowny niebieski blezer. To zabawne, że takie rzeczy potrafią utkwąć komuś w głowie, a tymczasem nie potrafimy sobie przypomnieć, co działo się tydzień temu. Truskawki ze śmietaną, którymi wtedy zajadaliśmy się - i wcale nie obchodzi mnie, co mówią inni - smakowały lepiej niż dzisiaj, zresztą tak jak wiele innych rzeczy.

- Podobno to my się zmieniamy. Nasze podniebienia wraz z wiekiem robią się otępiełe.

- Niech tak będzie. Ale założę się, że truskawki i śmietana w Walwyk smakują ciągle tak samo. Proszę posłuchać, powiedziałem, że według mnie to najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem. W porządku, wtedy byłem jeszcze dzieciakiem i wcześniej nigdzie nie podróżowałem. Jednak w 1912 roku wstąpiłem do wojska i służyłem przez piętnaście lat. Sporo wówczas podróżowałem. Byłem w Kaszmirze, w Indiach, o którym mówią, że to piękne miejsce. Widziałem Tadź Mahal, również w świetle księżyca, Górę Stołową, Malte i wiele innych wspaniałych rzeczy. Ale i tak twierdzę, że Walwyk jest najpiękniejsze.

- Kiedy ostatni raz pan tam był?

- Ach! Akurat tego tak dobrze nie pamiętam. Dwa, może trzy lata temu. Nikt do Walwyk mnie nie wzywa. Każdy ma na zawołanie royce'a probostwa. Ale dwa, trzy lata temu samochód pani Westleton zawiódł i wtedy odwoziłem ją do domu. Będąc tam, wciąż czułem się tak samo wspaniale jak poprzednim razem.

- Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć to miejsce.

¹ Brek (powóz) - odkryty, czterokołowy pojazd konny na resorach, z bocznymi ławkami na sześć lub dziesięć osób.

- Zbliżamy się do mostu. Za chwilę zobaczy pani zmianę. Wtedy, kiedy jechaliśmy brekami, jak już wcześniej pani mówiłem, był z nami pastor. Powiedział, że Walwyk było odcięte od świata dopóty, dopóki nie wyschły bagna, i że w tamtejszym lesie długo grasowały wilki, chociaż gdzie indziej dawno zostały wybite. Baliśmy się na samą myśl, że wciąż jeden czy dwa mogą się tam jeszcze plątać. Kiedy zobaczy pani ten las, wtedy może pani zrozumieć, o czym mówię. - W tym miejscu jego głos się nieco zmienił. - Na początku może pani odnieść wrażenie, że mieszkańcy są trochę nieprzyjaźnie nastawieni. Oni wciąż są trochę odcięci - znaczy, w swoich głowach. Każdego z Renham nazywają obcym. To prawda! Ale jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, to jeżeli będzie pani cierpliwa i nie będzie się nadto narzucać, to sami nabiorą do pani zaufania. To tak jak z psami, najlepiej niech one przyjdą do ciebie, powąchają cię i zaprzyjaźnią się.

- Doskonale wiem, o co panu chodzi. Wiele lat spędziłam w Afryce, gdzie byłam naprawdę obca.

- Ach, zatem już to pani wie. I oto most.

Most, rozciągający się nad wolno płynącym strumykiem, gwałtownie wznosił w górę, tworząc tak duży łuk, że taksówkarz, wjeżdżając nań z płaskiej drogi, musiał zmienić bieg.

- Ktokolwiek go zbudował, był chyba głupkiem. Oba końce położone są tak nisko, że w trakcie fali opadów znajdują się pod wodą. A więc, jaki był sens wznosić go tak wysoko?

- Być może po to, aby łodzie i barki mogły pod nim przepłynąć?

- Nigdy o tym nie pomyślałem. Teraz, tuż za tym rogiem...

To, co zobaczyła, pojawiło się tak nagle, że było niczym scena transformacji. Droga, którą jechali, zaczęła biec między pochyłymi zboczami gęsto usianymi kępami pierwiosnków. Na szczytach zbocza zaczynał się las. Jego wiecznie pogrążone w cieniu aleje i arkady zieleni rozciągały się po obu stronach drogi. Natomiast na skraju lasu skrzyło się i drżało tysiące białych zawilców, między którymi można było dostrzec ciemne, purpurowo-niebieskie łodygi dzikich hiacyntów, obrosłe pączkami.

Zwalniając, Ed zapytał:

- No i co? Czyż to nie widok, który raduje serce?

- Pięknie - powiedziała panna Mayfield głosem pełnym podziwu.

*

Czasami, jeszcze w Entubie, pod koniec skwarne go dnia, wymęczone piachem pustyni, ona i Rose rozmawiały o chwili, kiedy to, już stare i nikomu nieprzydatne, przejdą na emeryturę i zamieszkają w małym domku przy jakiejś zielonej angielskiej uliczce. Było to jednak nierealne marzenie i obie dobrze o tym wiedziały. Rose raz - ale tylko jeden raz -

przyznała się do tego. A było to zaraz po tym, jak spadek po swojej matce chrzestnej wydała na szpital.

- Już nigdy nie będziemy mieć naszego domku, Deb. Umrzemy w tym cholernym szpitalu na skutek ciężkich ran albo od zastrzyku niewysterylizowaną igłą, kiedy będziemy już zbyt słabe, by dopilnować, aby wszystko było wykonywane należycie.

To właśnie było niezwykle u Rose. Wszystko widziała wyraźnie i bez żadnych sentymentów. Poświęciła życie i pieniądze w służbie Afryce, ale nie miała żadnych złudzeń co do ludzi. Przy tej okazji, po tym jak już wygłosiła swoją ponurą prognozę, natychmiast wszystko odwołała i oświadczyła:

- Ach, tak mi się tylko powiedziało. Potrzebowałam szpitala i Bóg mi go dał. Kiedy będę już nadawała się do tego, aby mieć domek, to bez wątpienia też będę go miała.

Przejeżdżając pomiędzy drzewami, dopiero co okrytymi liśćmi, i kwitnym lasem, znajdującym się na obrzeżach Walwyk, panna Mayfield oddała się kolejnemu małemu marzeniu. Z jej nowej, znacznie wyższej pensji mogłaby, być może, coś odłożyć. A może tutaj, w samym sercu wsi, znalazłaby jakiś mały domek, który przygotowałaby na przywitanie Rose za jakieś, powiedzmy, dwanaście czy osiemnaście lat. A może, po tym jak już uwolniła się od bulwersujących i wymagających eksperymentów karierowiczki, panny Stevens, znajdzie trochę czasu i energii na jakieś dodatkowe zajęcia, na przykład korepetycje czy kurs wieczorowy. W wyniku oszałamiającej ekscytacji, po tym jak już ujrzała to piękne miejsce, miała ochotę zająć się opieką nad dziećmi lub adresowaniem kopert, by za każde tysiąc sztuk otrzymywać wypłatę.

W końcu las ustąpił miejsca ziemi uprawnej ciągnącej się wzdłuż szosy, chociaż na horyzoncie wciąż majaczył swoją zielenią i tajemniczością. Wielki dom, zbudowany w technice muru pruskiego, będący dobrym przykładem budownictwa z epoki Tudorów, wyłonił się przed nimi.

- W tej okolicy mieszkają jedna lub dwie bardzo zamożne osoby - powiedział Ed. - To dom pana Frisby'ego. Pan Frisby zajmuje się hodowlą tego biało-czarnego bydła zwanego „frisbińskim”.

Panna Mayfield odnotowała sobie w pamięci tę informację jako ciekawostkę, aby potem podzielić się nią z Rose.

- Dobrze mu idzie na wszystkich pokazach, w zeszłym roku za trzy tysiące gwinei sprzedał byka gdzieś za granicę. Ten tu obok należy do pana Tharkella, który trenuje konie wyścigowe - facet też dobrze sobie radzi. Zawsze wypatruję jego koni podczas wyścigów, ponieważ przynoszą mi szczęście. Tę taksówkę kupiłem za to, co udało mi się zarobić,

stawiając na Vikinga, a dwa lata później, kiedy ścigał się Sibling, nawet trochę pożyczyłem, żeby na niego postawić, i za to, co wygrałem, spłaciłem dom. Tyle, że w przypadku pana Tharkella to bardziej hobby. Poza końmi interesuje się innymi rzeczami i kiedy nachodzi go ochota, to ubiera się i wyjeżdża za granicę.

Dom pana Tharkella, zbudowany w stylu georgiańskim, był położony wysoko na zboczu.

Nieco dalej, po przeciwnej stronie drogi, stał pobielony i starannie pokryty strzechą wiejski dom. Po jego obu stronach znajdowała się oszłamiająca bielą masa gruszy lub drzew wiśniowych w rozkwicie. Potem zaczynały się chatki. Każda z nich była tak piękna, jakby została namalowana na pocztówce lub wyhaftowana na pokrowcu na dzbanek od herbaty. Większość z nich była pobielana, niektóre były też blad różowe lub zielonkawoniebieskie, i wszystkie pokryte były strzechą. Długie ogrody jaśniały od laków, prymulek, żonkili i tulipanów. Chatki te stały wzdłuż drogi, po lewej stronie. Natomiast po prawej stronie drogi, trawiaste pobocze poszerzało się, tworząc tym samym wiejskie błonia, które wyglądem przypominały trójkąt. Na wprost była czerwona, wysoka ściana, która zajmowała cały najkrótszy bok tego trójkąta i w której, pomiędzy ozdobnymi filarami, znajdowała się dwuskrzydłowa żelazna brama.

- Tam jest probostwo, a dalej kościół - powiedział Ed.

Skręcił w prawo i zaczął jechać pomiędzy murem probostwa a błoniami. Po chwili znowu skręcił w prawo, wjeżdżając w ślepią uliczkę.

- Jesteśmy na miejscu - poinformował pasażera i zaczął zwalniać.

Przy tym fragmencie drogi stały tylko dwa domy. Jednym z nich był długi, wyglądający na nowy domek parterowy z szeroką werandą, który przywodził na myśl domy budowane w Afryce przez zamożnych ludzi. Natomiast drugi był niczym georgiański dom dla lalek: zadbane i symetryczny, otoczony przyciętym żywopłotem z bukszpanu, solidnym niczym ścianą, na którym znajdowały się dwa pawie, wystrzyżone ozdobnie z bukszpanu, ustawione po jednej i drugiej stronie eleganckiej, żelaznej bramy. Od owej bramy, aż do wejścia z portykiem filarowym, ciągnęła się wybrukowana ścieżka. Po jej obu stronach ciągnęły się prostokątne, równe trawniki, które tuż przy samym domu ustępowały miejsca klombom róż.

- Chce pan powiedzieć, że to jest dom dla nauczycieli?

- Zgadza się. Sama szkoła położona jest jakieś dwie minuty drogi stąd. Trzeba iść wzdłuż tej krótkiej dróżki, obok probostwa.

- Ale on jest taki... elegancki. Nie spodziewałam się czegoś takiego. Jest pan pewien?

- Mówiłem pani o tym, jak popsuł się samochód pani Westleton i musiałem ją odwozić. Gderała, że nie ma tu garażu i musi trzymać swoje auto na terenie probostwa. Będzie miała pani samochód?

- Nie mam prawa jazdy i na pewno nie ośmieliłabym się teraz je wyrabiać.

Ktoś oczekiwał na ich przyjazd. Drzwi od domu otworzyły się. Na zewnątrz wyszła młoda kobieta i zaczęła pospiesznie maszerować wzdłuż ścieżki. Uśmiechnęła się, pokazując piękne uzębienie, i powiedziała:

- Witamy w Walwyk, panno Mayfield. Kanonik mówił mi, że ma to być pierwsza rzecz, jaką mam pani powiedzieć. Nazywam się Berta Creek.

Panna Mayfield przez chwilę poczuła się zakłopotana. Dawniej, jeszcze przed wyjazdem do Afryki, powiedziałaby po prostu: „Dzień dobry, Berto”. Jednak potem pojawiły się egalitarystyczne maniery i tego rodzaju poufałość mogłaby być niemile widziana. A więc wyciągnęła rękę i powiedziała:

- Dzień dobry, panno Creek. - Tym samym popełniła swój pierwszy błąd w Walwyk.

Młoda kobieta ani trochę nie była z tego zadowolona, przeciwnie - wręcz urażona.

- W rzeczy samej: „panna Creek” - mówiła, opisując ten incydent nieco później. - Coś podobnego! A ja w fartuchu. Czułam się tak głupio. Przypuszczam, że wystarczyłoby, gdybym powiedziała, że jestem Berta, i nic więcej, ale skąd miałam wiedzieć?

Jednak w tej chwili gafa została puszczona płazem. Taksówkarz, czując prawdopodobnie, że zaraz rozpocznie się proces wzajemnego przedstawiania się, powiedział:

- Nazywam się Ed Higgins. A teraz prosiłbym panie o małą pomoc, Kiedy podnosili kufer, panna Mayfield wcisnęła się między nich i wyciągnęła swoją walizkę, po czym żwawym krokiem udała się do domu. Podczas tej cudownej chwili, kiedy po raz pierwszy w życiu wchodziła do domu, który naprawdę należał do niej, chciała być sama. Dom jej ojca, w którym spędziła pierwsze osiemnaście lat życia, był sentymentalną świątynią poświęconą jej matce, która zmarła, gdy ona miała dziesięć lat. Jakakolwiek najmniejsza zmiana, choćby zastąpienie jednego flakonu na kwiaty drugim, wywoływała komentarz, który, ze względu na swój smutny i aluzyjny wydźwięk, wydawał się być niezwykle emocjonalny: „Twoja droga matka zawsze stawiała żonkile w zielonej misie”. W college’u tak zwany swój pokój był swoim jedynie w teorii. Dziewczyny z pieniędzmi zazwyczaj dodatkowo wyposażały owe pokoje lub po prostu zmieniały podstawowe meble. Deborah Mayfield, której pieniędzy brakowało i która otrzymała pokój o dziwnym kształcie i takichże proporcjach, musiała go akceptować takim, jaki był, i być z niego zadowolona. W Entubie, niczym w średniowiecznym klasztorze, nic do nikogo nie należało. Nieraz się zdarzało, że łóżko panny

Mayfield zostało zarekwirowane, ale zawsze - jak sama mówiła - dopiero wówczas, gdy zabrali łożko Rose. „Kochana, wiedziałam, że nie miałabyś nic przeciwko. Chodzi o opatrunki. Joyce tak ciężko jest je zakładać, kiedy pacjent leży na ziemi”. A potem było Alchester. Tam, w tym przeludnionym mrowisku, panna Mayfield zdała sobie sprawę, że miała wyjątkowe szczęście. Janet Lovelace, nauczycielka gospodarstwa domowego, poprosiła ją, by wspólnie dzieliły jej „mieszkanko”. Zamieszkała więc na ogromnym strychu, który znajdował się w olbrzymim, rozwalającym się budynku. W rogu stał palnik gazowy, aby dostać się do łazienki, trzeba było pokonać trzydzieści stromych schodów i przemierzyć dwa korytarze. Zachowanie Janet było ostrą i prawdopodobnie zrozumiałą reakcją na to wszystko, czego ją uczono. Była niechlujna i niedbała oraz ekstrawagancka na tyle, na ile pozwalały jej na to posiadane środki.

Odżywiała się wyłącznie jedzeniem z puszek lub innymi gotowymi produktami. Panna Mayfield kilka razy podejmowała stanowcze próby gotowania na palniku, ale ostatecznie przekonała się, że Janet miała rację. Kiedy cokolwiek się gotowało, para wybrzuszała tapetę, tworząc na niej pęcherzyki. Gdy smażyła, nieprzyjemny zapach przesiąkał książki lub poduszkę. Sprzątanie za Janet było zwykłą stratą czasu. Panna Mayfield zadowoliliła się kupnem metalowego kosza na śmieci, do którego bezpiecznie można było wyrzucać niedopałki papierosów; nabyła też zapas proszku do czyszczenia o nazwie Vim, za pomocą którego szorowała wspólną wannę. Janet, którą niełatwo było sprowokować, pewnego razu rzuciła epitetem, że to „staropanieńskie”. Na co panna Mayfield spokojnie jej odpowiedziała: „Może i tak, mój instynkt uległ degeneracji. Sądzę, że powinnam sprzątać łazienkę po trzech lub czterech chłopcach, którzy wcześniej grali w piłkę, wtedy powiedziałabyś, że to po macierzyńsku”.

A teraz, wreszcie, co było cudowne i prawie niewiarygodne, szła w kierunku budynku, który miał być jej własnym domem tak długo, jak długo pozostanie w Walwyk.

A co to był za dom! Zaraz za drzwiami rozciągał się kwadratowy hol wyłożony biało-czarnymi kafelkami, na których spoczywały, swobodnie porozrzucane, niezwykle bogato ubarwione, jedwabiste perskie dywaniki. Pod oknem, na lewo od drzwi, stał rzeźbiony kufer na posag, a pośrodku - czarny stół z rozkładanym blatem dźwigający na sobie niebiesko-białą misę pełną wiosennych kwiatów. Schody pokryte ciemnoniebieskim dywanem znajdowały się naprzeciw drzwi i, zakręcając, biegły w górę. Za miejscem, od którego zaczynały się schody, było sklepienie przejście, które prowadziło do krótkiego korytarza, gdzie naprzeciw siebie znajdowało się dwoje drzwi. Te po lewej stronie były zamknięte, ale te po prawej nie, i dzięki temu panna Mayfield zobaczyła, że były tam zlewozmywak, kilka błyszczących kurków i

czerwona, wykafelkowana podłoga.

Zobaczyła tak wiele, zanim Berta i Ed, dźwigając kufer, weszli do środka.

- Możemy od razu zanieść go na górę - odezwała się Berta.

Kiedy ją minęli, panna Mayfield odwróciła się w prawo i otworzyła drzwi, które znajdowały się po drugiej stronie holu. Garderoba! Przez chwilę obawiała się, że zaraz zacznie płakać. Ściany pokryte były białymi panelami, a krzesła i sofa obite zostały perkalem zdobionym różami. Znajdowało się tam także antyczne biurko, białe półki na książki po obu stronach kominka i trochę kwiatów.

Było to prawdopodobnie złe, złe i słabe, tak lubować się tym pięknym otoczeniem i cenić sobie coś, co przecież jest tylko materialne. Trzeba zawsze pamiętać, jak mało ważne są takie rzeczy... Ale nawet ta purytańska myśl nie była w stanie zmącić jej przyjemności. Bóg stworzył piękno na tym świecie - nawet przebiśnieg został starannie zaprojektowany - i obdarzył człowieka umiejętnościami pozwalającymi na tworzenie rzeczy pięknych, a więc jeżeli przez przypadek ktoś ma na tyle szczęścia, aby znaleźć się w jakimś cudownym miejscu, to powinien to docenić i być za to wdzięcznym!

Kiedy Berta i Ed położyli na podłodze skrzynkę z książkami, panna Mayfield z powrotem odwróciła się w stronę holu.

- Proszę zostawić ją tutaj - powiedziała. - Otworzę ją i stąd będę powoli, po kilka książek, zanosić na półki.

Kiedy to mówiła, z kuchni, stąpając dumnym krokiem, wyłonił się duży, czarny kot. Podszedł do niej i zaczął ocierać się o jej kostki, mile przy tym mruczając. Ostatni, doskonały powitalny dotyk, pomyślała, zginając się, aby pogłaskać jego błyszczące futro.

- Ponoć to dobry znak, zwiastujący szczęście - odezwał się Ed. - Jednak nie mogę powiedzieć, że sam przepadam za kotami. To okropne złodziejaszki.

- Czy ten jest stąd? - zapytała panna Mayfield.

- No cóż, wie pani jakie są koty - odpowiedziała Berta. - W jednej chwili są tutaj, a w drugiej już gdzie indziej. Ale mogę powiedzieć, że przez cały ten czas, kiedy oporządzałam dom, kręcił się tutaj, jakby na panią czekał.

W ostatnich kilku słowach tej rozmowy było coś, co trafiło prosto do wrażliwego serca panny Mayfield. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek ktoś oczekiwał lub coś oczekiwało na jej przybycie, ponieważ w Entubie ona i Rose na wycieczki zawsze chodziły razem, a te i tak przytrafiały się im niezwykle rzadko. Wciąż pochylając się nad entuzjastycznie mruczącym kotem, panna Mayfield pomyślała: „Kielich mój pełny po brzegi”, po czym dodała płynące z głębi serca, pełne pokory słowa: „Dziękuję Ci, Boże”.

3

Około ósmej wieczorem pannie Mayfield pozostała jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia, która zakończyłaby jej przeprowadzkę, a mianowicie musiała poskładać książki.

Kiedy otworzyła skrzynkę, nagle, jak spod ziemi, po raz kolejny pojawił się kot. Przypomniała sobie, że minęło trochę czasu, od kiedy ostatni raz go widziała, wychodził wtedy z domu. Wyprostowała się i otworzyła drzwi frontowe, mówiąc:

- Chodź, kiciuś.

Kot zrobił trzy kroki w pożądanym kierunku, po czym uskoczył w bok, chowając się pod stołem z rozkładanym blatem. Pochyliła się i jedną rękę położyła na skrzynce, która stała pomiędzy stołem a drzwiami, a drugą kusząco wyciągnęła w stronę kota.

- No, chodź - powiedziała. - Jeżeli chcesz ze mną mieszkać, musisz nabrać dobrych manier.

- Zgadza się, panno Mayfield - odezwał się głos, dochodzący od strony drzwi wejściowych.

Wyprostowała się, po czym szybko i nerwowo odwróciła się. Poczowała lekkie zawstydzenie z powodu swojego zaniepokojenia, ponieważ był to tylko kanonik Thorby.

- Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem - powiedział. - Widziałem panią i nie zdawałem sobie sprawy, że pani mogła mnie nie widzieć.

- Nie przestraszyłam się, jedynie zdziwiłam. Proszę wejść.

Podszedł do stołu, po czym otwartą ręką mocno uderzył w blat.

- Wynocha! - powiedział, a kot, jak gdyby był czymś od tyłu napędzany, szybko przebiegł przez hol i wybiegł na podwórze.

Kanonik Thorby zaśmiał się.

- Zdaje się, że mam wpływ na koty! Nigdy tego nie wiedziałem. No więc, pomyślałem sobie, że wpadłbym i powiedział „dzień dobry” oraz „witam” i przeprosił za to, że nikt nie odebrał pani ze stacji, tak jak to miało być. Dostała pani moją wiadomość?

- Nie, nie dostałam. Ale nic się nie stało, znalazłam taksówkę, a raczej taksówka znalazła mnie.

- Naprawdę - powiedział z domieszką poirytowania, wyczuwalną w głosie - zrobili się

bardzo niedbali. Zadzwońm do naczelnika stacji i wyjaśnłem mu zaistniałą sytuację oraz poprosłem, aby przeprosił panią w moim imieniu oraz przygotował dla pani jakąś taksówkę. To naprawdę irytujące! Wie pani, w szpitalu w Wandford leżała pewna stara kobieta. Jej stan się polepszał, ale dziś o ósmej rano dowiedziałem się, że jest z nią gorzej. Poinformowałem jej dwie córki, a potem zawieźliśmy je do niej, do szpitala samochodem. Obie były bardzo rozhisteryzowane, a więc zabrałem się z nimi. Cóż to był za okropny dzień! Całą drogę do szpitala głośno wyrażały swój niepohamowany smutek, a w drodze powrotnej zjadliwie klóciły się, która z nich odziedziczy zegar dziadka.

Widziała, że kanonik wygląda na wyczerpanego. Jednolita, rumiana cera twarzy poszarzała i pojawiły się na niej pąsowe plamy, a zmarszczki wokół oczu i ust pogłębiły się.

- Nie musiał pan zawracać sobie mną głowy pod koniec takiego dnia - zwróciła się do niego z powagą. - Jestem przyzwyczajona do radzenia sobie w życiu sama. Proszę usiąść. Czy zechciałby pan... czy napiłby się pan herbaty?

- Uniwersalne panaceum! Zdaje się, że całymi dniami podtrzymujemy siły kolejnymi filizankami herbaty, a niektóre z nich są tak mocne, że można prawie kroić je nożem. Nie, panno Mayfield, jeżeli chce pani zaoferować mi jakiś orzeźwiający napój, to prosiłbym o brandy z wodą sodową.

Spojrzała na niego zmieszana.

- Ale, kanoniku Thorby, nie mam w domu czegoś takiego.

Siedział wygodnie w głębokim krześle, ale usłyszawszy jej słowa, gwałtownie się wyprostował.

- Wydałem polecenia. Proszę mi nie mówić, że coś jeszcze nie zostało wykonane jak należy! Nie wiedząc, co pani lubi, kierowałem się gustami pani Westleton i zamówiłem słodką sherry i maderę. A dla siebie - zakładając, że od czasu do czasu będę tu wpadał wieczorami - brandy i wodę sodową. Proszę sprawdzić w kredensie na wino.

- Ach - odpowiedziała. - Chyba tam nie zaglądałam. Zrobię to teraz.

Pospiesznie udała się do małej jadalni i otworzyła drzwiczki niskiego kredensu o zygzakowatym kształcie. Miał rację. Na spodzie stały butelki i syfony, a na górnej półce znajdowała się oszałamiająca ilość kieliszków ustawionych jeden obok drugiego. W odległej przeszłości widziała, jak jej ojciec, po wyjątkowo ciężkim dniu, popijał whisky ze szklanki. Czy brandy to to samo? O Boże, Rose by wiedziała! Tak czy owak, woda sodowa musowała i rozpryskiwała się - to nawet jej było wiadome - a więc pomyślała, że szklanka będzie odpowiednia.

- Czy mam pić sam? - zapytał kanonik Thorby, kiedy postawiła tacę.

- Ja... ja nigdy nie biorę alkoholu do ust. Nie chodzi tu o żadne negatywne nastawienie czy coś w tym rodzaju, po prostu tego nie robię.

Zwrócił się do niej łagodnie:

- Wie pani, nigdy nie jest za późno, aby przyzwyczaić się do czegoś przyjemnego. Dobrze się czułem, wiedząc, że oprócz rzeczy absolutnie niezbędnych pani Westleton dostawała coś jeszcze.

- Dał mi pan już tak wiele. Dom jest piękny, spiżarnia zaopatrzona. Nawet lunch był przygotowany. Wykazał się pan zbyt dużą hojnością.

- Nonsens. Czy myślała pani, że pozwolimy, aby przyjechała tu pani w porze obiadowej i zaczęła robić sobie jajecznicę. Tej rzeczy nie może pani zaniedbywać. Rozumiem, że kobiety mieszkające same zwykle jedzą prowizoryczne posiłki. Oczywiście, pani Westleton musiała myśleć o swoim mężu, a on - biedaczyna - naprawdę uwielbiał jedzenie. Powiedziałem Bercie, aby dopilnowała, by w każdą sobotę i niedzielę zjadała pani porządną obiad. Natomiast w inne dni Berta będzie zostawiać pani coś, co można szybko podgrzać lub po prostu przygotować samodzielnie bez większego kłopotu.

- Chciałam właśnie porozmawiać z panem o Bercie. Chyba ma nadzieję, że zatrudnię ją na stałe.

- A czemu nie? Nie lubi jej pani?

- Bardzo ją lubię, ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę sobie na nią pozwolić. Wiem, że zarabiam znacznie więcej niż w Alchester, ale mam pewne zobowiązania, o których mówiłam i z których muszę się wywiązać. Mam też pewne inne plany i dlatego będę musiała być naprawdę n i e z w y k l e oszczędna.

- Berta nie nadszarpnie pani budżetu. Została zatrudniona przez szkołę i ma zaspokajać potrzeby dyrektorki, a każdego popołudnia sprząta teren szkoły.

- Rozumiem. Kanoniku Thorby, to naprawdę zbyt wiele. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to tylko sen, z którego powinnam się przebudzić.

- Proszę mi to powiedzieć około marca następnego roku, po tym jak spędzi pani tutaj z nami zimę.

Wypił tyczek ze swojej szklanki, a potem rozejrzał się po pokoju.

- Czy w pełni pani rozumie, że to p a n i dom i może tu pani dokonywać wszelkich zmian, jakie tylko przyjdą jej do głowy? Meble w tej chwili są ustawione tak samo jak za czasów mojej ciotki. Pani Westleton uwielbiała trójkątne kształty, lubiła krzesła z rurkowatymi nogami i aż do tego tygodnia wszystko to leżało na jednym z naszych strychów. Ale jeżeli pani chce, to można zabrać to z powrotem, aby zrobić miejsce na inne rzeczy, które

chciałaby tu pani wstawić.

- Nie mam zamiaru niczego zmieniać. Jest to dokładnie taki dom, o jakim nigdy nie śmiałam nawet marzyć.

Ciepło w jego oczach świadczyło, że jej słowa były dla niego miłe.

- Przyjemnie jest patrzeć, jak stare, znajome rzeczy znowu stoją na swoim miejscu. Ach, byłbym zapomniał o jeszcze jednej sprawie. Chciałbym zaprosić panią jutro na lunch w naszym towarzystwie. Moja siostra miała do pani napisać, ale przez ostatnie trzy dni dokuczala jej okropna migrena. Chciała, abym pani przekazał, że zaletą migreny jest to, iż przebieg choroby jest przewidywalny, i że jutro na pewno będzie już całkiem zdrowa.

- Jeżeli jesteście państwo pewni, że tego chcecie, to oczywiście. Będę zaszczycona możliwością zjedzenia z wami lunchu.

- W porządku. - Obracając w rękach szklankę, kanonik patrzył na nią z lekko zmarszczonym czołem. Po chwili dodał: - Panno Mayfield, myślę, że powinienem również panią ostrzec, iż może pani uznać moją siostrę za osobę raczej... dziwną. O nie, nie chodzi o żadne problemy umysłowe, nie jest to nic, czemu można by przypisać jakąś nazwę. Ale może pani odnieść błędne wrażenie, że jest nieprzyjazna. Jej zachowanie czasami na to wskazuje. Ma bardzo słabe zdrowie, a jej życie nie było zbyt udane. Jest niezwykle bystrą kobietą, mogła zrobić karierę jako archeolog. Jednak... W każdym razie, mogę zapewnić panią, iż żadna kobieta nigdy nie miała bardziej życzliwego serca i wielkodusznego usposobienia i jeżeli kiedykolwiek, mieszkając w Walwyk, będzie potrzebowała pani kobiety, której można zaufać, to nie znajdzie pani nikogo lepszego od niej. Może pani pomyśleć, że brzmi to jak przemowa kochającego braciszka, ale myli się pani. Izabel i ja lubimy się i żyjemy ze sobą w nie najgorszej zgodzie, ale zobaczy pani, że ludzie ze wsi podzielają moje zdanie.

Ponieważ nie wiedziała, co powiedzieć, a z jakiegoś powodu wraz ze wspomnieniem siostry kanonika dziwne napięcie wkradło się do pokoju, panna Mayfield zapytała:

- Czy to złe zdrowie zrujnowało jej karierę?

Po chwili milczenia kanonik odpowiedział:

- Szczerze? Nie. Zdrowie popsuło się później. Podczas jednej z wypraw coś poszło nie tak. Mówię to pani w tajemnicy, podejrzewamy, że przeżyła jakiś nieszczęśliwy romans. Do domu wróciła zupełnie odmieniona i od tamtej pory żyje w prawie całkowitym odosobnieniu. Dużo czyta i - tak mi się wydaje - trochę też pisze, ale stara się trzymać to w tajemnicy. Równie dobrze może panią „polubić”. Niestety, ona i pani Westleton nie miały żadnych wspólnych zainteresowań, co dla nich obu nie było zbyt fortunne. - Po tych słowach podniósł szklankę, opróżnił ją i odłożył. - Ach, i zanim sobie pójdę, muszę jeszcze wyjaśnić pani nasze

osobliwe zwyczaje związane z transportem. Sobota w Selbury jest dniem targowym. Mój samochód, w którym względnie wygodnie może jechać osiem osób wraz z kierowcą, bez żadnego opóźnienia wyrusza do Selbury o godzinie dziewiątej rano. Dwóch uczynnych dżentelmenów, pan Frisby i pan Tharkell, jadą trochę później i po drodze podjeżdżają do bram probostwa, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie został tam ktoś, kto nie zabrał się wcześniej z Baxterem. Baxter jest gotów podjąć się każdego zadania. Raz nawet kupił komuś siatkę na włosy, kto jej akurat potrzebował, a nie chciał spędzać poranka w Selbury. Kiedyś jeździł tutaj autobus, prawdziwy czerwony autobus Eastern Counties, ale ponieważ klientów było niewiele, teraz dojeżdża tylko do Renham. A zatem procedura jest prosta. Jeżeli chce pani udać się do Selbury lub zlecić coś Baxterowi, to przychodzi pani pod bramę probostwa o dziewiątej rano. Natomiast, jeżeli nie chce pani wyjeżdżać tak wcześnie lub, co raczej jest mało prawdopodobne, siedem osób wsiądzie do samochodu przed panią, to wtedy należy czekać na pana Frisby'ego lub Tharkella. Muszę przyznać, że w Walwyk praktykujemy tę wyraźnie zdyskredytowaną rzecz, czyli komunizm. - Wstał i z uśmiechem na twarzy dodał: - Pozostaje mi jeszcze tylko powiedzieć to, co powinienem był powiedzieć, kiedy tutaj przyszedłem. Mam nadzieję, że będzie pani z nami szczęśliwa i pozostanie w Walwyk przez długie lata.

- A ja mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z mojej pracy, kanoniku Thorby. - Następnie popatrzyła dookoła i dodała: - Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek zasługiwał na tak wiele.

Odprowadziła go do drzwi, a potem przez kilka następnych minut stała przy frontowym wejściu, wołając co pewien czas: „Kici, kici, kici!”. Kot nie wrócił. Wreszcie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Poszła do kuchni i również zamknęła na klucz drzwi, które wychodziły bezpośrednio na ogrodzone murem podwórze.

Teraz, w końcu, pomyślała, jestem sama w moim własnym domu. Całkiem sama, wyłącznie w moim domu. Z radością powróciła do rozpakowywania książek.

Później, kiedy już przebrała się i przygotowała do spania, odziana w obszerną i staromodną koszulę nocną, która była dziełem najbardziej zaawansowanej grupy szwaczek w szkole w Entubie, jak zawsze uklękła, aby się pomodlić. Po chwili poczuła, jak coś przyciska się do jej kolan. Otworzyła oczy, spojrzała w dół i po raz kolejny zaskoczył ją widok kota, który wyginał się w łuk, i mruczając, ocierał się o nią. Musiał wbiec niezauważony po tym, jak kanonik Thorby wyszedł.

- Ciekawe, gdzie ty sypiasz - powiedziała na głos.

Wtedy kot lekko i z wdziękiem podskoczył, lądując na łóżku, po czym łapkami zaczął

gnieść niebieską kołdrę puchową.

- No, nie jestem pewna, czy powinnam pozwolić ci na takie zwyczaje - powiedziała panna Mayfield. - Ale ten jeden raz...

4

- A teraz, moja droga - powiedział kanonik Thorby - idź i odpocznij, a ja pokażę pannie Mayfield kościół. Potem, jak wiesz, będę musiał udać się do Wandford, a zatem mogę wrócić późno.

Panna Thorby wstała i wyciągnęła swoją wiotką, pełną wdzięku dłoń.

- Mam nadzieję, panno Mayfield, że będzie pani w Walwyk bardzo szczęśliwa i że często będziemy się widywać.

Jak wszystko, co mówiła Izabel Thorby podczas tej wizyty, również i to zabrzmiało po przyjacielsku, świadczyło o jej dobrych intencjach, ale było raczej bez znaczenia. Panna Mayfield pomyślała, że kanonik Thorby wykazał się niezwyklej wnikliwością, przewidując, jaki wpływ może wywierać na ludzi jego siostra. Ta zachowywała się uprzejmie, dobrze dobierała słowa, uśmiechała się słodko i często, ale w sumie nic to nie znaczyło. Jej tam nie było, a jeszcze w jakiś dziwny sposób sprawiała, że druga osoba również czuła się, jakby w ogóle nie istniała. Ale - i to panna Mayfield uznała za niepokojące - trzy lub cztery razy złapała pannę Thorby na przyglądaniu się jej w sposób badawczy i wnikliwy. Kiedy tak spoglądała, natychmiast zaczynała się uśmiechać i rzucała jakiś komentarz, zadawała jakieś pytanie, zupełnie tak, jak gdyby tym wpatrywaniem chciała jedynie zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Ale to była nieprawda. Przypominało to stanie przed domem, którego okna były szczelnie zakryte zasłonami, co miało znaczyć: „Nikogo nie ma w domu!”. Potem na chwilę odwracasz wzrok, a gdy z powrotem patrzysz na ów dom, dostrzegasz odsuniętą na ułamek sekundy zasłonę i spostrzegawcze oko uważnie przyglądające się tobie. A potem znowu nic.

Być może za tą martwą fasadą skrywała się prawdziwa kobieta, żywiąca nadzieje i obawy. Być może Izabel Thorby w ten sam sposób patrzyła na każdą kobietę, z którą jej brat nawiązywał jakiś kontakt. Czy wyczuwała w tym niebezpieczeństwo? No cóż, w tym wypadku mogła spać spokojnie. Nowa dyrektorka miała czterdzieści cztery lata, nie była specjalnie zadbana ani dobrze ubrana, a co najważniejsze już dawno pogodziła się ze swoim staropanieństwem. Była raczej nieszkodliwa.

- Pójdziemy przez ogród - odrzekł kanonik Thorby.

W popołudniowym słońcu szerokie, świeżo skoszone trawniki leżały niczym zielony

plusz wygładzony to w tę, to w tamtą stronę. Na dwóch prostokątnych grządkach znajdujących się tuż za oknami salonu rosły różowe tulipany skąpane w niebieskiej mgiełce niezapominajek. Kilka kamiennych schodów prowadziło do kolejnego trawnika, a wzdłuż ścieżki, po obu jej stronach, znajdowała się szeroka rabata z bylin, która za tydzień lub dwa miała lśnić kolorami. Po chwili owa ścieżka zaczynała się rozgałęziać, poszli więc w tę stronę, gdzie rosły krzewy i tym sposobem dotarli do bramy w murze. Dalej znajdował się kościół. Był to mały, szary budynek. Po jego zachodniej stronie znajdowała się okrągła, kamienna wieża; jedna jej połowa wchodziła w budynek główny, a druga tworzyła zaokrąglone wybrzuszenie na ścianie.

- Tak - powiedział kanonik Thorby, choć panna Mayfield o nic go nie pytała - to rzadko spotykane. Wieża jest znacznie starsza niż kościół i została wzniesiona w celach obronnych. Wieża Thora. Kościół został zbudowany w późnym stylu normandzkim i nie ma żadnych śladów świadczących o tym, by wcześniej stał tu jakiś inny budynek, co sugeruje, że chrześcijaństwo dotarło do nas raczej późno. Mówią, że te dwa ogromne cisy rosły tutaj jeszcze przed podbojem Normanów. Oczywiście, nie ma na to żadnych dowodów, ale wyglądają na dość stare, prawda?

Były to dwa olbrzymie, ciemne drzewa. Ich niższe, uginające się gałęzie wsparto na żelaznych podpórkach.

Przedsiónek kościoła znajdował się po jego północnej stronie. Kiedy schronili się w jego chłodnym cieniu, kanonik Thorby odezwał się:

- Nie może pani oczekiwać tu niczego bardzo okazałego. Najpiękniejsze kościoły na tym obszarze znajdują się we wsiach, które czerpały zyski z handlu wełną. Z powodu problemów z transportem Walwyk nie miało na to szansy. Z drugiej strony moi przodkowie mieli na tyle zdrowego rozsądku, aby unikać jakichkolwiek dodatków w stylu wiktoriańskim. A więc to, co pani tutaj widzi, ostało się mniej więcej w oryginalnej formie. - Otworzył drzwi. - A oto i kościół od środka.

Doskonale zdawała sobie sprawę, iż kanonik jest dumny ze swego kościoła. Starła się, jak mogła, aby jej komentarze brzmiały entuzjastycznie i mądrze. Prawda jednak była taka, że zaraz po wejściu do środka poczuła przygnębienie. Przez małe, półokrągłe okna do wnętrza wpadało niewiele światła. Niezmiernie grube filary zdawały się być zbyt ciężkie na to, by podtrzymywać budynek tej wielkości. Jednak wszystko, tak jak cała reszta rzeczy, które widziała w Walwyk, było starannie utrzymane.

Nad ołtarzem, przyozdobionym wysokimi, białymi i sztywnymi tulipanami, mieszczącym się przy wschodniej ścianie kościoła, znajdowało się okno, o którym, zupełnie

szczerze, powiedziała:

- Chyba nigdy nie widziałam okna witrażowego o tak pięknych kolorach.

Okno to, jak i pozostałe, było niewielkie i ktokolwiek wypełniał jego otwór kolorowym szkłem, postąpił słusznie, że w tę ograniczoną przestrzeń nie próbował wcisnąć żadnej ludzkiej postaci. Zamiast tego przedstawił gołębicę Noego, trzymającą w dziobie gałązkę oliwną i unoszącą się nad bezmiarem niebieskiej wody. Jej delikatne, srebrnoszare upierzenie przechodziło w ciemną purpurę. Dziób miała jasnożółty, natomiast nóżki, skierowane do tyłu i znajdujące się blisko jej piersi, były różowe. Niebo nad nią miało czysty błękitny kolor, a pod spodem znajdowały się fale o barwach przechodzących od zielonkawoturkusowego do indygo i równych, symetrycznych krzywiznach, takich jak te na dziecięcych rysunkach, przedstawiających morze.

- A wie pani dlaczego? - zapytał kanonik Thorby w odpowiedzi na jej komentarz. - Bo jest to jeden z niewielu średniowiecznych witraży, którego nie udało się zniszczyć żołnierzom Cromwella. Liczy sobie przynajmniej sześćset lat. Wiemy o tym dzięki rubinowemu szkle na obwódce. Nigdy nie było go wiele, aż w końcu, w ostatniej ćwierci trzynastego wieku, stało się niedostępne.

- Tyle piękna - powiedziała panna Mayfield ze smutkiem na twarzy, wpatrując się w gołębicę - stworzone przez ludzi ku chwale Boga i zniszczone przez innych z tego samego powodu.

- No cóż, to małe dzieło udało się nam ocalić, ale to nasz sekret. Nie chcemy, aby przyjeżdżały tu autobusy pełne turystów zamierzających popatrzeć na nasze okno albo na nasze dwa posągi czy chrzcielnicę, w której, tak przy okazji, ludzie Cromwella nie poili swoich koni z prostego powodu: przez bagna musieli przepawić się na nogach.

- Przyszli tutaj? Widząc okno i inne rzeczy, pomyślałam, że być może Walwyk uchroniło się od takich wizyt.

- Przyszli. Dwunastu wraz z sierżantem, którego imię brzmiało jak jedna z tych biblijnych fraz, dokładnie nie pamiętam, ale jakoś tak: „Obadiaszu, zakuj królów ich w kajdany”. Ten Thorby, który w tamtym czasie, w siedemnastym wieku, był proboszczem, padł ofiarą własnej pasji prowadzenia dzienników - pozostawił barwny opis ich wizyty i jej żalony koniec. Pisał z pewnym poczuciem humoru. Muszę pani pokazać jego książkę.

- Jak udało mu się ocalić okno i inne rzeczy?

- Jemu? Ach, on nie zrobił nic. Żołnierze zabawili tutaj jakiś czas, a ponieważ byli obcy i nie posiadali wrodzonej odporności, zachorowali na to, co wtedy zwali bagienną gorączką. Była to szczególnie niemiła kombinacja czerwonki i grypy. Przybyli tutaj w bardzo

kiepskim stanie. Dziesięciu zmarło. Sierżant „Kochaj bliźniego swego” Smith i jeszcze jeden człowiek, któremu udało się ocaleć, kiedy mogli już stać na własnych nogach, odeszli stąd raczej pospiesznie, nie interesując się dłużej tutejszymi papieskimi relikwiami i praktykami. Mój przodek prowadzący dzienniki tych, którzy nie przeżyli, pochował z pompą i ceremonią, co zapewne sprawiło, że przewracali się w grobach. Mówiąc prawdę, powszechnie uważa się, że miejsce w rogu cmentarza, gdzie zostali pogrzebani, jest nawiedzone. Niebawem pokażę pani ich kamień nagrobny.

Poszli z powrotem do zachodniego krańca kościoła, gdzie wewnętrzna połowa okrągłej wieży wybrzuszała się w stronę nawy głównej, a zewnętrzna - w stronę cmentarza parafialnego. U jej podstawy znajdowały się uchylone drzwi, niezmiernie grube i wąskie. Kanonik Thorby mocno je pchnął i otworzył trochę szerzej. Za nimi panowała praktycznie całkowita ciemność, a chłód tam był większy niż w kościele. Panna Mayfield lekko zadrzała. Do ściany wieży przylegały kamienne schody starte od długoletniego używania, które, wznosząc się, oplatały ją. Kończyły się w kwadratowej dziurze wyciętej w suficie z litego drewna. Z innej, znacznie mniejszej dziury zwisiał sznur od dzwonu zakończony wielkim pomponem z purpurowego jedwabiu. Chwyając go w rękę, kanonik Thorby powiedział:

- Nie mam pojęcia, ile dzwonnice kościelnych wciąż używa się jako alarmu - co było jedną z ich funkcji w przeszłości - ale ten staruszek ciągle do tego służy. Jedno szarpnięcie - powiedział z figlarnym błyskiem w oku - i każdy fizycznie zdrowy, dorosły mieszkaniec Walwyk przybiegnie tu, aby walczyć z pożarem czy powodzią. Niech pomyślę, ostatni raz dzwoniło sześć lat temu, kiedy ludzi z domków przy Curlew Lane trzeba było prędko ewakuować. Ulica położona jest nisko, blisko rzeki i oprócz tego, że jej mieszkańcy musieli radzić sobie z dużymi opadami, to przyszła jeszcze wyjątkowo wysoka fala. Pani jest całkowicie bezpieczna - dodał prędko. - Dom, w którym pani mieszka, jak również ten obok, położone są najwyżej w całym Walwyk.

Panna Mayfield była już tak przemarznięta, że na samą myśl o chłodnej, podnoszącej się wodzie powodziowej dostała kolejnych drgawek.

- Zimno pani - zwrócił się do niej z troską kanonik. - Chodźmy na słońce.

Wyjście na zewnątrz, gdzie nadal trwało łagodne i pogodne popołudnie, było dla niej ulgą zarówno psychiczną, jak i fizyczną. Z rogu cmentarza parafialnego, gdzie zaprowadził ją kanonik Thorby, obejrzała się za siebie i spojrzała na solidny budynek, przy którym stali dwaj ciemni stróże w postaci cisów, i po raz pierwszy w życiu zaczęła podejrzewać, że wszystko to, może być z b y t stare, aby dawało ukojenie. Przypomniała sobie, jak Rose opowiadała jej o swojej wizycie w katakumbach i o marazmie, zarówno duchowym, jak i fizycznym,

który ją tam zaatakował.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się kanonik Thorby.

Kamień nagrobny, wielkości w przybliżeniu dwuosobowego łóżka, leżał płasko na samym środku kopca, porośniętego krótko przyciężoną trawą. Inskrypcja była nieczytelna, ponieważ kamień uległ zwiertzeniu, ale głęboko wyryty krzyż był wciąż dość dobrze widoczny.

- Napisano tu: „Pod tym kamieniem leżą ciała dziesięciu mężczyzn, którzy, choć przybyli tu nieproszeni, otrzymali pomoc w czasie swej straszliwej choroby i zostali pogrzebani zgodnie z obrządkiem Kościoła anglikańskiego”. Potem wymienione są ich imiona i nazwiska wraz z prośbą o modlitwę za ich dusze. Jest również data: 1653 rok.

- Ten pański przodek był śmiałym człowiekiem. Purytanizm w tamtym czasie był w szczytowej fazie. Skąd wiedział, że nie pojawi się kolejny kontyngent purytanów i nie zostanie on oskarżony o papizm?

- Może pokładał wiarę w bagiennej gorączce? A może czekał, aż minie restauracja Stuartów i dopiero wtedy postawił ten kamień. Tak czy siak, jestem pewien, że czerpał wielką radość ze swojej werbalnej ambiwalencji. No więc, widziała pani nasz mały kościół, a teraz obawiam się, że muszę panią już opuścić i udać się do Wandford. Ach, i jeszcze jedna sprawa. Pod żadnym pozorem nie chcę, aby pani myślała, że skoro uczy pani w naszej szkole, to obowiązkowo musi pani chodzić do kościoła. Ta decyzja, czy przychodzić, czy nie, należy do pani. Znam miejsca, gdzie jest to niepisana zasada i uważam to za wysoce naganne.

- Raczej lubię chodzić do kościoła.

- Przekona się pani, że moje kazania są irytująco proste. Moje wykłady dostosowuję do możliwości intelektualnych wiernych, a - co jest dość dziwne - pomimo dostępu przez te wszystkie lata do edukacji na wyższym poziomie niż przeciętny, mieszkańcy naszej wsi wciąż są prostymi ludźmi. Zobacz też pani, że są dwujęzyczni. W klasie wszyscy, poza tymi najsłabszymi, mówią i piszą z jako takim szacunkiem dla gramatyki, natomiast poza szkołą wszyscy, z wyjątkiem kilku bardzo nietypowych osób, wracają do miejscowego dialektu. Nie powinna pani czuć żadnego przygnębienia z tego powodu. To po prostu fakt, który trzeba przyjąć do wiadomości i przeciwko któremu zagorzale występowałyby wielu nowinkarzy, ale prawda jest taka, że przynajmniej trzy czwarte obowiązkowych przedmiotów szkolnych jest do niczego i nie sprawia, że ludzie są lepiej wyedukowani.

- Staram się nie zapominać przypowieści o siewcy.

- Właśnie. No, ale zawsze wydawało mi się, że był on albo bardzo niedoświadczony, albo nieostrożny, albo po prostu ślepawy.

Dokładnie to samo mówiła czasami Rose Tilbury, a panna Mayfield śmiała się wtedy.

- W poniedziałek około dziewiętej wpadnę do szkoły, aby panią przedstawić. A na razie żegnam.

Po tych słowach otworzył bramę prowadzącą do krótkiej dróżki, która służyła zarówno szkole jak i kościołowi, okrążała probostwo i łączyła się z drogą wiodącą do domu panny Mayfield.

Kiedy panna Mayfield wracała do domu, zauważyła, że od czasu choroby nigdy nie przebierała nogami tak szybko i lekko jak teraz. Przebywała poza swoim małym domem niecałe trzy godziny i już nie mogła się doczekać, kiedy do niego wróci. Zaczęła sobie wyobrażać, jak będzie wyglądał hol, gdy otworzy frontowe drzwi; jak wejdzie do eleganckiej kuchni i nastawi czajnik z wodą, a potem z haczyka na kredensie weźmie jedną z tych filiżanek w różane wzorki.

Słabo i jakby z daleka usłyszała w swoim umyśle napominający głos, który delikatnie ostrzegał: *Nie wolno ci zbyt przywiązywać się do tego domu, ponieważ pewnego dnia będziesz musiała go opuścić.*

Tak, odpowiedziała sobie. Wiem o tym. Ale, być może, kiedy już stąd odejdę, zamieszkać we wspólnym domku z Rose, a to bez wątpienia wynagrodzi mi wszystko.

5

Panie, spójrz po raz kolejny na nas tu zgromadzonych z Twoim błogosławieństwem...

Dwudziestu pięciu uczniów, począwszy od zapłakanego pięciolatka, który po raz pierwszy w życiu został oddzielony od matki, a skończywszy na dość eleganckiej młodej damie z końskim ogonem, stanęło twarzą w twarz z nową nauczycielką, gdy akurat rozbrzmiewał tradycyjny hymn śpiewany na rozpoczęcie semestru przez tych, którzy znali jego słowa.

Panna Mayfield przypomniała sobie, że kiedy po raz pierwszy ujrzała grupę Afrykanów, to pomyślała, że wszyscy wyglądają podobnie. Teraz przyszła jej do głowy ta sama myśl: będę miała trudności z odróżnieniem jednego od drugiego. Poza jednym wyjątkiem cała reszta wyglądała niemalże tak, jakby pochodziła z jednej rodziny: płowe włosy, niebieskie oczy, gładka, świeża cera, a rysy twarzy delikatnie nieregularne, choć pozbawione niewyrazistości, z którą kojarzone są twarze bardzo młodych osób, ponieważ nie nabrały jeszcze kształtów. Nawet płaczące niemowlę miało nos, a nie coś, co wyglądało jak plamka kitu. Jedynym wyjątkiem był chłopiec w wieku około dwunastu lat, który wyróżniał się między dziećmi tak, jakby należał do innej rasy. Miał okrągłą głowę, ciemnobrązowe włosy, a jego buzia miała niemal ziemistą cerę.

Prawdopodobnie, aż do niedawna sporo osób praktykowało endogamię. Pamiętała, że czytała kiedyś o współczesnej teorii, która mówiła, że jeżeli łączą się w pary zdrowe osobniki, to wtedy proces ten nie jest tak szkodliwy, jak się to wydaje. A wszystkie te dzieci wyglądały wystarczająco zdrowo, bardzo zdrowo. Chociaż... oko panny Mayfield na dłużej zatrzymało się na jeszcze jednej twarzy, która nieco się wyróżniała. Z tyłu, pomiędzy wyższymi dziećmi, zauważyła jedną, dość bladą, ładną buzię. Ale czy uroda mogła świadczyć o tym, że ktoś był nieco inny niż ogół osobników?

Muszę postarać się zauważyć każdą najmniejszą różnicę, ponieważ dzieci najbardziej nie lubią, kiedy zwraca się do nich nie po imieniu. Tam jest czupryna, która mogłaby należeć do dziecka, nadającego się na modela do obrazu *Bańki mydlane*², a obok dwa cudowne, grube

² Bańki mydlane - obraz autorstwa Johna Everetta Millaisa, przedstawiający dziecko wpatrujące się w mydlaną bańkę.

warkocze. A tam chłopiec z widocznie sterczącymi uszami, no i oczywiście jeszcze ten w okularach. Z czasem będę umiała rozpoznać każde z nich i nazywać po imieniu, i będę zastanawiać się, jak to w ogóle było możliwe, że mogłam mylić je, tak jak te w Entubie. I do tego jest ich jeszcze tak niewiele. Przynajmniej ośmioro wygląda na takie, które znajdą się pod opieką panny Benson. To znaczy, że dla mnie zostaje siedemnaścioro. Będę mogła poświęcić im całą uwagę i mieć nad nimi kontrolę. Jeżeli akurat będę omawiała coś interesującego, to nie zadzwoni żaden dzwonek, który zmusi mnie do tego, aby przerwać i biegiem udać się przez kilometrowy korytarz do innej klasy. Będzie wspaniale.

*

I było wspaniale, dopóki jakieś dwa tygodnie później, w pewien wtorek o poranku, dziewczynka z cudownymi płowymi warkoczami, której imię panna Mayfield już знаła, zatrzymała się przed wysokim biurkiem i powiedziała:

- Babcia Ethel Rigby powiedziała mi, abym pani przekazała, że Ethel dostała przeziębienie.

- Ethel jest przeziębiona - powiedziała panna Mayfield zmienionym głosem, którym mówiła zawsze, gdy kogoś poprawiała.

- To właśnie powiedziałam - zaznaczyła Audrey Head i poszła.

Ethel Rigby była tą bledszą i ładniejszą dziewczynką niż inne. Miała w sobie pewien omdlewający wdzięk, była potulna i raczej powściągliwa. Jak na swój wiek była trochę opóźniona w rozwoju. W wieku czternastu lat mniej więcej dorównywała - chociaż codziennie się od niej oddalał - chłopcu o ciemnych włosach, imieniem Sydney Baines, który miał prawie dwanaście lat. Ponieważ pracowali nad tymi samymi rachunkami oraz byli do siebie przyjaźnie nastawieni, ich ławki stały jedna obok drugiej i kiedy Audrey Head zdążyła na swoje miejsce, wzrok panny Mayfield spoczął na chwilę na ławce Ethel. Przez głowę przeleciała jej myśl, która zaraz potem się ulotniła, że teraz Sydney opanuje obliczanie odsetek prostych i zostawi Ethel zupełnie w tyle. Sydney patrzył na pannę Mayfield z dziwnym wyrazem twarzy, zupełnie tak, jak gdyby próbował powstrzymać czkawkę lub beknięcie. Jego twarz zdawała się puchnąć i pochmurnieć, a potem, zdając sobie sprawę, że jest obserwowany, wyciągnął chusteczkę do nosa o tak oślepiającej bieli, że można by ją było wykorzystać w reklamie proszku do prania, i przykładając do ust, kaszlnął. A ty - pomyślała panna Mayfield - ponieważ siedzisz obok Ethel, będziesz następnym, którego dopadnie „przeziębienie”.

O dwunastej w południe, jak zazwyczaj, wszyscy poszli bawić się na podwórze, z wyjątkiem jednej dziewczynki i jednego chłopca, na których przyszła kolej, aby pełnić dyżur

na stołówce. Szkolny obiad - dostarczany uczniom przez kanonika Thorby'ego, zdaniem panny Mayfield raczej niepotrzebny, ponieważ większość dzieci miała do domu zaledwie dziesięć minut pieszo - przygotowywano w jednej z dużych i niepotrzebnych kuchni mieszczących się w budynku probostwa. Przygotowywała go kobieta specjalnie zatrudniona do tego celu, a obiad wwożono na wózku przez drzwi, które łączyły te dwa pomieszczenia. Panna Mayfield, która korzystała ze szkolnych obiadów w Alchester, w ciągu tych dwóch tygodni spędzonych w Walwyk często zastanawiała się, czy dzieci zdają sobie sprawę, jakie mają szczęście. Jedzenie było znakomite, dostawały wszystko co najlepsze i jeszcze do tego starannie przygotowane.

Dyżurni nakrywali do stołów, panna Mayfield i Benson nakładały na talerze, potem dwie dziewczynki myły naczynia, a chłopiec odwoził wózek na miejsce. Obiad rozpoczynał się o dwunastej trzydzieści, a więc jeszcze pół godziny można było spędzić, oceniając zadania uczniów lub przygotowując się do popołudniowych zajęć.

Tego ranka panna Mayfield zajmowała się ocenianiem. Kiedy podniosła jedną z książek leżących na stercie innych, zdała sobie sprawę, że patrzy na kartkę papieru w linie, która, widać było to wyraźnie, została wyrwana z zeszytu ćwiczeń. Słowa, napisane kanciastym i pochyłym pismem, brzmiały: „Babcia Ethel Rigby traktuje jom trochę okrutnie”.

Panna Mayfield zaczęła przyglądać się zdaniu, a ponieważ miała dobrą pamięć wzrokową, od razu zdała sobie sprawę, że żaden z jej siedemnastu uczniów nie pisze w ten sposób. Zakamuflowane pismo. Ciężko jej było również pogodzić ze sobą fakty, że mianowicie wszystko było napisane poprawnie, a w prostym słowie „ją” popełniono błąd.

Nie będę zawracała sobie głowy rozmyślaniami nad tym, kto to napisał, powiedziała sama do siebie.

Czy to może być prawda? Trzy razy w ciągu dwóch lat, które spędziła w Alchester, zdarzały się przypadki maltretowania uczniów, a Krajowe Stowarzyszenie na rzecz Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci zmuszone było do podjęcia działań. Zdawało jej się, że Ethel Rigby, nie miała nic wspólnego z tymi nieszczęsnymi małymi ofiarami. Była dobrze, choć nieco staromodnie ubrana. Nie miała żadnych sińców i nie była wychudzona.

Ale coś kogoś skłoniło, aby tego ranka napisać te słowa i sprawić, by nauczyciel zwrócił na nie uwagę.

Po chwili namysłu panna Mayfield ostrożnie podniosła kartkę papieru. Użyła do tego celu jedynie palca wskazującego i kciuka, zupełnie tak, jakby bała się, że kartka jest czymś skażona. Następnie zaniósła ją do sali uczniów młodszych, gdzie rządziła panna Benson. Troszeczkę - i sama to przyznała - troszeczkę początkowo zniechęcona energicznym,

nonszalanckim i cynicznym zachowaniem nauczycielki z kwalifikacjami fröblowskimi, w ciągu ostatniego tygodnia zdała sobie sprawę, że mając Benson za swoją asystentkę, miała tyle samo szczęścia co dzieci, które mogły korzystać ze stołówki. Sally Benson mówiła: „Mały, przeklęty zbir z niego, złamię mu ten cholerny kark”, a potem siadała koło tego zbira i zwracała się do niego: „Słuchaj, Willy, czy chciałbyś, żebym ja, tylko dlatego że jestem od ciebie większa...” - w ten sposób przekonywała agresywnego Willy’ego do wyrażenia skruchy. Ponieważ wszystkim uczniom, którzy przeszli się przez jej ręce, dawała solidne podstawy, panna Mayfield wiedziała, że to porządna nauczycielka. W głębi duszy uważała, że wiele dobrej pracy wykonanej przez pannę Benson, zostało zmarnowane przez panią Westleton.

Co więcej, oprócz osobistych zalet panna Benson również świetnie znała Walwyk i dlatego warto było jej słuchać. Była ona siostrzenicą pana Frisby’ego, hodowcy bydła, a ponieważ została sierotą, wychowała się w jego domu.

- Właśnie to znalazłam. Było wciśnięte między dwiema książkami. Co pani o tym sądzi?

Panna Benson wzięła do ręki kartkę papieru, przeczytała treść, marszcząc brwi, a potem się uśmiechnęła.

- To proste. Ktoś próbuje nabić panią w butelkę, panno Mayfield. Phoebe Rigby jest przykładem głupiej, ślepo kochającej babci. To - machnęła kartką papieru - zupełnie tak jak ja bym powiedziała, że pani każdego dnia brała trzy dodatkowe porcje jedzenia i przez to brakowało go dla Bobby’ego Fakesa. Rozumie pani?

Bobby Fakes był nowym uczniem, który bardzo szybko stwierdził, że nie ma powodu, aby narzekać na tę szkołę.

- Ale dlaczego, panno Benson, ktoś miałby mi wywijać taki numer?

- No cóż, a czy pamięta pani cytaty ze św. Augustyna: „Nie Anglowie, ale aniołowie”. Można to powiedzieć również i w drugą stronę: „Nie aniołowie, ale Anglowie”. Proszę nie dać się zwieść tym wszystkim płowym włosom i niebieskim oczom. - Sally Benson, kiedy to mówiła, obróciła głowę, tym samym wprawiając w ruch swoje złote loki, a niebieskie oczy zmrużyła z figlarnym rozbawieniem, upodabniając się w ten bardzo ujmujący sposób do Angłów, którzy nie byli aniołami. Szybko jednak znowu spoważniała i powiedziała: - Dobrze wiem, co mówię. Stary Rigby był głównym oborowym u mojego wujka Erica. Pewnego dnia byk, któremu całkowicie ufali, z wielką furią i niespodziewanie rzucił się do ataku i zabił go. Staruszka otrzymała stosowną rekompensatę, ale oprócz tego jedyną rzeczą, którą miała przez te wszystkie lata, była właśnie Ethel. I może mi pani wierzyć, że ona ją n a p r a w d ę

hołubi.

- Dlaczego Ethel mieszka z babcią?

- To dziecko z nieprawego łoża. Jej matka po prostu uciekła i kiedyś, podczas wojny, zeszła w Wandford na złą drogę. Kiedy urodziła, powiadomiono o tym babcię Rigby, a ona natychmiast pojechała po małą i zabrała ze sobą. Jestem pewna, że nigdy żadne inne dziecko nie miało lepszego domu.

- A zatem nie uważa pani, że powinnam coś w tej sprawie zrobić?

- Proszę to zignorować, a w następnym tygodniu umieścić słowo „ją” na tablicy ortograficznej. Wtedy, którakolwiek z małych bestii to zrobiła, będzie już wiedzieć, że widziała pani jej kawał.

Panna Mayfield, nakładając jedzenie na talerze, a potem spożywając lunch, cały czas o tym myślała. Kiedy tylko skończyła posiłek, poszła do klasy, wzięła z szafki nowy zeszyt do ćwiczeń i przeliczyła kartki. Gdy cała grupa już się zebrała, powiedziała coś ogólnikowego na temat zamawiania nowych materiałów do szkoły i poprosiła, aby wszyscy uczniowie wręczyli jej swoje zeszyty, by mogła sprawdzić, ile jeszcze niezapisanych kartek w nich zostało. Dzięki temu miała możliwość szybko je przekartkować. Tylko jeden z nich miał mniej kartek niż powinien, a był to zeszyt do geografii należący do Sydneya Bainesa.

W zeszłym tygodniu wywiązała się sprzeczka między uczniami. Dotyczyła ona tego, czyja tym razem będzie kolej ostrzenia ołówków, a to, w dobrze zaopatrzonym Walwyk, robiło się przy pomocy dość fascynującej małej maszyny. Pod koniec tego popołudnia, panna Mayfield powiedziała:

- Postanowiłam, że od tej pory ostrzenie ołówków będzie odbywało się w kolejności alfabetycznej. A więc dzisiaj ty możesz to zrobić, Sydney.

- Tak, proszę pani.

- Ja mam imię, Sydney - powiedziała panna Mayfield.

- Tak, pani Mayfield.

*

Nie przerywając mu pracy, zastanawiała się, co już o nim wie. W większości informacje, które zdobyła, pochodziły od panny Benson, a Sydney, z powodu odmiennej karnacji, już wcześniej był przedmiotem jej zainteresowania. A więc teraz panna Mayfield wiedziała, że ojciec Sydneya, Wesley Baines, był na przykład miejscową złotą rączką. Zajmował się wieloma rzeczami: stolarką, kryciem strzechą, naprawą butów, a nawet zegarów. Był nietypowym mieszkańcem Walwyk - jako zagorzały metodysta każdej niedzieli szedł na piechotę do Renham, aby wziąć udział we mszy odbywającej się w tamtejszej

kaplicy. Był również na wojnie, zdobył stopień sierżanta oraz przyznano mu Medal Wojskowy. Ożenił się z „obcą” - kobietą z Bedford, która była pielęgniarką. Z obserwacji chłopca panna Mayfield wiedziała, że Sydney jest inteligentny i dobroduszny, a patrząc na niego teraz, kiedy zajmował się swoim zadaniem, zauważyła, że jest również dokładny i staranny.

Po chwili zwróciła się do niego:

- Sydney, przyjdź, proszę, tutaj na chwilę.

Kiedy zbliżył się do jej wysokiego biurka, wyciągnęła rękę, pokazując mu kartkę papieru.

- Czy ty to napisałeś?

Na nosie i na okrągłych policzkach miał ujmującą garstkę piegów, które, kiedy jego twarz nagle zbladła, zaczęły być bardziej widoczne.

- To nie moje pismo, pani... Mayfield.

- Nie twoje naturalne pismo, jeśli można tak powiedzieć. Ale czy ty to napisałeś?

- Ja nie piszę „ją” przez „om”.

Dyplomata, pomyślała. Prawdopodobnie wychowano go w wierze, że mali chłopcy, którzy kłamią, idą prosto do piekła. Mężnie, ale dość żałośnie próbował unikać zarówno prawdy, jak i kłamstwa.

- Wiem. Pisziesz bardzo poprawnie. Ktokolwiek to napisał, nie chciał, abym rozpoznała jego charakter pisma lub znajomość ortografii. I ktokolwiek to napisał - a jest to prawdziwa wypowiedź - postąpił jak najbardziej słusznie. Jeżeli to prawda, to oczywiście powinnam coś w tej sprawie zrobić, ale nie mogę podjąć żadnych działań, dopóki nie dowiem się, kto to napisał i czy to prawda... czy kiepski żart.

- To wystarczająco prawdziwe.

- Skąd wiesz, Sydney? Czy Ethel ci powiedziała?

- Widziałem, jak babcia Ethel była dla niej okrutna.

- A więc napisałeś to, aby zwrócić moją uwagę. Zgadza się?

- Czemu się mnie pani czepia?

- Ponieważ napisano to na szkolnym papierze, a jedyny zeszyt, w którym brakuje kartek, należy do ciebie.

Nic nie odpowiedział.

- A zatem wygląda na to, że będę zmuszona po prostu podrzeć tę kartkę i zapomnieć o całej sprawie.

Zobaczyła, jak do jego cudownych piwnych oczu zaczęły napływać łzy, a dolna warga

zadrżała.

O, mój drogi, pomyślała, ale ze mnie brutal, i to taki najgorszy, co znęca się nad innymi psychicznie. Objęła go, kładąc rękę na ramionach, i przyciągnęła do siebie.

- To nie żart, prawda, Sydney? Chciałeś, żebym wiedziała.

Opierając się o nauczycielkę, chłopak po omacku sięgnął po chusteczkę i wydmuchał w nią nos.

- Miałem nadzieję, że coś będzie mogła pani zrobić. Powiedziałbym to pani wprost, nie boję się, ale muszę myśleć o mojej mamie. Raz, jak powiedziałem mamie, co babcia Ethel jej zrobiła, to mama od razu do niej poszła, żeby z nią pogadać, a potem babcia Ethel zaraziła mamę okropnym półpaścem. Wtedy mama powiedziała, że najlepiej będzie trzymać się z daleka od Ethel. Ale zeszłej nocy...

- Co stało się zeszłej nocy?

Pod wpływem stresu i emocji gramatyka została wyrzucona za burtę.

- Jam widział ją, jak to robiła. Włożyła palce Ethel do magła.

Żołądek panny Mayfield fiknął kozła.

- Mówisz, że widziałeś, jak jej to robiła? Czy robiła to na twoich oczach?

- Nie. Wie pani, Ethel ma króliki i przed całym tom awanturą ja zawsze pomagał jej zbierać dla nich trybulę leśną. I wciąż to robię, choć nie powinienem. Kiedy zrywali my tę trybulę, Ethel mówi do mnie, że będzie miała znowu wypadek. Ona wie. Jest coś, co jej babcia kce, aby ona robiła, ale ona nie kce i za każdym razem, gdy nie kce robić, co babcia każe, ma wtedy wypadek. Ostatnim razem babcia wylała jej na stopę wodę z czajnika - wtedy właśnie powiedziałem mamie. No więc, zeszłej nocy Ethel i ja, dookoła ich podwórza zbieraliśmy jedzenie dla królików, a jej babcia była wtedy w pralni. I ona mówi do mnie: „Biegnij, Sydneyu Bainesie. Dostaniesz takie lanie, że aż tyłek ci się zagrzeje w tych twoich bryczesach. A ty, Ethel, chodź tutaj i pomóż w maglowaniu”. Nie uciekłem od razu. Przez okno zajrzałem do pralni i żem widział, jak babcia Ethel wzięła jej dłoń i włożyła w wałek, a sama kręciła pokrętłem.

Zadrzał i przełknął, a panna Mayfield trzymała go przy sobie jeszcze mocniej.

- Jesteś pewien, że to nie był wypadek?

- Na sto procent. Zrobiła to celowo. Zresztą Ethel wiedziała, że czeka ją coś złego.

- Co wydarzyło się później?

- Ethel okropnie zapiszczała i upadła. Jam wtedy krzyknął i pobiegł do drzwi, a jak babcia Rigby mnie zobaczyła, to słodko jak miód powiedziała: „Sydney, jak dobrze, że tutaj jesteś. Biegnij po mamę i powiedz jej, żeby przyniosła zestaw pierwszej pomocy”. I tak

zrobiłem. Mama przyszła i opatrzyła Ethel tak dobrze jak lekarz. A potem, w drodze do domu, cały czas powtarzała, że to był tylko wypadek i zresztą nie powinno było mnie tam być. I za to w ten sam wieczór miałem kilkaset razy napisać: „Czcij ojca swego i matkę swoją”. Chociaż mój tato wcale nie zakazywał mi chodzić do Ethel tylko mama.

*

Mimo iż opis zdarzenia brzmiał dziwacznie oraz okropnie, to relacja chłopca wydawała się całkowicie przekonująca.

- Miałeś nadzieję, że zainteresuję się tą sprawą?

Skinął głową.

- Nie mamy niedzielnych gazetek, ponieważ tato ich nie lubi, ale raz widziałem jedną, którą ktoś kiedyś przyniósł do domu, owiniętą wokół pary butów. Pisali tam trochę o dzieciach traktowanych tak jak Ethel, i że kiedy nauczyciel się o tym dowiedział, powiadomił ludzi walczących z takim okrucieństwem i już więcej się to nie powtarzało.

- Rozumiem. Na pewno to sprawdzę. Dziś wieczorem wybiorę się do Ethel. Tymczasem ja i ty zatrzymamy to dla siebie, w porządku? Myślę, Sydney, że zachowałeś się dzielnie i postąpiłeś słusznie.

- Nie obawia się pani, że zachoruje na półpaśca?

- Na pewno nie zarażę się od babci Ethel. To byłoby raczej niemożliwe.

- To samo powiedział tato. Śmiał się z mamy, a ona była wściekła. Nie często jest wściekła, ale wtedy była.

Panna Mayfield spojrzała na Sydneya. Zawsze był niezwykle czystym chłopcem, ale ta jedna czy dwie łzy, które uronił, pozostawiły ciemne plamy wokół oczu.

- Lepiej się trochę umyj, zanim pójdziesz do domu - powiedziała. - I posłuchaj, już więcej się tym nie martw. Postaraj się o tym nie myśleć. Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne, a teraz zostaw sprawę mnie.

Zrobił dwa kroki w tył i stamtąd, wyglądając szczególnie dojrzałe, zaczął się jej przyglądać, jak gdyby mierzył ją wzrokiem.

- Ona powie pani stek kłamstw. Powinna pani wezwać człowieka zajmującego się zwalczaniem takiego okrucieństwa. Nawet gdyby jego też okłamała, to sam jego widok może by sprawił, że dałaby Ethel spokój.

To była bardzo wnikliwa uwaga.

- Jednak myślę, że najpierw powinnam dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie. Inspektorzy z Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Zapobiegania Okrucieństwu wobec Dzieci są niestety bardzo zapracowanymi ludźmi. Wydaje mi się, że na razie wiem za mało, aby

zawracać głowę ludziom z tego stowarzyszenia.

- Ona wciśnie pani ciemnotę - powiedział w ten sam dojrzały sposób. - Ale ja nie jestem kłamcą. Mój tato już dawno temu wybił mi z głowy kłamstwa.

- Jestem tego pewna, Sydney.

Nie kłamie, ale się myli. Proszę, Boże, spraw, żeby to była pomyłka. Nie pozwól, aby w tym cudownym Walwyk taka okropna rzecz miała miejsce.

*

Berta Creek przygotowała tacę z herbatą, a obok niej, pod obróconą misą, znajdowało się świeżo upieczone ciasto wiśniowe. Panna Mayfield wypila dwie filiżanki herbaty, ale nie tknęła ciasta. Ładnie je zapakowała i kiedy około siedemnastej trzydzieści wyszła z domu, aby spotkać się z Ethel, wzięła ciasto ze sobą. Nie знаła jeszcze wsi na tyle dobrze, by wiedzieć, w którym domu mieszka Ethel Rigby wraz z babcią. Zatrzymała się więc koło małego, wielobranżowego sklepu, w którym mieściła się również poczta i zapytała o wskazówki. Życzliwa pulchna naczelniczka poczty wyszła i wskazała jej właściwy kierunek.

- Tam, proszę spojrzeć, pomiędzy różowym domem a działkami jest Curlew Lane, która ciągnie się aż do samej rzeki. Domek pani Rigby to ten, na samym początku. Stoi samotnie, a przed nim rośnie ostrokrzew kolczasty. Na pewno go pani znajdzie.

Była to kolejna chatka niczym z pocztówki, przed którą rozciągał się długi ogród, rosły w nim obok siebie kwiaty i warzywa. Wyglądało to tak, jakby oczekiwano jej przybycia, ponieważ ledwo zdążyła zapukać do drzwi, te natychmiast się otworzyły. Ujrzała przed sobą kobietę idealnie pasującą do domku, który zamieszkiwała; wyglądała schludnie, ubrana była w staromodną czarną suknię z alpaki. Jej błyszczące siwe włosy rozchodziły się na boki, tworząc przedziałek pośrodku głowy, z tyłu zaczesane były w kok. Pani Rigby, o różowych policzkach i niebieskich oczach, stała i uśmiechała się do niej.

- Panno Mayfield - odezwała się - proszę wejść do środka.

Mógł to być przykład salonu w stylu wiktoriańskim. Pośrodku stał okrągły, palisandrowy stół, który dźwigał na sobie dekoracyjne, woskowane owoce, znajdujące się pod szklanym kloszem. Dookoła niego ustawione były cztery palisandrowe krzesła, których siedzenia zrobione były z końskiego włosia. Pod okno wciśnięto sofę, pasującą do reszty umeblowania. Na niej właśnie leżała Ethel. Z tyłu, na wysokości ramion, miała poduszkę w mozaikę, a nogi zakrywał jej kocyk zrobiony z dzianych, wełnianych kwadracików. Jej lewa ręka wsparta była na temblaku wykonanym z jednej z tych bogato zdobionych, czerwono-żółtych chusteczek do nosa, które niegdyś, obwiązane wokół szyi, nosili pracujący wieśniacy. Jej twarz była odrobinę bledsza niż zwykle, ale za to wesoła i spokojna. Uśmiechnęła się i

powiedziała:

- Dzień dobry pani.

Panna Mayfield odpowiedziała:

- Witaj, Ethel. Audrey mówiła, że się przeziębilaś, a więc przyszedłam zobaczyć, jak się czujesz i przy okazji przyniosłam ci coś, na co, mam nadzieję, skusisz się.

Zamykając drzwi, pani Rigby odezwała się:

- Mówiłam ci, moja dziewczuszko! Mówiłam, że to nie zadziała.

Na twarzy Ethel pojawił się skruszony uśmiech.

- Poprosiłam babcię, aby powiedziała, że się przeziębiam. Ciągłe się mnie czepiają, że mam dwie lewe ręce.

- Chodzi jej o to, że jest niezdarna, proszę pani.

- W takim razie niezdarna. Zawsze się mnie czepiają, że jestem niezdarna i gdyby się dowiedzieli, że włożyłam palce w magiel, to nigdy nie przestaliby gadać.

- Proszę, niech pani usiądzie - powiedziała staruszka, a potem zwróciła się do Ethel: - Przynajmniej tym razem, to nie była twoja wina. Wszystko biorę na siebie. - Popatrzyła na pannę Mayfield i kontynuowała: - Maglowanie to jedyna praca w domu, której naprawdę nie cierpię, a więc zabieram się do niej z wściekłością. No i wtedy, zanim się zorientowałam, paluszki Ethel dostały się do środka. Na szczęście żadna kość nie pękła. Był tutaj Sydney Baines i sprowadził matkę. Przyszła i powiedziała, że kości nie są złamane i porządnie ją opatrzyła. Potem przygotowałam jej wywar ziołowy i dziewczynka dobrze spała. Prawda, kochanie?

- Przespałam całą noc - odpowiedziała Ethel, a następnie spojrzała na pannę Mayfield i uśmiechnęła się. - Babcia świetnie zna się na ziołach. Mówi, że działają lepiej niż lekarstwa od lekarza.

- Nigdy nie mówiłam, że lepiej, ale równie dobrze jak one. Zresztą, ludzie, którzy dawniej żyli w miejscowościach leżących gdzieś na uboczu, nie mogli wezwać doktora, czyż nie? Chorowali i zdrowieli przy pomocy tego, co mieli pod ręką. Teraz wyśmiewa się stare sposoby, ale weźmy na przykład penicylinę, wokół której robi się tyle hałasu. Mówią, że to nic innego jak pleśń, a każdy, kto ma jakieś pojęcie, wie, że dobry kataplazm z chleba powinien być robiony wtedy, kiedy pojawi się na nim niebieska pleśń. Moja mama zawsze trzymała w specjalnym naczyniu glinianym, tak na wszelki wypadek, kawałek pokryty niebieską i zieloną pleśnią. Ale nie każ mi, pani, mówić o starych sposobach leczenia - powiedziała z uśmiechem na twarzy - bo będę paplać bez przerwy. Spodziewam się, że przyszedła tu pani, aby dowiedzieć się, kiedy Ethel wróci do szkoły. Prawda jest taka, że gdyby

nie była taka niemądra, to mogłaby już jutro. To lewą rękę ma niesprawną, ale z nogami i uszami wszystko u niej w porządku. Problemem jest Juliet Reeve.

Panna Mayfield, przyglądając się Ethel, zauważyła, jak rumieniec o jasnym kolorze pokrył nagle jej nienaturalną bladość.

- Jest taka sarkastyczna, zawsze się popisuje i używa długich słów. Niedawno powiedziała, że mam skłonność do wypadków. Zapytałam, co przez to rozumie, i mi powiedziała. Chodziło jej o to, że nie nawlekę igły bez ukłucia się nią albo nie ukroję kromki chleba bez ucięcia sobie palców, albo nie wbiję gwoździa bez przywalenia sobie młotkiem w kciuk. A więc nie - nie przyjdę do szkoły, mając to na sobie.

Ethel szarpnęła za temblak i zsunęła się niżej na sofę. Jej twarz natomiast przybrała buntowniczy i ponury wyraz.

W tej chwili panna Mayfield przypomniała sobie maltretowane dzieci z Alchester. Pamiętała ich niewątpliwy lęk przed rodzicami, wielką zadziorność ich opiekunów oraz nędzne warunki, w których żyły. Tutaj nic z tych rzeczy nie miało miejsca. Sposób bycia Ethel rzeczywiście potwierdzał opinię panny Benson; zachowywała się jak rozpieszczone dziecko.

- No cóż - odpowiedziała - w tym wypadku, jak sądzę, szkoła będzie musiała poczekać. W sumie wcale nie przyszedł o to pytać. Przyniosłam ci ciasto wiśniowe. Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

- To moje ulubione - odpowiedziała Ethel. - Czy moglibyśmy zjeść kawałek teraz? I wiesz co, babciu, myślę, że kieliszek wina z pierwsosnków świetnie by do tego pasował.

- Tylko Ethel mogłaby wpaść na coś takiego - powiedziała pani Rigby z bezmyślną dumą. - Trzeba przyznać, że Ethel potrafi myśleć o wszystkim.

Po tych słowach staruszka wstała i podeszła do kredensu ustawionego w rogu, który na odpowiednim rynku wart byłby sporą sumę pieniędzy. Wyjęła z niego trzy kieliszki na długich nóżkach w kształcie tulipanów.

- Pani też się trochę napije. To zdrowa, dobra rzecz.

- Wygrała nagrodę Koła Gospodyń Wiejskich - powiedziała Ethel, podnosząc się po raz kolejny. - I to nie tylko tego z Walwyk, ale z całego hrabstwa. W czymkolwiek babcia bierze udział, zawsze wygrywa.

- Z wyjątkiem zawodów w przyrządzaniu ćatni, kochanie. Nie zapominaj o ćatni - powiedziała pani Rigby, idąc w kierunku drzwi znajdujących się z tyłu pokoju.

- Pamiętaj, że do tego ciasta potrzebujemy talerzyka i noża, babciu.

Nie, maltretowane dzieci na pewno nie odnoszą się w ten sposób do swoich

dręczycieli.

Panna Mayfield - zdziwiona jak nigdy - patrzyła, jak za panią Rigby zatrzęsły się drzwi. Nadeszła pora, aby zadać kilka szybkich, dociekliwych pytań. Czy babcia jest dla ciebie dobra? Jak wydarzył się ten wypadek? Jednak wydało jej się to głupie, ponieważ w takich okolicznościach tego rodzaju słowa zabrzmiałyby niegrzecznie i nieco bez sensu. Z drugiej strony Sydney przedstawił poważne zarzuty i niedobrze by było, gdyby skrępowanie i zakłopotanie przeszkodziło jej w dochodzeniu.

Jednak zanim otworzyła usta, Ethel z przejęciem, choć dla ostrożności cicho, zapytała:

- Czy z Sydneyem wszystko w porządku?

- Sydney? Tak, oczywiście. A co z tobą, Ethel? Sydney zdawał się bardzo martwić o ciebie.

- Powiedział pani o tym? - Dotknęła temblaka.

- On... wspominał o tym.

- Proszę mu powiedzieć, aby się zamknął. Martwię się o niego. Jego mama jest bardzo surowa i nie chce, aby się ze mną przyjaźnił. Zeszłej nocy na chwilę zemdlałam, inaczej powstrzymałabym babcie przed sprowadzaniem tu pani Baines. Wiedziałam, że Sydneyowi się za to oberwie. Ale kiedy się ocknęłam, jego już nie było.

Ostatnie słowa wypowiedziała tak posępnym tonem i wyglądała na tak zmartwioną, że panna Mayfield nie omieszkała szybko ją poinformować:

- Ale on za swoje nieposłuszeństwo musi tylko coś kilka razy napisać...

- Czy chodzi o Sydneya Bainesa? - zapytała pani Rigby, wchodząc do pokoju z piękną, starą, czarną tacą z masy papierowej, na której stała czarna butelka, patera na nóżce, kilka talerzyków i nóż. - Będę z panią szczerą i powiem pani, że nie mam cierpliwości do Emily Baines i jej manier. Przyznajemy, że jest lepiej wyedukowana i ma nie tylko pracę, ale również i zawód, ale jeżeli zamierza patrzeć na swoich sąsiadów z góry, nie powinna była wychodzić za tutejszego szewca. Zanim wyszłam za mąż zajmowałam p o w a ż n e stanowisko - służyłam jako główna pokojówka - i nauczyłam się jednej rzeczy, a mianowicie, że status kobiety zależy od tego, kim jest jej mąż. Jeżeli więc ona twierdzi, że syn szewca jest zbyt dobry na to, aby bawić się z Ethel, której dziadek był głównym o b o r o w y m, to jest to dla mnie po prostu głupie.

Kiedy już wyciągnęła korek z butelki, który wyskoczył z hukiem, do kieliszków zaczęła nalewać bladożółte, kryształowo czyste wino.

- Nie było mi jeszcze dane spotkać pani Baines. Sydney wydaje się być bardzo sympatycznym chłopcem.

Tylko tyle przyszło pannie Mayfield do głowy i to powiedziała. Zdała sobie sprawę, że w tej chwili jej oczom zaczęła ukazywać się inna, mniej przyjemna strona wiejskiego życia: drobne sprzeczki, małostkowy snobizm. Czuła niemalże przykrość, że znalazła się w tej sytuacji i że była w to w ogóle zaangażowana, ponieważ prawda całego wydarzenia i tak pozostawała przed nią ukryta. Tylko jedna rzecz była jasna: Sydney martwił się o Ethel, a Ethel o Sydneya - przynajmniej oni wydawali się szczerzy.

Fani Rigby, krojąc ciasto wiśniowe, z wyjątkowym taktem, którym często wyróżniają się prości ludzie, powiedziała:

- No, ale przecież pani nie chce słuchać o naszych małych, głupich sprzeczkach. Jeśli już o to chodzi, jedyne, co powinna pani wiedzieć, to to, że cokolwiek mówi o mnie Emily Baines, a ja o niej, to tylko złośliwości. Nie przypadłyśmy sobie do gustu, ale Ethel i Sydneyowi to nie przeszkadza, nadal bardzo się lubią.

Na to Ethel z niepokojącą gwałtownością powiedziała:

- N i e l u b i ę Sydneya, babciu. Mówiłam ci to już tysiące razy. Pomaga mi jedynie zbierać żarcie, jedzenie, dla królików - to wszystko. Jeżeli ktokolwiek inny przyszedłby i narwał trybuli leśnej, a potem przyniósłby mi ją do domu, to byłabym mu równie wdzięczna.

- To ty tak mówisz. Ja wiem lepiej.

- Więc się mylisz.

To - pomyślała panna Mayfield - jest bez wątpienia bardzo ciekawe. Czuła również, że gdyby tylko wiedziała, dlaczego Ethel zaprzecza jakimkolwiek zainteresowaniu Sydneyem, miałyby to jakieś znaczenie.

Lata, które pani Rigby spędziła na „poważnym stanowisku”, nie tylko poprawiły jej gramatykę i zmieniły akcent, nadały jej również pewnej oglądy. Teraz, jako gospodyni domowa, potrafiła zadawać odpowiednie i subtelne pytania. Jak pannie Mayfield podoba się Walwyk? Czy według niej dzieci wiejskie są mniej rozgarnięte niż te z miasta? Czy nie miała nic przeciwko, że będzie mieszkać sama?

Ethel spokojnie rozkoszowała się swoim kawałkiem ciasta, wybierając z niego wiśnie i kładąc je na bok, aby zjeść je jako ostatnie - proste, dziecinne zachowanie, które w pewien sposób uspokoiło pannę Mayfield. Nie dowiedziawszy się niczego, panna Mayfield w końcu wstała i zaczęła wychodzić. Wtedy odezwała się Ethel:

- Proszę pani, proszę... niech pani nikomu nie mówi, jaka jestem niezdarna. Juliet Reeve zaczęłaby nazywać mnie automatycznym maglem, czy czymś w tym stylu.

- Ach, ja wiem tylko tyle, ile dowiedziałam się od Audrey Head - odpowiedziała

panna Mayfield.

Pani Rigby zaśmiała się.

- Nie zna pani Walwyk. Pewnie już wszyscy we wsi wiedzą, że przyszła pani zobaczyć się z Ethel. I tak jak ja będą uważali, że to bardzo miło z pani strony. Dziękuję również za ciasto.

Otworzyła drzwi i stanęła z boku. Panna Mayfield wyszła na zewnątrz. Kiedy tylko postawiła stopę na ścieżce, spod ostrokrzewu wyłonił się cień i zaczął krążyć wokół jej stóp.

- Jakie to niezwykle! To mój kot. Musiał przyjść tutaj za mną i czekał wiernie jak pies.

- Otóż, proszę pani - powiedziała pani Rigby delikatnym, żartobliwym tonem - nie możemy pozwolić na to, aby rościła sobie pani prawa do m o j e g o kota. Mam go od pięciu lat. Coś pani pokażę. Witaj, Vesper! Hop, chłopczyku, do góry!

Kot, wykonując jeden niewielki ruch, odbił się w górę, po czym wylądował na jej ramieniu i z łapkami ściśniętymi jedna obok drugiej, stał tam, próbując utrzymać równowagę. Panna Mayfield spojrzała prosto w jego zielonkawobursztynowe oczy.

- No cóż - powiedziała wolno - być może myliłam się, nazywając go moim, ale na pewno ten kot spędza bardzo dużo czasu ze mną.

- Przypuszczam, że to możliwe - powiedziała pani Rigby głosem, który sugerował co innego. - To jednak długa podróż i jeszcze trzeba przejść na drugą stronę drogi.

Kot zaczął łąsić się głową o jej ucho.

- To jednak mój kot, mój kochany chłopczyk, prawda?

W tym momencie coś przyciągnęło wzrok panny Mayfield. We wnętrzu pokoju Ethel siedziała sztywno na sofie. Jej twarz była niczym papierowa biała maska, na której malowało się przerażenie i odraza.

Widząc wyraz twarzy panny Mayfield, pani Rigby odwróciła się i powiedziała:

- Ojej, przepraszam Ethel. Nie pomyślałam.

Zdjęła kota z ramienia i położyła na ścieżkę.

- Ethel nie znosi kotów, ale uwielbia króliki. Zabawne, nie sądzi pani? Ale muszę jej ustępować.

Powiedziały sobie „do widzenia”. Pani Rigby patrzyła, jak panna Mayfield dochodzi do furtki, a potem zamknęła drzwi.

- Sadza - powiedziała panna Mayfield, zwracając się do kota tym mało wyszukanyim imieniem, które nadała mu, kiedy Berta Creek powiedziała, że według niej innego wcześniej nie miał. - Sadza, chodź do domu.

To był jej kot. Szedł z boku, nieco za nią, ogon miał uniesiony wysoko do góry.

Ruszyli razem w stronę domu, idąc przez padające poziomo, złociste promienie światła.

6

- No i? - W głosie panny Benson można było wyczuć pewną ironiczną życzliwość. -
Czy znalazła pani koło tortur i śruby do zgniatania kciuków?

Była za pięć dziewiąta następnego ranka i panna Benson, trzymając w rękach wielki kancjonał, zatrzymała się w drodze do pianina, aby zadać to pytanie.

- Najpierw pani mi coś powie. Skąd pani wie, że w ogóle ich szukałam?

- To proste, mój drogi Watsonie. O siedemnastej trzydzieści pięć lub coś koło tego widziano, jak pytała się pani nijakiej Gertrudy Flack - naczelniczki poczty w tej wiosce - w jaki sposób dojść do domku Rigby. Owa Gertruda Flack ma siostrę Ellę, która w grupie „więźniów” ciotki Edith, zajmujących się pomocą domową, jest numerem jeden. No i ona, na śniadanie tego poranka wraz ze śledziem wędzonym podała również informacje o pani posunięciach.

- Informacja ta była prawdziwa - powiedziała panna Mayfield, próbując dopasować się do stylu mówienia dziewczyny. - Wysłuchawszy wskazówek, udałam się wzdłuż Curlew Lane i około siedemnastej pięćdziesiąt pięć dotarłam do domku Rigby. Wszelkie dowody, które ujrzałam na oczy i usłyszałam uszami, przekonały mnie, że dobrze oceniała pani wzajemne stosunki między panią Rigby i jej wnuczką.

- A przecież mówiłam pani, że to żart. Pani pospieszna wizyta musiała nieźle ubawić naszego dowcipnisia. Poczucie humoru w tych stronach jest raczej dość prostackie.

- Tak długo, jak długo są tacy, którzy są z tego zadowoleni - odpowiedziała nieco cierpko panna Mayfield.

Miała ciężką noc. Cały czas odtwarzała z pamięci każde pojedyncze słowo, każdą zmianę wyrazu twarzy, starając się znaleźć jakieś wyjaśnienie, którego, niestety, nie znalazła. Niebawem - przyrzekła sobie - odbędzie kolejną rozmowę z Sydneyem.

- Ach, nie powinna się pani obruszać - odpowiedziała szybko i uprzejmie panna Benson. - Oni wszyscy są po prostu nieco zszokowani, że zawracała sobie pani tym głowę. Pani Westleton nie postąpiłaby w ten sposób. Tak mówią, i na Jowisza, przynajmniej ten jeden raz mają rację. Na pewno by tego nie zrobiła!

- Czy pani... powiedziała komukolwiek d l a c z e g o tam poszłam?

- Proszę się nie obawiać. Nigdy nie donoszę i nie pochwalam robienia sobie żartów z nauczycieli. *Esprit de corps*. A przy okazji, czy dowiedziała się pani, kto to napisał?

Od odpowiedzi na to pytanie wybawił ją chłopiec imieniem David Fletcher, który pospiesznie i nieco zuchwale pojawił się w klasie i wręczył jej białą kopertę poplamioną odciskami swoich kciuków.

- Proszę pani, to od pani Baines. Sydney nie czuć się dobrze.

- Sydney nie c z u j e... - zaczęła panna Mayfield, chcąc go poprawić. Wtedy po raz kolejny przypomniało jej się ciche i zadane z gorliwością pytanie Ethel: „Czy z Sydneyem wszystko w porządku?”. Nonsens!

Otworzyła kopertę z gwałtownością, która była jej obca, i wyjęła z niej kartkę papieru, na której drobnymi literami, starannym i zupełnie pozbawionym charakteru pismem, nadającym się do wypełniania tabelki, napisano:

Droga pani Mayfield!

Sydney nie będzie mógł przyjść dzisiaj do szkoły. Ma lekką temperaturę, narzeka na ból głowy i zmęczenie. Byłabym wielce zobowiązana, gdyby tego popołudnia, po lekcjach, mogła mi pani poświęcić kilka minut. Chciałabym poradzić się w pewnej sprawie. Chodzi o szkołę.

Z wyrazami szacunku

Emily Baines

Mogła być jedynie pielęgniarką, pomyślała panna Mayfield, kiedy o czwartej po południu stanęła twarzą w twarz z mamą Sydneya. Każdy zgadłby, jaki jest jej zawód, nawet gdyby spotkał ją na pustyni. Jej strój był świeży, praktyczny, solidny, nieco antyseptyczny; odznaczał się delikatną jaskrawością, co było naturalną reakcją na typowy mundur pielęgniarki.

- Jak tam Sydney? - zapytała panna Mayfield.

- Gorzej. Wstąpiłam na pocztę i zadzwoniłam do doktora Macdonalda. Powiedział, że zjawi się przed piątą, ale skoro mój mąż jest w domu, a ja napisałam, że przyjdę, to przyszedłam. Ale myślę, że powinnam wracać.

Powiedziawszy te słowa, spojrzała na zegarek, który nosiła na ręce. Miał dużą, jasną tarczę i wskazówkę sekundową, dzięki której - jak domyślała się panna Mayfield - Emily Baines dokonała już nieraz pomiaru pulsu.

- Jednak bardzo chciałam z panią porozmawiać - dodała.

Wtedy panna Mayfield zauważyła jej oczy, które kłóciły się z resztą wyglądu pani Baines. Były ogromne i raczej piękne, podobne do oczu Sydneya, i nawet tego samego

koloru. Miały jednak wyraz - panna Mayfield szukała odpowiedniego słowa - błędny, zrozpaczony? Nie, ich stan był stanem jedynie przejściowym, który łatwo można było przypisać trosce o zdrowie Sydneya. Ale to wcale nie wszystko, za tym wyrazem oczu, który najlepiej oddaje słowo „niestabilny”, czaiło się coś jeszcze. Poprzez mgliste, często trudne wspomnienia z ostatnich trzydziestu pięciu lat panna Mayfield usłyszała głos swego ojca. Mówił jej o koniu, którego dostał: „Ma niepewne oczy”.

A potem usłyszała swój własny, kojący głos:

- Jeżeli chce pani wracać do domu, pani Baines, to proszę iść. Proszę nie zawracać sobie mną głowy. A jeżeli chce mi pani coś powiedzieć, to proszę usiąść i porozmawiamy. Mówi pani, że z Sydneyem został pani mąż, a doktor przyjedzie o siedemnastej... W takim razie ma pani jeszcze trochę czasu.

Ku jej zdziwieniu, pani Baines, całkowicie ignorując te rozsądne uwagi, odezwała się gwałtownie:

- Ach, gdyby tylko pani zostawiła to wszystko w spokoju. Gdyby pani tam nie poszła i nie poruszała znowu tej sprawy.

W tej chwili wyciągnęła oślepiająco białą chusteczkę do nosa, która przypomniała pannie Mayfield o chusteczce Sydneya i ze złością przetarła sobie oczy.

- Wesley myśli, że oszalałam. Pani też będzie myślała, że mi odbiło. Ale jak coś dzieje się dwa razy, to nie może być przypadek. Jeżeli ktoś mówi, że to niedorzeczne, to idzie na łatwiznę. Ja zawsze staram się widzieć rzeczy takimi, jakimi są. Sydney, było to zeszłego października, wrócił do domu, opowiadając, że babcia Ethel Rigby poparzyła ją. Poszłam to sprawdzić. A kto by tak nie zrobił? Potem dostałam półpaśca. Przedwczoraj znowu tam byliśmy. Palce Ethel znalazły się w maglu. Pani wybrała się tam z wizytą. A teraz Sydneya dopadło coś, czego nie potrafię nazwać. Nieważne od czego się to stało, ale coś jest nie tak. To może i szalone, ale tak nie powinno się dziać i modłę się do Boga, aby mógł mnie od tego wszystkiego wybawić.

W pewien niejasny sposób, coś, o czym mówiła ta kobieta, całkowicie zgadzało się z myślami panny Mayfield. Coś było nie tak. Czuli to od momentu, gdy znalazła kartkę papieru wciśniętą pomiędzy dwie książki.

- Ale rozumując w ten sposób, pani Baines, to teraz ja powinnam być chora. Pani tam poszła i dostała półpaśca. Ja zrobiłam to samo... i nic mi się nie stało.

- Tym razem kara dosięgła Sydneya. A przynajmniej... tego właśnie się obawiam.

Skrzyżowała ze sobą silne i czyste palce obu dłoni, po czym gwałtownie zaczęła poruszać nimi w górę i w dół.

- Chodzi o to, że ja w i e m, iż to wszystko brzmi nieprawdopodobnie, zupełnie jakby działo się pięćset lat temu. Błagałam Sydneya, żeby nic nie mówił, jednak musiał to zrobić, ponieważ pani tak szybko się tam wybrała. I teraz mamy tego rezultat! - Jej oczy zalały się łzami. - Ukaralam go za to, że znowu spotkał się z Ethel. Czy nie byłoby okropne, jeżeli okazałoby się, że ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam dla mojego biednego synka, było ukaranie go.

- Pani Baines, nie wolno pani myśleć w ten sposób. Sydney może mieć zwykłe przeziębienie albo po prostu są to objawy świadczące o tym, że zachoruje na jedną z dziecięcych chorób: świnkę lub odrę.

- Przypuszczam, że to możliwe. Być może to szok i zmartwienie, które prowadzą do kwasicy, mogącej przybrać osobliwe formy. Jednak mam odczucie, że... - Zamilkła i po raz kolejny z jeszcze większą złością użyła chusteczki, a potem znowu spojrzała na zegarek.

- Będzie pani spokojniejsza, jeżeli pani wróci - powiedziała panna Mayfield. - Pójdę z panią. Jeżeli będzie pani chciała, to po drodze przedyskutujemy inną sprawę, a jeżeli nie, to poruszymy ją kiedy indziej.

- Myślę, że już na to za późno - powiedziała pani Baines, kierując się w stronę drzwi. - Chodzi o egzamin, który dzieci zdają w wieku jedenastu lat, aby potem pójść do szkoły średniej, do którego Sydney miał prawo przystąpić w lutym.

- I dlaczego nie przystąpił?

- Żadne z nich nigdy tego nie robi. I jeżeli spojrzeć na to z innej perspektywy, to wcale nie ma się czemu dziwić. Tutaj są bezpieczni, otrzymują dobrą edukację w świetnych warunkach, aż w końcu dorosną na tyle - jak na przykład Juliet Reeve - aby pójść od razu do college'u. A jeżeli zostaną w Walwyk, to właśnie o to chodzi. A zresztą, kto chciałby silili wyjeżdżać? Ładne domki, wszystko nowoczesne, szamba i w ogóle, w najlepszym razie dziesięć szylingów tygodniowo. Pan Frisby i Tharkell oraz Tom Maverick, jeśli już o tym mowa, są tak samo dobrymi pracodawcami jak wielu innych. Nikt nigdy nie chciał się stąd wynosić, a więc po co nasze dzieci miałyby zawracać sobie głowę takim egzaminem? Jednak ja chcę się teraz wyprowadzić i chcę wiedzieć, czy jest jakaś możliwość, aby Sydney mógł pójść do szkoły średniej? Oczywiście, kiedy już wydobrzeje.

- W tej chwili nie potrafię odpowiedzieć na pani pytanie, ale dowiem się.

- Byłabym dozgonnie wdzięczna, gdyby pani to zrobiła. Tak wszystko pokomplikowali, że jeżeli dzisiaj nie masz góry pieniędzy, to nie kupisz wykształcenia swemu dziecku. Mogłabym zatrudnić się w prywatnej placówce jako pielęgniarka i zarobić całkiem sporo. Mogłabym zapłacić, aby tylko Sydney poszedł do szkoły średniej, ale tego po prostu nie da się zrobić bez egzaminu.

Panna Mayfield wydała jedynie niezobowiązujący dźwięk wyrażający zgodę, a pani Baines kontynuowała, zupełnie tak, jak gdyby to jej zwierzenie się było pożądane:

- Mojemu mężowi się to nie spodoba. Tu się urodził i tu wychował, i nigdy nie wyjeżdżał dalej niż do Selbury, aż w końcu poszedł na wojnę. Wzięliśmy ślub zaraz po tym, jak został zdemobilizowany, a na miesiąc miodowy nie chciał nigdzie wyjeżdżać, tylko wrócić tutaj. Mimo to...

W tym miejscu na chwilę zamilkła, a panna Mayfield, zerkając do góry i z ukosa, ujrzała jej sylwetkę, sztywną i twardą jak kamień.

- Jak tylko wyciągnę z tego Sydneya, to zaraz nas tu nie będzie. Wesley zrobi, jak będzie chciał. Jak już mówiłam, zawsze mogę zarabiać na życie.

Panna Mayfield, która, jak większość niezamężnych kobiet, miała sentyment do uświęconego sakramentu małżeństwa, słysząc te słowa, poczuła się zasmucona. Jednak nie wydawało się jej, by jakikolwiek komentarz w tym miejscu był uzasadniony.

Pani Baines mówiła dalej:

- Jeżeli coś jest nie tak i się o tym wie, to najlepiej jest po prostu odejść i zapomnieć, oczywiście jeżeli nic w danej sprawie nie da się zrobić. Jeżeli chodzi o oparzenie Ethel, to mogła to być tylko jej bajeczka, wszyscy wiemy, jakie są dziewczynki, a zwłaszcza w tym wieku. Ale kimkolwiek jest lub nie jest Sydney, to z całą pewnością nie jest on kłamcą. Wesley jest bardzo surowy, jeżeli chodzi o pewne rzeczy, a do nich można zaliczyć kłamstwo. Uderzył Sydneya za pierwszym razem, gdy chłopak skłamał. A więc jeżeli Sydney mówi, że palce Ethel włożono do magła, to mi to wystarcza.

- Ale dziewczynka i jej babcia wydają się być w doskonałych stosunkach.

- I o tym właśnie mówię. Coś jest nie tak. Ale nie wiem co. I nie bardzo chcę wiedzieć. Pragnę jedynie odciąć się od tego wszystkiego, a być może już jest na to za późno.

Minęły pocztę oraz ujście ulicy Curlew Lane i dotarły do furtki, za którą widać było elegancki domek. Przed nim znajdował się ogród, w którym, inaczej niż w innych, panował porządek i ład. Warzywa, krzaki agrestu i porzeczek rosły najbliżej drogi. Na kawałku trawnika, który od części praktycznej oddzielony był prostą pergolą z róż, stały poidełko dla ptaków, stół ogrodowy i kilka krzesel.

- Naprawdę mam szczerą nadzieję, że kiedy przyjdzie doktor, to nic złego u Sydneya nie zdiagnozuje - powiedziała panna Mayfield, obracając się i szykując do odejścia.

- Ależ proszę wejść do środka. To bardzo pomoże, jeżeli pójdzie pani zobaczyć się z Sydneyem i powie mu, że widziała się z Ethel i że z nią wszystko w porządku. Chłopak się zamartwia. Chciał, żeby tam poszła i udawała, że przyszłam zmienić bandażę! Ale, mówiąc

prawdę, nie śmiałam okazywać aż tyle zainteresowania. Zresztą, cokolwiek powiedziałam mu, zrobiłam to po to, aby go pocieszyć. On pani uwierzy.

- Oczywiście. Jeżeli uważa pani, że mogę jakoś pomóc...

Pokój od ulicy był całkowicie przeznaczony na pracownię Wesleya Bainesa. Na półkach, wzdłuż jednej ściany pokoju, znajdowały się narzędzia, słoiki z farbą, tafle szkła oraz części zapasowe do prac hydraulicznych. Stały tam dwa stoły. Na dużym umieszczono tokarkę, a przy mniejszym siedział Wesley i reperował buty. Miał chudą, kościstą twarz z zapadniętymi, jakby wyżłobionymi policzkami. Kiedy panna Mayfield go zobaczyła, przyszedł jej na myśl zdjęcie Abrahama Lincolna, które kiedyś widziała. Jego gęste blond włosy były znacznie jaśniejsze od ogorzałej skóry; oczy miał niebieskofioletowe.

- To panna Mayfield, nauczycielka Sydneya.

Kiedy wstał, okazało się, że jest tak wysoki, iż głową o mało co nie dotknął nisko zawieszonego sufitu. Był chudy i niezgrabnie zbudowany. Wyciągnął ogromną, szorstką dłoń i rubaszenie powiedział:

- Miło panią widzieć. Dużo o pani słyszałem od Syda.

- Zaglądałeś do niego?

- Zaledwie dwie minuty temu. Spokojnie drzemał.

- Przynieś krzeselko dla panny Mayfield - powiedziała pani Baines.

- Przepraszam na chwilę, muszę tylko sprawdzić...

Otworzyła drzwiczki znajdujące się na lewo od kominka, który znajdował się na wprost głównych drzwi. Za nimi widać było schody - strome i wąskie, ale zrobione z solidnego drewna dębowego; nie były niczym okryte i zostały porządnie wypolerowane. Wesley Baines otworzył drzwi po prawej i wtedy panna Mayfield w przelocie ujrzała pokój gościnny, który, tak samo jak ogród, różnił się od innych tego typu pokoi na wsi. Stół z rozkładanym blatem i walijski kredens nie były oryginalne, sprawiały wrażenie - raczej tandetnych - reprodukcji, ale cieszyły oko. Tak samo ładnie wyglądał mało praktyczny perkal, którym pokryte były krzesła i z którego uszyte były zasłony na okna; na białym tle materiału widać było wzór z jasnych kwiatów.

Na niektórych półkach, pomalowanych na biało, stały książki. Podłoga była praktycznie goła, leżały na niej jedynie dwa jasne dywaniki.

Wesley Baines przyniósł jedno z krzeseł obitych perkalem i gdy tylko panna Mayfield usiadła, pani Baines zaczęła niezdarnie schodzić po schodach. Wówczas panna Mayfield zobaczyła, że jej nos i skóra wokół ust przybrały kredowobiały kolor.

- Spokojnie drzemie... - powiedziała głosem pełnym głębokiego rozgoryczenia. -

Dziecko jest w śpiączce. Doktor Macdonald... Moja torebka...

Chwyciła ją i pobiegła w kierunku drzwi. Wesley Baines wyciągnął w jej stronę swoją długą rękę.

- Em, kochanie. Mówiłaś, że zadzwonisz do niego w drodze do szkoły. Nie zrobiłaś tego?

- Oczywiście, że zrobiłam. Powiedział, że przyjdzie o piątej, ale...

- A więc w tej chwili powinien właśnie tu jechać. Dzwonienie do niego po raz kolejny na nic się nie zda.

- Ach, on jest taki jak ty, myśli, że jestem marudna. Powiedział, że będzie o piątej tylko po to, żeby mnie zbyć. Ja mu pokażę piątą...

Wyrwała się, szybko wyszła za drzwi i pognąła wzdłuż ogrodowej ścieżki. Biegła niezdarnie, niczym istota pozostająca nie w swoim żywiole.

Mąż bacznie się jej przyglądał.

- Według mnie wyglądał na śpiącego i spokojnego - powiedział zmieszany. - Co ona rozumie przez słowo „w śpiączce”, wie pani?

- Przypuszczam, że po prostu jest nieprzytomny. Naprawdę nie wiem, panie Baines, ale jestem pewna, że pana żona wie, co mówi. Najprawdopodobniej coś jest nie tak z pulsem i z oddechem.

- Kiedy zeszłej nocy szedł spać, był zdrow jak ryba - mówiąc to, Wesley Baines wziął do rąk skrawek skóry i palcami zaczął go wyginać w różne strony. - Nie czaję - powiedział, używając słów, które, jak zdążyła już zorientować się panna Mayfield, były typową, miejscową frazą, opisującą coś zagadkowego, coś, czego nie można pojąć.

- Mam nadzieję, że doktor niedługo się zjawi i jakoś pana pocieszy, panie Baines.

Spojrzał na nią i powiedział spokojnie, chociaż palcami wciąż szarpał skrawek skóry:

- Mówiąc szczerze, nie jestem aż tak bardzo zaniepokojony jak Em. Syd jest dobrym, silnym i zdrowym chłopcem, wyliże się z tego bez względu na to, co to jest. Prawda jest taka, że Em jest ostatnio nerwowa. Kiedyś była twarda jak skała, ale od czasu, gdy dopadł ją ten półpasiec, zrobiła się dziwna. Na przykład tamtego wieczoru była cała w nerwach, bo Syd poszedł do domu Rigbych. Zwykle, jeżeli trzeba go ukarać, to ja się tym zajmuję. Ale nie tym razem! Mówiła Sydneyowi, aby trzymał się z daleka od Ethel Rigby, ale on nie posłuchał. A więc kazała mu w kółko pisać to samo zdanie, zupełnie jak w jakiejś szkole - proszę mi wybaczyć, że tak o tym mówię. Może pani jest zwolenniczką tego rodzaju kary, bo ja osobiście nie. Jak coś się napisze raz, to jest napisane i bez względu na to, ile razy to zrobisz, na nic się to nie zda. Porządne lanie działa najskuteczniej. Ale Syd musiał pisać te zdania i

jeżeli powiedziałbym pani dlaczego - jaki był prawdziwy powód, że Em kazała mu to robić - zaczęłyby się pani śmiać. - Pochylił się nad stołem, a wtedy jego usta o wąskich wargach uśmiechnęły się. - Em twierdzi, że stara babcia Rigby potrafi rzucić urok. Co pani na to? Wykwalifikowana pielęgniarka i w ogóle. Tylko na miłość boską, proszę jej nie wspominać, że ja coś pani powiedziałem, bo Em nigdy mi tego nie wybaczy.

- Nic nie powiem. Rozumiem, że pan, panie Baines, nie wierzy w takie rzeczy?

- Rzecz jasna, że nie. Czy Bóg dałby taką moc jakimkolwiek śmiertelnikowi? To zadziwiające, że ktoś taki jak Em myśli inaczej! Zawsze krytykowała miejscowych, że są niedouczeni i zacofani. - Zamilkł i przyjął postawę, jakby czegoś wysłuchiwał. - Tak myślałem. Zjawił się doktor.

Samochód gwałtownie zahamował przy furtce. Wsiadł z niego doktor, złapał za torbę, zatrzasnął za sobą drzwi i zaczął iść wzdłuż ścieżki takimi susami, jakby nie miał czasu do stracenia. Gdy wszedł do środka, lakonicznie przywitał Wesleya, mówiąc: „Dzień dobry”. Potem spojrzał na pannę Mayfield i zignorował ją, jakby zupełnie nic nie znaczyła. Następnie powiedział:

- Idę na górę. - Po czym ruszył w kierunku schodów.

Zaraz za nim wbiegła zadyszana pani Baines. Ciężko oddychając, powiedziała:

- Zauważyłam samochód. - Potem poszła na górę za doktorem.

Nad ich głowami skrzypiały deski podłogowe. Szmer głosów i niedających się zrozumieć słów docierał do uszu tych, którzy siedzieli na dole. Wesley Baines wyglądał na zaniepokojonego i coraz bardziej nerwowo zaczynał bawić się skrawkiem skóry, który trzymał w rękach.

- Wygląda na to, że Em miała rację - odezwał się w końcu. - To musi być coś poważniejszego.

Nic innego, co mogłoby go bardziej pokrzepić, nie przyszło panie Mayfield do głowy, więc powiedziała jedynie:

- Proszę się nie trapić, panie Baines.

Po chwili doktor zszedł na dół, wyglądał na zmartwionego i wyraźnie gonił go czas.

- Gdzie jest najbliższy telefon?

- Na poczcie. Mógłbym pójść za pana?

- Pana nie będą słuchać. Potrzebuję wolnego łóżka w szpitalu w Wandford.

- Czy... czy zatem to coś poważnego?

- Nie wiem. Proszę pani - powiedział, patrząc na pannę Mayfield - proszę jej pomóc.

Jest bardzo roztrzęsiona.

Panna Mayfield poszła na górę i weszła do pokoju Sydneya. Tam zastała panią Baines, która trzymała w rękach zwinięty koc, przyciskając go do piersi, oraz cicho i rozpaczliwie płakała.

- Spakuję jego rzeczy, proszę mi tylko powiedzieć, gdzie co jest - zwróciła się do niej panna Mayfield.

Pani Baines skinęła głową w kierunku komody. Panna Mayfield wyciągnęła z niej dwie piżamy, szczotkę oraz grzebień i trochę chusteczek do nosa. Zauważyła, że za drzwiami wisiał czerwony szlafrok. Zdjęła go i złożyła. Następnie sięgnęła po kapcie, leżące pod łóżkiem. Przez cały ten czas pani Baines nawet nie drgnęła. Łzy ściekające po jej drżących policzkach skapywały na koc.

- Będzie potrzebował czegoś do mycia - powiedziała panna Mayfield.

Wtedy, zdławionym głosem, odezwała się pani Baines:

- To wszystko na nic.

- Nie wydaje mi się. Skoro chcę zabrać go do szpitala, jest to z pewnością dobry znak. A pani powinna zacząć go pakować. Doktor poszedł jedynie na pocztę.

- Wiem. - Kobieta wstała i rozwinęła koc. - Łazienka jest po drugiej stronie podestu. Myjka do twarzy Sydneya ma czerwoną obwódkę, jego szczoteczka do zębów też jest czerwona. Jego ojciec da pani coś, w co będzie można to zapakować.

Wesley Baines otworzył kredens, z którego wyciągnął walizkę, a panna Mayfield zapakowała do niej wszystkie rzeczy, które zebrała. W tym samym czasie - już w ogóle nie skrywając, że się spieszył - truchtem powrócił doktor Macdonald.

- Myślałem, że do tej pory wszystko będzie naszykowane - powiedział z wyrzutem, patrząc na pannę Mayfield.

- Chyba najlepiej będzie, jak zniosę chłopca na dół - odezwał się, nieco zmieszany, pan Baines.

- Sam nie zejdzie - powiedział ze złością doktor Macdonald.

Po tych słowach chwycił swoją torbę i pędem udał się do samochodu. Otworzył tylne drzwi i stał. Zniecierpliwienie uwidaczniało się w każdej zmarszczce jego twarzy, biło wręcz z całej postaci. Wesley Baines wgramolił się na górę i zaraz potem zszedł, niosąc w rękach owinięty kocem ludzki kształt, z taką lekkością, z jaką dziecko niosłoby kociaka. Pani Baines, wciąż płacząc, szła tuż za nim. U końca ścieżki minęła męża i pobiegła do samochodu.

- Daj mi go - zwróciła się do Wesleya.

- Czy zamierzasz z nim pojechać, Em?

Zlekceważyła jego pytanie i powtórzyła:

- Daj go.

- A może ja też pojedę?

- Raczej nie - powiedział doktor Macdonald z lekką irytacją w głosie. - Pani Baines może się na coś przydać.

Niewypowiedziane słowa: „Ty tylko byś przeszkadzał” wisiały w powietrzu. Następnie doktor wskoczył na siedzenie kierowcy i uruchomił rozrusznik.

- A zatem do widzenia, Em. Daj mi znać - krzyczał Wesley za odjeżdżającym samochodem.

Stał tam, wyglądając na dużego i tak bezradnego, że aż wzbudziło to współczucie panny Mayfield.

- A co z panem, panie Baines? Da pan sobie radę? Ma pan coś do jedzenia? Czy zechciałby pan... czy chciałby pan przyjść do mnie dzisiaj wieczorem na kolację?

- To bardzo uprzejmie z pani strony. Ale zdaje mi się, że dopóki nie dostanę jakichś wieści od Em, nie będę miał wielkiego apetytu.

- Dzisiaj lekarze dysponują tak wspaniałymi lekarstwami. Mają te wszystkie nowe, cudownie działające leki. Przypuszczam, że doktor się spieszył, ponieważ miał coś na myśli, jakiegoś rodzaju leczenie, a więc nie miał czasu, aby powiedzieć panu kilka słów, które jakoś by pana pokrzepiły. I oczywiście pani Baines, z racji tego, że jest pielęgniarką, może martwić się zanadto, zupełnie tak... tak jak nauczyciele martwią się o postępy swoich uczniów w szkole.

Słyszając to, pokręcił głową.

- Nie, Em miała rację, a ja się myliłem. Zbagatelizowałem całą sprawę. Ni stąd, ni zowąd...

- No cóż, mam szczerą nadzieję, że wkrótce dostanie pan jakieś wiadomości, dobre wiadomości. I jeżeli kiedykolwiek potrzebowalby pan posiłku, to proszę pamiętać, że zawsze może pan zjeść u mnie.

- Uprzejmie pani dziękuję, ale przyzwyczałem się do radzenia sobie samemu. Rozumie pani, Em często wzywają do pomocy. Już i tak udzieliła nam pani dużo wsparcia.

Odwrócił się i przeszedł za furtkę, a wtedy panna Mayfield ruszyła w drogę do swego domu. Zaledwie po kilku krokach przypomniała sobie, że w domu Bainesów, na stole warsztatowym, zostawiła torebkę z kluczami. Zawróciła.

Drzwi od domku stały otwarte, a w środku, przy stole szewskim, klęczał Wesley Baines. Głowę miał pochyloną, a ręce - niczym grzeczne dzieciątko - trzymał złożone przed sobą. Panna Mayfield wyciągnęła rękę i niepostrzeżenie, tak aby mężczyzna nie zdał sobie

sprawy z jej obecności, zabrała swoją torebkę. Kiedy cicho się oddalała, czuła, że nie musi już tak bardzo martwić się o pana Bainesa. Miał on swoje źródło siły i pocieszenia, do którego się zwracał.

7

Sydneya zabrano do szpitala w środę, a do soboty jego zdrowie nie uległo żadnej poprawie. Każdego wieczoru o osiemnastej pani Baines dzwoniła na pocztę, po czym jedna z sióstr Flack szła i przekazywała wiadomości, najpierw zaniepokojonemu ojcu, a potem reszcie wsi. Z tego też względu wszyscy wiedzieli, że choroba Sydneya pozostawała tajemnicą, że trzymano go w małej izolatce i że jego matce pozwalano się nim opiekować.

W sobotę wieczór telefon z Wandford nie zadzwonił. Kiedy naczelniczka poczty wraz z kilkoma kompanami patrzyli na zegar i zaczęli przewidywać najgorsze, nagle w Walwyk pojawił się wynajęty samochód, który zaparkował przed furtką Bainesów. Pani Baines wysiadła sama, a kierowcy kazała odjechać. Wszyscy mówili, że wyglądała okropnie, i każdy był pewien, iż Sydney zmarł. Byli również pewni, że jedyną przyzwoitą rzeczą, jaką mogli teraz zrobić, to poczekać kilka minut, aż poinformuje o wszystkim męża, a potem pójść i złożyć wyrazy współczucia, dowiadując się przy tym szczegółów.

Zauważyli, że nie była zapłakana, ale blada i miała błędny wzrok, natomiast - jak oznajmiła Ella Flack - „wszystkie rzeczy potrzebne do gotowania wyciągała tak, jak gdyby postradała zmysły”. Powiedziała, że stan Sydneya wciąż pozostaje taki sam. Ale przecież musiała też pomyśleć o Wesleyu, prawda? Jak miał żyć przez następny tydzień, sam w domu bez żadnego jedzenia?

- Prosiłmy go, aby przychodził na posiłki do nas - powiedziała Ella Hack. - Każdy go o to prosił. Mówił, że nawet panna Mayfield zapraszała go na kolację. Naprawdę, nie musiałaś się tym przejmować.

Pani Baines odpowiedziała, że cóż, przejmowała się i teraz musi zabrać się do roboty.

Kiedy posiłek został już ugotowany i zjedzony, pani Baines oznajmiła, że wybiera się na spacer. Po tak długim okresie spędzonym w zamknięciu potrzebowała trochę świeżego powietrza. Wesley zaproponował, że pójdzie z nią, ale powiedziała, że woli iść sama, a ponieważ miał trochę roboty, zaraz się za nią zabrał i ani razu nawet nie spojrzął na zegar, aż tu nagle zjawił się kanonik Thorby, który przekomicznie podekscytowanym głosem krzyczał:

- Czuj się lepiej, Baines, czuj się lepiej! Właśnie co przed chwilą dzwonił i mówili, że chłopak jest przytomny i narzeka na głód. Gdzie twoja żona? Nie mogę doczekać się

widoku jej twarzy, kiedy o tym usłyszy!

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - westchnął Wesley, nie mówiąc, gdzie podziła się Emily.

- W rzeczy samej, tak, dzięki Bogu - odpowiedział kanonik Thorby, aby nie zabrzmieć zdawkowo. - Powiedzieli mi, że twoja żona wróciła do domu. Gdzie jest w tej chwili?

- Poszła się przewietrzyć.

Czekali razem aż do jej powrotu. Kanonik Thorby był rozczarowany sposobem, w jaki przyjęła jego wiadomość. Nie okazując żadnego zaskoczenia, spytała:

- Powiedzieli, kiedy wróci do domu?

- Nie określili dokładnej daty. Ale Baxter z samego rana zawiezie panią do szpitala i na miejscu będzie mogła pani to ustalić.

*

O wszystkim, co zostało powiedziane i zrobione, panna Mayfield usłyszała dzięki tutejszej poczcie pantoflowej, a większość informacji pochodziła od samego Sydneya. W obecności syna Wesley Baines, raczej dość niezgrabnie, próbował naśmiewać się ze sposobu, w jaki Emily odebrała wiadomość o jego polepszającym się stanie zdrowia. Ona z kolei zapytała go, jak on przyjął tę wiadomość. Oznajmił jej więc, co wtedy powiedział i co powiedział kanonik Thorby.

W sobotnią noc Sydney spał bardzo dobrze, a w niedzielny poranek zjadł olbrzymie śniadanie. Temperaturę miał normalną, nic go nie bolało i w końcu pozwolono mu wracać do domu. W poniedziałek, po dwóch kolejnych ogromnych posiłkach i po tym, jak dobrze się wyspał, oznajmił, że chciałby wrócić do szkoły. A tam, przez cały dzień, nie będąc powstrzymywanym przez pannę Mayfield, mówił każdemu: „Moja mama powiedziała do mojego taty”, „Mój tato powiedział do mojej mamy” i „Kanonik powiedział do mojego taty”, pozostając w ten sposób w centrum zainteresowania. Żadne dziecko z Walwyk nigdy nie było w szpitalu i kiedy naciskali go, aby powiedział im, jakie tam obowiązują zwyczaje, Sydney, jako informator, rozczarował pytających.

- Większość czasu przespałem, rozumiecie? Tak jak ta dziewczynka z Biblii.

Zdażył jednak zauważyć, że jego łóżko miało kółka, a jajko, które podano mu na śniadanie w niedzielę, aby dłużej pozostało ciepłe, miało na sobie swego rodzaju wełnianą czapczkę.

Następnego dnia ekscytacja minęła. Panna Mayfield, bacznie przyglądając się Sydneyowi, doszła do wniosku, że chłopiec w żaden sposób nie ucierpiał przez to, co się wydarzyło. Dziwne, szalone oskarżenia jego matki pod adresem pani Rigby wydawały się

nieistotnym szczegółem z nocnego koszmaru wspomnianym w świetle dnia. Jeżeli tylko, myślała panna Mayfield, byłabym pewna, że wypadek Ethel był naprawdę jedynie wypadkiem, mogłabym znowu być szczęśliwa.

We wtorkowe popołudnie znalazła pretekst, aby zatrzymać Sydneya w szkole. Kiedy byli sami, zapytała:

- Czy widziałeś się z Ethel od czasu, kiedy wróciłeś ze szpitala, Sydney?

- Tak. Poszedłem ją odwiedzić wczoraj po południu. Myślałem, że będzie miała kłopoty z jedzeniem dla królików, ale tak nie było. Dała radę zbierać trybulę jedną ręką.

- Byłam u niej po naszej rozmowie w ostatni wtorek.

- Wiem, proszę pani. Ethel mi powiedziała.

Kiedy to mówił, jego twarz przybrała uparty, niemal urażony wyraz.

- Wydawało mi się, że Ethel i jej babcia są dobrymi przyjaciółkami. Sydney, nie chcę cię martwić ani w żaden sposób dręczyć, ale czy naprawdę jesteś pewien, że nie pomyliłeś się co do tego magła? Wiesz, stałeś na zewnątrz. Prawdopodobnie stamtąd nie było widać zbyt dobrze tego, co działo się w środku.

Odwrócił głowę i przygryzając dolną wargę, wpatrywał się w ścianę. Wziął dwa głębokie, szybkie oddechy, zupełnie jak ktoś po długim biegu. Następnie z desperackim wyrazem twarzy, jak gdyby znalazł się w potrzasku, spojrzał pannie Mayfield w oczy

- Powiem to, chociaż Ethel mówiła, abym tego nie robił. Ethel powiedziała, że następnym razem... Proszę pani, mówiłem wyłącznie p r a w d ę. Jak Boga kocham, pani Mayfield. Widziałem, jak jej to robiła. Ale jest coś, czego Ethel obawia się bardziej, coś, czego naprawdę się boi, i nawet mi nie może tego powiedzieć. A więc Ethel powiedziała, abym o tym nie gadał i nie zwracał uwagi, ponieważ i tak nikt nie może nic zrobić.

- A czy mówiłeś Ethel, że mi cokolwiek powiedziałaś?

- Nie, ona mi powiedziała. Zaraz po tym, jak wyszliśmy szukać jedzenia dla królików, zapytała: „Czy ty przysłałeś pannę Mayfield do babci?”. Odpowiedziałem, że tak. Wtedy opowiedziała mi o jedzeniu ciasta i picciu wina. I przestrzegła mnie, abym już nigdy więcej nie paplał ani o niej, ani o jej babci.

- A powiedziała dlaczego?

- Nie.

- Czy ty... - Zawahała się. Wydało jej się to dziwne i trochę niestosowne, aby dwunastoletniego chłopca pytać o coś takiego. - Czy ty domyślasz się, o co może chodzić, Sydney?

Skinął głową.

- Ethel boi się czegoś, co może się stać, kiedy jej babcia się rozłości.

- Coś może stać się j e j?

- Nie. Ethel nigdy nie powiedziała... ale sądzę, że chodzi o króliki.

Z niepokojem, nagle i jasno głos w umyśle panny Mayfield oznajmił: *lub o jej przyjaciela, Sydneya*. To wyjaśniałoby gwałtowność, z jaką Ethel wypierała się tego, że lubi Sydneya.

Panna Mayfield zdecydowała, że musi zadać jeszcze jedno pytanie.

- A ty, Sydney, nie masz pojęcia, co kryje się za tym wszystkim? Nie wiesz, co babcia Ethel chce, aby jej wnuczka robiła?

- Nie, proszę pani. Ethel nigdy nie powiedziała. Mówiła tylko, że za nic by tego nie zrobiła, nawet jeżeli musiałaby zapomnieć o królikach.

- No dobrze, dziękuję, Sydney. Pomogłeś tak bardzo, jak potrafiłeś. I przyrzekam ci, że będę bacznie obserwować Ethel.

- Tylko tak, żeby jej babcia się nie dowiedziała, proszę pani. Ethel mówiła, że wężenie jedynie pogorszyło całą sytuację.

- Będę bardzo ostrożna.

*

Kiedy Sydney poszedł, panna Mayfield zaczęła sprzątać swoje biurko, wykonując z roztargnieniem tę rutynową czynność. Rozmowa z Sydneyem, która poniekąd niczego nie wyjaśniła, popsowała, a nie poprawiła, jej humor. W jednej chwili mogła powiedzieć sobie, że przywiązywała zbyt dużą wagę do tej sprawy, ale coś tajemniczego wisiało w powietrzu. W następnej znowu pytała samą siebie, dlaczego to, dlaczego tamto, dlaczego, dlaczego, dlaczego.

*

W środę jej uwagę zaprzętnęła wizyta szkolnego inspektora Jej Królewskiej Mości, pana Culpepera. Nie była to jedna z tych niezapowiedzianych wizytacji mających na celu zaskoczenie nauczyciela, jak miało to miejsce w Alchester. Kanonik Thorby, który o dziesiątej przybył do szkoły w celu przeprowadzenia lekcji matematyki, powiedział:

- Pan Culpeper dziś rano będzie w szkole w Renham i przy okazji przyjedzie na lunch. Potem przywiozę go do pani, abyście się poznali. Polubi go pani, fajny z niego gość.

Doświadczenie panny Mayfield kazało jej w to wątpić. Fajni goście nie zostają inspektorami. Wszyscy inspektorzy, a przynajmniej ci w Alchester, byli fanatykami. Nie chcieli, aby uczyć dzieci, jak napisać przyzwoity list i poprawnie zaadresować kopertę, żądali za to większej autoekspresji, czegoś, co zwie się grą dramatyczną lub eurytmią. Wykazywali

niemal religijne przywiązanie do niecodziennej formy pisma pochylego. Uważali, że historii można uczyć, inscenizując teatrzyk z kukielkami, geografii - poprzez instalację deszczomierzu, a problemy z dyscypliną można rozwiązywać, ustanawiając komitet klasowy, przed którym zachowanie nauczyciela mogło być krytykowane tak swobodnie jak zachowanie najbardziej niesfornego ucznia w klasie. Żadne z tych dziwactw - a przecież na niektóre z nich pan Culpeper musiał się zgadzać, aby piastować swoje obecne stanowisko - zdaniem panny Mayfield nie czyniło z nikogo fajnego gościa.

Niemniej jednak, już po pięciu minutach od spotkania z panem Culpeperem, była gotowa wybaczyć mu jego zawód. Mężczyzna ten stanowił wyjątek od reguły. Był po czterdziestce, dobrze wyglądał, miał ciemne włosy oraz roześmiane brązowe oczy i był dżentelmenem - wywnioskowała panna Mayfield na swój staroświecki sposób. Przypomniała sobie, że Matthew Arnold był szkolnym inspektorem.

Przez pół godziny swobodnie ze sobą gawędzili, a potem panna Mayfield poruszyła sprawę egzaminów dla jedenastolatków i słowa pana Culpepera bardzo ją ucieszyły:

- To rzecz dla mnie bardzo ważna. Każde dziecko powinno do niego przystępować, nawet ci chodzący do najdroższych prywatnych szkół podstawowych. To zabezpieczenie przed zmianą sytuacji. Nie sądzę, aby kanonik Thorby miał cokolwiek przeciwko temu pomysłowi, chociaż pani Westleton absolutnie się z tym nie zgadzała. Sądzę, iż bała się, że jedenastolatek z Walwyk mógł nie zdać i taka porażka postawiłaby ją w złym świetle. Bardzo mnie to dziwiło. Pracowała tutaj przez wiele lat, była niezwykle popularna, można by nawet powiedzieć, że szczerze i głęboko kochana, ale brakowało jej wiary w siebie i pewności. Raz kiedyś poruszyłem kwestię egzaminów dla jedenastolatków, co tak ją rozdrażniło, że przyrzekłem kanonikowi Thorby'emu, iż nigdy więcej tego nie zrobię. Bardzo się cieszę, że pani o tym wspomniała.

- Widzi pan, bo jest taka sprawa...

Opowiedziała mu o pani Baines i jej chęci wyjazdu z Walwyk i o problemie jaki z tego powstał odnośnie do przyszłości Sydneya.

- Zdaje się, że chłopak - powiedział pan Culpeper - to idealny kandydat do tego, co w Wandford znane jest pod nazwą Forsa Starego Bogeya. W 1852 roku zamożny farmer z Catermarsh, John Bogey, ufundował stypendium dostępne dla każdego chłopca z Catermarsh, Renham lub Walwyk. Jednak kolejność otrzymania stypendium i prawa wstępu do szkoły w Wandford, gdzie pobierał edukację sam fundator, zależała od miejsca zamieszkania. Pierwszeństwo mieli chłopcy z Catermarsh, potem Renham i Walwyk. Zdaje mi się, że w ciągu ostatnich osiemnastu lub dwudziestu lat nie było chętnych. Ludzie, którym stypendium

miało pomóc, czyli biedni i ambitni, nie są zbyt przekonani do pomysłu szkoły z internatem, a dzisiaj istnieje tyle innych alternatyw. Jeżeli chłopak, o którym pani wspomina, nie wykazuje wyraźnych oznak niepoczytalności, stypendium będzie jego w chwili, w której złoży wniosek. W rzeczywistości powiernicy rozważali możliwość przeznaczenia funduszy na inne cele. Byliby zachwyceni, gdyby mieli kandydata do stypendium. Czy mogą wysłać pani odpowiednie dokumenty?

*

Przysłano je w piątek rano. Przyszły w długiej kopercie wielkoformatowej. W południe, po wypiciu herbaty panna Mayfield poszła odwiedzić panią Baines. Odczuwała swego rodzaju ekscytację, powodowaną tym, że mogła wręczyć komuś dokładnie to, czego ta osoba pragnęła. Dziewięć dni wcześniej pani Baines miała dwa życzenia: chciała, by Sydney wyzdrowiał oraz aby jej rodzina mogła wyprowadzić się z Walwyk. Sydney był już zdrowy i oto pojawiła się panna Mayfield przynosząca dobre wieści, że przeprowadzka nie zrukuje, a raczej zwiększy szanse na edukację Sydneya. Myślała, że będzie to bardzo radosna wizyta.

Jednak od samego początku wszystko było nie tak. Pani Baines otworzyła drzwi od pracowni. Kiedy panna Mayfield zobaczyła Emily Baines, zaszokował ją jej wygląd. Słyszała, że po powrocie z Wandford pani Baines wyglądała okropnie, ale to miało miejsce ponad tydzień temu. Ona jednak wciąż wyglądała okropnie; przypominała wielkie, mocno zbudowane kobiety, kiedy tracą wagę. Była tak smukła jak nigdy przedtem. Miała na sobie suknię w jasne czerwono-białe wzory, jej szyję zdobiły czerwone korale, a uszy - kolczyki tego samego koloru. Jednak policzki miała tak zapadnięte i była tak blada, że kolory, które nałożyła sobie na twarz i usta, rzucały się w oczy niczym makijaż kłowna.

- Proszę wejść, panno Mayfield - powiedziała chłodnym, przytłumionym tonem, po czym, przechodząc przez pracownię, wprowadziła ją do pogodnego i jasnego salonu.

- Nie widziałam pani od czasu tamtego straszego popołudnia - powiedziała panna Mayfield. - To było cudowne ozdrowienie, nieprawdaż?

- Wiem, że powinnam była przyjść i podziękować pani za pomoc okazaną nam tamtego dnia - odezwała się pani Baines głosem, w którym nie było słyhać ani krzty wdzięczności.

- Ależ ja niczego takiego nie zrobiłam. - Po tych słowach wyciągnęła kopertę. - Ale dokonałam pewnego odkrycia, z którego mam nadzieję będzie pani zadowolona. Chodzi o Sydneya, pamięta pani?

- Ach, to! Dałam sobie spokój z przeprowadzką.

- Rozumiem. Niemniej jednak, myślę, że może to panią zainteresuje.

Panna Mayfield rozłożyła papiery i wyjaśniła, jak przedstawia się sytuacja.

- Pan Culpeper był przekonany, że Sydney otrzyma stypendium - zakończyła - i wie pani co, nie jestem pewna, czy ostatecznie nie wyszłoby to Sydneyowi na dobre. Chodziłby do większej szkoły, gdzie byłiby chłopcy w jego wieku, gdzie byłoby więcej zabawy i większa rywalizacja...

- Wszystkim innym chłopcom mogłaby pani powiedzieć to samo.

- Zgadza się.

Po raz pierwszy w głosie pani Baines pojawił się obcy ton. Z jawną złościwością nagle powiedziała:

- Nie miałyby pani pracy!

- W Walwyk nie, ale mam nadzieję, że bezrobotna bym nie była. Przyznaję, że z mojego punktu widzenia to bardzo dobre stanowisko, ale nie to jest najważniejsze. Szkoła w Walwyk ma wiele zalet, ale nie można pozostać ślepym na jej wady. Brak w klasie rówieśników, którzy byłiby w tym samym wieku i tej samej płci, to duży minus.

- Ach, myśli pani w tej chwili o Ethel i Sydneyu. No cóż, muszę przyznać, że co do niej, to się myliłam. Ethel jest w porządku.

- Jeżeli chodzi pani o to, że Ethel jest dla Sydneya dobrą towarzyszką, to ja osobiście nigdy w to nie wątpiłam. A może mówi pani o tym, że zmieniła pani zdanie, co do stosunków panujących między Ethel a jej babcią? Czy to miała pani na myśli, mówiąc, że „jest w porządku”?

Nawet w jej własnych uszach pytanie to zabrzmiało nieszczerze i nienaturalnie. Pani Baines przyjęła je z otwartym antagonizmem.

- Wszyscy popełniamy błędy - odpowiedziała.

- W rzeczy samej. Ale zapewniała pani o prawdomówności Sydneya, a on widział...

- Stał na zewnątrz i z d a w a ł o mu się, że widział. Tak się to przedstawia, panno Mayfield. Wiele hałasu o nic.

Głos w głowie panny Mayfield wygłosił swój komentarz z taką samą jasnością, jak czynił to zawsze: *Pani Baines przeszła na drugą stronę* - powiedział.

- Cieszyłabym się, gdyby miała pani rację. Ale zostawmy to. Pomyślmy o Sydneyu i jego przyszłości.

- Gdyby poszedł do szkoły średniej w Wandford, musiałby mieszkać w internacie.

- Przez pięć dni. Widziałaby go pani w każdy piątkowy wieczór i...

- Chciałabym - powiedziała pani Baines, niegrzecznie jej przerywając - aby czasami się pani z a s t a n o w i ł a, zanim się pani za coś zabierze. Jak niby miałyby wracać do

domu w piątek? Iść na piechotę z przystanku autobusowego w Renham? W zimie, podczas śnieżycy i mgły. Nawet pani, panno Mayfield, nie może wierzyć, że kanonik Thorby wysłał swój samochód, aby przywieźć do domu chłopca, który stwierdził, że jego ukochana szkoła nie jest dla niego wystarczająco dobra.

- No... nie. Przyznaję, że nie pomyślałam o wszystkich szczegółach. - Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu zauważyła, że wzbiera w niej gniew. - Otrzymałam te dokumenty dopiero dzisiaj rano. Dziewięć dni temu, to p a n i przysłała do mnie, pytając, co stałoby się z Sydneyem, gdyby zdecydowała się pani stąd wyjechać. Dowiedziałam się tyle, ile mogłam, i oto przynoszę rezultaty... Dlaczego jest pani na mnie taka zła?

Pani Baines szybko odpowiedziała:

- Ponieważ jest pani bardzo wścibska. - Po tym jak to powiedziała, zarówno jej twarz, jak i zachowanie zmieniły się i kontynuowała w bardziej uprzejmy, ale fałszywy sposób: - Wiem, że ma pani dobre intencje. Tamtego popołudnia byłam głupia i rozhisteryzowana i powiedziałam wiele rzeczy, o których wcale na serio nie myślałam. Ta przeprowadzka i cała reszta. Potem, kiedy Sydney zachorował, wszyscy byli dla mnie tacy mili i pomocni... Wtedy zdałam sobie sprawę, gdzie jest mi naprawdę dobrze. Byłabym głupia, gdybym stąd wyjechała. Sydney, jeżeli jest wystarczająco bystry, może zostać tutaj i robić to, co robi Juliet Reeve. Przykro mi, że zadała sobie pani tyle trudu i przepraszam, że sprawiam wrażenie takiej niewdzięcznej.

- Ależ nic się nie stało i wcale nie zadałam sobie wielkiego trudu. Oczywiście, to pani musi podjąć decyzję. Proszę posłuchać, zostawię dokumenty u pani, być może...

Kiedy panna Mayfield wstała, zaraz pospiesznie podniosła się również pani Baines i odprowadziła ją do drzwi. Na zewnątrz, w świetle dnia panna Mayfield znowu zauważyła, jak bardzo niezdrowo wygląda mama Sydneya.

- Nie wygląda pani dobrze, pani Baines - oznajmiła delikatnie. - Obawiam się, że stres odbił się na pani zdrowiu.

- Nigdy nie powinna pani mówić czegoś takiego. Wtedy ludzie zaczynają uważać się nad sobą. - Zdawkowym uśmiechem, który zaraz znikł, nieco złagodziła ton tej uwagi i dodała: - Czuję się dobrze.

Powiedziały sobie „do widzenia”, po czym panna Mayfield udała się w stronę furtki, przy której, zanim do niej dotarła, pojawił się Sydney. W rękach, przyciśnięty do brzucha, trzymał przykryty płótnem kosz bez uchwyty. Pod pachą niósł wiązkę trybuli leśnej. Kiedy tak obciążony majstrował przy zasuwce od furtki, panna Mayfield przyspieszyła kroku i otworzyła mu.

- Dzień dobry, proszę pani - powiedział z uśmiechem na twarzy. - Proszę spojrzeć, co mam. Ethel mi to dała.

Wiązkę zieleniny przycisnął nieco mocniej do boku i poluzował płótno z jednej strony kosza. W tym momencie panna Mayfield ujrzała królika. Był młody, miał czarno-białe plamki i siedział skulony, wybałuszając ze strachu oczy. Zanim zdołała powiedzieć: „Jaki piękny”, królik dał susa, delikatnie wylądował na ziemi i uciekł, chowając się w krzakach agrestu.

Wykazując się dużym refleksem, panna Mayfield zatrzasnęła furtkę. Sydney krzyknął, rzucił kosz oraz trybulę leśną i ruszył w pogoń za zwierzątkiem. Przez następne dziesięć minut starali się podejść królika. Chodzili w kółko, uskakiwali przed nim, przecinali mu drogę, nic nie mówili i poruszali się tak cicho, jak tylko potrafili, aby go nie spłoszyć. Po upływie dziesięciu minut minęli bok domku i kierowali się na jego tyły. Tam w rogu, który tworzyła wystająca komórka przy kuchni, znajdująca się naprzeciw tylnej ściany salonu, Sydney schwytał swojego królika, a panna Mayfield, całkowicie zdyszana, oparła się o ścianę, aby złapać trochę tchu. Z miejsca, w którym stała, było dobrze widać wnętrze pomieszczenia. Pani Baines rozłożyła na stole wszystkie dokumenty dotyczące stypendium, o które mógłby ubiegać się Sydney. Jej łokcie spoczywały na blacie, a dłońmi podpierała sobie brodę. Na jej twarzy natomiast malował się tak ponury obraz rozpacz i nieszczęścia, jaki panna Mayfield rzadko kiedy widywała.

Gdy w końcu oddech wrócił do normy, panna Mayfield zwróciła się do Sydneya:

- Powinieneś teraz nakarmić królika, to pomoże mu się uspokoić. Ja idę jeszcze zamienić kilka słów z twoją mamą.

Weszła tylnymi drzwiami, przeszła przez skrupulatnie wysprzątaną komórkę przy kuchni i dostała się do salonu.

- Pani Baines - odezwała się - widzę, że w tej całej sprawie jest coś, co panią bardzo dręczy. Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, o co chodzi i może wtedy wspólnie...

Pani Baines gwałtownie wstała, odsuwając z piskiem krzesło. Jej twarz zaczerwieniła się. Szorstkim, pełnym wściekłości głosem powiedziała:

- Wynoś się! I nigdy więcej nie przychodź do mojego domu, dopóki cię o to nie poproszę. To wszystko pani wina. Ciągłe pani węszyć. Ty wścibska stara panno. Zawraca sobie pani głowę Ethel Rigby. Ile ona jest warta w porównaniu z moim chłopcem? Ta dziewczyna to złośliwy bachor, skazany na zgubę jeszcze przed urodzeniem. Niech pani patrzy, co z jej powodu zrobiła pani ze mną, zawsze porządną kobietą. Teraz muszę płacić za pani głupie zachowanie. Chciałabym...

Nagle zamilkła. Kolor gniewu zdawał się ustępować z jej twarzy, Stała tak i

spoglądała za pannę Mayfield, patrząc w stronę drzwi od komórki przy kuchni. Panna Mayfield odwróciła się, spodziewając się ujrzeć albo Sydneya, albo Wesleya, a jej umysł już błędził, poszukując jakichś prostych, mających sens słów, które wyjaśniłyby tę gniewną tyradę. Nikogo i niczego za jej plecami nie było. Ale kiedy spuściła wzrok poniżej poziomu, na którym znajdowałby się człowiek, ujrzała w drzwiach kota, który w jednym miejscu zwany był Vesper, a w innym Sadza.

Później, spoglądając wstecz, przyznawała sama przed samą sobą, że w pewnym momencie wiedziała, iż jej podejrzenia były realne, ale w miarę, jak posuwała się naprzód, rozwiązanie - niczym horyzont dla podróżnika - oddalało się. W zasadzie wiedziała to już w tamtej chwili, ale teraz to, co wiedziała, odrzuciła od siebie jako zbyt absurdalne, aby w to uwierzyć.

Czuła się źle, jakby była zamknięta w pędzącej windzie. Wiedziała też, że to, co podejrzewa, nie może zostać wyjawione.

- Mój kot - powiedziała pozornie radosnym głosem. - Wszędzie za mną chodzi.

Tak samo fałszywym, choć już nie radosnym głosem, odpowiedziała pani Baines:

- Przepraszam za to, co powiedziałam. Prawdę mówiąc, rozzłościła mnie pani. Chcę dla Sydneya jak najlepiej. Być może ma pani rację, że takie wyjście byłoby dla niego najlepsze. Ale on dopiero co wrócił ze szpitala, nie mogę znowu się z nim rozstać, tak być nie może. Ale z drugiej strony pani słowa sprawiły, że poczułam się winna, To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że zawsze byłam porządną kobietą, Przez panią stałam się egoistką. Z tego powodu tak na panią naskoczyłam.

O nie, pomyślała panna Mayfield. To prawdopodobne, ale nie! I ta całkowicie niewyjaśniona wściekłość względem Ethel.

Powiedziała:

- Proszę wybaczyć mnie i mojemu kotu.

*

Kiedy była w połowie ścieżki ciągnącej się przez ogród, spotkała Wesleya Bainesa, niosącego torbę z narzędziami stolarskimi. Pozdrowił ją ze szczerym uśmiechem na ustach.

- Sydney i ja polowaliśmy na królika - powiedziała mu, po czym zaczęła wszystko opisywać.

- A więc go złapał, tak? Zrobiłem dla niego klatkę. Tydzień lub dwa tygodnie temu Em nie chciała słyszeć o trzymaniu królika, ale w końcu się zgodziła.

- Jeden jest posłuszny, to z rodzinkami są problemy - oznajmiła mu panna Mayfield.

- To prawda i jednego będziemy się trzymać, jeżeli w ogóle mam coś do powiedzenia

w tej sprawie.

*

Tego wieczoru, wchodząc do domu, po raz pierwszy poczuła, co kanonik Thorby miał na myśli, mówiąc o izolacji. Tęskniła za kimś, z kim mogłaby porozmawiać, wyjawić nawet najbardziej niezwykle pomysły i nie zostać wyśmianą. Rose nadawałaby się idealnie. Pełne samozaparcia, niemalże święte życie tej kobiety nie przytępiło jej rześkiego, dociekliwego umysłu. Słuchałaby i podróżowała wraz z panną Mayfield do krańców wyobraźni, a potem przedstawiała własne logiczne wyjaśnienie wszystkiego.

Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie.

Z drugiej strony, Janet Lovelace wysłuchałaby całej historii wyłącznie dla rozrywki. Potem dodałaby kilka własnych niesamowitych domysłów, aby uczynić całą historię jeszcze ciekawszą, a potem wybuchem szczerego śmiechu zniszczyłaby całą strukturę, mówiąc: „Co za nonsens!”.

To musi być nonsens.

Jednak nie było nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, a myśli w jej głowic, niczym konie cyrkowe, krążyły wciąż dookoła, zmierzając donikąd.

W końcu wzięła kartkę papieru i małymi literami, bardzo delikatnie, tak aby pismo było jak najmniej widoczne, zaczęła pisać w dwóch kolumnach obok siebie. Po lewej stronie pisała to, co wiedziała lub w co wierzyła, a po prawej spisywała wszystkie swoje podejrzenia.

Pani Baines zmieniła się.

Pani B. wierzy, że przez panią R. zachorowała na półpaśca i że ta sama osoba sprawiła, że zachorował Sydney. W sobotę wróciła do domu i dobiła targu.

Ethel mówi, że jej babcia czegoś chce.

Ktoś zajmuje się okultyzmem?

Ethel ma króliki i lubi Sydneya,

Króliki i Sydney zagrożeni,

ale temu zaprzecza.

więc Ethel udaje.

Przez chwilę wpatrywała się w kartkę, a potem po prawej stronie, niemal nie dotykając papieru, napisała: „Babcia R. jest wiedźmą, a kot jest jej kompanem”.

*

- No naprawdę - powiedziała sama do siebie tonem wyrażającym protest i przez kilka następnych minut darła papier na kawałki mniejsze od konfetti.

Mimo to i tak zachowała szczególną ostrożność i zanim wyrzuciła skrawki do kosza, dokładnie zmieszała je z mokrymi fusami.

8

Nazajutrz, w poniedziałkowy poranek Ethel Rigby, aby podtrzymać legendę dotyczącą jej przeziębienia, wróciła do szkoły z chusteczką do nosa wymoczoną w wyciągu z eukaliptusa. Na palcach natomiast miała kilka niepozornych kawałków plastra. W ciągu dnia jej częste - i jak uważała panna Mayfield, również niepotrzebne - korzystanie z chusteczki, sprawiło, że nos dziewczynki stał się różowy. Raz, patrząc na nią, panna Mayfield przypomniała sobie teorię, że ludzie upodabniają się do pupili, którymi się opiekują. W bladej urodzie Ethel było coś z królika.

Około godziny piętnastej panna Mayfield była już rozdrażniona zachowaniem Ethel. Dziewczynka przez cały dzień wyraźnie nie uważała. Meble w tutejszej szkole były niezwykle nowoczesne i funkcjonalne. Każde dziecko miało ławkę z ruchomym pulpitem, który można było albo pochylać, albo ustawiać płasko. Po prawej stronie, pomiędzy pulpitem a podłogą, znajdowały się trzy otwarte półki na zeszyty, pióra, ołówki i farby. Cztery razy w ciągu tego poniedziałkowego dnia panna Mayfield - której wzrok wędrował ku Ethel częściej, niż zdawała sobie z tego sprawę - zauważyła, jak dziewczynka zdejmuje, przygląda się lub pośpiesznie wymienia jakiś przedmiot leżący na górnej półce.

Za czwartym razem poczuła, że powinna już wygłosić małe upomnienie:

- Ethel, nie było cię w szkole przez prawie dwa tygodnie i aby nadrobić stracony czas, powinnaś ciężko pracować. Cokolwiek rozprasza twoją uwagę, proszę, zostaw to w spokoju albo będę musiała cię poprosić, abyś położyła to na moim biurku.

Ethel oblała się szkarłatnym rumieńcem i przez resztę zajęć zachowywała się nieskazitelnie.

O szesnastej, kiedy zakończyły się zajęcia, panna Mayfield, po raz kolejny nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co robi i dlaczego, spojrzała na Ethel Rigby i zauważyła, że dziewczynka nie ma nic w rękach. Kiedy tylko zamknęły się drzwi od klasy i panna Mayfield została sama ze stertą zeszytów, które trzeba było sprawdzić, podeszła do ławki Ethel.

Na górnej półce było tylko to, co można się było spodziewać, że tam będzie. Tak samo na drugiej półce. Trzecia też wydawała się bez zarzutu, dopóki panna Mayfield nie sięgnęła głębiej, chcąc wyciągnąć pudełko z farbami i grzbietem ręki otarła o coś, co było

przytwierdzone do części oddzielającej drugą półkę od trzeciej. Oplotła więc palce wokół tego, co zdawało się być małym pudełkiem i pociągnęła. Rozległ się dźwięk, jakby się coś rozdzierało. Panna Mayfield trzymała w ręce małe, kartonowe pudełeczko; na jego krańcach przyklejony był plaster, który przytwierdzał je do górnej części półki, teraz luźno zwisał po obu stronach.

Z dziwną obojętnością zauważyła, że palce rąk zaczęły jej drżeć, zrobiły się gorące, mokre i wiotkie. Była ciekawa, co tak bardzo odwracało uwagę Ethel, szukała tego i w końcu znalazła. Jednak teraz... teraz już nie wykazywała specjalnej ochoty na to, aby dalej prowadzić swoje śledztwo. Stała tak i trzymała pudełeczko w niewielkiej odległości od siebie, jak gdyby bała się, że zaraz wybuchnie.

W końcu podniosła wieczko i zobaczyła, że w środku znajdowało się trochę nieszkodliwej waty. Przyszło jej do głowy, że chodzi o coś, co ta dziewczynka, będąca jej uczennicą, traktowała jak skarb, owinęła w watę i - dość sprytnie - próbowała ukryć. Jakim prawem ona się wtrącała? Jakim prawem? Z jakiego powodu?

Używając wyłącznie koniuszka palca i kciuka, podniosła okrycie z waty i bez żadnego zaskoczenia, a nawet z chwilową satysfakcją, spojrzała na przedmiot, który ukazał się jej oczom. Wiedziała! Wiedziała od samego początku!

Była to mała postać zrobiona z kawałka rozmiękczonej świecy. Miała szarawobiały kolor i była półprzezroczysta. Postać ta przedstawiała mężczyznę w dwóch kawałkach. W rzeczy samej, jego pleć została nieproporcjonalnie wyolbrzymiona. Czubek głowy został odcięty i wciąż był oddzielony od reszty, wyglądał niczym indiański skalp. Jednak wata, którą wypchane było pudełko, dociskała odcięty kawałek na swoje miejsce. Wata była obsypana kawałeczkami czegoś, co wyglądało jak rozkruszone, suche pozostałości jakiegoś zielonego liścia.

W głowie panny Mayfield odezwał się głos: *To Sydney. Babcia Rigby zrobiła tę figurkę i odcięła jej czubek głowy. Odcięła jego świadomość. Ethel ją poskładała i dla bezpieczeństwa owinęła watą.*

Co to za wariactwo? Jest rok 1959. Przynajmniej od jakichś dwustu lat nikt nie wierzy w czary; prawo przeciwko ich nielegalności zostało uchylone. A oto ja, zwykła bogobojna wiejska nauczycielka... stoję tutaj, trzymając dowód w rękach.

Ale to żart, wyświechtany żart; robienie figurek z wosku po to, aby wbijać w nie szpilki. Janet Lovelace miała płytę z niektórymi numerami popularnej rewii granej na West Endzie: jeden mężczyzna zaparkował w miejscu niedogodnym dla drugiego mężczyzny i wtedy tamten powiedział, że zrobi woskowy model na kształt grubej części (cokolwiek

miałoby to znaczyć) tegoż intruza i będzie wbijał weń szpilki. Na nagraniu słyhać, że żart ten został przywitany głośnym śmiechem. Tak, w dzisiejszych czasach był to żart.

Ale nie dla Sydneya. Nie dla jego matki. Nie dla Ethel. I nie dla mnie. Boże, pomóż, nie dla mnie!

Przypomniała sobie, jak niezwykle pokornie modliła się o otrzymanie jakiegoś znaku, który rozjaśniłby całą tę oszołamiającą sytuację albo o łaskę siły umysłu, aby umiała o tym wszystkim zapomnieć.

Czy to był ten znak?

Tak samo szybko pojawiło się pytanie, co z tym zrobić. Coś kusiło ją, żeby to zabrać i gdzieś szczelnie zamknąć, aby kiedyś w przyszłości, jeżeli akurat będzie tego potrzebowała, wyciągnąć to z powrotem. Ale niby po co miałyby kiedykolwiek tego potrzebować? I czy w ogóle miała prawo, aby to zabrać? Zarówno to pudełeczko, jak i wszystkie inne rzeczy należały do Ethel.

W końcu odłożyła watę na miejsce, zamknęła pudełeczko i za pomocą taśmy klejącej przytwierdziła je z powrotem do górnej części półki. Starła się o tym zapomnieć, ale nie potrafiła i praktycznie codziennie, będąc pod neurotycznym przymusem, musiała sprawdzać, czy pudełeczko wciąż znajduje się tam, gdzie je znalazła. Dzień za dniem, kiedy tylko kończyły się popołudniowe zajęcia, szła do ławki Ethel i do jednej z półek wpychała badawczą dłoń. Pudełeczko zawsze tam było. Ethel znalazła bezpieczną kryjówkę i cieszyła się, że mogła chować w niej swój mały sekret.

*

Minął ponad tydzień, zanim coś ważnego się wydarzyło.

*

Na samym początku semestru kanonik Thorby mówił o festynie, który odbywał się każdego roku w trzecią sobotę lipca w ogrodzie probostwa. Otwarcie powiedział wtedy:

- Celem tej uroczystości jest zbieranie funduszy na państwowe domy dziecka. Moja matka zapoczątkowała tę akcję, jeszcze za czasów istnienia stowarzyszenia o nazwie Sieroty. Osobiście wolałbym po prostu wypisać czek i zaoszczędzić sobie całego tego kłopotu i bałaganu, ale zauważyłem, że jest to miłe spotkanie towarzyskie uzasadniające wdzianie na siebie nowej sukienki. Organizujemy rozmaite zabawy: strącanie drewnianymi kulami kokosów z podpórek, grę w kręgle, szukanie skarbu i wiele innych typowych rozrywek, a także - i tutaj już włącza się pani - widowisko inscenizowane przez uczniów. - Następnie, w nieco komiczny, a zarazem poważny sposób zaapelował: - I p r o s z ę, droga panno Mayfield, czy w tym roku możemy nie oglądać animowanych rymowanek? Niestety,

pomysłowość pani Westleton właśnie na tym się kończyła i poza porównywaniem tegorocznej Miss Muffet z tą zeszłoroczną - co zresztą zawsze wychodzi ze szkodą dla tej pierwszej - zainteresowanie jest bardzo słabe. Oczywiście - dodał prędko - wiem, że trudno jest wymyślić coś takiego, w czym mogłyby brać udział dzieci w różnym wieku i różnego wzrostu. Nikogo nie można pominąć.

Panna Mayfield odezwała się dość niepewnie:

- Raz, kiedy uczyłam w Alchester, przygotowywaliśmy krótkie, bardzo proste scenki historyczne: Raleigh, rozkładający na ziemi swoją pelerynę dla królowej Elżbiety, Karol I Stuart idący na ścięcie i tak dalej. Czy sądzi pan, że byłoby to dla nich nudne?

- Gdybym ja to wiedział... Nie, jestem pewny, że byliby zachwyceni. Będzie pani potrzebowała sporo kostiumów, ale zawsze można je wypożyczyć.

- Kilka możemy zrobić sami. Widzi pan, miałyby to związek zarówno z lekcjami szycia, jak i historii, a ja mocno wierzę w korelację, chociaż wiem, że inni patrzą na to krzywym okiem i uważają to za staromodne.

- Według mnie, pomysł jest znakomity, pod warunkiem że nie weźmie pani na siebie zbyt wiele i nie uczyni z tego uciążliwego obowiązku.

*

Dziewczynki z entuzjazmem przyjęły wiadomość o robieniu kostiumów zamiast nudnej odzieży codziennego użytku. Audrey Head, której mama była tutejszą krawcową, okazała się ekspertem w szyciu na maszynie i wykonywała swoją pracę niezwykle szybko. Pewnego dnia, datę panna Mayfield zapamiętała - 29 maja - podczas lekcji szycia, która zawsze przypadała na koniec szkolnego tygodnia, Audrey bardzo pragnęła zrobić przymiarke. Jeden z kostiumów, ten w kolorze czarnym, w którym - jako Maria I Stuart - miała występować Ethel Rigby, był już dostatecznie przygotowany, by można było go przymierzyć.

Panna Mayfield chciała, aby dziewczynki same wzięły odpowiedzialność za szycie kostiumów, dlatego pozostawała na drugim planie. Tymczasem one uwijały się z robotą, a kierowała nimi Audrey, która po chwili powiedziała:

- Chodź, Ethel. Ten jest twój.

- Czy mogę przymierzyć go na sweter? Inaczej rozczochram sobie włosy.

- Nie, nie możesz! Musi dobrze leżeć. Do licha z włosami, pożyczę ci później mój grzebień.

Kiedy Audrey z determinacją podeszła do Ethel, trzymając długą i miękką sukienkę w kolorze czarnym, przewieszoną przez ramię, ta zrobiła krok w tył.

- Nie chcę, żebyś mnie tarosiła, Audrey Head - powiedziała z nadąsaną miną. - Daj

mi to.

Chwyciła sukienkę i wycofała się, aż plecami dotknęła ściany, a potem ostrożnie zdjęła sweter i spódniczkę. Następnie założyła suknię i wyginając się, próbowała zapiąć długi zamek znajdujący się na plecach. Panna Mayfield i Audrey po wcześniejszej naradzie postanowiły, że aby ułatwić zmianę strojów, pozwolą sobie na anachronizm.

W umyśle panny Mayfield pojawiła się myśl, która nie miała nic wspólnego z Ethel jako wnuczką starej pani Rigby. Była to raczej samochwalcza myśl. Dobrze wybrałam, powiedziała sama do siebie, dziewczynka ma znacznie mniej dorodne kształty niż cała reszta, równie dobrze mogłaby „przesiedzieć dwadzieścia lat na zamku w Fotheringay”³. W rzeczy samej, wszystkie dziewczynki po założeniu kostiumów zostały jakby odmienione, jednak Ethel zmieniła się w piękność, z jej postaci promieniowało dostojeństwo, a zarazem smutek.

Panna Mayfield powiedziała:

- Dopiero teraz wpadłam na pomysł, że powinnaś nosić krezę, Ethel. Nie jestem pewna, czy w tamtych warunkach ktokolwiek by ją założył, ale ty musisz mieć dużą, sztywną krezę, którą - co będzie swego rodzaju symbolem rezygnacji - będziesz powoli zdejmowała.

- Jam nie całkiem pewna, czy rąbek jest równy - powiedziała Audrey z zarozumiałym samokrytycyzmem.

- Ja nie jestem - poprawiła ją panna Mayfield.

- Pani też nie? - odezwała się Audrey, nie rozumiejąc uwagi. - Odwróć się, Ethel. Nie, nie tak, powoli. Mam rację, z lewej strony jest wyżej.

Uklękła i zajęła się szpilkami.

Panna Mayfield, udając, że przygląda się czynnościom Audrey, podeszła bliżej. Ustawiła się nieco za Ethel i kiedy Audrey powiedziała: „OK, starczy. Nie wiem, żeby coś jeszcze było nie tak”, pochyliła się do przodu i odpięła zamek na plecach uczennicy.

Z godnym podziwu opanowaniem panna Mayfield powiedziała jedynie:

- W porządku, Ethel, możesz się rozebrać. A co z twoim kostiumem, Audrey?

Pół godziny później siedziała sama w klasie i rozmyślała.

Kiedyś - choć było to niedawno, to zdawało się jej, że pół życia temu - kanonik Thorby powiedział, że jeżeli potrzebowałaby powierniczki, to jego siostra idealnie do tego się nadaje. I teraz - chociaż pomysł ten nie bardzo do niej przemawiał - wydawało się jej, że chyba nadszedł odpowiedni moment... Pomyślała, że powinna wziąć tę woskową laleczkę, aby mieć dowód, że niczego sobie nie wymyśliła.

³ Na zamku w Fotheringay przez dwadzieścia lat więziono Marię I Stuart.

Wstała, podeszła do ławki Ethel i wsunęła rękę w znajome miejsce. Pudełko zniknęło. Pomiędzy czwartkowym a piątkowym popołudniem zostało stamtąd zabrane. Jedyne ślad, jaki po nim pozostał i świadczył, że kiedykolwiek się tam znajdowało, to niewielka lepkość w miejscu, w którym przez tak wiele dni przyklejona była taśma.

Jestem głupia, że nie zabrałam pudełeczka wtedy, kiedy miałam na to szansę, z rozgoryczeniem powiedziała sama do siebie. Po namyśle stwierdziła, że lepiej będzie podejść do tej sprawy od strony faktów, a nie fantazji. To, co podejrzewała i to, co sobie wyobrażała, nie miało żadnego znaczenia.

Poszła do domu, zrobiła sobie nieco mocniejszą herbatę niż zwykle i zmusiła się, aby spokojnie ją wypić. Następnie zimną wodą obmyła twarz i uczesała włosy. Kiedy zadzwoniła do drzwi probostwa, była siedemnasta trzydzieści. Do środka wpuścił ją Reeve. Kiedy zapytała go o pannę Thorby, nie powiedział nic, co wskazywałoby, że tego popołudnia panna Thorby nie przyjmuje gości. Jednak, gdy wprowadzono ją do pokoju, do którego podczas swej pierwszej wizyty nie wchodziła, a w którym mieściła się biblioteka, została przywitana przez kanonika, który z pewną udawaną melancholią powiedział:

- Proszę, czy mogę być ja? - Następnie, w typowy dla siebie sposób, dodał: - Biedna Izabel ma jeden z tych obezwładniających bólów głowy i leży w łóżku.

- Tak naprawdę wolałabym raczej panu o tym powiedzieć, ale kiedyś dał mi pan do zrozumienia, że panna Thorby...

- Rozumiem. O Boże, wygląda pani na zmartwioną. Proszę spocząć i wszystko mi opowiedzieć.

- Tego popołudnia robiłyśmy przymiarki kostiumów, które przygotowujemy na festyn, podczas którego będziemy prezentować pewne sceny. Kiedy przyszła kolej na Ethel Rigby, zauważyłam...

- Że skończył się pani materiał? Droga panno Mayfield, proszę w ogóle się tym nie martwić. Mówiłem, aby wypożyczyć to, co będzie potrzebne.

- Ethel Rigby - upartym głosem oznajmiła panna Mayfield - całkiem niedawno została naprawdę dotkliwie pobita.

- Co? Ethel Rigby?

- Ethel Rigby. I powinnam panu powiedzieć, że już wcześniej mówiono mi, iż jej babcia znęca się nad nią.

- Stara Phoebe Rigby znęca się nad Ethel! Panno Mayfield, toż to ewidentny nonsens. Nie ma bardziej troskliwej, bardziej pobłażliwej... Szukał teraz jakiegoś decydującego, finalnego przymiotnika.

- Wiem. Już to wszystko słyszałam, kanoniku Thorby I wiem, że właśnie tak to wygląda. Dziewczynka jest z nią w zмовie i podtrzymuje takie wrażenie. Ale ja w to nie wierzę. Nie po tym, co widziałam tego ranka.

- No cóż - powiedział kanonik - możemy wkrótce rozstrzygnąć tę kwestię i poznać prawdę. Zaraz się tam udam i sam zobaczę. Może pani iść ze mną, albo nie - jak pani woli.

- Pójdę. W końcu to ja jestem oskarżycielką.

- Prawdopodobnie istnieje jakiś, nie chcę powiedzieć: powód, ponieważ przemoc fizyczna nigdy nie jest rozsądnym wyjściem, ale musi być jakieś uzasadnienie. Niemniej jednak, muszę przyznać, że Ethel nigdy nie wyglądała mi na dziewczynkę, która potrzebowałaby kary. Gdyby Reeve zbił teraz kijem tę łobuzicę Juliet, nikt nie mógłby go za to winić. Ethel zawsze wydaje się być trochę apatyczna, ale oczywiście zachowanie dzieci pomiędzy innymi ludźmi a ich zachowanie w domu to dwie różne rzeczy.

- Niczym - stanowczo powiedziała panna Mayfield - niczym dziewczynka nie mogła zasłużyć sobie na takie lanie.

- O Boże, jest aż tak źle?

Ponieważ był wyższy, nieco z góry i z ukosa spojrział na nią i zapytał:

- Proszę mi wybaczyć, że o to dopytuję, ale czy po raz pierwszy styka się pani z czymś takim?

- Niezupełnie... - Opowiedziała mu o przypadkach mających miejsce w Alchester i dodała: - Afrykanie są niezwykle pobłażliwi dla dzieci, kiedy te są młode, ale mają pewne... pewne bardzo brutalne zwyczaje, z którymi musiałam nauczyć się żyć. Nie jestem przesadnie wrażliwa.

- Nie, oczywiście. Zapomniałem. Tak delikatnie pani wygląda, niczym porcelana drezdeńska. Można pomyśleć, że całe życie spędziła pani pod kloszem, a przypuszczam, że prawda jest całkiem inna.

*

- Dobry wieczór, proszę pana - powiedziała pani Rigby, a następnie zwróciła się do panny Mayfield, ale już ze znacznie mniejszą serdecznością: - Dobry wieczór, proszę pani. - Po czym wprowadziła ich do salonu.

Wie, po co przyszliśmy, pomyślała panna Mayfield i była zadowolona, że może liczyć na wsparcie kanonika.

Staruszka, po tym jak już usiedli jej goście, sama również spoczęła na twardym, prostym krześle, po czym złożyła ręce i umieściła je na kolanach.

Kanonik Thorby, zachowując się naturalnie oraz przyjaźnie, przeszedł od razu do

sedna sprawy.

- Pani Rigby, dzisiejszego popołudnia w szkole Ethel miała powód, aby zdjąć z siebie ubranie i wtedy panna Mayfield, ku swemu zdumieniu, zauważyła, że na jej plecach są ślady po biciu. Dość surowym biciu.

- Dziwne, gdyby ich tam nie było - odpowiedziała pani Rigby bez żadnego zmieszania lub skruchy. - Porządnie ją sprąłam i sądzę, że przez jakiś tydzień ślady na jej plecach się utrzymają.

- Czy możemy się dowiedzieć, dlaczego ją pani zbiła?

- Oczywiście. Pan to zrozumie. Nie pozwolę jej, żeby zachowywała się tak jak Maud, i mam nadzieję, że biciem przemówię jej do rozumu.

- Czy to ten sam stary problem?

- Przykro mi to przyznawać, ale tak. Na razie nie będę wymieniała imion. Sądzę, że przemówiłam już Ethel do rozsądku, ale jeżeli jeszcze będę miała z tego powodu zmartwienia, to poproszę pana, aby porozmawiał pan z tym chłopakiem. Pomijając całą resztę, ona ma dopiero czternaście lat i myślę sobie czasami, że nie jest jeszcze zbyt bystra.

- Zrobię coś więcej niż tylko zamienię z nim słowo - powiedział kanonik srogo. - Wracając do Ethel, czy nie uważa pani, że jest już zbyt duża, aby ją bić? Czy próbowała pani przekonywać ją w inny sposób?

- Rozmawiałam z nią tak długo, aż twarz mi spurpurowiała. Oboje jesteście mądrymi ludźmi, a więc może mi powiecie, co robić z czternastolatką, która przychodzi i mówi: „Będę robiła, co mi się podoba?”. Zwłaszcza - w tym miejscu jej głos niemal się załamał - kiedy się wie, co zdarzyło się wcześniej, patrzy się wstecz i... pamięta.

- Wiem, wiem - pospieszenie odezwał się kanonik - to bardzo męcząca sytuacja. A może po prostu zbyt szybko się pani przejmuje, historia rzadko powtarza się w dokładnie ten sam sposób. Czy miałaby pani coś przeciwko, gdybym zamienił słowo z Ethel?

- Czemu miałabym mieć coś przeciwko? Jest w domu.

Otworzyła drzwi od pokoju znajdującego się w tylnej części domu i zawołała. Zjawiała się Ethel, trzymająca w rękach robótkę. Była to przedza, z której robiono ściereczki do naczyń i która, posmarowana farbą aluminiową, miała służyć za kolczugę w niektórych scenkach. Starsze dziewczynki miały za zadanie popracować nad tym w domu.

- Witaj, Ethel - odezwał się kanonik. - Chciałbym, abyś mi własnymi słowami opowiedziała, co dokładnie wydarzyło się ostatniego wieczoru.

- A co wydarzyło się ostatniego wieczoru, proszę pana?

- Czy nie zostałaś ukarana?

Ethel odwróciła się w stronę swojej babci i zjadliwym tonem powiedziała:

- Po co o tym rozpowiadasz? Uderzyłaś mnie, prawda? Czy to nie wystarczyło? Czy chcesz przed wszystkimi zrobić ze mnie idiotkę?

- Ja o tym powiedziałam, Ethel. Zobaczyłam twoje plecy, kiedy tego popołudnia w szkole odpięłam zamek od sukienki, którą miałaś na sobie. Pomyślałam, że należy coś z tym zrobić.

- Ach - westchnęła Ethel i spod spuszczonej powiek spojrzała ponuro i gniewnie na pannę Mayfield.

- Gdyby się pani trochę lepiej przyjrzała - powiedziała pani Rigby uprzejmie, ale chłodno - to zauważyłaby pani, że coś zostało zrobione. Zeszłej nocy i tego ranka również nałożyłam balsam na te pręgi. Ethel jest mi bardzo bliska i nie chcę jej ranić. Ale nie będę tolerować jej prowadzenia się z kim popadnie i pyskowania.

- Ed Woodly jedynie szedł ze mną wzdłuż uliczki. Jeżeli ty to nazywasz prowadzeniem się... - odpowiedziała beczelnie Ethel.

- Nie powinnaś w ten sposób zwracać się do swojej babci - zwrócił jej uwagę kanonik Thorby. - Pewnego dnia, kiedy będziesz już starsza i mądrzejsza, zdasz sobie sprawę, ile jej zawdzięczasz. Powinnaś się wstydzić, że przez ciebie tak się niepokoi.

- Wstydzi się, wstydzi, proszę pana - powiedziała staruszka, broniąc wnuczki. - Dlatego tak ostrym tonem odezwała się do mnie. - Następnie spojrzała na pannę Mayfield i zwróciła się do niej: - Szkoły są odpowiedzialne za wiele rzeczy, proszę pani, ale są pewne sprawy, którymi musimy zająć się sami tak dobrze, jak tylko potrafimy.

- Ma pani świętą rację, pani Rigby - wtrącił kanonik Thorby. - Jestem pewny, że panna Mayfield jako pierwsza...

Co jako pierwsza? Przyzna się do błędu? Przeprosi? Nie, nie zrobię tego. Wciąż nie jestem p r z e k o n a n a. Nie wiem dlaczego, ale nie jestem. Po raz kolejny zrobiono ze mnie idiotkę, ale mnie nie przekonano.

- Myślę, że każdy nauczyciel - czy ktokolwiek inny - kto zobaczy takie ślady na ciele dziecka, czuje moralną odpowiedzialność, aby podjąć jakieś działania - powiedziała na głos.

- A więc, co zamierza pani zrobić? - zapytała spokojnie, ale i zuchwale, pani Rigby.

- Poszłam do kanonika Thorby, aby zasięgnąć jego rady. Ale muszę tutaj wspomnieć, że nie zdaje on sobie sprawy z rozmiaru ran na plecach Ethel.

- Łatwo się zagoją. Ethel, zdejmij ten sweter.

- Posłuchaj - odezwała się dziewczynka - postawiłam ci się, u ty za to dałaś mi lanie, nie zamierzam robić tutaj striptizu.

Położyła robótkę na stole, zacisnęła pięść i sięgając ręką za siebie, uderzyła się między łopatkami.

- Nie boli - oznajmiła.

Jednak było to kłamstwo. Panna Mayfield widziała, jak skóra wokół jej ust oraz na nasadzie nosa napięła się i zbladła.

- Dość szumu wokół tego - odezwała się Ethel, po czym otworzyła drzwi pokoju, z którego wcześniej wyszła i przeszedłszy przez próg, szybko je za sobą zatrzasnęła.

- Widzicie - odezwała się pani Rigby.

- Tak. Ma pani pełne ręce roboty. Ale jedną rzecz widać jak na dłoni, czyż nie, pani Rigby? Mianowicie, bicie Ethel nie przynosi większych efektów.

- No, wie pan, po prostu spróbowałam. Wciąż jednak mam jedną lub dwie rzeczy w zanadru. I nie chcę, aby pan mówił, że to ja narzekałam na Eda Woodly'ego, to Ethel wspomniała jego imię. Przypuszczam, że trochę się pospieszyłam. Nie mieli żadnych złych zamiarów, ale sam pan wie, jaki on jest, najgorszy z najgorszych. Kiedy Ethel zaczęła pyskować, straciłam panowanie nad sobą i przyłożyłam jej mocniej, niż zamierzałam.

Kiedy to się stało?, zastanawiała się panna Mayfield, próbując wyobrazić sobie całą scenę. Uderzenia nie zostały zadane Ethel przez ubranie, co do tego była prawie pewna.

- Tak przy okazji - powiedziała pani Rigby - napisałam ten przepis na potpourri, o który prosiła mnie panna Izabel, kiedy zdobyłam nagrodę w konkursie na najlepsze potpourri. A skoro pan tu dzisiaj jest, to może mógłby pan go zabrać. Niedługo będziemy zbierać płatki róż.

Podeszła do kredensu i wróciła z kartką papieru, którą kanonik złożył i - wstając - ostrożnie wsunął do portfela.

- Tylko proszę o tym nie zapomnieć - przypomniała mu, uśmiechając się.

- Postaram się. No więc, pani Rigby, przepraszam za to wszystko. Przy najbliższej okazji powiem kilka słów o posłuszeństwie i szacunku dla rodziców i starszych, jak również taktownie zamienię słowo z panem Woodlym. Straci pracę, jeżeli się nie poprawi.

- Proszę pana, tylko nie z powodu takiej głupoty. Znam jego matkę, odkąd była w wieku Ethel. Kiedyś razem byliśmy na służbie. Nie chciałabym złamać jej serca przez taki drobiazg. To zły człowiek, temu nie zaprzeczam, oczywiście, jeżeli chodzi o jego obchodzenie się z dziewczynami, ale jest dobry dla matki i pod żadnym pozorem nie chciałabym...

- W porządku, pani Rigby. Tym razem przymknę na to oko. I proszę nie być zbyt surową dla Ethel, zgoda? Jest po prostu w trudnym wieku. Jestem pewny, że dziewczynka nie

ma żadnych poważnych wad. Dobranoc.

*

Kiedy szli wzdłuż Curlew Lane, kanonik zapytał:

- Czy teraz czuje się pani spokojniejsza?

Po zbyt długim milczeniu, w końcu odpowiedziała:

- Przypuszczam, że chyba muszę.

- Gniew starej Phoebe wziął górę, to jasne. Myślę, że się tego wstydzi, ale jest zbyt dumna, aby się przyznać. Gdyby знаła pani całą historię, to wiedziałaby pani, dlaczego chłopcy wytrącają ją z równowagi.

- Panna Benson trochę nakreśliła mi sytuację.

- Wie pani, bicie kogoś za karę, to nie to samo co długotrwałe zaniedbywanie lub celowy sadyzm, o czym czasami się czyta. Był czas, kiedy najwyżej postawieni ludzie w tym kraju bili swoje dzieci.

- Wiem o tym. Lady Jane Grey, Margaret Paston. To, co mnie dręczy, to postawa Ethel.

- Jest nieuprzejma i buntownicza, zgadzam się.

- Nie o to dokładnie mi chodzi, chociaż sądzę, że ta nieuprzejmość i buntowniczność są nietypowe, udawane. Tak naprawdę zadziwia mnie sposób, w jaki trzyma stronę babci.

- Z pewnością świadczy to o tym, że nic wielce złego między nimi się nie dzieje.

Przez chwilę kanonik nic nie mówił i wtedy do uszu panny Mayfield dotarł delikatny, smutny płacz turkawek, dochodzący z drzew znajdujących się za działkami.

- W tym spokojnym zaścianku nie spędziłem całego swojego życia. Przez pierwsze cztery lata, zaraz po otrzymaniu święceń, byłem wikariuszem w bardzo biednej parafii położonej na wschodnim krańcu Londynu. Tam moją uwagę zwróciły jeden lub dwa przypadki znęcania się nad dziećmi i zapewniam panią, że żadne dziecko, nawet gdyby znajdowało się w obecności obcych, którzy zapewniłoby mu bezpieczeństwo, nie śmiałoby zwracać się do swych oprawców w sposób, w jaki robiła to dzisiaj Ethel, rozmawiając ze swoją babcią.

- No chyba, że wcześniej, dla zmyłki, kazano by im się tak zachowywać. A wszystko po to, aby ludzie, którzy będą zadawać im pytania, doszli do takich samych wniosków, do jakich doszedł pan przed chwilą.

Kanonik stanął w miejscu.

- A to sprytne! - krzyknął. - Potem, maszerując dalej, powiedział:

- Przypuszczam, że w niektórych przypadkach rzeczywiście mogłoby tak być. Ale nie

w tym. Nie miały czasu, aby wymyślić bajeczkę. Staruszka otworzyła drzwi i zawołała Ethel. Reakcja dziewczyny była spontaniczna, jestem tego pewien. Naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, aby stara babcia Rigby okładała Ethel i w tym czasie mówiła jej: „Jeżeli ktoś cię zapyta - bach! - jak to się stało, że jesteś pobita - bach! - masz powiedzieć - bach!, bach! - że prowadziłaś się z chłopakami”. A pani potrafi?

- Nie, jeżeli tak miałyby to wyglądać - powiedziała nieco znużona. - Ale możliwe, że mają swego rodzaju układ, aby zbywać wszelkie pytania, żeby nie zdarzyło się coś gorszego.

Kiedy kanonik się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć lekkie zniecierpliwienie.

- Wie pani, myślę, że niepotrzebnie pani to wszystko komplikuje. Całe życie znam Phoebe Rigby. Nie jest żadną sadystyczną, spiskującą i niezwykle przebiegłą kobietą, chętnie bijącą dzieci. Jest za to biedną, prostą staruszką, której jedyna, ukochana córka skończyła na ulicy i która teraz obawia się, że jej wnuczka pójdzie tą samą drogą. Tak samo i ona zna mnie bardzo długo i kiedy mówię jej, aby nie była „zbyt surowa dla Ethel”, traktuje moje słowa, jakby to był rozkaz. Mimo iż sprawiam wrażenie kogoś, kto ma swobodny sposób bycia, to zapewniam panią, że panuję nad całą wsią. A teraz pogadajmy o czymś przyjemniejszym. Jak tam idą przygotowania scenek historycznych?

Idąc wzdłuż krótkiej ścieżki biegnącej przez błonia, dotarli już prawie do domu, który obecnie zajmowała panna Mayfield.

- Większość uczniów zna już teksty na pamięć. Ale oczywiście liczymy, że to spektakl wzbudzi zainteresowanie wszystkich. Będzie więcej do oglądania aniżeli do słuchania. Stroje naprawdę mają dość ładne kolory. Prawdę mówiąc, mam przy sobie ich szkice, które na tę okazję przygotowałam w domu. Chciałby pan rzucić na nie okiem?

Do pewnego stopnia zdawała sobie sprawę, że mu się podlizuje. Wcześniej go trochę rozzłościła, a więc teraz chciała powrócić do łask.

- Bardzo chętnie - powiedział.

Weszli do domu i udali się do salonu, gdzie na sofie i na podłodze panna Mayfield rozłożyła barwne rysunki. Kanonik Thorby usiadł na krześle i po raz kolejny doświadczył fizycznego załamania. Panna Mayfield zdała sobie sprawę, że ten niewielki epizod, który niedawno się zakończył, wyczerpał kanonika: mężczyzna zbladł, a wszystkie zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, nadając jej niezmiernie znużony wyraz. Przypomniała sobie ból głowy panny Thorby. Prawdopodobnie w jego życiu pojawiały się niespodziewane napięcia i stres.

Głosem, który brzmiał niczym matczyzny, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, powiedziała:

- Czy przynieść jeden z pana drinków, kanoniku Thorby?

- Byłoby bardzo miło z pani strony. Miałem naprawdę ciężki dzień i... choć brzmi to absurdalnie, w rzeczywistości nie znoszę przywoływać innych do porządku. Wiem, że tak trzeba, i dlatego tak robię, ale to wbrew mojej naturze.

- Widzę.

Spojrzał na nią i powiedział:

- Większość ludzi nie jest tak przenikliwa. Myślą, że jestem twardy i jadę przez życie niczym potężny walec - oznajmił, uśmiechając się.

- Napiłby się pan sherry? - zapytała, niezmiernie chcąc służyć mu pomocą.

- Niestety, ale nie tej, którą, kierując się gustem pani Westleton, kupiłem dla pani. Piję tylko wytrawną sherry, a więc, jeżeli znowu przyniesie mi pani brandy i wodę sodową, będę wdzięczny.

Kiedy wróciła do pokoju, kanonik ponownie odżył i z wielkim entuzjazmem zaczął mówić o jej rysunkach.

- Są piękne. Nie miałem pojęcia, że jest pani tak utalentowana. Wyglądają profesjonalnie. Co zamierza pani z nimi zrobić?

- Już zostały wykorzystane w odpowiedni sposób. Kostiumy się szyją.

- Z pewnością szkice nie wrócą do tej teczki, aby swój czar marnować na uboczu. Za pani zgodą oprawimy je w ramki, a potem, na początek, wyeksponujemy podczas festynu... Tak, w oranżerii, gdzie podaje się herbatę... Po prostu po to, aby się pochwalić, jaki talent mamy w Walwyk. A potem, no cóż, zobaczymy...

Panna Mayfield, która swoje umiejętności oceniała dość skromnie, doszła do wniosku, że kanonik przesadnie prawi jej komplementy, ponieważ chce się zrewanżować za to, iż wcześniej troszkę się na nią rozżłościł.

9

- Chcę - powiedziała panna Mayfield, ze skrępowaniem typowym dla kogoś, kto wkroczył na nieznane mu terytorium - kupić butelkę sherry. Nie może być słodka.

- Wytrawną sherry - odezwał się młody mężczyzna, stojący za ogromną mahoniową ladą, który mówił niczym aktor recytujący swoją rolę.

- Tak. W każdym razie... - Nie była przekonana, czy zrozumiała poprawnie. - Niesłodką - powtórzyła jeszcze raz na wszelki wypadek. - I chcę, żeby była najwyższej jakości.

- Tio Pepe? Amontillado?

- Tą lepszą. W ogóle się na tym nie znam - dodała niepotrzebnie.

Właśnie wtedy drzwi w szklano-mahoniowej ścianie za ladą otworzyły się i pan Walter Freeman - jedyny spadkobierca rodzin Freemanów i Marshów, którzy ponad dwieście lat temu owemu przedsięwzięciu nadali swoje nazwiska - wyszedł z zaplecza. Miał sześćdziesiąt parę lat i był elegancki, ale raczej starał się nie rzucać w oczy. Za młodu natomiast, i jeszcze jakiś czas potem, był łasy na kobiety. Zwykł zawieszać oko na tej, która przypadła mu do gustu, a pod pewnymi względami panna Mayfield spełniała jego oczekiwania. Lubił drobne, urodziwo i bezradne kobiety, a panna Mayfield, mała i urodziwa, w tej akurat chwili była wręcz uosobieniem bezradności. Zauważył, iż niestety nic miała gustu, ale mimo to odezwał się:

- W porządku, Rowton. - Następnie zwrócił się do panny Mayfield:

- Być może mógłbym jakoś pani pomóc.

Po raz drugi musiała ujawnić swoją niewiedzę, ale tym razem była tego świadoma i dlatego jej policzki lekko poróżwiały.

- To nie jest błaha decyzja - powiedział z powagą pan Freeman - i nic wolno podejmować jej w pośpiechu. Czy zechce pani pójść ze mną?

Podniósł ruchomą część lady, otworzył drzwi znajdujące się za nią i zaprowadził ją do dużego, komfortowego pokoju, którego dekoracja i umeblowanie niewiele zmieniły się od czasów, kiedy przesiadywali w nim założyciele interesu, Walter Freeman i jego kuzyn Richard Marsh.

- Proszę usiąść - powiedział, odrobinę przesuając w jej stronę duże, pokryte skórą krzesło.

I tak też panna Mayfield zrobiła. Miała wrażenie, że jest to jakiś specjalny dział, w którym sprzedawana jest sherry i gdzie, jak w niektórych sklepach z odzieżą, towaru nie trzyma się na półkach. Kiedy pan Freeman podszedł do kredensu, utwierdziła się w przekonaniu, że jej podejrzenia są słuszne. Niemniej jednak, kiedy kredens został otwarty, nie zobaczyła tam żadnych butelek sherry, jedynie kilka karafek i kieliszków.

- Jeżeli chce pani wybrać sherry, które będzie pani najbardziej smakowało, to jedynym sposobem jest spróbowanie - powiedział. - O ile pamiętam, mówiła pani o wytrawnym sherry.

- Ale to nie dla mnie. Ja nigdy tego nie piję. Chodzi o to, że od czasu do czasu przychodzi do mnie pewien pan i chciałabym móc mu zaoferować sherry, a jedyne, co wiem, to to, że nie lubi słodkiego.

- Czy ten dzentelmen nie jest przypadkiem jednym z moich klientów?

- Nie wiem, to kanonik Thorby z Walwyk.

- A zatem bez problemów mogę pani doradzić, co kupić. Od kiedy dawne dni przemytu alkoholu dobiegły końca, mamy zaszczyt obsługiwać jego rodzinę.

Wypowiadając tę archaiczną frazę, nie stracił nic ze swej godności.

- To - powiedział, podnosząc karafkę bladego płynu, o niemal słomkowym kolorze - ulubiony trunek kanonika Thorby'ego. Czy jest pani pewna, że nie chce się pani z nim zapoznać?

- Nie, dziękuję. Jestem pewna.

Mężczyzna z żalem zamknął kredens.

- Rozumiem, że Walwyk to niezwykle malownicza wieś. Być może zabrzmiało to dziwnie, jeżeli przyznam, że mieszkam tu od tak dawna, a nigdy tam nie byłam. Walwyk leży przy drodze wiodącej donikąd, a więc... - Rozpostarł ręce w geście, który zakończył zdanie.

- W Walwyk jest bardzo ładnie. Być może urok tego miejsca częściowo wiąże się z tym, że znajduje się ono przy drodze wiodącej donikąd.

- Długo tam pani mieszka?

- Zaledwie od początku semestru.

W myślach pstryknął palcami. Oczywiście, to następczyni pani Westleton. Nauczycielka. Jak, u licha, to biedactwo radzi sobie z dzisiejszą młodzieżą i utrzymuje dyscyplinę w klasie? Stara panna, tak jak cała reszta, oczarowana kanonikiem i jeszcze do tego wydaje swoje ciężko zarobione pieniądze na „najlepsze” sherry dla niego. Żaloszne!

Dwa zupełnie różne uczucia wpłynęły na następny ruch pana Freemana. Jedno,

praktycznie nieświadome, wiązało się z poczuciem współzawodnictwa. Był nieco starszy od kanonika, ale - do diabła! - dobrze się trzymał i był pewny, że mógłby być tak samo czarujący jak i on. Drugie uczucie - to było już świadome - wiązało się z żalem. Natychmiast przebaczył panie Mayfield jej brak gustu, usprawiedliwiając to marną pensją i powszechnie panującym poglądem, że nauczyciel powinien być ubrany szaro i monotonie. W wyobraźni odział ją w delikatnie pofałdowany szyfon i twarzowy, kwiecisty kapelusz z jego „najlepszych” czasów młodości. Wyglądałaby uroczo.

Spojrzał na zegarek, a potem powiedział:

- Skoro nie pije pani sherry, to być może chciałaby pani trochę kawy, To żaden kłopot, parzą ją tuż obok...

Otworzył inne drzwi z tyłu pomieszczenia i zaczął rozmawiać z kimś niewidzialnym, mówiąc mu, aby skoczył obok i przyniósł kawy dla dwóch osób: „Pamiętaj w dzbanku, a nie w tych niechlujnych filiżankach. I weź też talerzyk makaroników”.

- A zatem mieszka pani w Walwyk - odezwał się, siadając z powrotem na krześle i podejmując na nowo konwersację.

Następnie wspomniął pana Frisby'ego, a wtedy panna Mayfield pomyślała, że będzie to dobry moment, aby napomknąć o tym drobnym żarcie dotyczącym „frisbińskiego” bydła.

Szczerze się śmiejąc, pan Freeman wstał ponownie, aby odebrać tacę przyniesioną z kawiarenki obok przez wielkiego mężczyznę z odsłoniętymi ramionami i w zielonym fartuchu.

- Kiedyś miałem dość niecodzienne spotkanie z osobą mieszkającą w Walwyk - powiedział rozmarzonym głosem. - Właśnie sobie o tym przypomniałem. To było stosunkowo dawno, podczas wojny. Tak, to musiało być podczas wojny, ponieważ jechałem wtedy pociągiem do Wandford - tam prowadzimy jeszcze jeden interes. Wsiadłem więc do rannego pociągu, gdzie usłyszałem głośną wymianę zdań i coś, co brzmiało jak płacz kobiety. Poszedłem sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłem konduktora oraz młodą kobietę, która nie miała ani pieniędzy, ani biletu. Zapłaciłem... zapłaciłem więc za nią, a potem postanowiłem porozmawiać z dziewczyną. Przypuszczam, że miała jakieś osiemnaście lat. Powiedziała mi, że od urodzenia mieszka w Walwyk i że znienawidziła to miejsce.

- Dlaczego je znienawidziła?

- Ach, mówiła, że życie tam jest takie nudne. Jednak nie wydawało mi się, że był to dostateczny powód, aby wyjeżdżać tak pospiesznie, nie zabierając ze sobą ani pieniędzy, ani bagażu. Ale jeżeli miała jakiś inny powód, to zatrzymała go dla siebie.

- Zapewne nie pamięta pan, jak się nazywała?

- Jak się nazywała? - powiedział ze zdziwieniem. - Nie, nigdy mi tego nie powiedziała, co, niestety, potem okazało się błędem. Nalegałem, aby przyjęła ode mnie drobną pożyczkę, była po prostu zbyt ładna, aby pozwolić jej iść w świat bez grosza. I chyba albo знаła mnie z widzenia, albo dowiedziała się od kogoś, kim jestem, ponieważ za jakieś pięć lub sześć miesięcy przekazem pocztowym otrzymałem zwrot całej sumy. Nie napisała imienia ani adresu, na przekazie widniał jedynie stempel pocztowy z Wandford. Oczywiście, odesłałbym pieniądze z powrotem, gdybym wiedział dokąd.

- Jak wyglądała?

Pan Freeman po raz kolejny był zdziwiony. Opowiedział tę historyjkę częściowo po to, aby podtrzymać rozmowę, a częściowo po to, aby zaprezentować się w dobrym świetle. Jego słuchaczka natomiast zdawała się być niezwykle, a wręcz przesadnie, zainteresowana.

- Jak już powiedziałem, była ładna. Ach, no i miała delikatną cerę. Właściwie mówiła, że próbowała wyrwać się z Walwyk, wstępując do jednego z kobiecych oddziałów, ale odrzucili ją z powodu słabej kondycji fizycznej. Była blada... miała jasne włosy. - Zmarszczył czoło, próbując sobie coś więcej przypomnieć. - A, i miała trochę wystające zęby, które nie wyglądają zbyt atrakcyjnie, ale w sumie, przy odpowiedniej twarzy, mogą. Dlaczego pani pyta? Czy coś pani o niej wie?

- Zdaje się, że to Maud Rigby. I szkoda, że nie powiedziała panu, jaki był jej p r a w d z i y powód, dla którego chciała wyjechać z domu. Pomogłoby mi to w...

- W jaki sposób by to pani pomogło?

- Byłabym bliższa zrozumienia pewnej sprawy.

Spojrzała w jego życzliwe, ale i sprytne oczy i pomyślała sobie, że oto jest ktoś, komu mogłaby się zwierzyć.

- Przepraszam, że wypaplałam, jak się nazywała. Gdybym tego nie zrobiła, mogłabym panu powiedzieć, co mnie trapi, zachowując anonimowość.

- Cokolwiek powie mi pani w tajemnicy, może być pani pewna, że takie pozostanie - powiedział. I to była prawda. Był ciekawski, ale nie plotkował. Mówił dalej: - Oczywiście, jeżeli cokolwiek sprawia pani kłopot, powinna pani skonsultować się z kanonikiem Thorby. W końcu jest niekoronowanym królem Walwyk. Nie mówię tego złośliwie. W rzeczy samej, jest osobą rozsądną i ma dobre chęci. Spotykamy się na jednej lub dwóch radach.

- Kanonik Thorby - powiedziała i zamilkła, zastanawiając się, czy nie była czasem bliska nielojalności względem pracodawcy. - Oczywiście, że znakomicie zna całą wieś i tamtejszych mieszkańców. Ale niejednokrotnie obcy... To tak jak w rodzinie, nie zawsze zauważamy, że jeden z jej członków się postarzał lub wygląda na chorego, aż tu nagle

pojawia się ktoś, kto od razu dostrzega zmiany. Najczęściej zauważamy to, do czego przywykliśmy albo to, co zauważać chcemy.

- A co takiego pani zauważyła? - zapytał, nie owijając w bawełnę.

Uśmiechnęła się, a wtedy mężczyzna spostrzegł, że kiedy to robi, niewielka, urocza zmarszczka w kształcie półksiężyca pojawia się na górnej wardze, a każdy z policzków, w których niegdyś robiły się dołeczki, teraz się tylko napina.

- Moja sprawa - powiedziała mu. - Sama nie jestem pewna.

- A może jednak powie mi to pani i zobaczy, jakie jest moje zdanie na ten temat.

Sama była zaskoczona, jak kiepsko brzmiała ta historyjka, przekazana starannie dobranymi słowami i ograniczona do suchych faktów. Naprawdę nic specjalnego. Nie miała ani cienia wątpliwości, że przynudza. Kiedy wspominała o małej, woskowej laleczce, no bo w końcu był to fakt, spojrzała na pana Freemana, który nieustannie wyraźnie wpatrywał się w swoją filiżankę, unikając jej wzroku. Miły człowiek, pomyślała. Nie chciał pokazywać jej swoich rozbawionych lub pełnych sceptycyzmu oczu.

W zasadzie czas dla pana Freemana cofnął się o jakieś pięćdziesiąt osiem czy pięćdziesiąt dziewięć lat. Znowu był tym, kim nazywano go nawet wtedy - „małym dzbankiem z dużymi uszami”. Nauczył się, że kiedy dziecko leży spokojnie i wygląda na śpiące, może często usłyszeć wiele fascynujących rzeczy. Przebywał w domu babci w Catermarsh.

Był akurat dzień św. Michała, w którym to przypada roczna opłata za dzierżawę. Dzień ten jego dziadkowie - z racji tego, że byli staroświeccy - zawsze obchodzili, wydając kolację, składającą się z pieczonych gęsi, szarlotki oraz sera - wszystko dla swoich czterech lub pięciu dzierżawców oraz ich rodzin. Przyjęcie dobiegło końca. Jego głowa leżała na kolanach babci, która głaskała go po włosach, a dorośli tymczasem rozmawiali o dziwnych wydarzeniach, które miały miejsce nad rzeką w Walwyk. Nie zrozumiał praktycznie niczego, ale czuł, że atmosfera była ponura, złowieszcza, przejmująca dreszczem i nie zdołała jej odmienić nawet zdecydowana opinia dziadka, który stwierdził: „Kompletny nonsens. To ci dopiero poganie! Jesteśmy gorsi niż oni, jeżeli w ogóle poświęcamy uwagę czemuś takiemu!”.

W rzeczy samej, pan Freeman przez wiele lat nie poświęcał uwagi takim rzeczom, a to, o czym dawno temu rozmawiano nad jego rozspaną głową, było dla niego tak mgliste, że dziś nie byłby nawet w stanie tego opowiedzieć. Zresztą, gdyby nawet był w stanie, to i tak dałby sobie z tym spokój. Ta biedna, drobna kobietka musiała mieszkać w tamtym miejscu, a i tak była już zmartwiona, więc dodawanie czegokolwiek, co jeszcze bardziej mogło ją

zdenerwować, wydało mu się po prostu okrutne. A zatem, starając się ją uspokoić, powiedział:

- Z tego, co wiem o kanoniku Thorbym, to na pewno nie jest on osobą, która pozwoliłaby, aby w jego wiosce działo się coś okrutnego. Pies na łańcuchu zawsze znajdzie w nim wybawcę. Jeżeli uważa, że stosunki pomiędzy dziewczynką a jej babcią są dobre, to sądzę, że nie powinna się pani dręczyć. Być może nie zrozumiała pani jeszcze temperamentu mieszkańców Anglii Wschodniej, który wiąże się z fanatyczną wręcz lojalnością wobec rodziny. Sądzę, że gdyby nawet natknęła się pani na staruszkę okładającą akurat swoją wnuczkę i próbowała ją powstrzymać, to dziewczynka kopnęłaby panią w piszczel. Znam przypadek, kiedy cod takiego miało miejsce. A przytrafiło się to mnie, na głównej ulicy w Selbury, proszę pani.

- A czy ten wschodnioangielski temperament wyjaśnia w jakiś sposób tę woskową laleczkę?

Obawiając się, że może zostać odebrana zbyt poważnie, zadała to pytanie z lekkim uśmiechem. A on znowu pomyślał, że jest urocza i jedyne czego potrzebuje, to trochę zachęty i kilku atrakcyjnych ubrań. Dzielnie skłamał.

- Ach, kukielka. Tak to nazywają, czy jakoś podobnie. No cóż, może nie dosłownie wschodnioangielski, ale wiejski. Wie pani, do niedawna wszyscy ci ludzie mieli w zwyczaju samodzielnie robić dzieciom zabawki i to z bardzo nietypowych materiałów. Czy widziała pani kiedykolwiek zbożową laleczkę? Zobaczy pani w tym roku podczas żniw w Walwyk, robią je ze słomy. Wyobrażam sobie i proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, że dziewczynka, o której mówimy, nie jest zbyt psychicznie dojrzała jak na swój wiek, ale pewnie jest dość wysoka?

- Zgadza się.

- A więc oficjalnie jest zbyt dorosła, aby mieć zwykłą lalkę, ale jakąś pragnie mieć. Zatem zrobiła sobie mały woskowy skarb i trzymała go w tajemnicy. Tłumaczę to w ten sposób, ponieważ pamiętam, jak było z moją młodszą, wysoką siostrą, której rodzice nie pozwalali brać na spacerzy wózka dla lalek. Tymczasem ta niska, i starsza o przynajmniej osiemnaście miesięcy, siostra mogła to robić. Ojciec twierdził, że była to ewidentna niesprawiedliwość, lecz mama pozostała nieugięta. Mówiła, że Florence wyglądałaby głupio.

Uśmiechnął się, a panna Mayfield pomyślała: „Opowiedziałam swoją historię osobie z zewnątrz i jej opinia praktycznie całkowicie pokrywa się z opinią kanonika. Być może mam wybujałą fantazję. Ale nie wspomniałam - jak mogłam? - rażącej cechy tej małej postaci. A może to typowa cecha wszystkich lalek robionych w Anglii Wschodniej?”.

- Obawiam się, że zmarnowałam sporo pańskiego czasu - powiedziała. - Ale rozmowa ta przyniosła mi ulgę.

Zadziało jak za starych czasów.

- Mam wielką nadzieję, że ta nasza pierwsza rozmowa nie będzie ostatnią.

- A ja mam nadzieję, że pewnego dnia przyjedzie pan i na własne oczy zobaczy Walwy. Powinien pan, naprawdę. Z przyjemnością przygotowałabym dla pana herbatę lub kawę, lub zaoferowałabym panu - mówiąc to, szeroko się do niego uśmiechnęła - kieliszek Tio Pepe, a może Amontillado.

- Tio Pepe. I może być pani pewna, że trzymam panią za słowo.

*

Udając się pospiesznie, aby zrobić resztę zakupów, i niosąc butelkę sherry, leżącą skromnie na spodzie brązowej, papierowej reklamówki, którą nie zawsze dawano przy zakupie tylko jednego trunku - panna Mayfield pomyślała, że pan Freeman jest uprzejmym i życzliwym człowiekiem, ale jednak nie takim, jakiego szukała.

Kogo więc szukam? Kogoś, kto będzie podzielał moje fantazje, podejrzenia, obawy?

Odpowiedź brzmiała: „Tak!”.

10

Nastał czas spokoju. Maj dobiegł końca i rozpoczął się czerwiec, a gdy ten postarzał się o jedenaście dni, panna Mayfield wyszła do ogrodu, aby pousuwać z krzaków róż szybko rosnące odrosty. Nagle bramę prowadzącą do jej domu otworzył Wesley Baines. W ręce trzymał parę butów, którą mu zostawiła, aby nabił gumowe fleki na obcasy.

- Ach, panie Baines - krzyknęła - niepotrzebnie zawracał pan sobie głowę moimi butami. Przyszłabym do pana albo Sydney by je podrzucił.

- Wiem - powiedział, w typowy dla siebie powolny i spokojny sposób. - Buty to tylko pretekst. Tak naprawdę chciałbym zamienić z panią słowo, jeżeli znajdzie pani chwilę.

- Mam mnóstwo czasu. Proszę wejść.

Pomyślała, że być może widział papiery dotyczące stypendium Bogeya i przyszedł z nią o tym porozmawiać.

Nawet w tej chwili troska Wesleya o to, aby praca została dobrze wykonana, była ważniejsza niż jego własne zmartwienie.

- Jeżeli nie ma pani nic przeciwko - powiedział, zatrzymując się i spoglądając na klomb róż - to powiem pani, że przycinanie ich w ten sposób nic nie da. Tylko je pani wzmocni. Musi pani odsłonić nasadę pędu. O tak, widzi pani... - Odsłonił niemal trzydzieści centymetrów odrostu schowanego pod ziemią. - Teraz może pani rwać tuż przy samym korzeniu.

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby miał zamiar całą pracę wykonać sam, ale po chwili odsunął się na bok i wszedł do domu. Sufit w jej salonie znajdował się przynajmniej metr wyżej jak sufit w jego pracowni, jednak na nowym tle mężczyzna wyglądał na jeszcze wyższego niż przedtem. Wzięła od niego buty i poprosiła, aby spoczął. Usiadł na samym skraju jednego z foteli, tak że jego kolana wystawały daleko poza dywanik leżący przed kominkiem. Następnie spuścił ręce pomiędzy kolana i zaczął ciągnąć za palce dłoni.

- No więc - powiedziała panna Mayfield w tak radosny sposób, w jaki tylko zdołała - co mogę dla pana zrobić, panie Baines?

- Tylko proszę się ze mnie nie śmiać - powiedział wprost. - Wiem, że to, o co przyszedłem panią zapytać, brzmi bardzo dziwnie. I w tym cały kłopot. Ale jedyne, co mogę

zrobić, to zapytać. Niemniej jednak, nie jest to łatwe.

Pociągnął za palce tak samo, jak wcześniej ciągnął za odrost róży.

- Czy chodzi o Sydneya?

Przez chwilę się zastanawiał.

- No tak, w pewien sposób, jak sądzę. Ale bardziej o Em.

Postanowił w końcu zaryzykować i powiedział.

- Panno Mayfield, z Em coś jest nie tak, a pani jest w to zamieszana.

- Ach, a niby w jaki sposób?

- Powiem pani, co wiem, i może wtedy jakoś to pani rozszyfruje. Na przykład... zanim Sydney zachorował, moja żona miała o pani wysokie mniemanie. Prawdopodobnie zauważyła pani, że Em nie jest taką ignorantką jak większość osób. Sporo narzekała na panią Westleton - tę, która uczyła tu wcześniej. Więc potem, gdy Sydney przychodził do domu i mówił o czymś, co pani powiedziała lub zrobiła, Em wyrażała wielkie zadowolenie, twierdząc, że to wielka zmiana i że mamy szczęście, i takie tam. No, a później Sydney zachorował, a pani zachowała się niezwykle uprzejmie. Pomagała pani pakować jego ciuchy, zaprosiła mnie na kolację. Ale teraz - i wcale niełatwo mówi się coś takiego drugiej osobie, lecz muszę to zrobić, aby dać pani do zrozumienia - t e r a z ani jednego dobrego słowa już o pani nie powie. - Jego bladoniebieskie oczy spotkały się z oczami panny Mayfield, a w spojrzeniu tym pełno było niepokoju, a zarazem skruchy - Pytam się jej: „Em, co ci się stało? Co w ciebie wstąpiło?”. - A ona nie daje mi żadnej sensownej odpowiedzi. Znaczący, nie daje mi jej, kiedy nie śpi. Ale zaczęła mówić przez sen. I właśnie tutaj pojawia się pani.

- Chce pan powiedzieć, że kiedy śpi, to mówi o mnie?

- Trudno to wyjaśnić. Czy spała pani kiedyś obok kogoś, kto mówił przez sen?

- Nie przypominam sobie.

- To w zasadzie nie jest mówienie, ale jakieś bełkotanie, mamrotanie i swego rodzaju pokrzykiwanie. Em mówi wtedy: „Panno Mayfield, nie!” albo „Proszę tego nie robić, panno Mayfield”. Mówi też, i proszę mi to wybaczyć, że jest pani wścibska, żeby pilnowała pani własnych spraw i dała jej spokój.

Mężczyzna przedstawił ocenzurowaną wersję tego, co jego żona mówiła przez sen. Zapewne używała słów i wyrażeń, których się nauczyła, opiekując się nieokrzesanymi żołnierzami. Słowa te musiały bardzo go zaszokować.

- Domyślam się, jakie może być prawdopodobne wyjaśnienie zaistniałego stanu rzeczy, panie Baines. Prawdopodobnie zasłużyłam sobie na nazywanie mnie wścibską. Widzi pan, zbyt często zainteresowałam się Sydneyem i możliwością otrzymania przez niego

stypendium. Powiedziałam pańskiej żonie, że według mnie, powinien spróbować się o nie postarać. Mam głębokie przekonanie, że w pięćdziesięciu procentach zgodziła się ze mną i chciała, aby syn ubiegał się o to stypendium, ale nie mogła pogodzić się z myślą, że chłopak mieszkałby poza domem, a więc odrzuciła ten pomysł. Sądzę, że w wyniku tego w jej głowie zrodził się jakiś konflikt, który teraz źle wpływa na jej sen i na podświadomość, i sprawia, że całą winę zrzuca na mnie.

Zdawało się jej, że mówi w sposób wiarygodny i przekonujący. Wesley Baines słuchał uważnie, marszcząc brwi, ale jego zdaniem słowa panny Mayfield nie wyjaśniały problemu. Zauważyła, że wyraz jego twarzy zmienił się, stał się surowszy, bardziej pewny siebie. Po chwili pan Wesley przesunął się jeszcze dalej na skraj fotela i powiedział:

- To możliwe. W pewnym stopniu jest to jakieś wyjaśnienie. Ale to jednak nie wszystko. Teraz muszę zadać pani naprawdę nieprzyjemne pytanie. Czy kiedykolwiek, być może zupełnie przypadkiem, nie zamierzając nikogo urazić, ale czy kiedykolwiek powiedziała pani lub zrobiła coś, co mogło zwrócić uwagę Em na fakt, że wychodząc za mnie, popełniła megalomanię?

- Dlaczego, u licha, miałabym to robić? - zapytała, szczerze zaskoczona. - Nawet tego nie wiedziałam i jeżeli interesuje pana moje zdanie na ten temat, to uważam, że nic takiego się nie stało. Co za staroświeckie poglądy! Zupełny nonsens!

- Nie - powiedział - bądźmy szczerzy. Em, jako pielęgniarka, stała na równi z oficerem, a ja nigdy nie byłem nikim więcej niż sierżantem, zresztą nie chciałem. Prawda jest taka, że nawet zwykłe sanitariuszki nie chcą wychodzić za roboty takich jak ja, doktorzy są bardziej na ich poziomie. Niech pani wie - mówił ze śmiertelną powagą - że nigdy nie wprowadzałem jej w błąd. Powiedziałem jej, gdzie i jak będziemy żyli i w jaki sposób zarabiam na życie. Zresztą mogła się tego domyślić, patrząc na mnie i słuchając mnie. Do niedawna byliśmy niewiarygodnie szczęśliwą parą, ale, szczerze mówiąc, od kiedy pani tu przyjechała, wszystko się popsuło.

- Od kiedy ja tu przyjechałam? Czy może od kiedy zachorował Sydney?

- Zanim jeszcze zachorował. Nagle bardzo zapragnęła stąd wyjechać, tylko to ją interesowało. Proszę zauważyć, że prawie po czternastu latach ni z gruszki, ni z pietruszki przestało się jej tu podobać, już nie lubi sąsiadów, nie lubi domu. W kółko powtarza, że jest kobietą z zawodem, dzięki czemu gdziekolwiek zamieszka, będzie mogła zarobić na życie, a tutaj tylko trwoni swoje umiejętności i wszystko to, czego się nauczyła. Pani natomiast jest kobietą, która ma zawód i go wykorzystuje. A zatem: czy jest pani pewna, że nigdy w żaden sposób nie sugerowała Em, iż marnuje swoje życie? Jeśli uczciwie by na to spojrzeć, to w

sumie miałyby pani rację. - Mówiąc te słowa, rozejrzył się po pokoju i dodał: - Może w ogóle nie pani nie musiała mówić. Może sam pani widok i to, że wykonuje pani wyuczony zawód oraz mieszka w tak wspaniałych warunkach, dało Em do myślenia. Doszła do wniosku, że gdyby nie wyszła za szewca, to mogłaby żyć inaczej, traktowano by ją z większym szacunkiem.

- Kompletny nonsens. Po pierwsze, każda zameżna kobieta - nawet jeżeli jej mąż jest głuchoniemy lub jest pijakiem, szaleńcem czy okrutnikiem - w głębi serca jest przekonana, że jest lepsza od każdej niezameżnej kobiety. Po drugie, nie jest pan szewcem, ale wykwalifikowanym rzemieślnikiem. Z pana żoną natomiast rozmawiałam tylko dwa razy, za każdym razem o Sydneyu i jego edukacji. Gdyby kiedykolwiek pojawił się temat, o którym pan wspomina, to powiedziałabym jej to, w co szczerze wierzę, a mianowicie, że każda kobieta zakładająca rodzinę i wychowująca dziecko spełnia wolę Bożą, do której została powołana.

Pan Baines westchnął ciężko i głęboko.

- Zatem do niczego nie doszliśmy. Miałem nadzieję, że powie mi pani coś, o czym będę mógł porozmawiać z Em. Rozumie pani, ja w i e m, że coś poszło nie tak. Weźmy na przykład to spanie. Jak już wspominałem, przewraca się z boku na bok i coś mamrocze. Moja stara matka szczerze wierzyła, że poduszka z liści lipy pomaga na zły sen. Niejedna z tych starych receptur ma naprawdę sens, w końcu w przeszłości ludzie żyli i utrzymywali się przy zdrowiu bez lekarzy. A więc mówię jej: „Chodź, Em, lipy akurat kwitną. Nie mamy daleko. Zrobię ci poduszkę z ich liści”. Przecież nie ma w tym nic złego, prawda? I wie pani, co się stało? - zapytał, sam odpowiadając sobie na pytanie. - Oburzyła się i zrobiła sobie łóżko w tym malutkim pomieszczeniu znajdującym się nad komórką przy kuchni, które jest wielkości budy dla psa. Moja Em!

- O rany! - powiedziała z zakłopotaniem panna Mayfield. - Ale chyba była to rozsądna decyzja, czyż nie? Dzięki temu pan będzie mógł się porządnie wyspać.

- Nie martwię się o siebie, ale o Em. Jest coś jeszcze. Może nie powinienem w ogóle o tym wspominać...

Nagle źrenice pana Bainesa rozszerzyły się, zakrywając niebieskie tęczęwki. Panna Mayfield poznała, że dochodzą do sedna sprawy.

- Cała ta bieranina do starej pani Rigby. Jeszcze nie tak dawno nie mogła nawet słuchać, kiedy ktoś wspominał imię tej starej wiedźmy. Sama nazywała ją okrutną, starą czarownicą i temu podobne. Teraz, za każdym razem, gdy Sydney jest już w łóżku, mówi: „Podskocz do pani Rigby, żeby z nią pogawędzić”. Nie mogę przestać myśleć, że przy

Curlew Lane jest skrót przez las, prowadzący do domu pana Tharkella. Kiedyś się nim opiekowała, a on dał jej piękną torebkę; dobrze wie, jak go podejść.

Uzucie zniewagi wzięło górę nad wszystkim innym, co chodziło pannie Mayfield po głowie. Nikt nie powinien przychodzić do czyjegoś domu, siadać i opowiadać takich rzeczy! To żenujące i niestosowne.

Jednak chwilę potem, widząc jego niezmiernie żalony i zakłopotany wygląd, zganiła samą siebie za tak nieczułą i konwencjonalną reakcję. Delikatnie odezwała się do niego:

- Jestem pewna, że nie musi pan zaprzętać sobie głowy takimi myślami, panie Baines. Wiem, dlaczego pańska żona zmieniła nastawienie do pani Rigby. W zasadzie sam mi pan o tym powiedział. Pamięta pan? Mówił pan, że pani Baines wierzyła, iż staruszka potrafi rzucić urok. Sądzę, że ona naprawdę w to wierzy. Myślę, że obwiniła panią Rigby za chorobę Sydneya i teraz również wierzy, że ta sama osoba w pewien sposób go wyleczyła, a więc jest jej za to wdzięczna i okazuje życzliwość.

Mężczyzna, uporczywie ciągnąc za palce u ręki, tak jakby miał zamiar powyrywać je wszystkie ze stawów, powiedział:

- Ach, no widzi pani, to jedna z rzeczy, o których już z nią rozmawiałem. Gdzieś za trzecim razem, kiedy się tam wybrała, postanowiłem stanąć z Em twarzą w twarz i powiedziałem: „Nie tak dawno temu żaliłaś się, że przez nią zachorowałaś na półpaśca i że staruszka wylała wrzątek na Ethel, a teraz chodzisz do niej w odwiedziny”. Wie pani, co ona na to? Powiedziała, że pani Rigby to biedna, nieszkodliwa staruszka i przykro jej, że tak źle wcześniej ją oceniła. Ale to nieprawda, a przynajmniej nie do końca prawda. Em wciąż jej nienawidzi. Widzę to spojrzenie, kiedy mówi, że się do niej wybiera. Jak żyje się blisko z kobietą przez czternaście lat, to nie ma możliwości, aby się czegoś o niej nie nauczyć. Em wcale nie myśli inaczej o pani Rigby, niż myślała dwa miesiące temu. Może z a c h o w u j e s i ę w inny sposób, ale nie wierzę, że to zachowanie jest szczerze. Dwa lub trzy razy w tygodniu łązi na Curlew Lane. Coś więcej musi się za tym kryć.

- Ja również tak uważam, ale oboje niewiele możemy w tej sprawie zrobić. Mogłabym powiedzieć, co podejrzewam, ale to nic by panu nie pomogło. Mówiąc prawdę, to już panu powiedziałam, jakie jest moje zdanie.

Zdała sobie sprawę, że siedząc twarzą w twarz z bliźnim w nieszczęściu, naturalnym impulsem jest powiedzieć mu coś pocieszającego, użyć krzepiących słów.

- Chciałabym pana o coś zapytać. Ile lat ma pani Baines?

- Em? Czterdzieści cztery.

Aż tyle? - pomyślała panna Mayfield. Jest w moim wieku, a wygląda przynajmniej

dziesięć lat młodziej.

Być może myśl tę można było odczytać z twarzy panny Mayfield, ponieważ mężczyzna, z budzącą litość dumą, powiedział:

- Nie wygląda na tyle, prawda? Nawet teraz, kiedy tak źle sypia. Ale zgadza się. Kiedy braliśmy ślub, ja miałem trzydzieści jeden lat, a ona trzydzieści, ale, szczerze mówiąc, nie wyglądała na więcej jak dwadzieścia.

- No więc, pana żona jest w takim wieku lub mniej więcej w takim, kiedy kobiety często zaczynają cierpieć na jakieś niewielkie fizyczne lub mentalne zaburzenia. Te zupełnie uczciwie zaczynają kraść w sklepach, a te... - Dobry Boże, niemalże powiedziałyby, że cnotliwe, wierne żony zaczynają flirtować! - ...a te rozsądne miewają różne kaprysy. W ostatniej szkole, w której pracowałam, uczyła zupełnie normalna kobieta, która ni stąd, ni zowąd przestała lubić herbatę. Zawsze wcześniej uwielbiała ją pić, ale nagle poczuła do niej taki wstręt, że wręcz nie mogła znieść widoku dzbanka do herbaty. Poszła więc do psychiatry, a on kazał jej czekać. Minął rok i znowu piła z nami herbatę w pokoju nauczycielskim. To wszystko prawda. Widziałam to na własne oczy.

Pan Baines przemyślał słowa panny Mayfield.

- Em stanęła przeciwko mnie, przeciwko pani, przestała przychodzić do kaplicy i zaczęła zadawać się z panią Rigby. I to wszystko dlatego że ma czterdzieści cztery lata? - Nagle jego dłonie się uspokoiły. - Wie pani - odezwał się - Bóg działa w nieznanym dla nas sposób. Niepokoiłem się, do głowy przychodziły mi różne okropne rzeczy. I wtedy on sprawił, że zaświtała mi myśl, aby pójść do pani. Klęczałem i prosiłem o jego przewodnictwo, a wtedy pomyślałem, aby poradzić się właśnie pani, zaświtał mi w głowie z taką siłą, jakby ktoś rzeczywiście to do mnie powiedział. A więc przyszedłem i wierzę, że otrzymałem od pani odpowiedź. Pomimo moich wszystkich złych myśli i w ogóle potraktowano mnie lepiej, niż sobie na to zasłużyłem.

Lekkie poczucie winy zwiększyło jej litość względem niego.

- Nie nazwałabym tego złymi myślami, panie Baines. Po prostu był pan zwyczajnie podejrzliwy, co może zdarzyć się każdemu mężczyźnie. I w sekrecie powiem panu, że już o tym zapomniałam.

- Em miała zupełną rację, kiedy powiedziała - jeszcze przed tym, zanim się zmieniła - że mamy wielkie szczęście, iż jest pani tutaj z nami. Zdjęła mi pani kamień z serca. - Kiedy wstawał, jego metodystyczne sumienie, wyraźnie dało o sobie znać: - Oczywiście, czym Bóg nas doświadcza, to znieść musimy. Dobrze o tym wiem i nie chciałbym, aby pani myślała, że przyszedłem się żalić i marudzić. Bóg trzyma nas w swoich rękach i jego wola musi być

spełniona. Ale jestem mu wdzięczny za to, że przez panią zdecydował się zesłać mi promyk światła. A więc dobranoc i niech Bóg panią błogosławi.

- Nie zapłaciłam za buty, panie Baines.

- Nic nie szkodzi. Tak długo, dopóki mieszka pani w pobliżu mnie, nie musi pani płacić za buty ani za jakąkolwiek inną pracę, którą będę mógł dla pani wykonać.

- To miłe, ale i pochopne z pana strony. Mogę mieszkać tutaj przez następne dwadzieścia lat i stać się bardzo wymagająca.

- Mam wielką nadzieję, że tak będzie.

*

Kiedy już odprowadziła pana Bainesa do drzwi i pożegnała, a potem wróciła do salonu, zauważyła, że zza sofy wyszedł kot, z obecności którego nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Zwierzątko ziewało, pokazując swoje drobne, białe ząbki i zakręcony różowy języczek. Kot poszedł w kierunku drzwi frontowych, skręcił w stronę kuchni i kiedy panna Mayfield otworzyła mu drzwi na podwórze za domem, przeskoczył przez ścianę i znikł.

W głowie panny Mayfield odezwał się głos, który oznajmił: *Idzie do domu, aby donieść.*

Nagle przeraziła się, ale nie sytuacją, w której się znalazła, lecz stanem swojego umysłu. Złapałam infekcję, pomyślała. Właśnie co spędziłam pół godziny, mówiąc praktycznie same kłamstwa, kryłam panią Rigby i panią Baines i nie zdradziłam swoich podejrzeń. Odesłałam do domu pana Wesleya, pocieszonego moimi eufemistycznymi słowami, a potem odwróciłam się, zobaczyłam kota i pomyślałam właśnie o t y m.

Miała zamiar zjeść kolację, ale zamiast tego usiadła przy małym, eleganckim stoliku w stylu królowej Anny i zabrała się za pisanie do Rose. Najpierw pisała tak, jak gdyby mówiła do przyjaciółki znajdującej się z nią w pokoju. Notowała wszystkie swoje wyobrażenia, domysły i obawy. A potem zaczęła pisać tak, jak gdyby prowadziła rozmowę, zaprzeczając samej sobie i proponując inne wyjaśnienia.

„Wiem, że nie powinnam tym wszystkim zawracać ci głowy” - napisała, zbliżając się do końca długiego listu. „Miałam niedawno trzy szanse, aby powiedzieć o swoich podejrzaniach, ale za każdym razem rozmawiałam z mężczyzną i, być może dlatego, zabrakło mi pewności siebie. Raz wspomniałam o woskowej figurce miłemu panu Freemanowi z Selbury, ale on nie dopatrywał się w tym niczego groźnego. Oczywiście, nie opisałam mu jej tak dokładnie jak tobie. Proszę, Rose, nie martw się. Ze mną wszystko w porządku. Potrzebuję kogoś, kto powie mi, że jestem głupia, mam bujną wyobraźnię i powinnam wziąć się w garść albo że mam rację i bez wahania powinnam iść naprzód”.

*

Przeczytała ostatnie słowa i zapytała samą siebie: „Iść naprzód, ale z czym?”. Czary nie były już traktowane jak przestępstwo. Prawo przeciwko ich nielegalności zostało uchylone. Iść naprzód, próbując ratować Ethel - to była odpowiedź. Z tego wszystkiego, z niepewności i tajemnicy, którą owiana była cała sytuacja, liczyła się tylko jedna rzecz: dobro Ethel.

11

W środę, dwudziestego czwartego czerwca, Berta Creek po raz pierwszy się spóźniła. Zazwyczaj za dwadzieścia ósma przynosiła pannie Mayfield tacę z herbatą, a jej punktualność była wręcz niezawodna. Jednak tego poranka panna Mayfield podejrzewała, że to nie Berta się spóźnia, ale jej zegar przy łóżku źle chodzi; porównała więc jego dokładność ze swoim zegarkiem na ręce. Gdy była już za dziesięć ósma, doszła do wniosku, że Bercie musiało się coś przydarzyć, a zatem wstała i sama postanowiła przygotować sobie herbatę. Uważała, że poranna herbata jest dla niej ważniejsza niż wszystko to, co później je i pije w trakcie dnia. W Alchester - gdzie ona i Janet musiały wstawać wcześniej, ponieważ szkoła znajdowała się dość daleko, a jazda autobusem trwała względnie długo - herbatę musiała przygotowywać przed siódmą piętnaście. Dlatego też, bez żadnego poczucia krzywdy, zarzuciła na siebie szlafrok i wyszła na podest, dokładnie w chwili, gdy Berta, niosąc tacę z herbatą, szła na górę.

Bez owijania w bawełnę Berta zwróciła się do panny Mayfield: - Ach, proszę pani, stało się coś okropnego. Wesley Baines utopił się zeszłej nocy.

Później w swej relacji, na którą z ciekawością czekali mieszkańcy wioski, Berta opisywała, że panna Mayfield osunęła się na poręcz. I to była prawda. Czując, że twarz jej drętwieje, a kolana się pod nią uginają, panna Mayfield chwyciła za poręcz i zawołała:

- O nie, Berto! - A zaraz potem: - Skąd wiesz?

- Akurat przechodziłam koło bramy. Ed Woodly i Frank Revatt na tejże bramie nieśli go do domu, znaczy, jego ciało nieśli. Nie mogłam po prostu ich minąć i pójść, prawda? Musiałam się zatrzymać i zapytać. Z tego powodu spóźniłam się.

*

Panna Mayfield chwiejnym krokiem udała się do sypialni i usiadła na skraju łóżka. Berta natomiast postawiła tacę w tym samym miejscu, co zawsze.

- To okropnie twierdzić, że sam się utopił. Dlaczego tak uważają?

- Leżał na skraju Puddler Pond. W tym miejscu, w stawie, głębokość wody ma co najwyżej kilkanaście centymetrów. Oczywiście, ktoś mógł go przytrzymać albo dostał jakiegoś ataku, ale to raczej mało prawdopodobne, prawda?

Panna Mayfield podniosła dzbanek do herbaty, ale ponieważ ręce mocno jej drżały,

natychmiast go postawiła. Wtedy zbliżyła się Berta i naląła jej herbaty do filiżanki.

- Wiem, że panią przestraszyłam. Nie chciałam tego. Ale jak zobaczyłam, że wnoszą go do środka, to sama byłam przerażona. Wyglądał okropnie.

- Był tam policjant?

- Policjant? Skąd? Jest tylko Cobb, a on mieszka w Renham.

- W takim razie nie powinni byli go ruszać - powiedziała panna Mayfield z tak mocnym przekonaniem w głosie, że Berta spojrzała na nią zdumiona.

- Przecież nie mogli zostawić biedaka leżącego z twarzą w wodzie, prawda? To byłoby nieludzkie. Zdjęli bramę z zawiasów i zanieśli go na niej do domu.

Panna Mayfield wiedziała, gdzie jest Puddler Pond. Położony był na skraju Ling Wood. Był to obszar pierwotnego lasu, który widać było za jej domem i który oddzielał wieś od pól należących do farmera nazwiskiem Maverick. Podczas pewnego radosnego dnia, w trakcie pierwszego tygodnia pobytu w Walwyk, panna Mayfield zapoznała się z tym lasem. Panna Benson przyszła do szkoły, kulejąc; zwichnęła nogę w kostce podczas gry w tenisa. „Ale mają pecha moje bachory” - powiedziała wtedy. „Obiecałam im, że dziś po południu wybierzemy się na spacer na łono natury. Podczas takich spacerów zawsze robimy sobie piknik. Małe dranie przyniosły już ze sobą jedzenie”.

Panna Mayfield pomyślała, że byłaby to znakomita okazja, aby zapoznać się z młodszymi uczniami, z którymi przecież nie miała żadnych zajęć. Zaproponowała więc, że wybierze się z nimi. „Dokąd pójdziemy? Wiecie, że to wy musicie mnie prowadzić” - powiedziała im. Po chwili wstydliwego milczenia, jeden z uczniów odezwał się: „Chodźmy zobaczyć Puddler Pond”. Prowadząc ją, dzieci wyszły poza wieś, minęły rosnący po lewej stronie żywopłot i przeszły przez bramę, a następnie wędrowały wzdłuż wydeptanej ścieżki w kierunku drzew. Gdy w końcu dotarły do lasu, zamilkły i zdawały się tulić jeden do drugiego. Staw miał kształt półmiska, a dookoła niego rosły różowe wierzbówki, kaczeńce oraz małe, dzikie, purpurowe storczyki.

- Tam dalej są też konwalie majowe - odezwał się któryś uczeń.

- Domyślam się, że często tutaj przychodzicie.

- Nie ma się czego bać!

- No, niby nie. Ale przypuszczam, że wasi rodzice boją się, abyście czasem nie wpadli do stawu.

- Wiedzą, że się do niego nie zbliżymy. Inaczej dopadłby nas Puddler!

Zapytała, kim lub czym jest Puddler i otrzymała trzy wyraźnie rozbieżne odpowiedzi. Puddler jest czymś, co żyje w wodzie i nie lubi, gdy się mu przeszkadza, a zatem, gdyby ktoś

podszedł za blisko, zostałyby wciągnięty. Puddler jest również duchem osoby, która utopiła się w tej ciemniej wodzie. No i wreszcie, Puddler nie jest żadną z tych rzeczy, po prostu był to człowiek, który dawno temu, aby zbudować sobie dom, wykopywał z ziemi glinę i w ten sposób powstał staw.

Stało się dla niej jasne, że dzieci fascynowało to miejsce, ponieważ wiało od niego grozą, było czymś zakazanym i dlatego też - osobie naiwnej, obcej, takiej jak ona - zaproponowali wycieczkę właśnie tutaj. Jednak panna Mayfield powiedziała im, że okolica jest zbyt ponura i wilgotna, i zasugerowała, aby na piknik udali się gdzieś indziej. A zatem przenieśli się w bardziej wesołe miejsce i tam zaczęli rywalizować ze sobą, proponując nowemu nauczycielowi - który nie przyniósł ze sobą żadnego jedzenia - a to paszteciki z kiełbasą, a to jajka na twardo, a to słodkie bułeczki z rodzynekami. Pannie Mayfield wycieczka niezwykle się podobała i postanowiła, że jeszcze pod koniec letniego semestru ją powtórzy.

*

Teraz, siedząc na łóżku i wpatrując się w filiżankę herbaty, której nie odważyła się podnieść, ponieważ bała się, że narozlewa, zapytała:

- Berto, masz rower?

- Tak, w domu.

- W takim razie chcę, abys udała się do domu pana Frisby'ego i przekazała pannie Benson wiadomość ode mnie. Musi ją dostać, zanim wyjdzie do szkoły. A więc nie przejmuj się śniadaniem, sama sobie przygotuję.

- W porządku - odpowiedziała Berta.

Panna Mayfield pognęła schodami na dół, chwyciła kartkę papieru oraz długopis i napisała: „Mogę się trochę spóźnić. Czy mogłabyś rozpocząć zajęcia za mnie? Każ moim kontynuować to, co robili ostatnio. Juliet Reeve będzie nadzorować ich pracę. Niedługo się zjawię. DM”.

Zwinęła kartkę papieru, pospiesznie i niedokładnie musnęła językiem skrzydełko koperty, a potem całość zakleiła.

Kiedy tylko Berta opuściła dom, panna Mayfield pobiegła na górę, do łazienki znajdującej się z tyłu domu i wyjrzała przez okno. Zauważyła, że nie musi iść wzdłuż drogi i przechodzić przez bramę. Mogła przeskoczyć przez mur na podwórzu - jak wcześniej wiele razy robił to Sadza - przeciąć na ukos łąkę i w ten sposób szybko dotrzeć do ścieżki prowadzącej nad staw.

Kiedy była już pewna, co robić, pobiegła do sypialni i narzuciła na siebie byle co. Nie zakładała żadnych pończoch, żadnego gorsetu - strata czasu.

Wdrapała się na ścianę i zeskoczyła w dół na łąkę porośniętą stokrotkami pospolitymi, które sięgały jej do kolan. Kiedy się przez nią przedzierała, była świadoma, że każda osoba mieszkająca po drugiej stronie błoni mogła przez chwilę ją widzieć; ale miała również nadzieję, że wszyscy będą tak bardzo zainteresowani domkiem Bainesów, iż nikt nie będzie patrzył w jej kierunku. Wkrótce znalazła się na ścieżce, wzdłuż której owego wspaniałego popołudnia szła z dziećmi. Wcześniej była tam brama, teraz już nie. Ed Woodly i Frank Revatt zdjęli ją i użyli jako noszy. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

Był bezchmurny, ciepły poranek, a słońce okrywało swoim złotym światłem pole i łąkę. Las natomiast był chłodny i zacieniony. Nawet na małej polanie, na której znajdował się staw i którą oświetlało słońce, powietrze zdawało się być chłodne.

Puddler Pond robił się coraz mniejszy, wysychając od brzegów, w wyraźnie dających się zauważyć etapach, a zewnętrzną krawędź, która składała się z popękanej i jakby pogniecionej gliny, szybko zarastała gęsta masa chwastów. Wewnątrz było jeszcze jedno, niczym nieporośnięte i zaczynające pękać koło, a w nim znajdował się pierścień wilgotnego błota. W owym błocie, na pewnym odcinku, widać było wgłębienie. Panna Mayfield wywnioskowała, że tam leżało ciało Wesleya. Kiedy przyjrzała się dokładniej, spostrzegła, że na suchym kole znajdowały się ślady wilgotnego błota, a część zieleni na krawędzi zewnętrznej została przygnieciona - tędy Ed i Frank, idąc tyłem, ciągnęli martwe ciało. Było tam również kilka śladów stóp, te najbliższej brzegu stawu zaczynały wypełniać się wodą.

Wszystko wyglądało tak, jak można było się tego spodziewać i stojąc tam, zastanawiała się, dlaczego po usłyszeniu wieści czuła, że musi koniecznie tu przyjść. Wciąż uważała, że mężczyźni popełnili błąd, ruszając ciało zmarłego, i że ktoś powinien stać tutaj na straży. Ślady butów - na przykład - mogły być istotne. Wśród nich mógł znaleźć się taki, który nie należał do Wesleya lub do dwóch mężczyzn, którzy go odnaleźli. Jednak najsilniejsze uczucie, które ją naszło, wiązało się poniekąd z przerażającą pewnością, że jeżeli będzie cierpliwie i długo szukać, to być może dostrzeże coś, co umknęło uwadze innych, ale dla niej mogłoby mieć duże znaczenie.

Przez chwilę po prostu tam stała, patrząc i czekając. Gdy wreszcie coś zauważyła, było to tak oczywiste, że zdawało się jej niemożliwe, iż wcześniej nie wpadło jej to w oczy. Po tej stronie stawu, gdzie znajdowała się w tej chwili, wszystkie dzikie kwiaty i chwasty rosnące na małej polance - z wyjątkiem miejsca, gdzie chodzili Ed i Frank - stały prosto. Po stronie przeciwnej, najbardziej oddalonej od skraju lasu, wszystko, co rosło, zostało podeptane: różowe główki wierzbowek i firletki poszarpane, białe kwiaty jasnoty, żółte kwiaty krwawników i niebieskie farbowników - wszystko to, wbite w ziemię, tworzyło

szarozieloną sieć, składającą się ze zmiażdżonej roślinności. Cierpka ziemista woń podeptanej trawy oraz połamanych łodyg i liści wciąż wisiała w powietrzu.

Zupełnie tak, jakby stado słoń... Ale to przecież Anglia!

Poruszając się niechętnie, jak gdyby każdy krok sprawiał jej ból, obeszła jeden koniec stawu w kształcie półmiska i zatrzymała się na zgniecionej roślinności. Nie dostrzegła niczego, dopóki nie podeszła bliżej wody. Wtedy, na kawałku lekko brązowego błota, zobaczyła to samo, co niegdyś zaszokowało Robinsona Crusoe na jego wyspie: odciski stóp. Po obu stronach były inne, niektóre całe, a niektóre - jakby jacyś ludzie delikatnie poruszali się na palcach - pokazywały tylko przednią część stopy. A może tańczyli? Tańce zeszłej nocy. Noc świętojańska...

Lekkie poczucie winy, które tylko ją drasnęło, gdy Wesley Baines wychodził z jej domu, teraz nabrało mocy i wbiło w nią swoje kły. Mężczyzna nie żył, ponieważ ona nie była z nim szczerą. *W i e d z i a ł a*, ale nic mu nie powiedziała. A teraz, zupełnie tak jakby była w tym miejscu zeszłej nocy, wyraźnie zdała sobie sprawę, co się tutaj wydarzyło. Wesley, w wyniku nowo rozbudzonych podejrzeń lub zwykłej ciekawości, przyszedł tu za Emili. Zobaczył coś, czego widzieć nie powinien, i zapłacił za to życiem. Ale kto w to uwierzy? Nie ma żadnego dowodu. Nic, co mogłabym pokazać.

Las wypełniał śpiew ptaków, przez który nagle przedarł się dźwięk ni to wyjącego, ni to szczekającego psa, któremu natychmiast odpowiedział inny. W jednej chwili wszystkie ptaki zamilkły.

Przez chwilę panował całkowity spokój. Wyglądało to tak, jak gdyby nawet drzewa wstrzymały oddech. Potem dał się słyszeć stłumiony hałas przypominający szuranie. Zdawało się, że coś delikatnego, ale ciężkiego i pozostającego poza zasięgiem wzroku, biegnie w jej kierunku.

Instynkt podpowiedział jej, aby się odwróciła. Stała więc plecami do stawu, a twarzą do drzew. Nie zobaczyła niczego, lecz dźwięk był coraz bliżej. Po raz kolejny pies wydał z siebie głos, a drugi znowu mu odpowiedział.

Tymczasem w cieniu drzew zobaczyła jakiś ruch. Potem kolejny, jeszcze głębszy cień, szary niczym gęsta mgła, zaczął przesuwać się blisko ziemi w jej kierunku, chcąc ją ogarnąć.

Przez sekundę miała okazję, aby poznać smak prawdziwego strachu, aby pomyśleć, że istnieje coś takiego jak namacalne i widzialne zło, i że ona jest z nim tutaj sam na sam. Nagle zobaczyła, czym naprawdę było to, co przed chwilą było jedynie tylko dźwiękiem - to stado owiec. Na sekundę poczuła ulgę, a potem - kiedy zorientowała się, że zwierzęta ogarnięte są paniką - znowu strach. Teraz mogła już dostrzec dłaczego. W pogoni za przesuającą się

masą gnały dwa... psy? Na każdym skrzydle znajdował się jeden, a pędząc naprzód, przesyłały przez stado elektryzujące fale przerażenia.

Znowu usłyszała głos Eda Higginsa. Mężczyzna mówił, że w lesie w Walwyk wilki grasowały jeszcze długo po tym, jak gdzie indziej je wybili.

Owce w końcu dotarły na skraj lasu. Ściśnięte jeszcze bardziej, z coraz to większą prędkością napierały w stronę stawu, tak że żaden pień drzewa nie był w stanie zahamować ich pędu. Z błędnym wzrokiem rzuciły się w kierunku panny Mayfield, która nawet nie drgnęła, ponieważ była pewna, że kiedy zobaczą przedstawiciela rasy ludzkiej, przełamie się ich linia. I rzeczywiście, te w pierwszych szeregach tak zrobiły. Wyglądały tak, jakby biegły ślepo przed siebie, ale kiedy zbliżyły się na tyle, że mogła poczuć ich zapach - zapach owczej wełny zmieszany ze środkiem dezynfekującym, którym niedawno zostały potraktowane - złamały szereg. Jedna owca skoczyła w prawą stronę, inna, szalenie się rozpychając, w lewą. Ale to były te biegnące na czele, te znajdujące się bliżej ścigających je psów były bardziej szalone. Panna Mayfield, która w porównaniu z nimi była nieszkodliwa, mogła sobie stać i krzyczeć, i machać rękami, a one i tak leciały prosto na nią. Jedna z owiec uderzyła ją w uda i przewróciła na plecy. Kobieta miała na tyle przytomny umysł lub rozwinięty instynkt samozachowawczy, że kiedy przewróciła się, zasłoniła sobie oczy rękami. Owca, która wpadła na pannę Mayfield, przebiegła po niej. Kobieta poczuła na sobie jej racice - były zaskakująco twarde i ostre, uderzyły ją w klatkę piersiową, policzek oraz w tył jednej ręki. Panna Mayfield odwróciła się na brzuch, twarzą do ziemi. Następnie zgarbiła plecy i trzy kolejne owce przeskoczyły przez nią. Jednak jedna uderzyła w taki sposób, że nieomal przetrąciła pannie Mayfield kark.

Potem, jak każde lanie i to dobiegło końca. Nie było już więcej uderzeń. Panna Mayfield powoli i sztywno przykucnęła, podniosła się i odwróciła.

Niektóre owce wbiegły prosto do wody, inne skrzyły w lewo lub w prawo, aby obiec staw dookoła. Dwa psy - tak, to były psy - dopadły guzdrałę, powaliły na ziemię i okrutnie zaczęły tarmosić. Ta leżała na plecach, zupełnie tak samo jak przed chwilą panna Mayfield. Jeden pies dobrał się ofierze do gardła i rozdzierał je tak brutalnie, jak robiłby to każdy wilk. Drugi natomiast zakrwawionymi kłami kierował jej tylną nogę.

Z policzka i z ręki panny Mayfield sączyła się krew. Czysta chusteczka, którą każdego ranka wręcz rytualnie chowała do kieszeni lub rękawa, dziś także, mimo tego że nie założyła ani gorsetu, ani pończoch, znalazła się w rękawie. Panna Mayfield wyjęła ją, rozwinęła i przyłożyła do ran. Kiedy to robiła, znowu spojrzała w kierunku psów i dostała mdłości. W tym momencie zdała sobie sprawę, że jedna z owiec, całym swym ciężarem, oparła się o jej

brzuch. Zgięła się, chcąc wymiotować, ale ponieważ żołądek był pusty, dostała bolesnych torsji, takich jak podczas ostatniej fazy choroby morskiej. Jednak jej umysł pozostał aktywny. Jego jedna część zauważyła, że owce, które jeszcze niedawno były przerażone, teraz się uspokoiły, ponieważ widziały, że ofiara już została wybrana. Te, które miały więcej szczęścia, stanęły dookoła stawu i bez pośpiechu zajadały trawę po drugiej stronie. Natomiast druga część jej umysłu rozpoznała jednego z psów. Nazywał się Lassie i należał do pana Frisby'ego. Kiedyś panna Benson zaprosiła pannę Mayfield do domu na herbatę, a pies akurat tam był. „Znakomicie radzi sobie z bydłem” - powiedział wtedy pan Frisby - „choć tak naprawdę jest to pies pasterski”. Panna Benson nazwała go „sentymentalnym głupkiem z kompleksem na punkcie bycia psem pokojowym”, a pan Frisby powiedział, że wszędzie zostawia sierść. Natomiast ten drugi był wielkim wychudzonym kundlem, przypominał charta z szorstką sierścią. Nigdy wcześniej go nie widziała.

Coś, ale nigdy nie wiedziała co, popychało pannę Mayfield do walki o cywilizację, o dominację istoty ludzkiej. Kiedy tak tam stała i spływała po niej krew, gdy trzęsła się i z powodu poturbowania czuła się źle, każdą krztynę autorytetu, jaką tylko miała, skumulowała w głosie i srogo krzyknęła:

- Lassie!

Pies podniósł głowę, spojrzął na nią i jakby ze skruchą raz machnął swoim upierzonym ogonem. Potem kontynuował odrażającą ucztę.

Całkiem prawdopodobne, że w tej chwili, nawet gdyby zawołał go jego właściciel, nie zrobiłby nic więcej niż to, co zrobił. Ale teraz przynajmniej była pewna jego tożsamości. Odwróciła się i chwiejnym krokiem obeszła staw, przemykając między potulnymi już owcami. Zauważyła, że wszystkie chwasty i dzikie kwiaty zostały podeptane, a na błocie nie zostały się żadne odciski butów czy stóp, z wyjątkiem małych racic pozostawionych przez czmychające owce.

*

Panna Mayfield natarczywie dzwoniła do drzwi probostwa. Wtedy pojawił się Reeve i przez chwilę, z konsternacją, gapił się na nią.

- Panno Mayfield! Co się pani stało?

- Nieważne - odpowiedziała. - Natychmiast muszę zobaczyć się z kanonikiem!

- W tej chwili jest zajęty.

- Powiedz mu, że przyszłam, dobrze?

- Oczywiście, proszę pani. Tymczasem mogłaby pani...

Jego wzrok zatrzymał się na drzwiach od toalety, kiedy nagle otworzyły się drzwi od

gabinetu. Wszedł ku nim młody, bardzo urodziwy mężczyzna, chociaż w tej chwili bladość goszcząca pod opalenizną - spowodowana szokiem - sprawiła, że skóra nabrała dziwnego koloru. Za nim podążał kanonik Thorby, ubrany w ciemnokarmazynowy szlafrok.

- ...zgadza się, Ed - mówił. - Nie myśl już o tym. Skontaktuję się... Panna Mayfield? Co, na miłość boską, się pani stało?

- Nic takiego. Muszę tylko z panem natychmiast porozmawiać.

Czuła spokój i była zdeterminowana, ale kiedy mówiła, jej dolna szczęka mocno drżała.

Kanonik Thorby dużą, ciepłą ręką złapał ją za łokieć i kojącym głosem powiedział:

- Proszę wejść i spocząć. Reeve, przynieś dzbanek tak mocnej kawy, jaką tylko potrafia przygotować. Szybko!

Zamknął drzwi od gabinetu i poprowadził pannę Mayfield w kierunku sofy, po czym delikatnie podtrzymując, pomógł jej usiąść. Niemożliwym było nawet stwierdzić, co o tak wczesnej porze mogło ją tutaj sprowadzać, i to w takim stanie: jeden policzek krwawił i szybko puchł, jej zwykle starannie ułożony kok teraz był potargany, a włosy zwisały na ramiona, bawełniana sukienka była brudna i podarta.

- Czy jest pani ranna? Mam wezwać lekarza?

- O nie, nie. Rany są powierzchowne. Ja tylko...

- A zatem, jeżeli nie ma pani nic przeciwko, to najpierw zadzwonię. Renham 4, proszę - powiedział spokojnym głosem do słuchawki. W trakcie sekund, które upływały, zanim go połączono, posłał jej długie, krzepiące spojrzenie; nie był to uśmiech, ale wzrok, który mówił, że za chwileczkę poświęci jej całą swoją uwagę i wszystko będzie dobrze. - Ach, Cobb? Tu kanonik Thorby. Obawiam się, że c h o ć r a z będziemy cię potrzebować. Zdarzyło się coś, co wygląda na samobójstwo... Tak, tragedia, prawda?... Wesley Baines... Jeżeli możesz. Dziękuję. Do zobaczenia.

- Nie wydaje mi się, że to było samobójstwo. Nie można... nie można wychodzić z takiego założenia - powiedziała panna Baines.

- Obawiam się, że musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Ed Woodly dopiero co zdawał mi relację, jak w drodze do pracy on i jeszcze jeden mężczyzna znaleźli pana Bainesa. Nie był całkowicie zanurzony, a jedynie jego twarz leżała w dość płytkiej wodzie. Według mnie, wniosek jest taki...

- Wiem, jak i gdzie go znaleziono. Właśnie stamtąd wracam.

- Na Boga, panno Mayfield! Co panią skłoniło, żeby tam pójść?... O, dziękuję, Reeve.

Zaczął nalewać do filiżanek mocnej kawy. Potem wstał i jedną z filiżanek podał

gościowi, w drugiej ręce zaś trzymał cukier.

- Proszę, niech weźmie sobie pani dużo. Podobno dobrze działa na szok. A pani na pewno doznała szoku, prawda?

- Wszystko panu powiem. Postaram się mówić zwięźle.

- Proszę mi najpierw powiedzieć, co się stało, że tak pani wygląda.

- Kilka owiec przewróciło mnie, a potem po mnie przebiegły. Gonily je dwa psy. Jeden, imieniem Lassie, należy do pana Frisby'ego. Ale kanoniku, to tylko niewielka część całości. Zobacz pan, kiedy panu powiem...

- Nie jestem pewien, czy pani stan pozwala na to, aby cokolwiek mi pani mówiła. Te rozcięcia. Czy chce pani powiedzieć, że zrobiły je owce swymi racicami? Jeżeli tak, to tym pilniej trzeba je przemyć i zdezynfekować. Prawdopodobnie powinna pani dostać zastrzyk przeciw tężcowi. Panno Mayfield, proszę pozwolić mi wysłać panią prosto do szpitala w Wandford. Baxter panią zawiezie.

- Najpierw musi mnie pan wysłuchać - powiedziała, zmagając się z drżącą szczęką. - To wszystko ma związek z Wesleyem Bainesem.

- W porządku. Proszę napić się kawy - powiedział zrezygnowanym głosem, po czym podniósł swoją filiżankę i upił mały łyżeczek.

Ponieważ nie chciała, aby jej relacja brzmiała dramatycznie lub sensacyjnie, ze wszystkich sił starała się kontrolować swój głos. Opowiedziała mu wszystko w sposób beznamiętny, używając dokładnych, krótkich, rzeczowych zdań niczym w telegramie. Rozpoczęła od znalezienia kartki wyrwanej z zeszytu, na której napisano proste zdanie, a zakończyła na odciskach nagich stóp w błocie, które odkryła pół godziny temu.

Po dwóch minutach słuchania jej kanonik dał sobie spokój z pozornym piciem kawy, położył łokcie na stole i wsparł brodę na pięściach. Jeszcze chwilę po tym, jak panna Mayfield przestała mówić, pozostał w tej pozycji i bacznie się jej przyglądał. Następnie poruszył się, rozsiadł wygodnie na krześle i powiedział:

- Naprawdę pani w to wierzy? Łatwiej przyjąć pani do wiadomości, że zeszłego wieczoru Wesley śledził żonę, zobaczył, jak boso tańczy ze starą babcią Rigby i jej ekipą, i że został zamordowany, niż w to, że odkąd skończyła się wojna, był melancholijnym neurotykiem i zeszłego wieczoru po prostu się utopił?

- Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie. Właśnie ta wiedza sprawiała, że siedziałam cicho... i to zbyt długo. Ale ja w to wierzę. Pasuje to do całej reszty.

- No, może. Ale jak ma się z góry przyjęte poglądy, to trzeba strzec się tego dopasowywania. Weźmy prosty przykład. Ludzie pierwotni wierzyli, że grzmot pioruna był

głosem Wszechmogącego, wyrażającym jego niezadowolenie, a błyskawica była jego mieczem. Wskutek tego, gdy piorun uderzył, cała ta teoria zdawała się być słuszna i pasowała do ich wyobrażeń. Jednak my wiemy lepiej, jak jest naprawdę.

- Pan mi nie wierzy - odezwała się z rozczarowaniem i poczuciem porażki.

- Wierzę, że wszystko, o czym mnie pani poinformowała - mówiła pani w dobrej wierze. Jednak nie mogę uwierzyć w teorię, którą pani wysuwa. Nie odważyłbym się. Gdybym choć przez chwilę dał wiarę takim zabobonom, znaczyłoby to, że zupełnie nie nadaję się do profesji, którą wybrałem.

- Niby dlaczego? Wielu duchownych wierzyło w siłę czarów.

- We wczesnym średniowieczu. Tak samo jak wielu doktorów wierzyło wtedy, że krwotok można zatrzymać sproszkowanym krwawnikiem. Jeżeli którykolwiek lekarz zaleciłby dzisiaj to samo, znalazłby się w poważnych opałach.

- To nie jest zbyt dobre porównanie. Nauka mogła zaprzeczyć skuteczności działania krwawnika, ale do tej pory nie zakwestionowała istnienia zła.

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym szacunku i uznania.

- Tu ma pani rację. Proszę zauważyć, że nigdy nie zaprzeczałem istnieniu zła. Kwestionuję jedynie to, że za sprawą woskowych figurek, duchów pod postacią zwierzęcia, w tym wypadku kota, i zabaw o północy w odludnych miejscach, przybiera ono formę tajemniczej choroby.

- Odsunął mankiet rękawa i spojrzał na zegarek. - Szkoda, że nie mam więcej czasu. Istnieje perfekcyjnie logiczne wyjaśnienie wszystkiego, o czym pani wspominała, nawet śladów stóp. Sądzę, że ktoś po prostu poszedł się wykąpać w Puddler Pond... Niestety, czeka mnie pracowity dzień, a pani, moim zdaniem, powinna być w łóżku.

- Nie mogłabym odpoczywać. Nie, kiedy wszyscy chodzą i rozpowiadają, że Wesley Baines popełnił samobójstwo.

- Panno Mayfield, nikt nie chodzi i niczego nie rozpowiada. To normalne, że mężczyźni, którzy go znaleźli, doszli do własnych wniosków. Mają do tego prawo. Podczas rozmowy z posterunkowym w Renham powiedziałem, że zdarzyło się coś, co wygląda jak samobójstwo. To wszystko. Poza swoją - jakby to nazwać? - zbyt daleko idącą teorią, czy ma pani jakiś powód, aby wierzyć, że nie było to samobójstwo?

Czy miała taki powód?

- To byłoby takie niepodobne do pana Bainesa.

- Praktycznie zawsze tak jest. Bliscy krewni bardzo często są zaskoczeni. Mówią: „Był taki radosny, taki zadowolony”. Prawdę powiedziawszy, w tym wypadku tak nie było.

Myślę, że nikt nie zdaje sobie sprawy, przez co musiał przejść pan Baines. Wie pani, nie wszystkie ofiary wojny poległy na polu bitwy.

- Tamtego wieczoru Wesley Baines, o czym panu wspominałam, mówił o swojej wierze w Boga, o wytrzymałości na cierpienie, które on zsyła. Wiem, że to niewiele, aby móc się na tym oprzeć, ale mnie daje to pewność, że sam by się nie utopił. I bardzo się boję...

- Czego?

- Tego ogólnego przekonania, że popełnił samobójstwo. Przez to coś istotnego może zostać przeoczone.

- Jak na przykład co?

- Jak na przykład jakiś ślad, że ktoś siłą przytrzymał go pod wodą.

- Przynajmniej co do tego mogę panią uspokoić. W takim przypadku jak ten eksperci wykonują bardzo dokładne badanie zwłok. Policja nie jest głupia. Są świadomi, że ktoś mógłby czyjaś śmierć spreparować tak, aby wyglądała na samobójstwo. O to nie musi się pani martwić. Proszę posłuchać, powinna pani teraz pójść do domu, obmyć te rozcięcia - czy ma pani jakiś środek antyseptyczny? - a potem położyć się i zapomnieć o całej sprawie.

- A pan nie robi nic w sprawie tego, o czym panu mówiłam.

- Oczywiście, że zrobię. Poinformuję Frisby'ego, że jego pies gania po lesie jak oszalały. A kiedy już cała ta okropna sprawa się skończy, wybiorę się do Phoebe Rigby, trzymając w ręce dzwonek, Biblię i świecę. i przyrzekam, że zarekwiruję jej miotłę.

Humorystyczny ton jego wypowiedzi sprawił, że przelała się czara goryczy. Nagle, ku własnemu przerażeniu, zaczęła bezradnie i rozpaczliwie płakać. Jeszcze nigdy przedtem, w dorosłym życiu, nie płakała tak rzęsiстыми łzami i tak, że aż brakowało jej tchu.

Kanonik Thorby podszedł do sofy i objął ją za ramiona.

- Naprawdę, nie wolno pani, już więcej nie wolno się pani martwić. Szok wywołany wiadomością o śmierci Wesleya, a potem te owce... to zbyt dużo zmartwień. Proszę zostawić to mnie. Wszystkim się zajmę. Wszystko da się wyjaśnić, przyrzekam pani.

Kiedy już zaczęła płakać, nie potrafiła się powstrzymać. Musiał jakoś odwrócić jej uwagę, a więc po chwili zabrał rękę z ramion kobiety, złapał ją za dłoń i mocnym, stanowczym głosem powiedział:

- Panno Mayfield! Proszę przestać! Wpadła pani w histerię! Proszę się uspokoić! W tej chwili proszę to połknąć, to tylko aspiryna. Właśnie tak. A teraz popić wodą. Dobrze.

Kiedy ona męczyła się z aspiryną, nie mogąc połknąć pastylki, kanonik, aby wykorzystać okazję, szybko zaczął mówić:

- Proszę pomyśleć o mnie. Dobrze pani wie, że ja też jestem zmartwiony i jeszcze

będę musiał stanąć twarzą w twarz z nieszczęsną Emily Baines.

Ona na to:

- Przepraszam, przepraszam.

Wstał, podniósł jej stopy i umieścił je tam, gdzie sam przed chwilą siedział. Następnie w odpowiednie miejsce położył poduszkę i delikatnie pchnął pannę Mayfield do tyłu. - Proszę tu leżeć i odpoczywać. Wszystko będzie dobrze.

Zrobiłam wszystko, co mogłam. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Te mające ją ukoić słowa, same zaczęły pojawiać się w jej głowie. Ale inny głos, próbował im zaprzeczyć: *Poinformowanie kanonika było dopiero pierwszym krokiem. Trzeba zrobić ich wiele więcej.* Tak, zgodziła się, pozostało jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Próbowała otrząsnąć się z letargu, który ją ogarnął. Coś, co przypominało szarą chmurę, zbliżało się w jej kierunku. Próbowała się podnieść, ale nie mogła. W końcu nadeszło i otuliło ją. Było lekkie jak piórko, delikatne niczym szyfon i ciepłe. Podała się jego objęciom z błogą ulgą i wraz z ostatnim szlochem zasnęła niczym małe dziecko, a łzy wciąż ściekały jej po policzkach.

12

Kiedy się obudziła, pokój wypełniał zmierzch. Minęła sekunda lub dwie, zanim zorientowała się, gdzie jest i dlaczego. Wtedy też szybko spadł na nią ciężar wspomnień. Kiedy zaczęła się kręcić i wzdychać, natychmiast odezwał się łagodny głos kanonika:

- Zbudziła się pani?

- Tak.

Zapalił lampkę na biurku i w pokoju zrobiło się jaśniej.

- Jak się teraz pani czuje?

Poruszyła się pod kocykiem zrobionym z delikatnej niebieskiej wełny, który ktoś na nią narzucił. Bolała ją głowa oraz wszystkie siniaki na ciele. Jednak choć była cała zeszywniała, odpowiedziała:

- Już dobrze, dziękuję.

- No cóż, porządnie się pani wyspała, a to zawsze pomaga. - Podszedł do sofy i stanął przy niej. - Wstrzymywałem wydanie obiadu, mając nadzieję, że chciałaby pani zjeść go ze mną. Mielibyśmy okazję, aby troszkę pogadać, jeżeli oczywiście ma pani na to ochotę. Ale, być może, wolałaby pani pójść do domu.

- O, nie. Jest sporo rzeczy, które chciałabym usłyszeć... i powiedzieć. Chociaż obawiam się, że nie wyglądam zbyt schludnie.

- Znając kobiety - powiedział beztróska - domyśliłem się, że będzie to jedna z pierwszych rzeczy, która przyjdzie pani do głowy. A więc posłałem do pani domu, a tam Berta Creek wyciągnęła z szafy jakąś sukienkę, parę butów i pończochy. Czekają na panią w łazience na górze, to pierwsze drzwi na lewo. Czy powiedzieć Reeve'owi, że za jakieś dziesięć minut będziemy mogli zasiąść do stołu?

*

W luksusowej łazience umyła się, przebrała się w czystą sukienkę, z włosów wyjęła resztkę spinek, po czym uczesała się i z powrotem spięła włosy. Zranione miejsce na policzku nabrzmiało tak mocno, że jej twarz straciła proporcje. Silny płacz, a potem długi sen doprowadziły do spuchnięcia powiek. Stłuczenie na czole, o którego istnieniu wcześniej nie wiedziała, teraz robiło się coraz bardziej sine. Ale mój wygląd nie ma najmniejszego

znaczenia, pomyślała, odchodząc od lustra.

Kanonik Thorby już na nią czekał. Zabrał ją do jadalni, gdzie znajdował się stół nakryty dla dwóch osób.

- Izabel w tej chwili nie ma - wyjaśnił, a następnie kontynuował w bardziej swobodnym tonie: - Pewnie zainteresuje panią, że ten pies z lasu to Lassie. Biedny pan Frisby bardzo się zmartwił. Owce natomiast należą do Mavericka, który również jest zmartwiony i zdenerwowany. Ale oczywiście pan Frisby zapłaci za poturbowaną owieczkę. Mam również nieodparte wrażenie, że ktoś powinien sprezentować pani nową sukienkę... W porządku, Reeve, damy sobie radę. Możesz wrócić do siebie i słuchać radia.

Kiedy tylko zostali sami, kanonik mówił dalej, ale już innym, bardziej konspiracyjnym tonem:

- Nie wiedziałem, jak wytłumaczyć pani kiepski stan, a więc pomyślałem, że najlepiej będzie, gdy wyjawię tak mało prawdy, jak to tylko będzie możliwe. Przypisałem pani nierozważną próbę ratowania owiec. Sądzę, iż to całkiem prawdopodobne, że w spokojny poranek usłyszała pani jakiś hałas dobiegający z tyłu domu.

- To nieistotne. I tak zamierzam powiedzieć całą prawdę.

Kanonik delikatnie odłożył łyżkę do zupy.

- Czy mam przez to rozumieć, że zamierza pani upublicznić wszystkie swoje szalone domysły i teorie, które tego ranka mi pani przedstawiła?

- Tak. Co innego mogę zrobić?

- No cóż, niech pani robi, co uważa za stosowne. Mam nadzieję, że wzięta pani pod uwagę konsekwencje takiego posunięcia. To historyjka, którą wykorzysta prasa brukowa, a pani stan psychiczny bez wątpienia zostanie poddany w wątpliwość. Jest pani na to gotowa?

Skinęła głową. Kanonik znowu wziął do ręki łyżkę i kontynuował jedzenie.

- Musi pani jeść - oznajmił uprzejmie. - Będzie pani potrzebowała dużo sił.

Zjadła dwie łyżki zupy, która jednak nie spłynęła do żołądka, ale utkwiała na poziomie obojczyka i nie ruszyła się dalej.

- Przepraszam - powiedziała i odłożyła łyżkę.

Zabrał jej talerz, a potem odstawił swój i, stojąc koło niskiego kredensu, powiedział:

- To jedna z wykwinniejszych potraw pani Thatcher. Zimny suflet z homara, lekki jak piórko. Proszę skosztować. Ale pech!

Muszę pani powiedzieć, że kiedy składałem zamówienie, miałem wiele innych rzeczy na głowie. - Nałożył sobie i, usiadłszy, dał dowód, że bez problemu można w tym samym czasie jeść i rozmawiać, zachowując przy tym wdzięk. - Zanim przejdziemy do innych

rzeczy, chcę pani powiedzieć, że lekarz policyjny zbadał ciało Wesleya i jakiegokolwiek działania przestępcze w tym wypadku można wykluczyć. Badanie mające na celu ustalenie przyczyny zgonu odbędzie się jutro o osiemnastej, ale to tylko czysta formalność. Emily Baines przedstawiła wystarczająco dużo dowodów wskazujących na kiepską kondycję psychiczną tego nieszczęśnika. Jej zeznania potwierdzają sąsiedzi. Jego skłonności do melancholii wyraźnie dały o sobie znać na przykład podczas choroby Sydneya.

- W jaki sposób?

- Był bardzo zrozpaczony.

- Kanoniku Thorby, to nieprawda. Byłam u nich tego dnia, kiedy Sydneya zabierano do szpitala. Wesley Baines był całkowicie spokojny, zatroskany i zaskoczony, że doktor tak poważnie ocenił stan jego syna, ale mimo to zachował spokój. A potem... modlił się.

- Panno Mayfield, jeżeli pani tam była, to pewnie nie zauważyła pani wszystkiego. Pani Baines powiedziała, że bardzo się zmartwił i nie potrafił nawet spakować tego, co było potrzebne. Musieli mu mówić, żeby zniósł chłopca na dół, a potem upierał się, że wsiądzie do samochodu i pojedzie z nimi. Następnie, gdy jego żona była poza domem, zignorował uprzejme prośby sąsiadów, którzy mówili mu, aby przychodził do nich na posiłki. Pani Baines powiedziała, że w sobotę musiała wrócić do domu, bo inaczej zagłodziłby się na śmierć. Czy tak zachowuje się normalna, zrównoważona osoba?

- Wszystko zostało przeinaczone - powiedziała z kamiennym wyrazem twarzy. - Byłam tam. To p a n i Baines była wielce zrozpaczona i to mnie lekarz wysłał na górę, aby pomóc spakować rzeczy chłopca. Jeżeli chodzi o jedzenie, to zdaje mi się, że byłam pierwszą, która zaoferowała mu posiłek, a on - grzecznie i z uzasadnieniem - odmówił. Powiedział mi, że przyzwyczał się do radzenia sobie samemu, kiedy jego żona była w pracy.

- Słowo „przeinaczone” - odezwał się kanonik - jest kluczowe. Widzi pani, nawet apostołowie, których zwiemy synoptykami, podają różne wersje tych samych wydarzeń. Wiele zależy od tego, co dana osoba chce zobaczyć. Cały dzisiejszy dzień, kiedy akurat nie zaprzętało mnie nic innego, myślałem o tym, co usłyszałem od pani tego ranka. Chciałbym teraz zapytać o coś, co - jak sądzę - dotyka sedna sprawy. Widziała pani ślady po biciu na ciele Ethel, prawda? A więc, jeżeli stara Phoebe Rigby posiada jedną tysięczną mocy, którą pani zdaje się jej przypisywać, dlaczego pozwoliła wnuczce przyjść do szkoły z tymi pręgami na plecach. Przecież dziewczynka mogłaby je pokazać każdemu i powiedzieć: „Patrzcie, co babcia mi zrobiła!”. Jak pani to wyjaśni?

- Na dwa sposoby. Po pierwsze, staruszka zagroziła Ethel czymś wyjątkowo okropnym, czymś, czego dziewczynka boi się znacznie bardziej od fizycznego znęcania się

nad nią. Dlatego też, podczas moich dwóch wizyt w ich domu, Ethel robiła wszystko, aby trzymać stronę babci i tym samym mnie zwodzić. Za pierwszym razem była to gra w stylu „wszyscy jesteśmy dobrymi przyjaciółmi”, a za drugim „ja ją sprowokowałam i dostałam to, na co sobie zasłużyłam”. Po drugie, wiemy nigdy nie dysponowały nieograniczonymi mocami. Jeżeli wywołały u kogoś chorobę, to również potrafiły go z niej wyleczyć. Ale już prawdziwy ślad, zadany prawdziwym kijem trzymanym w rękach człowieka, to zupełnie co innego. Wszystko działa na różnych poziomach. Choroba Sydneya i, jak sądzę, półpasiec pani Baines, były na poziomie babci Rigby. Kiedy już wszystko się wyjaśni, jeżeli w ogóle, dowie się pan, że w tamtą sobotę pani Baines wróciła do domu wcale nie po to, aby nakarmić Wesleya, ale po to, żeby dobić targu z panią Rigby. I sądzę... ba!, jestem prawie pewna, iż układ ten zawierał warunek, że Sydney ma zostać w Walwyk. Ethel, chociaż sprytnie temu zaprzecza, jest bardzo przywiązana do Sydneya. Myślę, że z tym właśnie wiąże się ostateczna groźba. Niby po co, podczas mojej pierwszej wizyty, kiedy zostałyśmy same, pytała, czy z Sydneyem wszystko w porządku? A czemu miałoby być z nim inaczej? Wiem, że wszystko to jest niejasne i brzmi wariacko, ale jestem przekonana, że to prawda i coś trzeba z tym zrobić. Nie pozwolę maltretować Ethel i nie pozwolę, aby śmierć Wesleya Bainesa nazywana była samobójstwem, ponieważ wiem, że on by tego nigdy nie zrobił.

- Może pani jakoś temu zapobiec?

- Mogę spróbować. Pójdę tam, gdy będą przeprowadzać badanie mające na celu ustalenie przyczyny zgonu, i powiem im, co myślę.

Wstał, a w ręce trzymał swój pusty talerz.

- Zjem trochę owoców. Na pewno mogłaby pani zjeść kilka truskawek. Teraz są najsmaczniejsze. Zbierali je niecałą godzinę temu.

- Nie mogę niczego przelknąć.

Łagodnym tonem poinformował ją:

- Gdybyśmy zbadali pani stan psychiczny, to okazałoby się, że to histeria. Czy wiedziała pani o tym? To fakt, ale nie wykorzystam tego przeciwko pani. - Wrócił do stołu. - Proszę posłuchać - powiedział - mam do pani ogromny szacunek i darzę panią wielką sympatią. Zmieniła pani moją szkołę nie do poznania. Ma pani talent, jest inteligentna, wyedukowana i rzetelna - wszystko to wielce podziwiam. Ale muszę być z panią szczery. A propos, uważam, że pani obecność na badaniu przyczyn zgonu Bainesa i robienie scen, ani na jotę nie wpłyną na finalny werdykt. Jedyne efekty będą takie, że w niedzielnej gazetce pojawi się nagłówek zatytułowany: „Nauczycielka ze wsi w hrabstwie Essex demaskuje skandal związany z czarną magią”. Wtedy będę zmuszony wypisać dla pani czek na roczną pensję i

już nigdy więcej nie wejdzie pani do naszej szkoły. Będzie mi przykro, będę pani współczuł, ale nie mogę zatrudnić nauczyciela, który został wystawiony na pośmiewisko i jest podejrzewany o niepoczytalność.

- Jestem gotowa ponieść konsekwencje moich działań - powiedziała oziębło.

Wtedy kanonik zadziwił ją swymi szczerymi słowami:

- Jest pani naprawdę osobą godną podziwu! Jedyne, co mnie smuci, to fakt, że wszystko to pójdzie na marne z powodu tak n i e p r a w d o p o d o b n e j sprawy. Nikt pani nie uwierzy. Ach, najwyżej jakiś bystry dziennikarz zgodzi się pani wysłuchać i zachęci do opowiedzenia mocno ubarwionej, melodramatycznej historyjki, a tydzień później, pochłonięty sprawą piątego rozwodu jakiejś gwiazdy filmowej, w ogóle już nie będzie pamiętał, jak się pani nazywała. Widzi pani, nie ma pani ani cienia dowodu. Nawet ta mała włoska laleczka to już byłoby coś, prawda? I nikt też nie potwierdzi pani wersji. Naprawdę, wielka szkoda.

Zajadał się truskawkami, trzymając je za zielone szypułki. Najpierw zanurzał je w gęstej śmietanie, potem mieszał z cukrem i jadł. Następnie obmył palce w miseczce do płukania rąk, wytarł je i przyłożył serwetkę do ust.

Pilat umywa ręce - powiedział głos w jej głowie.

Panna Mayfield głośno powiedziała:

- Co do tego nie można być pewnym, kanoniku Thorby Kiedyś, gdzieś, i bardzo żałuję, że nie pamiętam gdzie, przeczytałam pewne słowa: „Ten, kto przygotowany jest do samotnej walki, zawsze za swymi plecami będzie miał całą armię”. Inni ludzie mogli coś zauważyć, mają jakieś podejrzenia, boją się, że zostaną wyśmiani, ale kiedy ktoś da im przykład...

Kanonik zaśmiał się.

- Wie pani co, miałem właśnie powiedzieć, że mam nadzieję, iż ma pani rację. Chyba jestem na skraju schizofrenii. Zawsze miałem słabość do małego Dawida, który stawiał czoło wielkiemu Goliatowi, ale pani nie ma nawet procy. Muszę zapytać o coś jeszcze, a potem odwiozę panią do domu. Proszę szczerze odpowiedzieć: Czy uważa pani, że ja jestem zamieszany w cały ten nonsens?

- Gdybym tak myślała, to nie byłabym taka głupia, żeby przychodzić tutaj dzisiaj rano i mówić panu o moich podejrzeniach, prawda? Zresztą ma pan alibi, widziałam w gazecie reklamę. Zeszłego wieczoru był pan w Wandford jednym z sędziów na turnieju tańców pod gołym niebem. A więc nie mógł być pan nad Puddler Pond podczas sabatu.

- Podczas czego? Nie dosłyszałem ostatniego słowa.

- Sabatu - powiedziała. - Złot czarownic. W trakcie roku mają cztery główne złoty: święto Matki Boskiej Gromnicznej, noc świętojańska, dożynki i Halloween.

- Jest pani nadzwyczaj dobrze zorientowana w tym temacie. Można by pomyśleć... - Ponury wyraz jego twarzy na chwilę się rozjaśnił, a w oczach pojawił się błysk. - Nie czas na żarty - zganił sam siebie. - Ale przynajmniej czuję lekką ulgę, wiedząc, że nie uważa pani, iż jestem w to wszystko jakoś zamieszany. I w zasadzie jest to jedyna pocieszająca rzecz w całej tej przykrej sprawie. Bardzo mi przykro, że nasza, jakby się wydawało, wyjątkowa i szczęśliwa przyjaźń, w ten sposób się zakończy, ale tym samym muszę powiedzieć, że powinna pani robić to, co dyktuje pani głos sumienia. Chodźmy, zabiorę panią do domu.

Słabym i zapłakanym głosem powiedziała:

- Mnie również przykro.

- Tylko proszę więcej nie płakać. Nie zniosę tego. Jestem tylko człowiekiem. Tak się składa, że lubiłem Wesleya Bainesa i żał mi Emily oraz chłopca. Ale muszę iść naprzód, funkcjonować niczym maszyna. Idź do starego Thorby'ego, on się tym zajmie. No i próbuję, ale czasami... Proszę robić to, co pani chce. Niech wystawi pani Walwyk na pośmiewisko brukowej prasy, niech przyjeżdżają tu autobusy pełne ludzi szukających sensacji, którzy będą się na nas gapić z rozdziawionymi ustami, ale błagam, tylko niech pani już więcej nie płacze, bo po prostu tego nie zniosę.

- Nie będę - powiedziała, starając się opanować emocje. - Kanoniku Thorby, muszę zadać pytanie o jutrzejszy dzień. Czy mam się uważać za zwolnioną? Jeżeli tak, to chciałabym otrzymać pana zgodę na przyjście do szkoły, abym mogła zostawić po sobie wszystko w takim stanie, jak należy.

- Pani zwolnienie zależy wyłącznie od pani jutrzejszego zachowania. Dopóki nie upubliczni pani swoich nonsensów, to nic nie ulega zmianie. I jeżeli, po głębokim namyśle, rozsądek weźmie górę - a bardzo wierzę, że tak się stanie - to może pani liczyć na to, że nigdy więcej nie wspomnę, ani nawet nie pomyślę, o wszystkim, co pani mówiła.

Kiedy składał tę obietnicę, uśmiechnął się. A gdy znaleźli się przed drzwiami jej domu, pożegnał się z nią. Wyciągnął wtedy do niej rękę, którą ona uścisnęła, a uścisk ten trwał na tyle długo, że mogło wydawać się, jakby żegnał się z nią na zawsze.

13

Około siedemnastej następnego popołudnia - zanim z zadowoleniem opuściłaby szkołę, wiedząc, że wszystko pozostawiła w jak najlepszym porządku - musiała zrobić coś jeszcze, a była to czysta formalność. Chodziło o posprzątanie biurka, a ponieważ z natury była osobą schludną i nieco skrupulatną, to poza zabraniami kilku osobistych rzeczy nie miała nic więcej do zrobienia.

Biurko stało na podwyższeniu i było jedynym staromodnym meblem w całej szkole. Miało pochyły pulpit, który, aby się nie zamykał, można było zablokować drewnianym klinem. A więc panna Mayfield usiadła na wysokim krześle, uniosła pulpit biurka, wsunęła klin w odpowiednie miejsce i wyciągnęła ze środka *Oksfordzki tomik poezji, Historię społeczną Anglii* Trevelyana oraz powieść *Dziwne losy Jane Eyre*. Dwa długopisy Biro - czerwony i jasnoniebieski - których używała do poprawiania, postanowiła zostawić swemu następcy, ale w połowie puste pudełko z chusteczkami higienicznymi marki Kleenex oraz buteleczkę aspiryny zabrała ze sobą. Trzymając buteleczkę w dłoni, zaczęła wyciągać głowę spod pulpitu, aż tu nagle - albo klin się przesunął, albo wypadł - pulpit spadł, uderzając ją boleśnie w grzbiet nosa. Nieco oszołomiona bólem siedziała przez chwilę, patrząc, jak krew skapuje na jej ręce, na krawędź biurka i na wszystkie rzeczy, które trzymała na kolanach. Nagle w klasie zrobiło się ciemno i całe pomieszczenie zaczęło przechylać się na bok.

Rozpoznała zapach szpitala. Zbudowano go w dostatecznej odległości od pozostałych budynków, ale, jak Rose często powtarzała, szpitalny odór był silniejszy niż odór samej Afryki. Leżała przez chwilę, wciągając zapach w nozdrza, aż w końcu spróbowała otworzyć oczy. Wysiłek ten był bolesny, a powieki uchyliły się tak niewiele, iż była w stanie jedynie zorientować się, że jest dzień.

Nigdy nie miałam chorych oczu! Złapałam coś od innego pacjenta! Z fizyczną odrazą pomyślała o różnorodnych chorobach oczu panujących w Entubie.

- Rose - powiedziała gwałtownie - Rose.

Wtedy odezwał się rzeczowy i służbowy, ale pogodny głos:

- Ach, jest pani znowu z nami. Wszystko w porządku. W ogóle nie ma się o co martwić.

Nowy głos. Z pewnością ten ostatni atak choroby nie trwał ani tak długo, ani nie był tak dokuczliwy, by musieli ściągać dodatkową pielęgniarkę.

Odezwała się opryskliwie:

- Czy aby na pewno? A zatem dlaczego nie mogę otworzyć oczu?

- Są lekko spuchnięte. Za dzień lub dwa ich stan znacznie się poprawi.

Ach, już wiedziała, co się stało. Nie zadbali o jej moskitierę.

- Chcę się zobaczyć z panną Tilbury. W tej chwili.

- Obawiam się, że dzisiaj nie będzie mogła pani przyjmować żadnych gości. Przez dzień lub dwa musi pani dużo odpoczywać.

- Ale panna Tilbury nie jest żadnym gościem.

Albo... chwila... czyją przenieśli? Rose wspominała coś o konieczności wyjazdu z Entuby, coś o wysyłaniu jej do domu samolotem. To było zeszłej nocy, tak? Aż z samego Nairobi przyjechał lekarz i powiedział, że w Entubie nigdy do końca nie wyzdrowieje. Płakała. Być może dlatego oczy spuchły i były obolałe. Jeżeli byłby to jedyny powód, to oczywiście, mogłaby je otworzyć.

Dzięki wąskiej smudze dziennego światła dostrzegła jakieś białe rurki - oczywiście, było to szpitalne łóżko - oraz skomplikowane przewody i metalowe pręty.

- Czy jestem w Anglii?

- No, tak. Jest pani w szpitalu w Wandford. Proszę się nie martwić. Na pewno jest pani troszkę zdezorientowana. Doznała pani lekkiego wstrząśnienia mózgu.

- Samolot - powiedziała świadomie.

To o to chodzi. Rose dotrzymała obietnicy i wzięła ją na pokład, a samolot się rozbił. Obrażenia? Leżała, nic nie mówiąc, i przesuwiała raz jedną kończyną, raz drugą oraz obracała się na łóżku to w lewo, to w prawo. Z jedną ręką było coś nie tak. Ciężko było nią poruszać i znajdowała się w dziwnej pozycji. W jakiś sposób połączono ją z ustrojstwem składającym się z gumowych rurek i metalowych prętów. Bolały ją czoło, twarz i oczy. Nic więcej. Cudownie ocalona. Tylko rozcięcia i siniaki; jedna ręka złamana i delikatne wstrząśnienie mózgu.

- Czy zginęło wiele innych osób? Wielu było rannych?

- Tylko pani.

To naprawdę cud. Coś za co trzeba dziękować Bogu.

Na początku czuła zadowolenie, że rzeczy, które stanowiły dla niej zagadkę, pozostawały niewyjaśnione. Wstrząśnienie w sposób naturalny sprawia, że człowiek jest trochę otumaniony. Ale przez tę wygodną mgłę niewiedzy, co jakiś czas, jak gdyby owa mgła

się unosiła, coś migало jej przed oczami. A wtedy znajdowała się w miejscu, gdzie nic, żaden charakterystyczny obiekt, nic nie wydawało się jej znajome.

Odkryła, że prawdziwe obrażenia odniosła nie tam, gdzie początkowo myślała, czyli nad oczami i na czole. Miała ranę, którą, nawet ta pogodna pielęgniarka opisała jako „dość paskudną”. Wszystkie włosy po lewej stronie głowy zostały wygolone i założono jej szesnaście szwów.

Potem zdała sobie sprawę, że jest bardziej zdezorientowana, niż jej się to początkowo wydawało. Budząc się, poczuła zapach róż. W rzeczy samej, koło łóżka stał wielki pęk tych kwiatów. Miały kolory ciemnokarmazynowy i białomorelowy. Kiedy znowu pojawiła się pielęgniarka, panna Mayfield zapytała:

- Czy ktoś przysłał mi te piękne róże?

- Tak, istotnie.

- Kto?

O wazon oparta była kartka. Pielęgniarka podniosła ją i przeczytała.

- Proszę zdrowieć szybko. HT. - Następnie odwróciła kartkę i przeczytała informację znajdującą się na drugiej stronie: - Kanonik Thorby. Probostwo w Walwyk.

- Bardzo miło z jego strony - powiedziała panna Mayfield, wyobrażając sobie starszego dżentelmena, którego prywatna działalność charytatywna polegała na tym, że nieznanym pacjentom w szpitalu przysyłał kwiaty. - Naprawdę miło z jego strony.

- Ach, on zawsze bardzo troszczy się o osoby z jego wsi, które przebywają w szpitalu.

- To zrozumiałe, ale wysyłać kwiaty komuś, kogo się nigdy nie widziało...

Pielęgniarka spojrzała na nią, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i odłożyła kartkę na miejsce. Jednak kiedy - nieco później owego dnia - panna Mayfield dostała w prezencie bladoniebiesko-różową lizeskę⁴, wystarczająco ładną by mogła ją nosić panna młoda, wraz z wiadomością następującej treści: „Życzę szybkiego powrotu do zdrowia i ściskam serdecznie, Sally Benson” - wtedy zaczęła się martwić.

- To nie może być dla mnie. Ktoś musiał się pomylić. Nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

- Nikt się nie pomylił. Przesyłka została wyraźnie zaadresowana na panią. Jest tu numer prywatnej sali, w której pani leży. Proszę ją założyć, poprawi się pani humor.

- Ale ona nie należy do mnie. No chyba, że jest jakieś stowarzyszenie, czy coś w tym stylu, które zaopatruje szpitalnych pacjentów w ładne ubrania do łóżka. Nigdy nie słyszałam o

⁴ Lizeska - lekki kaftanik damski wkładany na nocną bieliznę.

Sally Benson i nie mam pojęcia, skąd ona zna mnie. Chyba że... - W tej chwili zaświtała jej myśl: „Oczywiście, Rose”. Rose wciąż utrzymywała kontakty z zadziwiającą liczbą przyjaciół i krewnych, a większość z nich była zarówno wielkoduszna, jak i zamożna. Gdy tylko dowiedziała się, że Deb leży w szpitalu, od razu wykorzystwała ich, by pomóc. Z drugiej strony, wydawało się jej dziwnym, że od samej Rose nie miała żadnych wiadomości. - Tak, założę tę lizeskę. Chyba wiem, jak to się stało, że ją otrzymałam.

Kiedy zakładała na siebie tę piękną rzecz, nie sprzeciwiała się, aby pomagała jej pielęgniarka. Następnie, nie zastanawiając się i dość nieśmiało, ponieważ odczuwała wstyd, że tym pytaniem zdradzi swoje ogromne zdezorientowanie, zwróciła się do niej:

- Tak przy okazji, od jak dawna tu jestem?

- Dziesięć dni.

- O nie, z pewnością nie tak długo.

- Tak. Przywieźli panią dwudziestego piątego czerwca, a dziś jest piąty lipca.

Naszło ją uczucie, które może wywołać szybko zjeżdżająca winda.

- Czy może pani powtórzyć?

Pielęgniarka powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała.

A więc, gdzie - u licha - byłam przez ostatnie pięć miesięcy? Z Afryki wyjechałam w styczniu.

- Bardzo mi przykro - powiedziała pielęgniarka - Pacjentka z siódemki mnie wzywa.

Z reguły siostra przełożona przychodziła do niej raz dziennie i w miły sposób pytała, czy wszystko w porządku. Potem zwykle następowały skinienie głową, uśmiech i siostra przełożona zniknęła. Czasami robiła uwagę na temat pogody, mówiła wtedy: „Mam nadzieję, że niedługo będzie pani mogła wyjść na taras”. Jednak tamtego wieczoru przyszła do niej i usiadła obok łóżka. Zaczęła rozprawiać o pogodzie, która akurat była burzowa, i powiedziała, iż ma nadzieję, że może jednak burzy nie będzie, ponieważ zniszczyłaby ostróżki. Następnie dodała:

- Panno Mayfield, wszystkie pielęgniarki i wszyscy lekarze troszczą się o zdrowie swoich pacjentów, a pracownica opieki społecznej jest zajęta problemami finansowymi placówki, więc spadło na mnie. Rozumiem, że wciąż nie bardzo pani wie, co wydarzyło się w niedalekiej przeszłości, tuż przed pani wypadkiem.

- Czy to było przed? To właśnie zaprzęta mi głowę. Widzi siostra, doskonale pamiętam, kiedy zachorowałam w Entubie. Miałam ciągle napady gorączki, które ostatecznie skończyły się - jak oni to nazwali - załamaniem nerwowym. Dużo płakałam, ale tak naprawdę tylko dlatego, że czułam się taka nieużyteczna. Wszyscy byli tak zapracowani, że bycie

bezużytecznym... to było najgorsze. A więc, miałam wrócić samolotem do domu i przyznaję, że jeżeli chodzi o to wydarzenie, nie pamiętam kompletnie niczego. Jedyna rzecz, którą przypominam sobie wyraźnie, to moja przyjaciółka, Rose Tilbury. Siedziała obok mnie na łóżku i trzymała za rękę. Powiedziała mi, co orzekł lekarz z Nairobi i mówiła, że muszę wracać do Anglii. Wtedy zaczęłam płakać. A potem budzę się tutaj. Daty w ogóle mi nie pasują. Jest lipiec, jestem w tym szpitalu od zaledwie dziesięciu dni, a z Afryki wyjechałam... a przynajmniej Rose mi mówiła, że muszę wyjechać, natychmiast, czyli w styczniu. Zatem istnieje spora luka, prawda?

- W ogóle nie przypomina sobie pani Walwyk?

- Walwyk. Ktoś stamtąd, niejaki kanonik Thorby, przysłał mi te róże.

- Mieszkała pani w Walwyk i uczyła w tamtejszej szkole.

Siedząc na krześle, przełożona pochyliła się do przodu. Wyglądała tak, jakby nacisnęła przełącznik i czekała, że teraz maszyna ruszy.

Powiedzieli jej, że to „chwilowy zanik pamięci” i dodali: „Wyjaśnij pacjentce sytuację”.

Panna Mayfield wpatrywała się w nią z osłupieniem.

- Nie pamięta pani niczego, co związane jest ze szkołą czy z pani wypadkiem?

- Wypadkiem? Moim wypadkiem? Myślałam, że roztrzaskał się samolot.

- Nie, była pani w szkole, w szkole w Walwyk, kiedy wszystkie dzieci poszły już sobie do domu. Spadł na panią pulpit biurka. Prawdopodobnie w wyniku uderzenia straciła pani przytomność. Spadła pani z krzesła i uderzyła bokiem głowy o krawędź małej platformy, na której stało biurko. Gdyby nie zjawił się stroiciel fortepianów, który panią znalazł i natychmiast pobiegł do telefonu, aby wezwać doktora Macdonalda, to całkiem prawdopodobne, że wykrwawiłaby się pani na śmierć.

Znowu spojrzała wstecz. Leżała w łóżku, a Rose trzymała ją za rękę i mówiła jej, że musi wrócić do Anglii. Wtedy zaczęła płakać.

- W ogóle nie pamiętam żadnego Walwyk. Który mamy rok?

- Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty.

- I jest lipiec. Wyjechałam z Entuby w styczniu 1956 roku, a przynajmniej tak mi się wydaje. Zgubiłam trzy lata.

- Niczego pani nie zgubiła - powiedziała przełożona, pocieszając ją.

- Najwyżej gdzieś się pani te lata na chwilę zawieruszyły.

Przełożona wstała, otworzyła drzwi, schyliła się i coś podniosła.

- Proszę spojrzeć. To przyszło dzisiaj popołudnia. Ale kiedy pielęgniarka

powiedziała siostrze oddziałowej o pani lekkim... zakłopotaniu po otrzymaniu lizeski, pomyśleliśmy, że damy to pani dopiero po naszej rozmowie, po nakreśleniu całej sytuacji. - Siostra przełożona podała pannie Mayfield mały, niebiesko-biały odbiornik radiowy; był porządny i ładny niczym szkatułka. - To podarunek od pani uczniów, panno Mayfield. Jeden z nich napisał dla pani wiadomość. „Dla drogiej pani Mayfield - najlepszego nauczyciela, jakiego kiedykolwiek mieliśmy”. Wcale nigdzie pani tych lat nie zgubiła, prawda? Jestem pewna, że kiedy rana na głowie się zagoi, wszystko sobie pani przypomni.

*

Dopóki nie utracisz jej fragmentu - czego doświadczyło niewielu - nie zdajesz sobie sprawy, w jak wielkim stopniu przeszłość związana jest z terażniejszością. Całe życie można przyrównać do wznoszenia budowli - solidnej i stałej - na której szczycie stoisz ty. Jedna rzecz prowadzi do następnej, przyczyna wiedzie do skutku - budowla pnie się do góry wraz z tobą. Kiedy wytniesz z niej trzy lata - zgubisz je, zapodziejiesz, zapomnisz, nazwij to, jak chcesz - doświadczasz przerażającego poczucia niepewności i wszystko, co pamiętasz, zaczyna ci się wydawać nierealne. Nawet Rose - chociaż jej obraz w pamięci panny Mayfield pozostał tak wyraźny - stała się teraz dla niej częścią nierzeczywistości. Ale tak długa przyjaźń, oparta na wzajemnym szacunku i sympatii, nie mogła zakończyć się wraz z ich rozstaniem. A więc, przypuszczalnie, z miejsca zwanego Walwyk napisała jakiś list do Rose, a Rose jej odpisała. Tylko, co one do siebie napisały? Czy była obecnie w stanie napisać list do Rose w taki sposób, aby jej nie martwić?

Podjęła zatem kilka prób. Z beczynnym długopisem w ręce długo rozmyślała, po czym tworzyła zdania typu: „Miałam drobny wypadek. Po prostu upadłam w szkole, ale niestety, po tym upadku jestem trochę słaba i roztrzęsiona i straciłam ochotę na długie pisanie. Chcę jedynie dać Ci do zrozumienia i zapewnić Cię, że często o Tobie myślę”. Ponieważ pisała w sposób ostrożny i wymijający, kiedy przeczytała swoje słowa, pomyślała, że mają one fałszywy wydźwięk. Zaczęła się obawiać, że Rose dojdzie do wniosku, iż owo feralne zdarzenie miało znacznie bardziej poważne skutki, niż sugerowała to w liście. A więc napisała coś innego; był to zmyślony opis jej wypadku, upiększony zabawnymi szczegółami. Jednak i to nie brzmiało tak, jak powinno.

Pewnego dnia, kiedy przełożona złożyła jej wizytę, panna Mayfield powiedziała:

- Chciałabym dostać trochę moich ubrań, które będę mogła założyć, gdy już wstanę z łóżka. I zastanawiam się, czy osoba, która przyśle mi ubrania, będzie również mogła przysłać mi moje stare listy. Myślę, że mogłyby one pomóc mi rozbudzić pamięć, przypomnieć sobie przeszłość.

Przełożona stwierdziła, że to dobry pomysł i dopilnuje, aby panna Mayfield dostała to, co chce. Po jakimś czasie przysłano ubrania oraz trzy czy cztery koperty - wszystkie były otwarte i miały przyklejone dwupensowe znaczki. Oprócz tego, w paczce znajdowały się również: lista nowo wydanych książek edukacyjnych, kupon na czteropensowy rabat, który można było otrzymać przy zakupie odpowiedniego detergentu, oraz prośba o przydzielenie funduszy, aby na jeden dzień można było zabrać staruszków nad morze. Nie było to nic wielce osobistego. Panna Mayfield poczuła ogromne rozczarowanie i zaczęła płakać. Po raz kolejny zabrała się za pisanie do Rose i wtedy naszła ją okropna myśl, że w ciągu tych trzech zgubionych lat jej przyjaciółka mogła nawet umrzeć! Płakała znowu, a wtedy pielęgniarka, z wyraźnie wymuszoną cierpliwością, powiedziała do niej:

- Naprawdę nie ma pani żadnych powodów do płaczu, gdyby pani była na miejscu tej biednej kobiety z sali numer siedem...

Panna Mayfield postarała się wyjaśnić jej swoje problemy związane z pisaniem do Rose, a wtedy pielęgniarka odrzekła:

- Tak, rozumiem, że sytuacja jest trochę niezręczna. Niemniej jednak uważam, że powinna pani napisać. Miły list napisany gawędziarskim stylem na pewno nie zaszkodzi.

Miły list napisany gawędziarskim stylem!

Ostatecznie właśnie to zrobiła. Następnie zakleiła kopertę, zaadresowała ją, nakleiła znaczek i wysłała w nieznane.

Wszyscy jej powtarzali, że zamartwianie się jest bardzo złe i dlatego próbowała tego nie robić. Mówili, że pewnego dnia zbudzi się i odzyska pamięć. Jednak ona każdego ranka zdawała sobie sprawę, że miała dwa życia: jedno z nich skończyło się w szpitalnym łóżku w Entubie, a drugie zaczęło się w takim samym łóżku w Wandford. Z otchłani, która je rozdzielała, wydobywało się echo innego życia: kwiaty i owoce od człowieka zwanego Frisby, jajka i śmietana od osoby nazwiskiem Maverick.

Pewnego dnia wpadła na kolejny pomysł.

- Jeżeli ktoś z Walwyk przyjedzie do szpitala, to czy może siostra powiedzieć, aby ta osoba przyszła mnie odwiedzić? Już mogę przyjmować gości, prawda? Myślę, że gdybym z o b a c z y ł a kogoś z Walwyk, pamięć by wróciła.

Dwa dni później przysłano jej wiązanekę mieczyków, do której przyczepiona była kartka od kanonika.

- Ach, zapomniała siostra powiedzieć, żeby ktoś z Walwyk przyszedł mnie odwiedzić
- odezwała się z żalem panna Mayfield, znowu bliska łez.

- Nie zapomniałam! Zostawiłam wiadomość na portierni. Sprawdzę, co się stało. Być

może portier zapomniał, ale nie ja.

Powiadomiono ją potem, że kwiaty zostały dostarczone ze sklepu w Wandford. Podczas następnej wizyty przełożona wspomniała mimochodem, że według niej kanonik Thorby wyjechał za granicę, ponieważ nie było go na spotkaniu kierowników szpitala.

*

Czas mijał. Zdjęto jej bandażę, a potem usunięto szwy. Włosy zaczęły jej odrastać w postaci małych, rzadkich loczków, zupełnie jak u dziecka.

- Jest pewien fryzjer, który przychodzi do szpitala - powiedziała radośnie siostra przełożona. - Czy umówić panią? Wszystkie włosy ścięłyby pani na krótko. Myślę, że taka fryzura by pani pasowała.

Naprawdę, już bardziej uprzejmi być nie mogli, a każda uprzejmość wywoływała u niej łzy, które w szpitalu były niepożądane.

Fizycznie czuła się znowu zdrowa. Mogła sama o siebie zadbać. Spędzała dużo czasu na tarasie wychodzącym na ogród, z którego siostra przełożona była niezwykle dumna. Jadła umiarkowanie dużo i dzięki pomocy różowej tabletki dobrze spała. Pewnego dnia zabrano ją do pokoju znajdującego się po drugiej stronie budynku, gdzie specjalista od schorzeń mózgu, który, jak przystało na specjalistę, miał podwójne nazwisko pisane z łącznikiem, poświęcił sporo czasu na badanie jej wszystkich odruchów, zadawanie pytań i podłączanie do głowy urządzenia zwanego encefalografem. Na koniec powiedział, że jest zadowolony z wyników i że nie doszło do żadnego uszkodzenia mózgu. Jednak wspomniał coś o „zahamowaniu histerycznym”. A to spowodowało, że wysłano ją do psychiatry, który od razu założył, że ostatnie trzy lata obfitowały w pewne doświadczenia, które pacjentka c h c i a ł a wymazać z pamięci.

Taka możliwość wydała się panie Mayfield przerażająca i od razu stanowczo odrzuciła założenie lekarza.

- Nie można tak po prostu zapomnieć tego, czego pamiętać nie chcemy. Każdy widział czy słyszał albo przeżył setki rzeczy, które najchętniej wyrzuciłby z pamięci, ale to niemożliwe.

- To nie jest takie proste i ciężko jest wyjaśnić laikowi ten proces. Rzeczy, o których pani myśli, dotyczą płytkich warstw umysłu, świadomości. Proces wymazywania faktów z pamięci rozpoczyna się, kiedy głębszy, podświadomy umysł napotyka coś, czego nie może zaakceptować.

Zadał jej wiele osobistych, a nawet krępujących pytań. Zachęcił ją, aby opowiedziała mu o swoim życiu seksualnym.

- Nie prowadzę takiego - odpowiedziała wprost.

On odrzekł, że to nonsens i że każdy ma jakieś życie seksualne. Dodał, że nie będzie w stanie jej pomóc, jeżeli ona nie pomoże najpierw jemu.

- Ale ja staram się, jak mogę. O ile wiem, to znaczy, o ile potrafię sobie przypomnieć, jedyny raz... Ach, to było coś bardzo dziecinnego i miało miejsce w mojej pierwszej szkole. Chodził do niej chłopiec, imieniem Alan, którego uważałam za niezwykle przystojnego. Myślę, że się nie myliłam, a do tego był jeszcze popularny. Pochlebiało mi, kiedy ze mną rozmawiał. Pewnego razu powiedział mi o swoim psie. Kiedy poszedł do prywatnej szkoły podstawowej już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Ale zawsze myślałam, że jeżeli wyszłabym za mąż i urodziła synka, to dałabym mu na imię Alan. Jednak nigdy nikt nie wykazywał chęci, aby się ze mną ożenić, więc nic z tego nie wyszło.

- Miała pani psa w Walwyk?

- To byłoby raczej mało prawdopodobne. Widzi pan, uczyłam w szkole, a nie da się psa zostawić samego w domu na cały dzień.

- Lubiła pani swoją pracę?

- W czasie dwudziestu lat, które spędziłam w Afryce - zdecydowanie tak. Jeżeli chodzi o to, co robiłam niedawno, to oczywiście nie jestem w stanie nic powiedzieć. Lubię dzieci, a dzieci z Walwyk zdaje się, że lubiły mnie. - Powiedziała mu o małym odbiorniku radiowym i, rumieniąc się - ponieważ było to raczej mało skromne - powtórzyła mu treść wiadomości, którą dzieci do niej napisały. - W sumie wszyscy, do pewnego stopnia, byli dla mnie mili. Jedyne, co mnie martwi, to to, że nikt ani razu nie przyszedł mnie odwiedzić.

- Czy to jeden z powodów pani teź?

- Niezupełnie. Płaczę, ponieważ nie mogę sobie niczego przypomnieć. Wie pan, jak to jest, kiedy zapomni się czyjś imienia lub tytułu książki. To tak, jakby coś cię swędziało, a ty nie możesz tego podrapać. Ja czuję coś takiego względem pewnej części mojego życia. To wystarczy, aby każdego doprowadzić do płaczu.

Mówiła w pełni racjonalnie i dlatego - z jego punktu widzenia - była całkowicie niesatysfakcjonującym pacjentem.

- Sama pani zauważyła - zwrócił się do niej - że w przypadku tymczasowego zaniku pamięci, o którym pani wspomniała, próby przypomnienia sobie czegokolwiek robią więcej złego niż dobrego. W pewnej chwili, kiedy przestanie się pani starać o przypomnienie sobie czegoś, nagle wszystko powróci. Sądzę, że jeżeli będzie pani cierpliwa, i spróbuje odwrócić myśli od siebie i swojej sytuacji, to ma pani duże szanse na odzyskanie pamięci.

Powziął mało konkretne postanowienie, którego nigdy nie spełnił, że wybierze się do

tego Walwyk i sprawdzi, czy znajdzie tam klucz do zagadki. Jednak zanim następny raz przybył do Wandford, panny Mayfield już tam nie było.

Wszystko stało się bardzo szybko. Pewnego wieczoru szpitalna pracownica opieki społecznej odwiedziła pannę Mayfield i poinformowała ją, że kanonik Thorby kontaktował się z nią.

- Ale myślałam, że kanonik wyjechał za granicę.

- Nie wnikałam w szczegóły, gdzie był, panno Mayfield. Po prostu wysłuchałam jego sugestii, która dotyczyła pani, a tak przy okazji, uważam, że jest ona sensowna i miła.

Większość jej pracy wiązała się z problemami ludzi ubogich i młodych matek wracających do domu, aby zbyt wcześnie wziąć na siebie ciężar rodzinnego życia, oraz z kłopotami starych, samotnych ludzi, a także kalekich ofiar wypadków, którzy byli niepewni najbliższej przyszłości.

- Kanonik Thorby - powiedziała - ma przyjaciółkę. To wdowa, pani Mott-Tyler, która, jak sądzę, znajduje się w ciężkiej sytuacji finansowej i do swojego domu, położonego blisko Hove, przyjmuje pensjonariuszy. Mówił, że panna Thorby zatrzymywała się tam raz czy dwa i bardzo sobie chwaliła pobyt. Kanonik zasugerował, by pani tam pojechała, zrobiła sobie wolne i porządnie odpoczęła.

- To - powiedziała panna Mayfield - niewiarygodnie uprzejme z jego strony. Pytanie tylko, czy mogę sobie na to pozwolić? Wiem jedynie, że kiedy opuszczałam Afrykę, nie miałam żadnych środków do życia i mało prawdopodobne, by do tej pory udało mi się dużo zaoszczędzić...

- Choć o tym pamiętała, to jednak nie wspominała, że postanowiła wysłać Rose każdy grosz, który uda się jej zaoszczędzić, gdy będzie już zarabiała. Czy tak robiła? - Do czasu wypadku powinnam była otrzymywać pensję i przypuszczalnie jeszcze miesiąc po nim... Ale skąd mam wiedzieć, czy w ogóle będę w stanie znowu uczyć? Kto chciałby zatrudnić nauczyciela, który ma problemy z pamięcią? Nie sądzę, by należały mi się wakacje.

- Niepotrzebnie się pani martwi - powiedziała pracownica opieki społecznej. - Myślę, że nie zdaje sobie pani w pełni sprawy, jakie ma szczęście. Thorby, na własną odpowiedzialność, kazał umieścić panią w tej prywatnej sali i gotów jest zapłacić za pani pobyt w Hove.

- Ale czy stać go na to? Wszyscy duchowni, których znałam, byli raczej ubodzy.

- Kanonik Thorby jest wyjątkowo zamożny i cieszy się, kiedy może użyć swoich pieniędzy, aby komuś pomóc.

- Czy kiedykolwiek go pani widziała? - zapytała nagle panna Mayfield.

- Oczywiście. Dziesiątki razy.

- Jaki on jest? Znaczący, jak wygląda?

Na znużonej twarzy kobiety pojawił się wyraz zakłopotania, jaki przy takim pytaniu pojawia się u wielu osób, z wyjątkiem tych najbardziej elokwentnych.

- No cóż - powiedziała - jest wysoki, dość przystojny. Ma rudawe włosy, lekko przyprószone siwizną.

- Widzi pani, nic mi to nie mówi. Ale wygląda na to, że muszę zaakceptować jego dobroczynność.

- Niczego pani nie musi, panno Mayfield. Prawda jest taka, że już pani nie potrzebuje opieki medycznej, a nam brakuje łóżek i pielęgniarek. Być może ma pani jakieś własne plany, jakieś przyjaciółki...?

- Moja jedyna przyjaciółka - jeżeli w ogóle jeszcze żyje - mieszka w Afryce.

- A zatem, czy nie uważa pani, że mądrze byłoby wziąć pod uwagę ofertę kanonika?

I czy nie jesteś szczęściarą, że w ogóle otrzymałaś taką propozycję?

- Zdaje się, że nie mam wyboru - odpowiedziała panna Mayfield, a jej słowa, wbrew jej intencji, zabrzmiały zrzędliwie.

- Ustaliliśmy, że zadzwonię do pani Mott-Tyler, a ona przyjedzie samochodem i odbierze panią. Mogłaby pani wyjść jutro, prawda? Naprawdę potrzebujemy tej sali.

W przypadku kogoś w poważnym stanie - kto albo zostanie wyleczony, albo umrze - utrata pamięci, tak samo jak głuchota, nie wywołuje współczucia.

- Przypuszczam, że kanonik Thorby wyjaśnił pani Mott-Tyler, co mi jest?

- O, tak. Widzi pani, panno Mayfield, każdy uważa, że aby wrócić do normalnego życia... Kanonik wspominał, że będzie mogła pani wykonywać drobne prace, pomagać pani Mott-Tyler. Mówił, że gdy się pani czymś zajmie, to będzie pani... szczęśliwsza.

Jednym słowem podejrzewają, że jestem uzalającą się nad sobą egoistką, niemal symulantką. Poczula, że się rumieni.

- Oczywiście, będę zadowolona, jeśli moja pomoc na coś się przyda. I jasne, że mogę wyjść ze szpitala jutro, tak będzie dobrze.

Pracownica szpitalna wstała i wyraźnie widać było, że poczuła ulgę, gdy usłyszała słowa panny Mayfield.

- W takim razie pójdę i zadzwonię. W Hove o tej porze roku musi być bardzo ładnie.

Panna Mayfield przypomniała sobie własne „wakacje”, które spędziła w Birmingham, opiekując się podstarzałymi rodzicami, gdy tymczasem jej siostra, mieszkająca z nimi na stałe, robiła sobie przerwę, dzięki której mogła kolejny rok funkcjonować.

- Tak, mam naprawdę dużo szczęścia - powiedziała panna Mayfield i dopóki nie została sama, starała się powstrzymać łzy.

14

Wielki, piękny dom pani Mott-Tyler, zwany Barnhurst, stał przy wiejskiej drodze, która stosunkowo do niedawna była całkiem samotna. Teraz połączono ją z drogą prowadzącą na przedmieścia miasta. Wzdłuż drogi znajdowało się wiele nowych domów i chat - niektóre były zamieszkane, a inne dopiero budowano - ciągnących się coraz dalej w kierunku wsi. Jednak duży ogród i kilka ozdobnych drzew zapewniały domowi pani Mott-Tyler prywatność.

Panna Mayfield uważała, że ciężka sytuacja finansowa, do której szpitalna pracownica opieki społecznej robiła aluzje i na którą pani Mott-Tyler często narzekała, była kwestią sporną i zależała od punktu widzenia. W rzeczywistości pani Mott-Tyler żyła w komfortowych warunkach. Kiedy przybyła panna Mayfield, w jej domu przebywało troje gości: dwie starsze panie, które nigdy nie opuszczały swoich kawalerek oraz emerytowany generał, który pomimo artretyzmu z dużą determinacją próbował poruszać się samodzielnie. O starsze panie dbała i obsługiwała je kobieta w średnim wieku, która dawniej pracowała jako pielęgniarka, i z którą pani Mott-Tyler - jak panna Mayfield sama to sobie przedstawiała - pozostawała w bliskich, lecz pogardliwych stosunkach. Natomiast generał miał własnego człowieka. Był nim mały, pomarszczony, powłóczyący nogami mężczyzna nazwiskiem Washbrook, który chociaż zachowywał się opryskliwie, dbał o wszystkie potrzeby swojego pana, a przez resztę dnia starał się unikać jakichkolwiek sytuacji, które zmuszałyby go do innej pracy. Spór o niemal komicznych proporcjach toczył się między nim a panną Ellison - pielęgniarką - której raz odmówił zwrócenia paczki papierosów.

- Poczekamy - powiedziała złowrogo. - Pewnego dnia przyjdzie do mnie z rozcięciem lub zadrapaniem, albo z zasmarkanym nosem, a ja go zbędę.

*

Zarówno pani Mott-Tyler, jak i panna Ellison, wyraźnie starały się traktować pannę Mayfield uprzejmie. To było oczywiste, ponieważ żadna z nich nie była z natury ani czuła, ani nie miała na tyle wyobraźni, aby zrozumieć jej problem. Większą część swojej młodości pani Mott-Tyler spędziła w Indiach. Zastrzeliła trzy tygrysy, których skóry leżały teraz w holu. Z nostalgią wspominała polowania w hrabstwie Leicestershire i jazdę na nartach w

Davos. Mimo iż była po pięćdziesiątce, wciąż miała w sobie sporo z dawnej blond piękności, utrzymywała ciało w doskonałej kondycji, a jej zachowanie w znacznym stopniu było tak samo lekceważące jak wówczas, gdy była dwudziestolatką. Już po dziesięciu minutach od poznania jej, panna Mayfield wiedziała, że do rozczulania się nad sobą kobieta odnosiłaby się z pogardą i że gdyby cierpiała na brak pamięci, to robiłaby sobie z tego żarty, mówiąc: „A co tam, do diabła. Mam nadzieję, że zapomniałam o wszystkich swoich długach”. Ale odznaczała się także pewnym urokiem i robiła wszystko, aby panna Mayfield czuła się u niej dobrze. Zdarzało się, choć rzadko, że kiedy nie było nikogo innego, kto mógłby się tym zająć, to sama obsługiwała pannę Mayfield, a robiła to w tak niedbały, byle jaki sposób, że pannie Mayfield zarówno to schlebiali, jak i ją krępowało.

- Miałam tu pani pomagać - zaprotestowała pewnego razu.

- Nie wiem, co Hal miał na myśli, kiedy to mówił. Przypuszczam, że chodziło mu o zajmowanie się kwiatami. Tyle, że ja lubię zajmować się nimi sama.

- I robi to pani lepiej, niż ja kiedykolwiek będę umiała. Ale gdy dowiem się, gdzie jest jaki sklep, to będę mogła robić zakupy.

- Sklepy i tak są za daleko, żeby do nich chodzić na nogach. Niech pani odpoczywa i nabierze trochę ciała. Co za szkoda, że nie gra pani w brydża.

Pytanie o brydża zrodziło się praktycznie natychmiast. Pani Mott-Tyler, panna Ellison i generał Fordham uwielbiali tę grę i mieli w niej duże doświadczenie. Mieli nadzieję, że panna Mayfield będzie czwartą wytrawną graczką. Gdy zapytali ją, czy gra, odpowiedziała:

- Nie wiem i o ile pamiętam, to nigdy nie grałam. Ale w tym fragmencie mojego życia, której nie mogę sobie przypomnieć, mogłam nauczyć się różnych rzeczy.

- Po czterdziestce ludzie wiele się już nie uczą - powiedziała panna Ellison, a sposób w jaki to zrobiła, sprawił, że słowa te zabrzmiały brutalnie.

A więc przed przyjazdem panny Mayfield, jak i po nim, musieli nadal polegać na jednym ze swoich sąsiadów. Każdego wieczoru ktoś przychodził na brydża i każdego wieczoru panna Mayfield czytała. W domu pani Mott-Tyler było kilka książek, a ponieważ praktycznie żadna nie przypadła jej do gustu, pewnego dnia zapytała, czy w mieście działa jakaś biblioteka publiczna.

- Nie wiem, ale jest biblioteka członkowska. Na urodziny, w prezencie, Bóg wie po co, ktoś podarował mi opłaconą składkę do tejże biblioteki. Sprawdzę, czy dam radę ją odnaleźć, a wtedy jutro się tam wybierzemy i wypożyczymy dla pani najnowszą wersję *Przemięło z wiatrem*.

To było uprzejme z jej strony, ale zabrzmiało tak, jakby czytanie książek było głupie.

Pani Mott-Tyler posiadała ciekawą zdolność określania jako głupie wszystkiego, co wykraczało poza pewne ściśle określone granice. W podobny sposób potrafiła mówić nawet o kanoniku Thorbym.

- Hal wybrał kapłaństwo w proteście przeciwko temu, że był drugim synem. Miał brata o dwa czy trzy lata starszego, który był prawdziwym diabłem wcielonym: szalony, ekstrawagancki, egoistyczny aż do bólu, okropnie przystojny i pozbawiony jakichkolwiek zasad etycznych. A więc Hal podążył w zupełnie innym kierunku. Przyjął święcenia kapłańskie i poszedł w ślady swojego religijnego przywódcy, a w praktykach religijnych odznacza się niezwykłą gorliwością. Głosuje na konserwatystów, ale ma liberalne podejście i dzieli się posiadaniem pieniędzy z innymi. Freddie wybrał się na wojnę i zginął pod Mons, a więc Hal odziedziczył więcej, niż się spodziewał, i wygodnie żyje.

Panna Mayfield, kiedy miała to powiedzieć, poczuła pewne odrętwienie w głosie:

- Kanonik Thorby był dla mnie nieopisanie uprzejmy.

- I dla mnie również, niech Bóg go błogosławi. A także dla Toma, Dicka, Harry'ego starego wuja Toma Cobleigha i całej reszty. Ale taki ma przecież zawód. Kominiarz czyści kominy, a Hal Thorby robi dobre uczynki. To musiał być jakiś specjalny dzień, kiedy wpadł na pomysł, aby przysłać panią do mnie, żebyśmy sobie pogawędziły. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

*

Było oczywiste, że kiedy panna Mayfield wybierała się do biblioteki po raz pierwszy, pani Mott-Tyler zawiozła ją na miejsce. Jednak trzy dni później, kiedy skończyła czytać wypożyczoną książkę, zasugerowała, że przejdzie się na własnych nogach i weźmie sobie inną.

- To naprawdę nie jest tak daleko, a ja lubię chodzić.

- Podrzucę panią tego popołudnia. Dziś rano ktoś przychodzi się ze mną zobaczyć, a jedna z tych starszych biedaczek jest umówiona na wizytę z lekarzem, więc Margery musi zostać na dyżurze.

- Nie ma potrzeby, aby ktokolwiek się ze mną wybierał. Przyjrzałam się drodze, kiedy jechałyśmy tam ostatnio i zauważyłam, że jest całkiem prosta. A jak by co, to zawsze mogę kogoś zapytać.

- Proszę posłuchać. Nie wątpię, że trafiłaby pani do Timbaktu. Chodzi o to, że przyrzekłam się panią opiekować, a jeszcze nie czas na to, aby wałęsała się pani sama po ulicach.

- Dlaczego?

- Ach, te ich nonsensy. Margery to rozumie.

Pani Mott-Tyler podeszła do drzwi i zawołała, a kiedy do środka, ciężkim krokiem, wmaszerowała panna Ellison, powiedziała:

- To twoja specjalność, Margery Prostymi słowami wyjaśnij panie Mayfield, dlaczego w tym stanie nie może nigdzie sama się wybierać.

- To nic trudnego - odpowiedziała panna Ellison, zerkając za oddalającą się panią Mott-Tyler. - Widzi pani, w takich przypadkach zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że kiedy człowiek przypomni sobie to, co zapomniał, może nie pamiętać tego, co działo się po utracie pamięci. Gdyby pani pamięć powróciła w mieście, to możliwe, że nie miałyby pani pojęcia, w jaki sposób dotarła pani do tego miasta albo gdzie pani mieszka obecnie czy cokolwiek innego.

Zatrwożona panna Mayfield zapytała:

- Czy to prawdopodobne? Myślałam, że gdybym sobie przypomniała, to powinnam... no, powinnam wszystko pamiętać, znowu wszystko stałoby się jasne. Sądzę, że tak właśnie będzie, jeżeli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

- Naprawdę? Ci, co się na tym znają, wcale tak nie uważają. To nie jest pani pierwszy zanik pamięci, zgadza się?

- Czyżby? Czy chce pani powiedzieć, że kiedy byłam w Walwyk, to wszystko to, co pamiętam teraz, czyli moje dzieciństwo, młodość, lata spędzone w Afryce, były dla mnie tak samo zapomniane, jak teraz zapomniane jest Walwyk?

Panna Ellison wzięła do ręki papierosa i zapaliła go w charakterystyczny dla niej, niezdarny, prostacki sposób.

- Nie mnie to oceniać. Jedyne, co wiemy, to to, że wcześniej miała pani załamanie nerwowe i nigdy pani o tym nie wspominała. Kanonik Thorby sam musiał odkryć ten fakt.

Panna Mayfield na chwilę zamknęła oczy.

- Tak - powiedziała - tak. Jedną z ostatnich rzeczy, którą pamiętam, jest moja przyjaciółka mówiąca, że grozi mi załamanie nerwowe i dlatego muszę wracać do Anglii.

- A widzi pani. W Walwyk o tym pani nie pamiętała. A teraz nie pamięta pani Walwyk. To taka huśtawka. Nie chcemy, żeby wałęsała się pani po Hove jak zagubiony pies, prawda?

Panna Mayfield szybko wybiegła z pokoju, ponieważ nie chciała, aby panna Ellison widziała jej łzy. Kiedy była już u siebie i czuła się bezpieczna, zaczęła płakać. Wszystko to wydawało się bardziej skomplikowane i okropne, niż przypuszczała. Myślała, że straciła pamięć na skutek uderzenia w głowę, ale najwidoczniej przyczyna była inna, było to coś w

rodzaju choroby umysłowej.

Gdy już się wyplakała, uklękła przy łóżku i zaczęła modlić się o odwagę, wiarę i pomoc. Zastanawiała się, czy w tym Walwyk kiedykolwiek się modliła. Jej obecna szczerą wiarą, którą w sobie miała, łączyła ją z Rose i pracą w Entubie. Czy ta wiara, tak samo jak fizyczne czynności jedzenia, oddychania i spania, powróciła przez te wszystkie zagubione lata? Dusza nie powinna być podatna na uderzenia w głowę, z rozpaczą krzyczała do samej siebie.

Dni najczęściej upływały jej w miłej atmosferze. Starannie dobierając słowa, napisała długi list do Rose Tilbury. Opisała w nim swój „głupi, drobny wypadek” i poinformowała ją, że w tej chwili spędza wakacje w Hove. W zasadzie pisanie tego listu rozpoczęła już w szpitalu, ale dzień po dniu zastanawiała się nad wysłaniem go, mając po części nadzieję, że w końcu dostanie list, z którego wywnioskuje, w jakich są teraz stosunkach z przyjaciółką i jak mocna jest ich przyjaźń. Jednak żaden list nigdy nie przyszedł. Po słowach panny Ellison, która powiedziała, że jej życie w Walwyk mogło być całkowicie oderwane od reszty jej przeszłości, zaczęła zastanawiać się, czy od kiedy wyjechała z Afryki, w ogóle kiedykolwiek napisała do Rose jakiś list. A więc nie mogła teraz pisać tak, jakby chciała, czyli jakby dopiero co ją opuściła. Być może będzie to pierwszy list do Rose po długim, niewyjaśnionym milczeniu. A więc pisała bardzo ostrożnie, zastanawiając się, czy wspomnieć o zaniku pamięci; zdecydowała, że nie, ponieważ Rose mogłaby się zmartwić. Dużo czytała, a kiedy nabrała więcej sił, podjęła się drobnych prac w ogrodzie. Pani Mott-Tyler sama pielęgnowała kwiaty i nie chciała, aby ktokolwiek jej w tym pomagał. Jednak w ogrodzie warzywnym, którym dwa razy w tygodniu zajmowała się starsza pani, było całkiem sporo dorywczej pracy, a panna Mayfield bardzo lubiła zbierać warzywa.

Z czasem, gdy czuła się coraz lepiej, a nadzieja na odzyskanie pamięci zmalała, bardziej zaczęła martwić się nie o swoją przeszłość, lecz o przyszłość. Pewnego dnia zwróciła się do pani Mott-Tyler:

- Nie mogę zostać tu na zawsze.
- Jeżeli o mnie chodzi, to może pani. Czemu nie?
- To nie byłoby w porządku. Jestem fizycznie zdrowa. Nie jestem nawet zapominalska. Uczyłam w szkole w Entubie i w Walwyk i wciąż wiem, jak to robić. Myślę, że powinnam skontaktować się z kuratorium oświaty.
- Z którym?
- Walwyk jest w hrabstwie Essex, tak? A zatem z kuratorium oświaty w Essex.
- Nie sądzę, że kiedykolwiek o pani słyszeli. Mój Boże, proszę tak na mnie nie

patrzeć! Ciągle zapominam, że pani o tym nie wie. Nie pracowała pani dla nich, ale w prywatnej szkole Hala Thorby'ego, która jest jego skarbem, jego hobby.

- Ach, rozumiem. To wyjaśnia... Zastanawiałam się, dlaczego nic nie mówiono, ani nie robiono w sprawie mojej wypłaty. Wypadek miałam w czerwcu, a więc powinnam była dostać czek za tamten miesiąc. I tak samo chyba za lipiec, ponieważ jestem na zwolnieniu lekarskim. Ale teraz już wiem, o co chodzi. Kanonik Thorby wykorzystywał te pieniądze, aby pokryć wydatki na mnie. Wiedząc to, czuję się lepiej. Jeżeli wrócę do pracy na początku przyszłego semestru, to przynajmniej będę wiedziała, że nie byłam dla niego tak wielkim ciężarem.

- Na pani miejscu nie martwiłabym się tym. Czy nie czułaby się pani dziwnie, wracając do Walwyk, gdzie każdy panią zna, a pani nikogo nie rozpoznaje? A gdyby chciała pani wybrać się gdzieś indziej, to będą pani potrzebne referencje, a to postawiłoby biednego Hala w trudnej sytuacji.

- Musiałby jedynie napisać, że mnie zatrudnił i że byłam kompetentnym nauczycielem. Z drugiej strony, gdyby nie miał nic przeciwko mojemu powrotowi do Walwyk, to jakoś zniosłabym to zakłopotanie związane z ponownym uczeniem się imion i innych rzeczy. Zresztą, przecież wypadek, który mi się przytrafił, to nie żaden wstyd. Chyba natychmiast powinnam skontaktować się z kanonikiem.

- Nie ma pośpiechu. Nie jestem pewna, czy już wrócił. I zresztą, podczas naszej długiej rozmowy na temat pani, powiedział, że jak tylko będzie mógł, to przyjedzie tu, aby się z panią zobaczyć. Na pani miejscu poczekałabym na niego.

- A kiedy z panią rozmawiał, pani Mott-Tyler, to czy mówił coś, co wskazywałoby na jego podejście do mnie i dalszą współpracę ze mną?

- Niech pomyślę. Mówił, że miała pani wypadek oraz straciła pamięć i obawiał się, że minie sporo czasu, zanim wróci pani do zdrowia. Odniosłam wrażenie, że chciał, aby została tu pani na czas nieokreślony. To wszystko. Nie rozumiem, czym się pani martwi. Jest tu pani szczęśliwa, prawda? Ach tak, chodzi o pieniądze? Jacy jesteśmy niemądrzy, że o tym nie pomyśleliśmy... Proszę posłuchać, postaram się, aby miała pani wszystko, co zechce, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. A tu pięć funtów na początek.

- O, nie. Dziękuję bardzo. Nie chcę się jeszcze bardziej zadłużać. Dam sobie radę.

Zwykły takt, a nie chęć oszukania pani Mott-Tyler, sprawił, że ukryła fakt, iż już wcześniej napisała list do kanonika Thorby'ego. Nie chciała sprawiać wrażenia osoby niezadowolonej, zamartwiającej się lub nieskorej do współpracy. W liście całym sercem podziękowała mu za życzliwość i dodała, że jest już zdrowa, choć wciąż nie pamięta pobytu

w Walwyk. Zapytała też o plany kanonika względem niej. Jeżeli takie miałby życzenie, to chętnie wróciłaby do jego szkoły. List zakończyła słowami: „Mam nadzieję, że był pan usatysfakcjonowany moją pracą i, jeżeli zajdzie potrzeba zmiany szkoły, zarekomenduje mnie pan przyszłemu pracodawcy”.

Z bramy przy ogrodzeniu wokół Barnhurst widać było skrzynkę pocztową, znajdującą się na końcu drogi. Panna Mayfield miała ze sobą trzy znaczki luzem oraz bloczek znaczków za pięć szylingów, który w połowie był już wykorzystany. Na kopercie przykleiła jeden znaczek za trzy pensy i jeden za dwa i pół szylinga, napisała adres probostwa w Walwyk, a w lewym górnym rogu dopisała: „Jeżeli adresata nie będzie w domu, proszę przesłać list dalej”. Następnie, pewnego wieczoru tuż przed kolacją, bez jakiegokolwiek poczucia winy, ruszyła w stronę skrzynki pocztowej. Nawet nie przyszło jej na myśl, że wybrała dobry moment. O tej godzinie pani Mott-Tyler oraz generał Fordham zawsze razem pili wino, natomiast panna Ellison była na górze i zajmowała się starszymi biedaczkami.

Panna Mayfield już prawie dotarła do skrzynki, gdy nagle za plecami usłyszała czyjś ciężki, głośny oddech oraz szybki tupot stóp. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z panną Ellison. Kobieta zauważyła ją z okna w sypialni i natychmiast wybiegła na ulicę, nie zawracając sobie głowy zdejmowaniem fartucha, a nawet kawałka wykrochmalonego płótna, które - gdy nachodziła ją ochota - przypinała sobie do włosów, gdy opiekowała się swoimi podopiecznymi jako pielęgniarka. Panna Ellison chwyciła ją za rękę, w której trzymała list, i głosem przerywanym zadyszka, powiedziała:

- Co pani, u diabła, robi?

- Wysyłam list - odpowiedziała panna Mayfield z wielką powagą. - A co pani robi, panno Ellison, zaczepiając mnie w ten sposób?

- To mój obowiązek. Mówiłam pani, że nie powinna pani nigdzie sama wychodzić.

- Proszę puścić moją rękę.

- Wraca pani ze mną.

- Najpierw wyślę list.

Kiedy panna Ellison, nie wysilając się zbyt, boleśnie szarpnęła pannę Mayfield za rękę, dostrzegła adres na kopercie.

- A więc to tak! Wymykamy się... I patrzcie państwo! - Mówiąc to, szorstko się zaśmiała. - Dwa szylingi i osiem pensów na liście do Essex, i pani mówi, że nie jest stuknięta.

- Kanonik Thorby wciąż może być za granicą. Nie chcę sprawiać kłopotu osobie, która będzie musiała przesłać ten list dalej do adresata.

- No cóż, możemy już wracać i jeżeli pani Mott-Tyler chce, aby pisała pani listy, to

niech pani pisze, ale bez jej zgody niczego nie wolno pani wysłać.

- Nie pozwolę na traktowanie mnie jakbym była obłąkana - oznajmiła z wściekłością panna Mayfield. - Proszę puścić moją rękę, panno Ellison. To boli.

- Jeżeli spokojnie pani ze mną nie wróci, to ją wykręcę - odpowiedziała panna Ellison przez zaciśnięte zęby. - I niech tylko wyda pani jeden dźwięk, tylko jeden dźwięk, aby zwrócić czyjąś uwagę, a wtedy wyląduję pani tam, gdzie powinna była pani trafić kilka miesięcy temu, czyli w w a r i a t k o w i e! - W tym momencie za plecami panny Mayfield zauważyła dwie osoby, idące w ich kierunku. Ze względu na nie, akurat gdy je mijaly, przemówiła zupełnie innym tonem: - To dla pani za daleko. Trzeba było mnie poprosić.

Słowa „w wariatkowie” były dla panny Mayfield niczym cios prosto w serce. Wywołały takie samo nieprzyjemne uczucie jak cichy strach, który czasami nachodził ją, gdy budziła się w środku nocy; strach, który wiązał się z tym, że po wyjeździe z Afryki od czasu do czasu myślała, iż jest psychicznie nie zrównoważona, i że teraz doznaje przeblysków świadomości. Jednak praktycznie zawsze potrafiła wyzbyć się tego strachu, przypominając sobie, że przecież miała wypadek, że zanim on się wydarzył, pracowała jako nauczycielka, czyli w zawodzie, w którym wariaci są niemiłe widziani, i zresztą nie wyglądała na wariatkę... Ale ten strach, Choć na moment stłumiony, wciąż czaił się pod powierzchnią i gotów był uderzyć ponownie. I tak właśnie stało się teraz, w jego uścisku pozwoliła z powrotem zaprowadzić się do Barnhurst.

W ten piękny, ciepły wieczór pani Mott-Tyler i generał wyszli, popijając swoje drinki, na taras znajdujący się naprzeciw okien salonu. Panna Ellison, wciąż trzymając pannę Mayfield za rękę, podeszła do okna znajdującego się najbliżej nich i powiedziała:

- Stella, czy możesz tu przyjść na chwilę?

Pani Mott-Tyler, trzymając kieliszek w jednej ręce, a papierosa w drugiej, wolnym krokiem weszła do środka. Wtedy panna Ellison puściła rękę panny Mayfield, podeszła do okna i zamknęła je.

- Zobaczyłam, jak szła wysłać list. Na nic się zdały moje próby wyjaśnienia tej pani, że nie wolno jej nigdzie chodzić samej. Słuchaj, nie mam nic przeciwko staruszkom albo kalekom, ale głupków, którzy nie słuchają, co im mówię, znieść nie mogę.

- Margery! Nie wolno ci używać słowa „głupek”. Powinnaś o tym wiedzieć. Biedna panna Mayfield, wygląda pani na zdruzgotaną. Proszę spocząć.

- Mam amnezję - odpowiedziała panna Mayfield. - A to nie daje nikomu prawa do wykręcania mi ręki lub nazywania mnie szurniętą i do powstrzymywania mnie przed wysłaniem listu, jeżeli tego chcę.

- Sądzę, że panna Ellison po prostu nadmiernie się zdenerwowała. Widzi pani, jesteśmy za panią odpowiedzialni. Przynakliśmy... dobrze się panią opiekować. Jestem pewna, że nie chciała być niemila.

- Ani troszeczkę. Ale, niech to szlag, podkładałam pannie Ferrers basen, aż tu nagle musiałam wszystko rzucić i biec. Nie byłam w stanie dobierać odpowiednich słów.

- A zatem najlepiej będzie, jak wrócisz teraz do panny Ferrers - powiedziała ze spokojem pani Mott-Tyler.

- Wciąż uważam, że ułatwiłabym wszystkim życie, gdybyś odbyła z tą panią szczerą rozmowę - odezwała się panna Ellison, idąc w kierunku drzwi.

- Co ona przez to rozumie?

Pani Mott-Tyler zgasła papierosa i zaraz potem, ze srebrnego pudełka, wyciągnęła następnego, po czym go zapaliła.

- Ach, wie pani jacy są ci profesjonaliści - powiedziała w typowy dla siebie, lakoniczny sposób. - Na wszystko patrzę ponurym okiem. Według nich, jedna połowa świata powinna znajdować się w szpitalach, a druga w zakładach dla obłąkanych.

- Powiedziała, że powinnam była trafić do wariatkowa. Bardzo mi się to nie spodobało. Upadłam, miałam lekki wstrząs mózgu i częściowo utraciłam pamięć, a ona sama przyznaje, że w każdej chwili mogę ją odzyskać. Nie jestem przez to obłąkana.

- Jest jedna drobna rzecz, której nie wzięła pani pod uwagę. Sądzę, że właśnie to miała na myśli, mówiąc o szczerzej rozmowie. Nie wiem, czy uspokoi to panią, czy nie, ale powinna pani wiedzieć. Brakuje całkiem sporego kawałka z przeszłości, o nim też pani zapomniała.

- Chodzi pani o Walwyk?

- Nie. Jeszcze wcześniej. Sama pani mówiła, że wyjechała z Afryki w styczniu 1956 roku. W Walwyk zaczęła pani uczyć w kwietniu tego roku. Rozumie pani? Nadmierna nerwowość Margery może być w pewnym stopniu usprawiedliwiona. Z tego, co wiemy, cały tamten czas, z drobnymi przerwami, mogła pani spędzić w szpitalach psychiatrycznych.

Teraz panna Mayfield naprawdę miała kompletny mętlik w głowie.

- Jest pani tego pewna?

- Całkowicie.

- Rzeczywiście, jest pewna luka. Ale nie mogłam przebywać w szpitalach psychiatrycznych. Zresztą, kiedy ubiegasz się o jakąś posadę, to musisz mieć referencje.

- Jeżeli o to chodzi, to Hal Thorby ma upodobanie w kulawych psach. Zatrudnię ją, bo nikt inny by tego nie zrobił - oto jego podejście. O Boże, ale to spałam, prawda? Ktoś inny powinien był... To w ogóle nie moja specjalność. Proszę się tak nie załamywać. To nieważne.

T e r a z jest pani zdrowa. Musimy jedynie pilnować... W każdym razie, jak to się w ogóle zaczęło? Ano tak, pani list.

- Napisałam go do kanonika Thorby'ego.

Trzymając list w ręce, wstała i podeszła do biurka, które znajdowało się między dwoma oknami. Podniosła nóż do papieru i ostrożnie przecięła kopertę w taki sposób, aby można była ją ponownie zakleić.

- Proszę przeczytać i szczerze powiedzieć mi, czy brzmi on, jakby napisał go ktoś obłąkany?

- Czytanie cudzych listów - powiedziała pani Mott-Tyler z gestem niechęci - nigdy nie było moją branżą.

- Proszę.

Cieszyła się, że napisała, jak dobrze jest jej w Barnhurst i że jest tutaj szczęśliwa.

Pani Mott-Tyler spojrzała na list, wzruszyła ramionami i oddała go pannie Mayfield.

- Jest pani w dobrej kondycji. Jak już mówiłam, jest pani zdrowa i najlepiej, aby taką pani pozostała. Ale szczerze mówiąc, na pani miejscu nie wysyłałabym tego listu. Hal się zdenerwuje. Postawi go pani w trudnej sytuacji. Ma miękkie serce. Będzie czuł, że powinien powiedzieć, aby wracała pani do Walwyk, albo zmusi go to do wystawienia pani wspaniałych referencji, a wtedy jego sumienie na tym ucierpi. Niech pani napisze i powie mu, że czuje się znacznie lepiej. Na pewno będzie bardzo zadowolony z wyrazów wdzięczności. Ale na pani miejscu dałabym sobie spokój ze wspomnianiem o planach na przyszłość. Zresztą, on i tak ma zamiar tu przyjechać i zobaczyć się z panią.

- Myślę, że powinnam go wysłać ten list taki, jaki jest. W końcu dotyczy on m o j e j przyszłości.

- Niech pani robi, jak chce. Jaka szkoda, że nie pije pani alkoholu. Łyk dobrej whisky zaraz poprawiłby pani nastrój.

List został wysłany następnego dnia. Kiedy do końca tygodnia nie otrzymała żadnej odpowiedzi, doszła do wniosku, że kanonik pewnie jeszcze nie wrócił z urlopu i postanowiła cierpliwie czekać.

*

Wyglądało na to, że panna Ellison żałowała pochopnych słów, ponieważ kilka razy bardzo starała się przypodobać pannie Mayfield, ale ta wszelkie jej zabiegi przyjęła chłodno. Dziwiła się trochę samej sobie, ponieważ pamiętała, że w przeszłości obrażano ją bardziej, a potrafiła przebaczyć winowajcy. Jednak w tym przypadku to jedno słowo - „głupek” - utkwilo w jej umyśle niczym zadra. Nawet gdybym kompletnie oszalała, powiedziała sama do siebie

panna Mayfield, to takich rzeczy mówić nie wypada. Ale jakiś tydzień później po incydencie z listem, kiedy panna Ellison powiedziała jej, że po południu wybiera się do miasta i mogłaby ją zabrać, przyjęła zaproszenie z zamiarem wypożyczenia w bibliotece kolejnej książki. Panna Ellison prowadziła samochód bardziej ostrożnie, lecz z mniejszą wprawą niż pani Mott-Tyler, a do tego miała znacznie mniej szczęścia w znajdowaniu wolnego miejsca na parkingu. Z tego też powodu, aby dojść do sklepów, musiały pokonać całkiem spory kawałek na nogach, a kiedy skończyły robienie zakupów, popołudnie praktycznie dobiegło końca. Panna Mayfield, trzymając w rękach książkę i torebkę, poszła prosto do ogrodu, gdzie pani Mott-Tyler i generał zaczęli picie herbaty.

- Doszliśmy do wniosku, że zostaliście w mieście na herbacie - odrzekła pani Mott-Tyler, przelewając trochę wody z termosu do dzbanka.

- Gdzie Margery?

- Mówiła, że idzie na górę. Miała ze sobą trochę paczek.

Praktycznie natychmiast panna Ellison pojawiła się w drzwiach prowadzących do tylnego holu. Stała i skinieniem głowy przywoływała panią Mott-Tyler, która po chwili wstała i dołączyła do niej. Przez kilka sekund rozmawiały ze sobą po cichu. Następnie pani Mott-Tyler wróciła do stołu i, kiedy zwracała się do panny Mayfield, ta zauważyła, że unika jej wzroku. Powiedziała:

- Panno Mayfield, proszę na chwilę wejść do środka, dobrze? Proszę też wziąć swoją torbę.

Wszystkie trzy stały w tylnym holu, w którym, po wyjściu ze słonecznego ogrodu, panował chłód. Panna Mayfield była zdziwiona, a one obie wyglądały tak, jakby czekały, by ta druga się odezwała. W końcu, wypuszczając powietrze z płuc w sposób, który wskazywał na lekkie oburzenie i zniecierpliwienie, pani Mott-Tyler powiedziała:

- Czy zechciałaby pani otworzyć swoją torebkę?

Bardziej zmieszana niż kiedykolwiek przedtem, panna Mayfield zrobiła to, o co ją proszono. Otworzyła torebkę, ukazując jej skąpą zawartość. Była tu portmonetka, w której, gdy zaglądała do niej w szpitalu, znajdowało się osiem szylingów i cztery pensy. Suma ta została pomniejszona o jednego szylinga sześć pensów przy zakupie najmniejszej tubki pasty do zębów oraz o dwa szylingi, gdy upierała się zwrócić pani Mott-Tyler „poczęstunek” w postaci porannej kawy, którą jej kupiła podczas jednej z ich wspólnych wizyt w mieście. Oprócz tego znajdował się tu jeszcze grzebień i kilka spinek do włosów, a także staromodna puderniczka, pióro wieczne, bloczek ze znaczkami, pilnik do paznokci oraz kółko na klucze.

- Czy nosiła pani płaszcz tego popołudnia?

- Wzięłam go ze sobą, ale okazało się, że jest za ciepło i zostawiłam go w samochodzie. O co chodzi?

- Gdzie jest ten płaszcz?

Panna Mayfield odwróciła się w stronę rzędu wieszaków, które stały wzdłuż ściany obok tylnych schodów.

- Przyniosłam go do domu i w drodze do ogrodu powiesiłam na wieszaku. Czy mogłybyście mi powiedzieć...

- Czy mogłaby pani pokazać nam, co znajduje się w kieszeniach tego płaszcza?

- Dlaczego?

Poszła więc w kierunku wieszaka z uczuciem nadciągającej katastrofy i włożyła dłoń do najbliższej kieszeni - znajdowała się w niej chusteczka. Kiedy odwracała płaszcz, aby sięgnąć do drugiej kieszeni, usłyszała cichy szelest celofanowego opakowania. Szybko więc wsunęła dłoń do kieszeni i wyciągnęła z niej parę nylonowych pończoch.

- Przysięgam, ja ich tu nie włożyłam. Skąd wiedziałyście, że są tutaj?

Odezwała się pani Mott-Tyler:

- Przecież chciałam pożyczyć pani pieniądze.

Panna Ellison natomiast odpowiedziała na pytanie panny Mayfield:

- Dziewczyna w sklepie, kiedy tego popołudnia kupowałam pończochy dla siebie, widziała, jak je pani zabierała. Dzięki Bogu, że była zbyt zszokowana, aby robić aferę, ale potem poszła i zawiadomiła o tym pana Blundella, który przed chwilą dzwonił tutaj.

- Kłamstwa, to wszystko kłamstwa! - odpowiedziała z wściekłością panna Mayfield. - Nigdy wcześniej nie dotykałam tych pończoch. Oskarżacie mnie o kradzież? Tak się składa, że w ogóle nie potrzebuję pończoch. Mam kilka par. I poza tym nie noszę tego gatunku ani koloru.

- Kleptomania nie zważa na potrzeby osoby, która cierpi na tę przypadłość - rzekła panna Ellison.

- W tej chwili idę prosto do tego sklepu i stanę twarzą w twarz z tą dziewczyną oraz jej kłamstwem. Nie mam pojęcia, w jaki sposób pończochy dostały się do kieszeni mojego płaszcza, ale jedna rzecz jest pewna, ja ich tam nie włożyłam, a ona nie widziała, że ja je w ogóle dotykałam.

- Sklep jest już zamknięty.

- To pójdę rano.

- Margery! Znowu nie uważasz na to, co mówisz - odezwała się z zażenowaniem pani Mott-Tyler. - Kleptomania nie jest odpowiednim słowem w tym wypadku. Biedna panno

Mayfield, po prostu wzięła je pani do ręki i zupełnie o nich zapomniała. Proszę się tak nie denerwować. Sama pójdę i porozmawiam z Blundellem, on zrozumie.

- Proszę tak nie mówić. Wolę raczej być złodziejką niż wariatką, która nie wie, co robi! Nie mam żadnych wątpliwości i jestem całkowicie p e w n a, że nigdy nie dotykałam tych pończoch. Pamiętam każde słowo, które panna Ellison wypowiedziała do sprzedawczynie. Pokazała pani pończochy takie jak: Riviera Tan, Golden Rose i Beech Blonde. I kupiła pani dwie pary Beech Blonde, rozmiar dziesięć i pół, które kosztowały osiem szylingów jednaście pensów za parę. Sprzedawczynie zasugerowała, aby wzięła pani dwie identyczne pary, ponieważ wtedy otrzyma pani sześciotygodniową gwarancję. Następnie wypełniła kartę, którą włożyła pani do torby. Jeżeli pamiętam te wszystkie rzeczy związane z transakcją, która nie dotyczyła mnie, to z pewnością pamiętam też, co robiłam sama.

Wściekłym wzrokiem spoglądała raz na jedną kobietę, raz na drugą. Jednak od żadnej z nich nie mogła oczekiwać ani pomocy, ani odrobiny wiary w to, co mówi. Mina pani Mott-Tyler przypominała minę osoby, której uwaga została skierowana na coś z lekka nieprzyjemnego, która chciałaby, aby jak najszybciej znikło jej to sprzed oczu. Natomiast na twarzy panny Ellison malowały się triumf i samozadowolenie.

- Nie wiem, po co miałybyście utrzymywać, że jestem obłąkana - zapłakała - ale tak robicie. To wszystko jest częścią jakiegoś spisku!

- Oni wszyscy gadają tak samo! - odezwała się panna Ellison.

- Wiele hałasu o nic - powiedziała pani Mott-Tyler. - Winę biorę na siebie. Nigdy nie powinnyśmy były jej o tym mówić. Chodźmy, panno Mayfield, proszę już więcej o tym nie myśleć. Nie można pani w żaden sposób za to winić. Każę przygotować świeżą herbatę.

Panna Mayfield była świadoma, że okropnie chce jej się wrzeszczeć. Co by to była za ulga, otworzyć usta i krzyczeć na cały głos. Ale tak zachowują się wariaci! Opanowawszy emocje, powiedziała:

- Nie chcę żadnej herbaty. Chcę zostać sama.

15

Słowa „część jakiegoś spisku” wyrzuciła z siebie bez premedytacji. Ale później, im więcej myślała o całej tej sprawie, tym jaśniejszym się dla niej stawało, że dokładnie tak było. Spisek. Tylko w jakim celu? Na czyją korzyść? Nie była w stanie tego odgadnąć, jednak przepełniała ją pewność, że cała ta afera miała związek z Walwyk.

W chwili jasności umysłu zrozumiała, że skoro może już stać mocno na nogach, powinna wrócić tam, gdzie wszyscy ją znali, gdzie żyli ludzie, których ona mogłaby rozpoznać i gdzie znajdowały się miejsca oraz rzeczy, które mogłyby pobudzić jej pamięć. Za zły znak uważała to, że nikt nie przyszedł odwiedzić jej, gdy była w szpitalu, nikt nie skorzystał z okazji, aby zostać przez nią rozpoznany. Niepokoił ją również fakt, że przez cały ten czas, który upłynął od wypadku, nie otrzymała ani jednego listu. Kobieta, która w torebce nosi pióro wieczne i bloczek znaczków, musiała przecież z kimś korespondować.

Oprócz podejrzliwego zachowania ludzi w stosunku do niej, coś innego niepokoiło ją jeszcze bardziej.

Jeżeli pani Mott-Tyler - mówiąc, że panna Mayfield w Walwyk mieszkała zaledwie od kwietnia - celowo nie kłamała, to istniał dość długi okres, podczas którego nie wiadomo było, co się z nią działo. W ciągu tego czasu i jak najbardziej też w trakcie swego pobytu w Walwyk mogła zrobić praktycznie wszystko. Choć kolejna myśl wydawała się jej nierealna, uznała, że trzeba było stawić jej czoła. Przypuśćmy, że spisek, który podejrzewała i którego celem było sprawić, aby wyglądała na osobę nie w pełni władz umysłowych, został miłosiernie obmyślony tylko po to, aby ją chronić. Przypuśćmy, że uczyniła coś okropnego.

Przypomniła sobie, w jaki sposób tłumaczono jej wypadek. Pulpit biurka spadł, uderzył ją i upadła na podłogę. Czy można było w to wierzyć? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że ktoś ją uderzył? Naszła ją okropna wizja. Ujrzała siebie, wariatkę, pracującą w szkole, że oto zaatakowała ucznia i została uderzona tak, że straciła przytomność. Pani Mott-Tyler mówiła jej, że uczyła w prywatnej szkole kanonika Thorby’ego, a szkoły prywatne były szczególnie narażone na różnego rodzaju skandale. Przypuśćmy, że te opowiadki o kanoniku, który chciał pomagać kulawym psom oraz o tym, że w przeszłości siedziała w psychiatryku, były prawdziwe. Wtedy całkiem możliwe było, że kiedy wpadła w

szał, ktoś powalił ją ciosem na ziemię. Ta teoria pasowałaby do całej reszty, do tego, że przemycili ją tutaj, a teraz obserwują i traktują jak obłąkaną.

Owa myśl była dla niej przerażająca, ale ponieważ nie brakowało jej odwagi, postanowiła spojrzeć prawdzie w oczy. Mówiła samej sobie, że jeżeli w napadzie szaleństwa posunęła się do zrobienia czegoś okropnego, to teraz, kiedy już potrafi rozsądnie myśleć, jest gotowa ponieść za to karę.

Sięgnęła pamięcią do słów psychiatry, który mówił o zapominaniu rzeczy, które chcemy zapomnieć. Teraz te słowa nabrały sensu.

Doszła do wniosku, że musi wrócić do Walwyk, a żeby jej się to udało, musi być sprytna, zuchwała i zaradna.

Pieniądze - to była pierwsza niezbędna rzecz, której potrzebowała.

Posiadała - i na szczęście w tej chwili miała przy sobie - jedną rzecz, która mogła mieć jakąś wartość. Lata temu matka chrzestna Rose umarła, zostawiając jej swoją biżuterię, którą po jakimś czasie przysłano do Entuby. Panna Mayfield i Rose przez cały wieczór otwierały małe skórzane pudełka i szkatułki wyściełane welwetem, przyglądając się staromodnym kosztownościom. Na koniec Rose powiedziała:

- Niech każda z nas weźmie sobie jedną rzecz, a resztę sprzedamy. Mamy tyle innych potrzeb, zresztą jestem pewna, że moja matka chrzestna nie miałaby nic przeciwko temu. To znaczy, gdyby żyła, to pewnie byłaby przeciwna, ale teraz już wie, że nie powinna. Co ci się podoba, Deb?

Panna Mayfield wiedziała, że diamenty są bezbarwne i mienią się wszystkimi kolorami tęczy. Rubiny natomiast są czerwone, szmaragdy zielone, a szafiry niebieskie. Był tam pierścionek, którego z pewnością nie można było zaliczyć do żadnej z tych kosztowności. Na tle innych kamieni wyglądał raczej jak sztuczna biżuteria lub coś, co można nosić na scenie. Był wielki i kwadratowy, zrobiony z różowego szkła. Pomyślała, że nie ma żadnej wartości, i powiedziała: „Wezmę to”. Wtedy Rose zaśmiała się i odrzekła: „Taki wybór powinien zainteresować psychologa. Muszą ścierać się w tobie sprzeczne uczucia, Deb. To nie w twoim stylu. Nigdy nie będziesz tego nosić. Weź sobie perły”. Na to panna Mayfield: „Będę je widzieć tylko wtedy, gdy spojrzę w lustro. Dlaczego chociaż raz nie mogłabym mieć czegoś krzykliwego? Podoba mi się ten różowy pierścionek i będę go zakładać każdego dnia. Zawsze”. Wtedy Rose powiedziała: „W porządku. To ja teraz wezmę drugą, najbardziej krzykliwą rzecz, na przykład tę granatową broszkę”.

Panna Mayfield, przyglądając się swemu majątkowi, zastanawiała się, czy za ten różowy pierścionek dostanie w lombardzie choć funta.

Następnego ranka panna Mayfield porzuciła wszelką myśl związaną z pójściem do sklepu pana Blundella i zakwestionowaniem słów sprzedawczyni. Teraz była to dla niej kwestia drugorzędna. Z potulnym, zarazem wyrażającym skruchę wyrazem twarzy zaproponowała, że pozbiera resztę groszku w ogrodzie warzywnym, w którym to każdego poranka Washbrook spacerował ze swym grubym i starym foksterierem. Kiedy obaj przechodzili blisko niej, zagadywała zarówno do niego, jak i do psa. Na początku pan Washbrook był opryskliwy, podejrzewając prawdopodobnie, że panna Mayfield czegoś od niego chce. Nieco później jego podejrzliwość osłabła i kilka razy sam zatrzymywał się i wymieniał z nią uwagi na temat pogody.

Przy którejś z kolei okazji, poklepując psa, panna Mayfield zwróciła się do niego:

- Panie Washbrook, chciałabym się o coś zapytać i zastanawiam się, czy mógłby mi pan pomóc. Czy w Hove jest lombard?

Wtedy on zrobił wielkie oczy i odpowiedział:

- Mniej więcej coś takiego samego znajdzie pani w Brighton.

- Wie pan dokładnie gdzie?

- Chce pani coś oddać w zastaw?

- Chyba tak, chociaż wiem, że nie jest to zbyt wiele warte. Ale funt by się przydał.

Po tych słowach ściągnęła z palca pierścioneł i wręczyła mu go.

- Nie wydaje mi się, żeby to było szkło - powiedział, założywszy pierścioneł na czubek najmniejszego palca, na którym obracał go dookoła.

- Jest zbyt dobrze osadzony. Nie chcę niepotrzebnie rozbudzać pani nadziei, ale to może być różowy szafir.

- Szafiry są niebieskie, panie Washbrook - zwróciła mu łagodnie uwagę.

- Są też różowe i białe. Nie wiedziała pani?

- Nie - odpowiedziała i wciąż nie była tego pewna, ponieważ mu nie wierzyła. Skąd niby miał on to wiedzieć?

- Różowe są bardzo rzadkie. A niech mnie! Gdyby się okazało, że to różowy szafir, będzie można za niego dostać setki funtów.

- Nie chcę setek funtów, ponieważ będę chciała go później odzyskać. Tak naprawdę potrzebuję około czterech funtów, ale nawet jeden funt by mi pomógł. Myślałam, że złoto będzie warte funta. I nie chcę, aby ktokolwiek w domu się o tym dowiedział, więc proszę nie wspominać, że o to pana pytałam.

W jej głosie można było wyczuć skromność, a z twarzy wyczytać bezradność. Wtedy głęboko ukryta, prawie niezauważalna, resztką męskości Washbrooka wypłynęła na

powierzchnię.

- Jak prosisz o funta, to dostajesz sześć pensów, wiem to z doświadczenia - powiedział jej. - Zażądaj dychy, a dadzą ci pięć szylingów. Coś pani powiem, jeżeli pani chce, to dobiję targu za panią. Kogoś takiego jak pani zrobią w konia. I lepiej, żeby nikt z domowników się o tym nie dowiedział. Gdyby odkryli, że coś dla p a n i ułatwiłem... Czy mam postarać się o piątała?

- Nie chcę, żeby pan to sprzedawał.

- Zrozumiałem za pierwszym razem. Jutro, mniej więcej o tej samej godzinie, będę tutaj z kasą, jeżeli w ogóle jakąś zdobędę.

Następnego ranka podszedł do niej spokojnym krokiem i wręczył jej kwit z lombardu oraz pięć najbrudniejszych banknotów jednofuntowych, jakie kiedykolwiek w życiu widziała.

- Miałem rację, to był różowy szafir. Właściciel lombardu spojrział na mnie bardzo podejrzliwie, naprawdę. Uspokoił się, gdy poprosiłem go tylko o piątała.

Panna Mayfield wzięła jeden z banknotów i chciała wręczyć go mężczyźnie.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczna. Bardzo ułatwił mi pan zadanie. Proszę przyjąć te pieniądze.

- Nie ma takiej konieczności - powiedział szorstko.

- Nie, naprawdę potrzebuję jedynie czterech funtów, żeby sobie poradzić, a samej nie udało mi się wydostać stąd niepostrzeżenie. Proszę, panie Washbrook.

- W porządku - odpowiedział i włożył banknot do kieszeni. - Jeżeli kiedykolwiek będzie miała pani jakąś sprawę... Tylko proszę pamiętać, że wszystko po cichu.

Zdawała sobie sprawę, że musi - jak sama to określiła - wykraść się stąd nocą niczym złodziej. Mając to na uwadze, właśnie nocą, tego samego dnia, w którym Washbrook zabrał jej pierścioneł, musiała sprawdzić, czy uda się jej bezszelestnie otworzyć drzwi od swojej sypialni. Była szczerze zdumiona, gdy odkryła, że zamknięto je od zewnątrz.

Ponieważ była jednym ze szczęśliwców, którzy ze swojego pokoju mieli dostęp do łazienki, dlatego też podczas pobytu w Barnhurst nigdy nie miała powodu, aby opuszczać pokój po tym, jak już udała się na spoczynek. Nigdy przedtem, bez względu na to, czy była noc, czy poranek, nie słyszała, aby ktoś przekręcał klucz w zamku. Kiedy więc odkryła, że drzwi zostały zamknięte, zaniepokoiła się, iż coś w jej zachowaniu wzbudziło podejrzenia w opiekunach. Jednak po chwili naszała ją spokojniejsza myśl, że prawdopodobnie był to jedynie rutynowy środek ostrożności. Wiedziały, że nie ma pieniędzy i, chociaż robienie z niej wariatki sprawiało im przyjemność, zapewne domyślały się, że nie była aż tak głupia, by uciec bez grosza przy duszy.

Po otrzymaniu pieniędzy za pierścionek, tak jak zwykle usiadła wieczorem na krześle w niewielkiej odległości od stołu do brydża i zaczęła czytać książkę. O tej samej godzinie co zazwyczaj - czyli po zakończeniu pierwszego rozdziału, zaraz po wpół do dziesiątej - wstała, powiedziała „dobranoc” i, trzymając palec w zamkniętej książce, zwróciła się do pani Mott-Tyler:

- Skończę tę książkę, zanim pójde spać. Czy wybiera się pani jutro do miasta?

- Raczej na pewno - odpowiedziała życzliwie pani Mott-Tyler, tasując karty z dużą wprawą.

Oczy pani Mott-Tyler spotkały się z oczami panny Ellison, siedzącej po przeciwnej stronie stołu. Wymieniły spojrzenia, które wyraźnie mówiły, że szczerza rozmowa przyniosła efekt, a epizod z kradzieżą w sklepie zadziałał jeszcze lepiej. Panna Mayfield w końcu się uspokoiła.

Panna Mayfield pokręciła się trochę po swojej sypialni, skorzystała z łazienki, zgasła główne światło i zapaliła lampkę stojącą przy łóżku. Następnie po cichu otworzyła drzwi od sypialni, zamknęła je za sobą, przemknęła przez podest i, idąc wzdłuż korytarza, skierowała się w stronę tylnych schodów. Serce waliło jej nierównomiernie, ale cały czas zapewniała samą siebie, że gdyby nawet ją w tej chwili nakryto, to przecież nie robiła nic złego. Nie była ubrana wyjściowo, a jedynie chciała sobie postać przy drzwiach prowadzących do ogrodu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza przed udaniem się na spoczynek.

Przez nikogo nienakryta dotarła do tylnego holu i schowała się pomiędzy płaszcami wiszącymi na wieszakach, które stały przy schodach. Stała tam przez zaledwie dziesięć minut, ale zdawało się jej, że było to bardzo długo. Nagle do jej uszu dotarł dźwięk dzwonka, wzywający Washbrooka, aby asystował swemu panu w drodze do łóżka, a potem usłyszała głosy dochodzące z frontowego holu, kiedy pani Mott-Tyler odprowadzała do drzwi sąsiadkę, będącą czwartym graczem tamtego wieczoru. Washbrook, wychodząc z ciemnego miejsca znajdującego się za kuchnią, w którym przebywał wraz z psem, przeszedł blisko wieszaków, gdzie - wstrzymując oddech - stała panna Mayfield. Nastąpiła kolejna długa przerwa, po której pan Washbrook zszedł tylnymi schodami i poszedł do siebie. Chwilę potem, poruszając się w swoich miękkich kapciach prawie bezszelestnie, tymi samymi schodami zeszła panna Ellison i weszła do kuchni. Gdy ją opuszczała, najwyraźniej coś jadła, ponieważ słychać było, jak chrupie. Przekręciła klucz w drzwiach prowadzących do ogrodu, poszła do frontowego holu, po czym zamknęła i zaryglowała drzwi główne, gasząc przy tym wszystkie światła.

Teraz nie wolno było działać pośpiesznie. Zanim przy pomocy zapalek rozświetlających drogę zacznie poruszać się po pogrążonym w ciemnościach domu, wszyscy

muszą spać. Naliczyła sześćdziesiąt uderzeń serca - wychodziłaby jakaś minuta. Jeżeli zastosuje tego rodzaju liczenie dla każdego palca, to minie dziesięć minut. Kierując się tymi obliczeniami, czekała godzinę, zanim zapaliła pierwszą zapałkę i spojrzała na zegarek. Było tuż przed północą.

Wyciągnęła rękę i zdjęła z wieszaka swój cieplejszy płaszcz, który wcześniej sama tam powiesiła. Założywszy go, przy słabym i niepewnym świetle zapałki, ruszyła w stronę frontowego holu. Gdy już tam była, zatrzymała się. Stała przez chwilę bez ruchu i nasłuchiwała. Nic się nie działo. Zapaliła kolejną zapałkę i palcami, które nagle zrobiły się mokre i słabe, zaczęła pracować nad zamkami u drzwi, spodziewając się, że za sekundę zaleje ją potok światła i usłyszy głos panny Ellison: „Co ty, do cholery, wyprawiasz?”. Jednak szczęście było po jej stronie. Otworzyła drzwi, a potem zamknęła je za sobą. Wyszła na podjazd. Była już prawie wolna. Cichcem udała się w stronę krawędzi trawnika, który ciągnął się obok żwirowej ścieżki. Kiedy już znalazła się na jego miękkiej, tłumiącej hałas powierzchni, poczuła się bezpiecznie i zaczęła biec.

Gdy znalazła się na drodze, skierowała się w dół ulicy w kierunku miasta, gdzie wciąż było widać blask świateł. Ponieważ do Barnhurst przywieziono ją samochodem, nie miała pojęcia, gdzie znajduje się stacja, ale zawsze mogła zapytać. Jednak, gdy była w pół drogi, zmarnowała dobrą okazję do zasięgnięcia informacji. Dwóch ludzi, którym przyglądała się gospodyni stojąca w oświetlonych drzwiach, właśnie wychodziło z domu i wsiadało do samochodu. Ale ona ciągle była zbyt blisko Barnhurst, przeszła więc na drugą stronę i minęła ich tak dyskretnie, jak tylko się dało.

Później, przez jakiś czas nie natknęła się na nikogo, lecz gdy zbliżyła się do centrum miasta, zobaczyła tam kilka osób, które jeszcze nie spały i chodziły ulicami. Postanowiła zapytać o wskazówki przyzwoicie wyglądającą parę, która przybyła do miasta tego popołudnia. Mężczyzna powiedział, że według niego do stacji trzeba iść w tym kierunku, który wskazywał, kobieta była przekonana, że jednak w przeciwnym. Panna Mayfield podziękowała im, przez chwilę stała niezdecydowana. Wtedy zobaczyła żołnierza i podeszła do niego. W Afryce jakikolwiek mundur oznaczał, że na osobie, która go nosi, można polegać i że inteligencja tej osoby jest ponadprzeciętna. Kiedy jednak zbliżyła się do tego żołnierza, doznała szoku, gdyż zobaczyła, że jest bardzo pijany, w gruncie rzeczy tak pijany, że dostrzegł w niej coś niezwykle komicznego. Zaśmiał się i powiedział coś o byciu spóźnionym. Następnie napotykała ludzi bardzo pomocnych i poinformowanych, którzy machali rękami i wykonywali gwałtowne ruchy głowami, mówiąc: „W lewo, w prawo, prosto, potem znowu w lewo, ale nie w pierwszą ulicę w lewo, tylko w drugą”. W końcu

dotarła do stacji kolejowej, gdzie dowiedziała się, że następny pociąg do Londynu odjeżdża dopiero o piątej czterdzieści.

Pohamowała emocje i postarała się uspokoić. Jeżeli ktoś w Barnhurst zbudziłby się, zaczął jej szukać i nie znalazł, to na pewno najpierw wyruszyłby na stację, czyż nie? A samochodem, do tego znając drogę, do tej pory już by tu dotarł.

Niemniej jednak, czekanie wydawało się jej dłuższe niż jakikolwiek tydzień w jej życiu. Dopiero gdy bezpiecznie siedziała w pociągu, wzięła głęboki oddech, który wyrażał zadowolenie.

16

Uprzejmy i pomocny młodzieniec, pracujący w biurze informacyjnym na Liverpool Street Station, powiedział jej, że najbliższej Walwyk znajduje się stacja Selbury Kiedy o jedenastej dwadzieścia pięć w ten duszny sierpniowy poranek na pierwszej wiszącej tabliczce zobaczyła napis Selbury i poczuła, że pociąg zwalnia - jej serce znowu zaczęło mocno bić. Za chwilę znajdzie się w miejscu, które p o w i n n o być jej znajome i przetestuje swoją teorię, według której lekarstwem miał być powrót w dawne strony.

Czuła też lekki strach. Już dawno temu mogli odkryć, że jej nie ma, mogli zadzwonić do jakiejś osoby i powiedzieć jej, aby rozglądała się za nią na stacji. Przerazona, patrzyła to w jedną, to w drugą stronę peronu, aż w końcu zeszła po schodach, trzymając się absurdalnie blisko pewnego przysadzistego mężczyzny, który oprócz niej był jedynym pasażerem wysiadającym na tej stacji.

Na podwórzu stała taksówka, do której podeszła szybkim krokiem.

- Zabierze mnie pan do Walwyk? - zapytała.

- To będzie kosztować panią trzydzieści szylingów, może więcej, zależy od odległości.

- W porządku - odrzekła i usiadła na skraju siedzenia, spoglądając gorliwie raz w lewo, raz w prawo, wypatrując czegoś, co poruszyłoby właściwą strunę w jej umyśle. Ale przecież było całkiem prawdopodobne, że nigdy wcześniej nie przebywała w tym miejscu.

Do skraju miasta jechał z dużą pewnością siebie, ale gdy dotarł do rozwidlenia dróg, zwolnił, aby przyjrzeć się drogowskazowi.

- Nie zna pan tej okolicy? - zapytała.

- Nie. Zastępuję szwagra, kiedy jest na urlopie.

Na drogowskazie widniały nazwy Walwyk, a także Renham i Catermarsh. Sąsiednie wsie, być może znała je. Ale nazwy wsi nie miały znaczenia. Ciągle uważała - odpędzając od siebie rozczarowanie - że namalowane słowa, to nie to samo co ludzie. Kiedy zobaczy kogoś, kogo znała, ujrzy łóżko, w którym spała, i szkołę, w której uczyła, to z pewnością zdarzy się cud.

Dopóki nie minęli wysokiego mostu, okolica była płaska i mało interesująca. Potem

zrobiło się pięknie. Następna wieś była tak niezwykle malownicza, że nawet taksówkarz, zaskoczonym i niechętnym tonem, powiedział:

- Nie spodziewałem się, że zobaczę tutaj tak piękne miejsce. Zawsze uważałem, że to brzydka okolica. Osobiście pochodzę z Wiltshire. To dokąd teraz?

Nie wyobrażała sobie, że to okropne pytanie będzie musiało paść; była przekonana, że zanim taksówkarz je zada, ona już zorientuje się, gdzie jest, i wcześniej mu to powie.

- Musimy zapytać. Zapytać kogoś, gdzie mieszka panna Mayfield.

Po raz kolejny szczęście jej dopisało. Listonosz, który nigdy nie docierał do Walwyk szybciej niż w okolicy południa, jechał akurat rowerem wzdłuż drogi. Taksówkarz zwolnił i zawołał:

- Hej, kolego! Gdzie jest dom panny Mayfield?

- Za błoniami, trzeba jechać do końca. To ten z ogrodzeniem i ptakami wyciętymi z krzewów. Nie da się nie trafić.

- Dzięki - powiedział i, jadąc znowu naprzód, dodał - zawsze mówią to samo.

Ten jeden raz przepowiednia się spełniła. Łatwo odnaleźli dom, o którym mówił listonosz; nie można było się pomylić. Panna Mayfield przyglądała mu się gorliwie i znowu doznała rozczarowania. Z niczym się jej nic skojarzył i nic nie przypominał: Był to piękny, mały domek, który sprawiał wrażenie, że zamieszkiwała go jakaś pedantyczna dama, której kiedyś się wiodło, a teraz, chcąc uzupełnić swoje niewielkie dochody, przyjmowała do siebie wiejską nauczycielkę.

Panna Mayfield zapytała mężczyznę, ile ma zapłacić. Ten, marszcząc czoło, wziął się za liczenie i po chwili powiedział, że należy się trzydzieści trzy szylingi i sześć pensów. Kiedy na końcu ślepej uliczki zakręcił i odjechał, otworzyła bramę i zaczęła iść w kierunku drzwi. Na kółku od kluczy, znajdującym się w jej torebce, prawdopodobnie był klucz, który pasowałby do tego zamka. Jednak nie było jej tu dość długo i nikt jej nie oczekiwał, a więc grzeczniej było po prostu zadzwonić. A więc zadzwoniła, przygotowując się tym samym na ujrzanie kogoś, kogo powinna znać. Był to decydujący test.

Nikt jednak nie otworzył i kiedy przyłożyła palec do dzwonka, aby przycisnąć go jeszcze raz, za plecami usłyszała miły, donośny głos:

- Obawiam się, że nie będzie żadnej odpowiedzi. Widziałam taksówkę i szybko wybiegłam, aby przed odjazdem samochodu zdążyć pani o tym powiedzieć. Panna Mayfield jest na wakacjach.

Kobieta, którą ujrzała, była młoda i urodziwa, nosiła lniane spodnie, bluzę bez rękawów i sandały na sznurkowej podeszwie, których wygląd świadczył o zagranicznym

pochoźzeniu.

Całkowicie obca.

Nie znam jej.

Ona nie zna mnie.

W kolejnej sekundzie całkowicie nowa i przerażająca myśl wdarła się do jej głowy. Być może cała ta gadanina o Walwyk to tylko część spisku. Być może nigdy tu nie mieszkała, nigdy nie uczyła.

- To ja jestem panna Mayfield - odpowiedziała.

- Miło mi panią poznać. Jestem Barbara Grieve. Mieszkam z mamą obok. Właśnie wróciłyśmy z Jamajki. Czy oczekiwała pani, że zastanie swoją służącą? Widziałam ją w pobliżu, ale nie dziś rano.

- Myślę... że mam klucz. Ale ponieważ wróciłam niespodziewanie, nie chciałam jej zaskakiwać.

- A, to w porządku.

Poza jednym ostrym spojrzeniem, usprawiedliwionym faktem, że ktoś wrócił z wakacji bez żadnych bagaży, panna Grieve nie wykazywała żadnego zainteresowania.

- A więc wróciła pani nagle... - powiedziała w uprzejmy, ale swobodny sposób. - Jeżeli chciałaby pani trochę chleba lub mleka, czy czegokolwiek innego, to my mamy tego wystarczająco dużo.

- Bardzo dziękuję - odpowiedziała panna Mayfield.

Cieszyła się, że nikt nie przyglądał się jej, kiedy nie wiedziała, którego klucza użyć, aby otworzyć drzwi. Gdy w końcu je otworzyła, weszła - jeżeli wierzyć listonoszowi i pannie Grieve - do swojego własnego domu.

Kiedy rozejrzała się dookoła, ogarnęło ją zdumienie. Skąd, u licha, wytrasnęła takie śliczne meble? Pośrodku holu stał brązowy kufer podróżny i drewniana skrzynka pozbijana gwoździami. Na obu rzeczach znajdowały się czyste, samoprzylepne nalepki. Zgięła się i przeczytała słowa napisane drukowanymi, wytłuszczonymi literami: *PANNA D. MAYFIELD*. Nic innego tam nie było. Żadnego adresu.

Kufer i skrzynka stanowiły jedyny dowód, że kiedykolwiek wcześniej przebywała w tym domu. Oprócz tego dom był pusty i bezosobowy niczym hotelowa sypialnia oczekująca na następnego gościa. Na dole krzesła i sofa, a na górze łóżko i toaleta przykryte zostały płachtami chroniącymi je przed zakurzeniem. W szufladach i szafkach kuchennych nie było niczego, na półkach nie stała ani jedna książka. Lodówka w kuchni była opróżniona, a wtyczka została wyciągnięta z gniazdka. W spiżarni również świeciło pustkami. Na kredensie

wisiały wyjątkowo piękne i delikatne porcelanowe filiżanki. Panna Mayfield zdjęła jedną z nich i stała, przyglądając się jej. Musiałam kiedyś z niej pić, potem ją umyłam, wytarłam i zawiesiłam z powrotem na kołku. Pamięć, która nie reaguje na coś tak wyjątkowego i wspaniałego, rzeczywiście musiała zostać bezpowrotnie utracona.

Po stanie, w jakim zastała dom - czyli po dokładnym usunięciu wszelkich śladów świadczących o tym, że kiedyś tu mieszkała - było dla niej jasne, iż nikt nie oczekiwał, że kiedyś wprowadzi się tu znowu.

Cała sytuacja przypominała powrót zza grobu. A w zasadzie było nawet gorzej. Duch przynajmniej rozpoznawałby dawne miejsca, w których przebywał.

*

Zrozumiała, że czasami nieszczęście jest tak wielkie, iż sam płacz już nie wystarcza. W szpitalu często i otwarcie płakała, w Barnhurst kilka razy robiła to w tajemnicy. Teraz w ogóle nie chciała przelewać łez. Długo siedziała na kuchennym taborecie w beznamiętnym oszołomieniu wywołanym rozpaczą. W końcu zaczęła nabierać odwagi i godzić się ze swoją sytuacją. W porządku. Pamięci wciąż nie odzyskała i było jasne jak słońce, a zarazem przerażające, że kanonik Thorby nie miał zamiaru już dłużej zatrudniać jej w swojej szkole. Jednak ona wciąż żyła i dlatego musiała myśleć rozsądnie i wziąć się w garść. Prawdopodobnie poczułaby się lepiej, gdyby coś zjadła. Ostatni posiłek spożyła zeszłego wieczoru i była wtedy zbyt podekscytowana, aby jeść z prawdziwym apetytem. Po drugiej stronie błoni, kiedy wiozł ją tutaj taksówkarz, mijali mały sklepik. Ponieważ zostało jej trochę pieniędzy, postanowiła, że pójdzie tam i kupi coś dojedzenia.

Sprzedawczyni w sklepie na jej widok aż podskoczyła.

- A niech mnie, panna Mayfield! Jak miło panią widzieć! Nikt nie mówił... I, o rety, wciąż nie wygląda pani zbyt dobrze. Morskie powietrze zdaje się... Proszę siadać, proszę!

Kobieta, wychodząc zza lady, wyciągnęła krzesło, a potem z rękami opartymi na biodrach stała i po raz kolejny przyglądała się pannie Mayfield.

- I te pani piękne włosy. Zawsze je podziwiałam. Wyglądały tak schludnie. Prawie udało mi się zapuścić swoje. Ale nieważne, ładnie odrastają i też się kręcą.

Panna Mayfield zdobyła się na przyjazny uśmiech, a przynajmniej miała nadzieję, że taki był.

- W ten sposób jest mi trochę chłodniej. Tak... potrzebuję kupić kilka rzeczy. - Wymieniła, co chce, prosząc o małe ilości.

- Czy Berta wie, że pani wróciła? Czy wzięła dla pani mleko i chleb?

Mleko było nieważne, ale chleb tak. Do zamówienia dorzuciła również paczkę

suchych herbatników. Sprzedawczyni zaczęła wkładać wszystkie produkty do brązowej papierowej torby.

- To, co się pani przytrafiło, było okropne. I to zaraz po śmierci Wesleya Bainesa, która wywołała przygnębienie w całej wiosce. Pani wypadek był tak niesprawiedliwy, w dodatku po tym, co pani zrobiła, starając się ocalić te wszystkie owce. Pan Frisby mówił o przyznaniu pani medalu, wie pani, jaki on jest. Nie ma wątpliwości, że dzięki pani zaoszczędził sporo pieniędzy. Przejść przez to wszystko, a potem niemalże umrzeć we własnej klasie. Wie pani, to stroiciel fortepianów panią odnalazł. Sądzę, że ocalił pani życie.

- Też tak sądzę - odpowiedziała panna Mayfield z serdecznością. Przez chwilę kusilo ją, aby zaryzykować, odrzucić dumę oraz powściągliwość i powiedzieć: „Proszę posłuchać, straciłam pamięć i nic nie mogę sobie przypomnieć. Chciałabym usłyszeć wszystko, co pani wie”.

Jednak kobieta zaczęła już swoją opowieść, nadając jej wiele dramatyzmu, w którym lubują się osoby takie jak ona.

- Dla niego to też był szok. Poszedł nastroić pianino i nagle widzi, że pani leży na podłodze. Wybiegł przerażony i blady niczym duch, krzycząc, że ktoś panią zabił. Wie pani, zobaczył dużo krwi. Na swój sposób miała pani szczęście. Tamtej nocy wszyscy tu byli w związku z badaniem przyczyn zgonu. Rozumie pani? Lekarz i policja, i cała reszta. Zabrali panią do Wandford w wozie policyjnym.

- Tak, miałam dużo szczęścia.

Po tych słowach wstała i otworzyła portfel. Sprzedawczyni na moment zamilkła, ponieważ w myślach sumowała kwotę za zakupy, a potem zajęła się wydawaniem reszty.

- Musi pani dbać o siebie, bo wciąż, według mnie, marnie pani wygląda. Czy na pewno może pani sama nieść tyle rzeczy? Ella za niedługo wróci od Frisby'ego i z chęcią zanieśie tę torbę do pani.

- Nie jest taka ciężka, a ja muszę iść i napić się herbaty.

- Mogła mi pani powiedzieć, to zaraz przygotowałam herbatę. Woda w czajniku już się gotuje, pozwoli pani...

- Nie, dziękuję bardzo, ale sama zostawiłam włączony czajnik.

To było kłamstwo, ale musiała się stamtąd wyrwać. Cała ta gadanina, to wspomnianie o ludziach, których powinna znać. Irytujące. Doprawdy irytujące. Gdyby musiała znosić to choćby chwilę dłużej, załamałaby się i zdradziła.

Siedziała w kuchni, jadła herbatniki i ser, popijając herbatą bez mleka, kiedy nagle wielki, czarny kot wskoczył na murek otaczający podwórce i wszedł do domu przez otwarte

drzwi. Biegł dokładnie w jej stronę, bardziej jak pies aniżeli kot. Zbliżył się i otarł o jej kostki, po czym zaczął mrużyć coraz głośniejsze i głośniejsze.

- O, biedny kiciuś - powiedziała panna Mayfield, zginając się, aby go pogłaskać. - Takie miłe powitanie, a ja nie mam mleka.

Podła mu okruszek sera, na widok którego pogardliwie prychnął. Znowu zaczął się o nią ocierać, a po chwili oddalił się i, stojąc w pewnej odległości od niej, patrzył się najpierw z ufnością, a potem jakby czegoś od niej wymagał. Trochę pomiauczał i ponownie zaczął krążyć dokoła niej. W końcu panna Mayfield powiedziała na głos:

- W porządku, widzę, że nie dasz mi spokoju, dopóki nie dostaniesz tego, co chcesz.

Zdjęła mały dzbanek zawieszony na kredensie i poszła do domu obok.

Drzwi otworzyła kobieta, będąca oczywiście matką dziewczyny, z którą panna Mayfield rozmawiała nieco wcześniej tego dnia. Kobieta, mimo iż teraz była wątła, kiedyś wyglądała tak samo dobrze jak córka. Panna Mayfield najpierw się przedstawiła, a potem odezwała tymi słowami:

- Pani córka była bardzo uprzejma i powiedziała, że mogłybyście pożyczyć mi trochę mleka. Potrzebuję tylko odrobinę, nie dla mnie, dla kota. Wystarczyłaby symboliczna ilość.

Pani Grieve lekko się wzdrygnęła.

- Ach, ma pani kota? Nigdy wcześniej go nie widziałam. Mówiąc szczerze, nie bardzo je lubię. Wiem, że zabrzmiało to bezsensownie, ale toleruję węże. Proszę wejść do środka.

Wprowadziła pannę Mayfield do długiego pokoju, pełnego różnych przedmiotów przywiezionych z zagranicy. Niektóre z nich były użyteczne, inne służyły do ozdoby, a jeszcze inne były po prostu ciekawe.

- Wróciłyśmy dopiero tydzień temu, a już tak wiele o pani słyszałyśmy, panno Mayfield - mówiąc to, kobieta lekko się zaśmiała. - Wie pani, jest pani zupełnie inna, niż sobie panią wyobrażałam. Stawienie czoła tym okropnym psom...

W badawczy sposób, wzrokiem przenikliwym, ale i serdecznym, przyjrzała się twarzy i figurze panny Mayfield.

- Właśnie miałam robić sobie herbatę - kontynuowała. - Lubię ją pić wcześniej. Proszę zostać i napić się ze mną. Barbara - moja córka - poszła grać w tenisa, a kiedy jestem sama, mam skłonności do melancholii. Pani mieszka sama, prawda? Jak sobie pani radzi?

Panna Mayfield otworzyła usta, aby powiedzieć: „Ale ja nigdy nie mieszkałam sama”, jednak przypomniała sobie, że przynajmniej od kwietnia, w domu obok, właśnie w ten sposób mieszkała.

- Nie jest źle - odpowiedziała. - Ale oczywiście w trakcie roku szkolnego przebywam

cały dzień poza domem.

- Tak, i śmiem twierdzić, że kiedy wraca pani do domu, to spokój i cisza są mile widziane. Proszę się nie obrazić, ale ani trochę nie wygląda pani na nauczycielkę.

- To chyba komplement - odrzekła panna Mayfield, uśmiechając się.

W pewnej chwili pojawiła się starsza kobieta niosąca tacę z herbatą. Postawiła ją na niskim, kunsztownie rzeźbionym stole orientalnego pochodzenia, ustawionym pomiędzy dwoma krzesłami. Pani Grieve spojrzała na tacę.

- Dwie filiżanki. Bystra Carrie! Ach, Carrie, proszę wziąć ten mały dzbanek i nalać do niego trochę mleka, a potem zostawić na stole w holu. No więc, jak smakuje herbata, panno Mayfield? Proszę powiedzieć mi, co myśli pani o Walwyk?

- Myślę, że jest bardzo ładne.

Pani Grieve krótko i gwałtownie westchnęła.

- Przypuszczam, że tak, ale... - Zawahała się, ale zaraz potem kontynuowała: - Przypuszczam, że za dużo o nim słyszałam, zanim się tu zjawiłam, a potem żyłam u boku wielkiego entuzjasty. Mój mąż, biedaczek, nieżyjący od prawie czterech lat, zawsze spędzał wakacje na terenie probostwa. W szkole przyjaźnił się z Freddie Thorbym, a jego rodzice większość czasu siedzieli za granicą. Zachwycił się Walwyk i zawsze powtarzał, że gdy przejdzie na emeryturę, to zbuduje sobie tutaj dom. Podczas jednego urlopu wybraliśmy się do Walwyk i od tamtej pory wiedziałam, że nie było to dla mnie idealne miejsce, w którym chciałabym spędzić resztę życia. Jednak on bardzo pragnął tutaj mieszkać, a ja nie miałam serca... Potem, kiedy już przeszliśmy na emeryturę, stara ciotka Hala Thorby'ego - która mieszkała tam, gdzie pani teraz - umarła. Hal po jej śmierci chciał zatrzymać dom, ale nie zależało mu na wielkim sadzie i ogrodzie. A zatem mąż kupił ten kawałek ziemi i wybudował - jak nam się zdawało - idealny dom. Odkąd umarł, jestem w rozterce. Lubię ten dom i trzeba gdzieś mieszkać, wiem też, że nie sprzedałabym go za tyle, ile naprawdę kosztował. W dodatku Barbara zawsze świetnie się bawi, kiedy tutaj przyjeżdżamy. Osobiście jednak nie znoszę tego miejsca.

- Szkoda. Dlaczego?

- Nie mogłam tego mówić. George zawsze uważał, że był to zwykły kaprys, ale ja mam inne zdanie. Po prostu ta wioska jest zbyt mała, wszyscy są tutaj ze sobą spokrewnieni. To jak życie przy otwartej kurtynie. - Wzięła do ręki kanapkę i w zamyśleniu ją ugryzła. - Żyłam w miejscach, gdzie mieszkało zaledwie pół tuzina europejskich rodzin. Mój mąż był inżynierem górniczym i w tych dziwnych miejscach było mi całkiem dobrze. Tutaj nigdy nie jestem szczęśliwa.

Panna Mayfield zaznaczyła, że to wielka szkoda, ponieważ dom wyglądał tak ładnie i przypominał jej domy w Kenii.

- Ach, pani też tam mieszkała? - zapytała z zaciekawieniem pani Grieve.

Przez jakiś czas rozmawiały o Afryce. Podczas tej rozmowy panna Mayfield zapędziła się i wymknęło się jej, co nie trzeba, powiedziała mianowicie: „Parę dni temu mówiłam Rose...”. Ale nic się nie stało, pani Grieve nie mogła wiedzieć, kim była Rose, ani tego, że panna Mayfield rozmawiała z nią przynajmniej trzy lata temu.

W rzeczywistości pani Grieve była bardzo szczęśliwa, że mogła z kimś porozmawiać, tak szczęśliwa, że słowa lub milczenie panny Mayfield praktycznie wcale się nie liczyły. Dwa razy panna Mayfield chciała już wychodzić, ale za każdym razem kobieta błagała ją, aby się tak nie spieszyła. Zjawiła się Carrie i zabrała tacę. Zaraz potem pani Grieve zaproponowała drinka pitego przy zachodzie słońca.

- Ja nie piję drinków.

- A zatem wypije pani orzeźwiający napój bezalkoholowy. Nie wiem jak pani, ale według mnie robi się coraz goręcej. Chyba będzie burza.

- Jeszcze się nie rozpakowałam.

Chociaż narzekała na życie przy otwartej kurtynie, to jednak w pewnym stopniu pani Grieve zachowywała się tak jak ci, którym to odpowiadało. W pewnej chwili powiedziała:

- Barbara wspomniała, że przyjechała pani bez bagażu.

- Większość moich rzeczy znajduje się w kufrze, który był tutaj, gdy się dzisiaj zjawiłam - odpowiedziała, nie kłamiąc, panna Mayfield.

Pani Grieve, aby ją trochę dłużej zatrzymać, podjęła się ostatniego wysiłku.

- Wie pani, nie wydaje mi się, że jest pani już na tyle zdrowa, aby mieszkać sama. Może wprowadzi się pani do nas? Mamy tutaj wystarczająco dużo miejsca. Z radością przyjmimy panią pod swój dach.

- To niezwykle uprzejme z pani strony. Ale, prawdę mówiąc, mam w sobie znacznie więcej siły, niż na to wyglądam. I z niecierpliwością czekam, aby znowu przespać się w swoim łóżku.

- W takim razie proszę jutro wpaść i zjeść z nami lunch. Albo raczej ze mną, Barbary i tak prawdopodobnie nie będzie w domu. Nie znoszę jeść w samotności. W dowolnej chwili mogę skorzystać z zaproszenia do probostwa, ale - i wiem, że nie powinnam tego mówić - biedna Izabela jest dla mnie zbyt irytująca. Po pół godzinie mam ochotę nią potrząsnąć. Przypuszczam, że ma pani znacznie lepsze serce od mojego i bardziej jej współczuje?

- W pewnym sensie, być może, tak - odpowiedziała ostrożnie panna Mayfield.

Uczucie, którego doświadczyła w sklepie - że oto musi się przyznać i błagać o oświecenie jej lub uciec, bo inaczej oszaleje - naszło ją ponownie.

Ogromne ołowiane chmury zebrały się po zachodniej stronie nieba i nadsięgały teraz w ciężkim milczeniu, które poprzedza pierwszy pomruk burzy. Po wyjściu z domu pani Grieve jej własny dom wydawał się prawie całkiem ciemny. Wchodząc do środka, frontowe drzwi zostawiła szeroko otwarte. Skierowała się prosto do kuchni, gdzie czekał na nią kot i tam nalala mu na spodek trochę mleka. Kiedy zwierzak zaczął smakowicie chlupać, poszła na górę do sypialni i zwinęła płachty, które chroniły meble przed kurzem. W łazience, w dobrze zaopatrzonej szafce do przesuszania bielizny, znalazła pościel i posłała sobie łóżko.

Gdy z powrotem zeszła na dół, stała przez chwilę i wpatrywała się w kufer oraz skrzynkę. Po przebyciu tak długiej i trudnej drogi w celu odnalezienia śladów z przeszłości, wiedziała, że jest teraz zbyt słaba i stąd niechętna do zrobienia ostatniego, decydującego kroku. Cały jej dzień składał się z serii zawodów i przez chwilę wątpiła, czy ma siły na to, aby stawić czoło kolejnemu. Niemniej jednak poszła do kuchni i znalazła ostry nóż, młotek do gwoździ oraz solidnie wyglądający śrubokręt.

Z frontowych drzwi panna Mayfield widziała ogród skąpany w dziwnym oliwkowym świetle, natomiast ozdobne ptaki na żywopłocie wyglądały, jakby wycięto je z czarnego kamienia.

Włączyła światło i uklękła przy kufrze, tnąc solidny sznur, którym był przewiązany. Gdy podniosła wieko, zobaczyła kilka sfatygowanych zimowych ubrań: szare i granatowe pulowery oraz swetry, ciemną spódnice, wełnianą suknię w tabakowym kolorze oraz bardzo znoszony szlafrok zrobiony z wełny wielbłądziej. Było tu również kilka par butów, dwa zgniecione filcowe kapelusze, pończochy i bielizna. Nie znalazła nic, co w jakiś sposób przybliżyłoby jej osobę imieniem Deborah Mayfield. Wiedziała jedynie, że kobieta ubierała się niemodnie i była oszczędna, co wywnioskowała, patrząc na pocerowane ubrania i naprawiane buty.

No cóż, może skrzynka ujawni coś więcej. W książkach często znajdowały się inskrypcje lub nazwy księgarni, w których dokonano zakupu. Ktokolwiek wkładał rzeczy do tej skrzynki, mógł również uznać, że jest to odpowiednie miejsce na stare listy i różne papiery. Mogłam nawet pisać pamiętniki, pomyślała i przypomniała sobie, że podczas pobytu w Afryce, zawsze planowała prowadzić dziennik, ale nigdy nie znalazła na to czasu.

Otworzenie skrzynki było nie lada zadaniem. Długie gwoździe powbijano w wielu miejscach i widać było, że wcześniej ktoś próbował otworzyć klapę, ponieważ niektóre z gwoździ były trochę powyciągane. Włożyła więc pazur młotka pomiędzy klapę i bok skrzynki

i zaczęła podważać pojedyncze deski. Jedna w końcu puściła, wydając przy tym trzeszczący dźwięk. Panna Mayfield ujrzała złożoną gazetę. Gdy odsunęła ją na bok, zobaczyła grzbiety kilku książek. Tomiki były jednak zbyt mocno ściśnięte, aby dało się któryś wyciągnąć. Przetarła więc ręką spocone czoło i zabrała się do dalszej pracy. Skrzypiąc i pękając, kolejna deska ustąpiła. Wtedy usłyszała głos dochodzący od drzwi wejściowych:

- Panno Mayfield!

Była to jedna z tych oszałamiających, nieprzyjemnych podróży w czasie, kiedy to odnosimy wrażenie, że już tego doświadczyliśmy, że byliśmy tutaj wcześniej. Ten rozświetlony hol, ta ręka spoczywająca na szorstkim kawałku drewna, to rozglądanie się dookoła i ten człowiek stojący w drzwiach...

Przypominało to naciskanie rozrusznika automatycznego, który wprawia maszynę w ruch.

Modliła się, aby coś takiego się wydarzyło.

*

- Kanoniku Thorby! - powiedziała, po czym próbowała się podnieść, ale nogi zwiotczały jej, niczym u szmacianej lalki, i odmówiły posłuszeństwa. Zamiast tego rozjechały się na boki pod dziwnym kątem, w sposób, w jaki sama nigdy by ich nie ustawiła, sprawiając, że usiadła na podłodze i w niedbalej pozycji oparła się o skrzynkę.

- Połóż głowę na kolanach - odezwał się głos dochodzący z bardzo daleka.

Umyślnie trwała w tej pozycji. Nie mdleję, oglądam jedynie rozszalałą karuzelę wirującą dookoła zbyt szybko: Ethel, babcia Rigby, Emily Baines i Wesley, znowu Ethel, Sydney...

- Czy już pani lepiej? Pomogę pani.

Kiedy ją podniósł, zaczęła powłóczyć miękkimi nogami, a on, podtrzymując, zaprowadził ją do salonu.

- Tak strasznie mi przykro - mówił w kółko. - Zobaczyłem światła... i usłyszałem odgłosy pękającego drewna. Nie przypuszczałem. Pani była o s t a t n i ą osobą... - Spod płachty chroniącej przed kurzem wyciągnął poduszkę, na której panna Mayfield leżała i włożył jej pod głowę. - A teraz - powiedział - pomimo protestów, napije się pani brandy.

Cieszyła się, że kanonik na moment się oddalił. Ciężar wspomnień, który musiała teraz unieść, wydawał się jej zbyt przytłaczający. Przypomniała sobie bardzo dobry wiersz, który kiedyś czytała. Mówił o bólach towarzyszących zmartwychwstaniu i że powstałi z grobu ludzie, woleliby znowu być martwi. Przez ułamek sekundy żałowała, że nie zostawiła w spokoju swojej okaleczonej pamięci, że nie pozostała nieświadoma.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę, którą odbyła z kanonikiem w jego gabinecie, i sposób w jaki się pożegnali. Wiedziała, że musi być ostrożna.

- Proszę bardzo - powiedział, wręczając jej kieliszek. - Nieszczęsna panno Mayfield, co za powrót! Dlaczego, na miłość boską, nie dała nam pani znać?

- Pani Mott-Tyler mówiła, że przebywa pan wciąż za granicą.

- Ach, tak. Moja wina. Odkąd wróciłem, zamierzałem się z nią skontaktować. Ale nagromadziło się tyle spraw. - Zrzucił płachtę okrywającą jedno z krzeseł i usiadł. - Wydawało mi się, że nie było pośpiechu. Ostatni raz, kiedy dzwoniłem do Barnhurst, powiedziano mi, że jest pani szczęśliwa i spokojna, ale jeszcze nie w pełni zdrowa. W każdym razie - pochylił się do przodu i posłał jej swój uroczy uśmiech - jestem zachwycony, widząc panią z powrotem.

- Bardzo pragnęłam wrócić, ale to był problem. Pani Mott-Tyler i panna Ellison tak strasznie się o mnie troszczyły. Nie mogły pojąć, że czuję się już dość dobrze. W końcu - i powiem to panu, zanim zrobią to one - uciekłam. - Upiła mały łyżeczek brandy i lekko zadrżała.

- Muszę je powiadomić. Będą się martwić.

- Oczywiście, powinnam napisać i przeprosić, że zniknęłam w taki sposób. Ale wie pan, jak to jest. Po każdej chorobie przychodzi czas, kiedy nie możesz już znieść, że cię rozpieszczają.

- Jak dawno temu odzyskała pani... całkowitą pamięć?

- Raczej ciężko odpowiedzieć na to pytanie - odrzekła, uśmiechając się do niego. - I kto w ogóle może twierdzić, że odzyskał całkowitą pamięć? Był czas, kiedy o Walwyk nie mogłam sobie przypomnieć kompletnie niczego. A potem przypomniałam sobie całkiem sporo. Choć prawdopodobnie nie wszystko. Jednak przypomniałam sobie o czymś, o czym chciałabym natychmiast z panem porozmawiać, ponieważ dotyczy to mojej przyszłości.

- Ach, przyszłości.

- Chodzi o to, że zdałam sobie sprawę, iż mój wypadek był niczym dar od Boga. Dzięki niemu nie zrobiłam z siebie kompletnej idiotki. Gdybym poszła na to dochodzenie dotyczące przyczyny zgonu i upubliczniła cały ten histeryczny nonsens, którym zwracałam panu głowę... to naprawdę nie wiem...

Przyglądał się jej uważnie, a wtedy ona zmusiła się, aby również spojrzeć mu w oczy niewinnym, czystym wzrokiem. Poruszył się, rozsiadł wygodnie na krześle i dość beztrząsco zwrócił się do niej:

- Jestem panią zawiedziony, panno Mayfield. Sądziłem, że jest pani twardsza. Mając niemal męczeńską koronę na głowie, teraz się pani wycofuje i odwołuje wszystko. Naprawdę

jestem rozczarowany.

W podobny sposób co on, chociaż w środku cała aż drżała, odpowiedziała mu:

- Bardzo niewielu męczenników dostało taką szansę jak ja. Porządne walnięcie w głowę i dużo, bardzo dużo czasu na przemyślenie wszystkiego. I w końcu trzeźwa ocena sytuacji.

- Nie zamierzam teraz wchodzić w szczegóły. Wygląda pani na zmęczoną i chyba czas już być w łóżku. Ale cieszę się, że zmieniła pani zdanie co do biednej staruszki Phoebe Rigby.

- Nie wróciłabym, gdyby było inaczej.

I tutaj zdobyła punkt.

- Nie - powiedział, przeciągając to słowo. - Na pewno by pani nie wróciła. W pani obecnym stanie, porządny atak półpaśca... - Zamilkł i zaśmiał się. - Tak często myślałem o tamtej rozmowie i doszedłem do wniosku, że minęła się pani z powołaniem. Niedoszła powieściopisarka.

Ze smykałką do tworzenia takich sensacji z zupełnie przyziemnych rzeczy, zarobiłaby pani fortunę. Problem w tym, że taki talent, bez ściśle określonego celu, może być poniekąd niebezpieczny.

- Wiem. Doświadczylam jego niebezpieczeństwa na własnej skórze. Przez to prawie straciłam świetną pracę, wspaniały dom i najbardziej życzliwych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miałam.

Sama była zdumiona sobą. Skąd czerpała inspirację? Postawiła kanonika w bardzo trudnej sytuacji. Jednak on sprytnie się wymigał.

- W tym miejscu znowu poruszamy kwestię przyszłości, ale, szczerze mówiąc, uważam, że dzisiaj nie nadaje się pani do dalszej dyskusji. Proszę się porządnie wyspać i kazać Bercie przynieść sobie śniadanie do łóżka. Być może chciałaby pani zjeść jutro lunch z nami?

- Już zostałam zaproszona przez panią Grieve.

Oczy kanonika rozbłysły.

- Już? Obawiam się, że będzie miała pani z nią mały problem. Pani Grieve jest cudowną osobą, znamy ją od lat i bardzo kochamy, ale przez chwilę nie potrafi zostać sama i nieustannie gada. Jestem zaskoczony, że kiedy panią spotkała, to nie kazała się pani od razu wprowadzić do jej pokoju gościnnego. - Wstał i dodał: - Choć nie byłby to wcale zły pomysł. Wygląda pani na bardzo osłabioną. I na miłość boską, proszę nie mocować się ze skrzynkami ani nie robić żadnych innych rzeczy wymagających wysiłku.

- Szukałam listów.

Słowa te wymknęły się jej, zanim zdążyła je przemyśleć. Szukanie listów wiązało się z czasem, kiedy nie pamiętała swojej przeszłości, a przecież udawała przed kanonikiem, że pamięć wróciła jej już dość dawno temu, więc kiedy spostrzegła, że popełniła gafę, poczuła się zakłopotana. Aby jakoś naprawić błąd, powiedziała:

- Myślałam, właściwie miałam nadzieję, że pocztę na nowy adres przysłano mi wraz z książkami. Widzi pan, nie dostałam...

- Ach, to niedbalstwo z mojej strony! Od razu powinienem był pani powiedzieć... - Sięgnął po portfel, ale zaraz wyciągnął rękę z kieszeni.

- Nie, już wiem, zostawiłem go na biurku. Mówię o liście od panny Rose Tilbury, ale nie dla pani, lecz o pani. - Ton jego głosu stał się lekki i przekorny. - Sądzę, iż nie powinna pani narzekać na to, że nie otrzymuje listów. Najwidoczniej po prostu ich pani nie pisze. Albo przynajmniej nie robi pani tego wystarczająco często. Panna Tilbury napisała do mnie, ponieważ dostała od pani list ze szpitala wysłany w lipcu, a potem nastąpiła głucha cisza, żadnych wiadomości.

Prawda była taka, że skoro nie dostała odpowiedzi na list, w którym opisywała swój wypadek, to nie śmiała pisać następnego. Jedynie od ostatnich dziesięciu minut była pewna, że Rose wciąż żyje albo przynajmniej żyła jeszcze w czerwcu tego roku.

- Czy wspominała coś o tym, że napisała do mnie?

- Tak. Chyba dwa razy.

- Nigdy nie otrzymałam od niej żadnego listu. Ani w szpitalu, ani w Barnhurst.

- Sądzę, że to wina szpitala. Pewnie listy pokrywają się gdzieś kurzem i czekają, aż ktoś je zauważy. Popytam. W każdym razie napisałem do pani przyjaciółki krzepiący list. Powiedziałem, że wraca pani do zdrowia, a my się panią dobrze opiekujemy.

Co jeszcze jej powiedział? Pierwszą rzeczą, którą musi teraz zrobić, to napisać do Rose.

- No więc - powiedział - zajrzę tutaj jutro, prawdopodobnie około osiemnastej, i sprawdzę, co u pani słychać.

*

Kiedy kanonik poszedł, panna Mayfield schowała głowę w dłoniach i próbowała spokojnie myśleć. Znalazła się w niebezpiecznym położeniu. Tak niebezpiecznym, że jeżeli w chwili gdy przekręcała klucz w drzwiach, odzyskałaby pamięć, a wraz z nią wiedzę o całej sytuacji, to posłuchałaby swego impulsu, odwróciła się i uciekła. Panna Mayfield wiedziała, że było niemożliwym, aby pozwolili jej tutaj wrócić i żyć w spokoju. Z chwilą gdy

zaskoczenie kanonika na widok panny Mayfield minie, przemyśli on sobie wszystko jeszcze raz i przestanie wierzyć, że na serio wyrzekła się swoich przekonań. Wtedy ją dopadną, tak samo jak dopadli Wesleya Bainesa.

Kiedy o nim pomyślała, przypomniały się jej jego słowa o Bogu, który działa w nieznanym dla nas sposób. W tej samej chwili opuścił ją strach i zwątpienie, a wypełniło ją poczucie przeznaczenia. Momentalnie przypomniała sobie, że sprowadzono ją z powrotem do Walwyk, a ona zobowiązała się tutaj pozostać, gdyż jej jedynym celem było ocalenie Ethel Rigby, a poprzednim razem nie zdążyła tego zrobić. Ot, cała filozofia.

17

A więc, czy zjadła pani smaczny lunch? - zapytał w nieco kpiący sposób kanonik Thorby.

- Tak, był to d ł u g i smaczny lunch - odpowiedziała. - Jednak musi pan pamiętać, że wszystko, co pani Grieve ma do powiedzenia na temat swojej przeszłości, jest dla mnie zupełnie nowe i tym samym interesujące. A zatem spędziłam z nią czas naprawdę miło.

- Wygląda dziś pani znacznie lepiej.

- Powrót do domu zakończył moją kurację.

Wcześniej znalazła resztki Tio Pepe oraz znowu poszła na drugą stronę błoni, aby w tamtejszym sklepie, za resztkę posiadanych pieniędzy, kupić trochę więcej sera, a także masło i mąkę. Większą część dnia poświęciła na robienie paluszków serowych - ofiara w domu Rimmona⁵.

Kiedy kanonik wygodnie się usadowił, panna Mayfield, z radosną pewnością siebie, zwróciła się do niego:

- Mieliliśmy porozmawiać o przyszłości, prawda? Niezręczną część tej rozmowy już mielibyśmy za sobą, jeszcze przed naszym spotkaniem, gdyby tylko panna Ellison nie traktowała instrukcji dotyczących opieki nade mną tak poważnie. - Opowiedziała o incydencie z listem w taki sposób, że brzmiał on trywialnie i nieco zabawnie. - Ale powiem panu dokładnie, o czym napisałam w owym liście. - Na koniec dodała: - Jeżeli ma kanonik najmniejsze wątpliwości co do mojego zdrowia psychicznego, to proszę się na wahać i mi o tym powiedzieć. Słyszałam już gorsze rzeczy wypowiedane pod swoim adresem, i które nie wyrządziły mi żadnej krzywdy.

Choć był wielce zaabsorbowany głównym tematem rozmowy, niemniej jednak zdawał sobie sprawę z niejasnej zmiany w jej zachowaniu, głosie, a nawet w sposobie, w jaki spoglądała na niego. Była jakby mniej staropanieńska, niezgrabna, nie traciła tak szybko głowy, stała się natomiast bardziej energiczna i śmielsza.

- Powiem tak, mogłoby wydawać się to proste, ale jest, niestety, pewien problem.

⁵ W Starym Testamencie w Drugiej Księdze królewskiej (5,18) sługa, wbrew sobie, oddaje pokłon w świątyni Rimmona.

Droga panno Mayfield, przykro mi to mówić, ale już znalazłem kogoś na pani miejsce. Rozumie pani, po tym wypadku nie mogłem pozwolić, aby panna Benson ze wszystkim męczyła się sama aż do końca semestru. Pomagałem jej, jak mogłem, ale to było za mało. Pewnego dnia usłyszałem o młodej kobiecie, która akurat skończyła studia w Girton College. Mieszka w Selbury, a jej owdowiałej matce bardzo zależało, aby córka znalazła taką posadę, by mogła nocować w domu. Codziennie, aż do końca semestru, przyjeżdżała na skuterze. Zarówno ona, jak i jej matka są bardzo zadowolone z tego układu, a ja nie mam serca, aby powiedzieć teraz tej kobiecie, że już jej nie potrzebuję. Rozumie pani, prawda? Nie mieliśmy pojęcia kiedy, jeżeli w ogóle, byłaby pani w stanie wrócić do pracy.

Przymuszała samą siebie do zachowania pogodnego nastroju.

- Doskonale to rozumiem. A zatem przejdźmy do innej kwestii, którą poruszałam w liście. Czy wystawi mi kanonik referencje?

- Oczywiście. A dlaczegoż by nie? Ale, prawdę mówiąc, nie chciałbym tego robić. Mam lepszą propozycję. Panna Halstead nie chce mieszkać w tym domu, a pani, o ile wiem, nie ma domu. Dlatego sądzę, że powinna pani tu zostać. Gdy poczuje pani, że jest już w pełni sił, to może pani przychodzić do szkoły, kiedy tylko zechce i trzy lub cztery razy w tygodniu - oczywiście jeżeli panią by to interesowało i sprawiało jej przyjemność - brać na siebie jakieś mało wymagające zajęcia, ale pozwólmy panie Halstead zostać w tej pracy przynajmniej do świąt Bożego Narodzenia. Dzięki temu mielibyśmy czas, aby przemyśleć wiele rzeczy. Co pani na to?

Była to propozycja, która znakomicie jej odpowiadała, ale coś - i nie dało się nazwać co - szeptało jej do ucha, że zbyt szybkie przyjęcie tej oferty byłoby niemądre.

- Niezwykle doceniam ten szlachetny gest, ale chyba będę musiała odmówić. Byłabym u kanonika tak zadłużona i zresztą czułabym się bezużyteczna.

- Proszę nie zapomnieć - mówiąc te słowa, ugryzł końcówkę paluszka serowego i przez chwilę uważnie przyglądał się pozostałej części - proszę nie zapomnieć, że do wypadku doszło na terenie szkoły, przy użyciu przedmiotu, który należy do tejże szkoły, i w dodatku podczas pełnienia obowiązków. Gdyby zdecydowała się pani wytoczyć mi proces, to prawdopodobnie mogłaby się pani starać o niewiarygodnie duże zadośćuczynienie, zwłaszcza jeżeli udowodniłaby pani, że skutkiem tego wypadku była utrata pamięci.

- I co jeszcze kanonik ma zamiar wymyślić? Uważam, że była to całkowicie moja wina. Miałam problemy z tym klinem. Nie mogłam go odpowiednio ustawić.

- Klin był bardzo zużyty. To cud, że nikomu wcześniej nie przydarzył się ten wypadek. Nie mówię tych rzeczy, aby przekonywać panią do tego czy tamtego. Fakt jest taki,

że to ja jestem winny, to przeze mnie pani cierpiała i choćbym nie wiem, jak się starał, nie jestem w stanie pani tego wynagrodzić.

- Jest pan pewien, że nie mówi tego, aby mnie uspokoić, abym się nie martwiła, że zostanę tutaj i nie będę nic konkretnego robić?

- Myślę, że powinna pani znać mnie lepiej. Zawsze uważam, że trzeba być bezpośrednim i sędzę... - Na chwilę zamilkł. Łyknął odrobinę sherry i kontynuował: - Proszę posłuchać. Oboje jesteśmy rozsądnymi dorosłymi ludźmi i bądźmy ze sobą szczerzy. Poczuję się do odpowiedzialności za klin, który w każdej chwili mógł puścić, ale to w sumie najmniejszy problem. Mogła przecież pani to zauważyć, zgłosić i ktoś na pewno by się tym zajął. Moja prawdziwa wina leży gdzie indziej. Po pierwsze nie zauważyłem całego... całego tego niepokoju w pani głowie. Poszedłem z panią do domu Phoebe Rigby, kiedy poskarżyła pani, że staruszka bije Ethel. Uporałem się z tym, co było na wierzchu, zupełnie ignorując pani głębsze sugestie. A potem, kiedy popadła pani w histerię, zamartwiała się do granic zdrowego rozsądku, została przewrócona i podeptana, a w końcu zdecydowała otworzyć się przede mną, to ja - Boże, przebacz mi! - jedyne, co potrafiłem wtedy powiedzieć, to: „Idź, powiedz o tym wszystkim podczas badania przyczyny zgonu, a będziesz zwolniona!”. A więc poszła pani dokończyć ocenianie prac uczniów i kiedy zabierała pani swoje rzeczy... wtedy się to stało. Cokolwiek pozwoli mi pani dla siebie zrobić, i tak moje sumienie nigdy nie zazna spokoju. Ciężar winy będę nosił ze sobą, aż do dnia mojej śmierci.

- Ale widzi pan, miał pan rację, kanoniku. Dużo o tym myślałam. Proszę sobie przypomnieć, ile wagi przywiązywałam do śladów nagich stóp, które zauważyłam nad stawem! Powiedział pan, że pewnie ktoś chciał się wykąpać. W ogóle nie wzięłam tego pod uwagę. Nie, Deborah Mayfield nie może się mylić! Pójdzie na badanie przyczyn zgonu i zrobi scenę. Powiedział kanonik, że jeżeli tak zrobię, to już więcej nie będę mogła uczyć w Walwyk. Proszę, wtedy Deborah Mayfield postanawia, że dokładnie po sobie posprząta i przytrafia się jej wypadek. Jeżeli potrzebuje kanonik rozgrzeszenia, to tutaj i teraz mogę go kanonikowi udzielić. Cały czas był pan rozsądny i myślał trzeźwo, podczas gdy ja zachowywałam się jak kłown, i jak często się to kłownom zdarza, oberwałam po głowie.

- Mówi pani o szlachetności! Nikt nigdy nie wygłosił bardziej szlachetnej przemowy. Proszę być tak samo szlachetna w swoich czynach. Niech pani tutaj zostanie i pozwoli pannie Halstead wykonywać najcięższą pracę - ona jest młoda, silna i pełna entuzjazmu. Pani będzie po prostu tutaj mieszkać i dbać o siebie, i pozwoli również nam troszczyć się o nią.

- Niczego nie pragnę bardziej, oczywiście, poza powrotem do pracy. Ale rozumiem pana decyzję w sprawie panny Halstead. A zatem do Bożego Narodzenia.

- Do Bożego Narodzenia. A teraz proszę powiedzieć mi wszystko o Stelli Mott-Tyler. Dawno jej nie widziałem. Była niegdyś oszałamiająco piękna i spodziewano się, że lada chwila zaręczy się z moim bratem, jednak nigdy do tego nie doszło...

Panna Mayfield z wielką chęcią zaczęła opowiadać, przestrzegając zalecenia starego przysłowia: Mów to, co przyjemne, ale nie nieprawdziwe - mów prawdę, ale nie tę nieprzyjemną.

*

Pozostało dziesięć dni do rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Dzieci, które przysłały jej piękny odbiornik radiowy, podpisały się na kartce dołączonej do prezentu, a więc teraz wypadało, aby poszła i odwiedziła każdego w jego domu, i złożyła podziękowania.

Ethel Rigby sprzątała klatki swoich królików. Pani Rigby natomiast otworzyła drzwi i powiedziała, że miło jest ją znowu widzieć, zapytała, czy już czuje się lepiej, i dodała, jaka to była wielka szkoda, że jej się to przytrafiło. Nie można było sobie wyobrazić bardziej przyjaznej osoby. Poinformowała pannę Mayfield, że Ethel zajmuje się królikami.

- Proszę do niej iść - powiedziała.

W ułamek sekundy, zanim Ethel zdążyła się opanować, panna Mayfield wyczuła, że dla Ethel Rigby nie był to tylko zwykły powrót nauczycielki, która odzyskała zdrowie po wypadku, ale coś na zupełnie innej płaszczyźnie. Profesor w laboratorium, pewny wyniku swojego eksperymentu, kiedy nagle dowiedziałby się, że rezultat jest zupełnie inny, niż zakładał, wyglądałby dokładnie tak samo jak Ethel Rigby, kiedy, szorując klatkę, uniosła głowę i spojrzała na pannę Mayfield. To nie było zaskoczenie, radość czy trwoga. Nic tak ludzkiego. Przez krótką chwilę piękna, blada, królicza twarz Ethel miała wyraz ciekawości właściwy całej ludzkiej rasie. I co się teraz wydarzy?

Potem ta blada, piękna i królicza twarz wysłuchiwała słów wdzięczności płynących z ust panny Mayfield. Na koniec wyrecytowała swoją rolę, że ma nadzieję, iż pannie Mayfield jest lepiej, i że przykro jej z powodu wypadku.

Sydney Baines siedział sam w domu. Panna Mayfield dowiedziała się wcześniej od Berty, że pan Tharkell zaoferował pani Baines pracę. Najwyraźniej konie wyścigowe wymagały fachowej opieki na wysokim poziomie: ilość jedzenia ważona co do grama, badanie temperatury, ocenianie reakcji mięśni na wysiłek fizyczny. A więc, kiedy panna Mayfield zaszła do domu Bainesów, pani Baines nie było, ponieważ poszła do swojej nowej pracy, a Sydney wkładał śliwki do słoików, robiąc to zresztą bardzo zręcznie.

- Przyszedłam ci podziękować, Sydney, za twój udział w przysłaniu mi prezentu do szpitala. Ten mały, cudowny odbiornik radiowy rozweselał mnie każdego dnia.

- Chłopcy chcieli kupić czerwony, ale dziewczyny powiedziały, że ma być niebiesko-biały.

Głos Sydneya wyrażał niezadowolenie typowe dla członka każdej mniejszości. Przez cały ten czas, kiedy jej nie było, chłopiec dorósł i jakby stracił coś ze swojej dawnej siły. Pomyślała, jakie z niego biedne dziecko - został bez ojca - i poczuła jeszcze większą determinację.

- Kolor nie ma znaczenia. Podoba mi się jego rozmiar i to, że jest poręczny. W przyszłym semestrze, któregoś dnia, przyniosę to radio do szkoły. Posłuchamy wtedy rozmów, muzyki, sztuki.

- Wraca pani do szkoły?

- O, tak. Oczywiście.

- Cieszę się, bo mówili, że nigdy już pani nie wróci. A my tęskniliśmy za panią.

- Czy wciąż pomagasz Ethel przy królikach, Sydneyu?

- Nie tak często jak kiedyś. Widzi pani, mamy nie ma w domu cały dzień, a mój...

Mam teraz więcej obowiązków.

- W rzeczy samej. Jesteś teraz głową rodziny.

Chłopak uśmiechnął się.

- Ale z Ethel wszystko w porządku. Moja mama często tam bywa. Stara się mieć wszystko na oku.

- To dobrze - odpowiedziała panna Mayfield.

Chodziła po wszystkich domach, w których mieszkały dzieciaki, i oczywiście często spotykała się z ich rodzicami. Po kilku takich spotkaniach zaczęła podejrzewać - a po jeszcze kilku następnych już była pewna - że podejście mieszkańców Walwyk w stosunku do niej uległo subtelnej zmianie. Byli bardzo życzliwi, znacznie bardziej niż przedtem. Ale od czasu do czasu zza ich uśmiechu i przyjaznej maski, którą nosili na twarzach, wyłaniało się coś innego, przez chwilę się jej przyglądało i - zanim zdołała rozpoznać, co to - zniknęło. To dziwne spojrzenie zawsze towarzyszyło wzmiance na temat Wesleya Bainesa.

Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy i ktoś powiedział: „To smutne, co przytrafiło się Wesleyowi Bainesowi”, a spojrzenie tej osoby nie było wcale smutne, a raczej porozumiewawcze - jakby krył się za tym jakiś spisek - ona zaczerpnęła gwałtownie powietrza i powiązała ten fakt ze spojrzeniem kanonika podczas ich rozmowy, domyślając się, że jej rozmówca w jakiś sposób dowiedział się, iż wątpi ona w historyjkę o samobójstwie. Ale z pewnością kanonik nikomu nie wyjawiałby treści ich rozmowy. Ktoś inny znowu zwrócił się do niej, mówiąc: „Zaraz, zaraz. Pani niefortunny wypadek zdarzył się niedługo po

śmierci Wesleya, czy tak?”. I wtedy również pojawiło się to spojrzenie, które po chwili znikło. Mówili: „Szkoda Wesleya, będzie go nam brakowało” albo „Wesley był dobrym i fajnym facetem, nigdy nie sądziłem, że posunie się do czegoś takiego”. Używali różnych słów, ale każdy z nich, prędzej czy później, wspominał Wesleya Bainesa i zawsze z tym samym spojrzeniem.

Z panem Frisbym, który pewnego poranka postanowił przyjść i ją odwiedzić, było identycznie. Uścisnął jej dłoń i wylewnie zaczął się z nią witać. Chwilę później, z niepochlebny wyrazem zaskoczenia, przyjął kieliszek Tio Pepe.

- Pomogła mi pani - powiedział - bardziej niż jestem to sobie w stanie wyobrazić. Gdyby je tak zostawić, to te cholerne psy pokiereszowałyby trzydzieści lub czterdzieści owiec, a żywe idą po cztery szylingi za funt. Lassie dostałby wtedy w tyłek. Niektórzy ludzie, nawet teraz, nie wierzą, że był jeszcze jeden pies. Nikt inny nigdy go nie widział. Jestem pani wielkim dłużnikiem.

- Widziałam drugiego psa, ale poza tym nie zrobiłam nic. Zawołałam jedynie Lassie po imieniu, ale to nie pomogło.

- Właśnie, że tak. Pomogło. Dała im pani znać, że tam jest. Psy, które atakują owce w ten sposób, wpadają w kompletny szal. Nie kończą na jednej, rozszarpują całe stado. Dzięki temu, że poszła tam pani i krzyczała, choć mogło się wydawać, że nie daje to żadnych efektów, przywołała je pani do rozsądku. Zdały sobie sprawę, że są psami, a nie dzikimi wilkami. Chciałbym teraz wręczyć pani bardzo ładny prezent. Naprawdę. Rozmawiałem o tym z Edith. Myśleliśmy o... - panna Mayfield nie wiedziała, czy zawahał się, ponieważ brakowało mu pewności siebie, czy robił to na pokaz - pięknym futrze.

- Ależ, panie Frisby, to byłoby niepoważne. To bardzo miły i... hojny gest, ale ja nic nie zrobiłam. A zresztą, cały czas, kiedy leżałam w szpitalu, przysyłał mi pan prześliczne kwiaty i smaczne owoce. Odpłacił mi się pan aż nadto.

Wykrzywił się i wydał dźwięk pogardy.

- Takie głupstwa jak kwiaty mógłbym wysyłać do wszystkich chorych, bez względu na to, czy wyświadczyli mi przysługę, czy nie. To futro to pomysł Edith. Powiedziała, że chyba nie ma pani żadnego. Oczywiście, mogła się mylić. Być może ma pani gdzieś schowane futro z norek. Nie jest pani jedną z tych, która ma wszystko na pokaz, prawda?

Wtedy to coś wyłoniło się i przyglądało się jej. Być może dlatego, że pan Frisby był z zasady mniej wstydlivy od reszty mieszkańców wioski, widoczne było na tyle długo, aby mogła to - niemal - nazwać. Było to spojrzenie, które mówiło: „No dalej, daj spokój, nie jesteś wcale taka sztywna, jak myśleliśmy, jesteś tylko człowiekiem, tak jak my wszyscy”.

Miała wielką ochotę powiedzieć: „Panie Frisby, jeżeli naprawdę chce mi pan wyświadczyć przysługę, to proszę zdradzić, dlaczego pan tak na mnie patrzy”. Jednak czegoś takiego zrobić nie mogła.

- To miłe z pana strony, że pan o tym pomyślał, panie Frisby. I zapewniam pana, że nigdzie nie schowałam futra z norek. W gruncie rzeczy, nigdy nawet nie chciałam mieć futra.

- W takim razie musi być pani wyjątkiem. Chodzi o to, że czuję się pani dłużnikiem. Maverick i ja nigdy nie lubiliśmy się, gdyby miał okazję, to bez wahania by mnie oszukał. W tej sytuacji, gdzie zabito tylko jedną owcę, a reszta została nietknięta, i z pani słowem, że zrobił to inny pies, wymigałem się bez trudu. A zatem, czy się to pani podoba, czy nie, dostanie pani prezent od E. Frisby’ego. Może to być równie dobrze coś, na co ma pani ochotę. No dalej, proszę powiedzieć, co to ma być.

Nagle zdała sobie sprawę, że nadarzyła się okazja, której nie wolno przepuścić. Nie było sensu unosić się dumą.

- Jeżeli naprawdę czuje pan, że musi coś dla mnie zrobić, a powtarzam, że nie ma absolutnie żadnego powodu, aby tak się pan czuł, to może mi pan wyświadczyć pewną przysługę. Mógłby mi pan pożyczyć

- mówię „pożyczyć”, ponieważ zrobię wszystko, aby oddać zaciągnięty dług, chociaż mogę mieć z tym problemy - pięćdziesiąt funtów. Widzi pan, miałam kilka nieplanowanych wydatków, a nie jestem pewna co do mojej przyszłości. Kanonik Thorby zatrudnił w szkole inną nauczycielkę, która będzie pracowała przynajmniej do świąt Bożego Narodzenia. Będę jej trochę pomagała, ale na dużą pensję liczyć nie mogę. Pięćdziesiąt funtów na tę chwilę bardzo by mnie wspomogło.

- Rozumiem, te pieniądze już są pani. Niemniej jednak, chciałem pani coś wręczyć. No cóż, znajdzie to pani w swojej świątecznej skarpecie. - Wyjął z kieszeni portfel i z pliku pieniędzy wyciągnął dziesięć banknotów pięcioletowych. - Proszę bardzo. I niech pani o tym zapomni.

- Na pewno nie zapomnę. Pomógł mi pan bardziej, niż zdaje pan sobie z tego sprawę. Oddam je panu. Być może trochę to potrwa, ale postaram się jak najszybciej.

Jeszcze przez jakąś minutę co nieco się w tej kwestii spierali, a potem pan Frisby zmienił temat:

- Czy słyszała pani, że pan Tharkell dał pracę Emily Baines? Ja też złożyłem jej ofertę. Wszyscy współczuli tej kobiecie. Od samego początku byli dziwną parą. Ale w Wesley u kryło się coś więcej, niż było to widać gołym okiem, nieprawdaż?

I znowu to spojrzenie!

- Lubiłam go na tyle, na ile go znałam.

- Ano tak - powiedział pan Frisby.

*

To pani Grieve ją oświeciła. Uprzejma, gadatliwa, trochę wymagająca - z czasem taki sąsiad mógłby stać się prawdziwym utrapieniem, pomyślała panna Mayfield, ale nie było na to czasu. Za kilka dni miał się rozpocząć rok szkolny, a szkoła stanowiłaby dla niej schronienie oraz byłaby jej alibi. Co więcej, niepokój pani Grieve wzrastał. Zaczynała mówić o wyjeździe w odwiedziny do swojego brata mieszkającego w Prowincji Przyładkowej.

- Po prostu nie mam ochoty spędzać zimy w Walwyk. Nawet posiadanie tak ciepłego domu jak ten jest wadą, bo kiedy wychodzisz na zewnątrz, przeszywa cię okropne zimno. A z Reggie nie widziałam się od sześciu lat.

A więc rozkwitła przyjaźń podobna do tej, którą zawiera się na statkach lub w hotelach. Ostrożność była zbędna, ponieważ czas sam ostatecznie wyznaczał granice tej znajomości.

Pewnego dnia, siedząc przy stole i popijając kawę, pani Grieve bez ogródek powiedziała:

- Chyba już wcześniej mówiłam, prawda, że to miejsce jest największą wylęgarnią plotek, jaką kiedykolwiek znałam. Sądzę, że najświeższą, o której chciałabym powiedzieć, zawdzięczam właśnie pani. A może już ją pani słyszała i postanowiła zignorować?

- „Zawdzięczam”? Czy ma to coś wspólnego ze mną?

- Zdecydowanie tak. I nie mogę już dłużej patrzeć, jak chodzi pani dokoła niczym naiwne dziecko. Ten, który zaczął, powinien zostać odnaleziony, zdemaskowany i zmuszony do przeproszenia.

- Czy... Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z moim stanem psychicznym?

- Dobry Boże, nie! Chodzi o panią i Wesleya Bainesa.

- Ach.

Przyjmę to ze spokojem, pomyślała. Nie wyrządzi mi to wielkiej szkody. Dla własnego dobra powinnam również skupić uwagę na czymś prostym oraz głupim, i po kłopotcie.

- Powiem pani, co dokładnie mówią. Zna mnie pani wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nie wierzę w ani jedno słowo, prawda? Parę dni temu naskoczyłam na Isabel Thorby, kiedy o tym mówiła, i między innymi właśnie ta rozmowa z nią nakłoniła mnie, aby poinformować panią o tych plotkach.

Pani Grieve uniosła chude dłonie i na palcach zaczęła wymieniać główne punkty

swojej wypowiedzi. Praktycznie zaraz po tym, jak panna Mayfield przybyła na wieś, pani Baines chciała stąd wyjechać. Kiedy tylko pani Baines pojechała z Sydneyem do szpitala, panna Mayfield zapraszała Wesleya na kolację. Pod pretekstem zwrotu naprawionych butów, Wesley wybrał się do domu panny Mayfield i długo tam siedział. Wiadomość o jego śmierci tak nią wstrząsnęła, że gdyby nie złapała się poręczy schodów, upadłaby. Było powszechnie wiadomo, że Wesley miał słabość do kobiet z wyższych warstw społecznych. Poślubił jedyną, średnio wykształconą dziewczynę, którą poznał, a kiedy spotkał kobietę nieco lepiej wyedukowaną, zaraz zakochał się w niej po uszy. Gdy żona Wesleya odmówiła mu rozwodu - a był metodystą i jego wiara nie pozwalała mu na życie w grzechu - wpadł w przygnębienie i postanowił się utopić.

Panna Mayfield czuła ogromne oburzenie, aż do szpiku kości. Była zszokowana, zraniona, zawstydzona. Jednak ogarnęło ją przeczucie - być może irracjonalne, ale niezwykle silne - że właśnie tak powinna się czuć. W tym miejscu za wszystkim czaił się jakiś ukryty motyw; być może nawet - tak, myśl ta była okropna, ale trzeba było się z nią zmierzyć - nawet za słowami i pełnym współczucia gniewem pani Grieve.

- Jestem pani wdzięczna za te informacje. Wyjaśniają one pewne rzeczy, które mnie trapiły.

- Przyjęła je pani bardzo spokojnie - powiedziała pani Grieve, podnosząc dzbanek z herbatą, którą ponownie zaczęła napełniać filiżanki.

- A niby jak powinnam zareagować? Zacząć się pieniść i ganiać w kółko?

Pani Grieve zaśmiała się.

- Faktycznie, jest pani niezwykle zaskakującą osobą. Zaiste, jestem przekonana, że byłam znacznie bardziej zdenerwowana, oczywiście w pani imieniu.

- Denerwowanie się nic tutaj nie pomoże. Takie rzeczy wydają się być nieuniknioną częścią życia w odizolowanych miejscach. Ludzie nie zajmują się czytaniem książek, dojazd do kina to duży kłopot, a więc wymyślają sobie bajki ludowe, jak robili to od stuleci. Nie podoba mi się to, ale potrafię to znieść. Jeżeli dożyję osiemdziesiątki, to pewnie obejrzę się wstecz i będę napawać się myślą, że - choć było to mało prawdopodobne - ludzie sądzili, iż romansowałam.

Jej szósty zmysł, który stał się teraz osobliwie czujny, poinformował ją, że co nieco zawiodła panią Grieve sposobem, w jaki przyjęła wieść o plotce.

Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie otrzymała następnego dnia, kiedy wieczorem do jej domu przyszedł kanonik Thorby i powiedział:

- Chciałbym złożyć pani propozycję. Sprawa jest raczej delikatna. Jak bardzo jest pani bezinteresowna?

- Dość bezinteresowna, jak sądzę.

- A więc sytuacja przedstawia się tak. Chodzi o tę biedną Barbarę Grieve. Dziewczyna jest niezwykle atrakcyjna i urocza, a matka, która nie może znaleźć sobie miejsca, cały czas ciągnie ją za sobą z jednego kraju do drugiego. Dwa lata temu była tutaj w przerwie między jedną podróżą a drugą. Wtedy młody Ralph Staples, którego raczej nie miała pani okazji poznać, bardzo się nią zainteresował. Dziewczyna jest w Walwyk od trzech tygodni, znowu spotyka się z Ralphem i wygląda to bardzo obiecująco, ale niedługo po raz kolejny będzie wyjeżdżać. Trochę o tym myślałem i zastanawiałem się, czy czasem p a n i, zamiast Barbary, nie mogłaby towarzyszyć jej w najbliższej podróży.

- Do Afryki Południowej?

- Tak.

Gorliwie zaczął wymieniać uroki swojego najnowszego planu.

- Widzi pani, kiedy pani Grieve przyjedzie do Kapsztadu, to tam będzie miała swojego brata i w mig grupkę przyjaciół. Pani natomiast będzie mogła pojechać do Entuby i odwiedzić swoich znajomych. Czy nie uważa pani, że to świetny pomysł? No i przy okazji wyświadczyłaby pani komuś przysługę.

- Myślę, że tylko pan tak to sobie próbuje tłumaczyć. Stara się pan mnie rozpieszczać. A perspektywa wyjazdu jest bardzo kusząca. Niemniej jednak, z dwóch powodów nie mogę nigdzie jechać z panią Grieve.

- Sądzę, że pani Grieve jest jednym z nich. Tego się właśnie obawiałem.

- Wręcz przeciwnie. Świetnie się razem dogadujemy. Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się to panu wydawać. A więc nie. Pierwszy powód to pieniądze.

- Ach, panno Mayfield. Już powinna pani wiedzieć, że kiedy składam tego rodzaju propozycję, to jestem gotów zatroszczyć się o wszystkie potrzeby. Proszę powiedzieć mi, jaki jest ten drugi powód i lepiej, żeby był istotny, ponieważ naprawdę uważam, że porządny odpoczynek, wycieczka nad morze i spotkanie z przyjaciółmi byłyby najlepszymi rzeczami na świecie, które by się pani teraz przydały.

- Drugi powód jest taki, że gdybym w tej chwili opuściła Walwyk, to wyglądałoby to tak, jakby mnie wypędzono.

- Nie całkiem rozumiem.

- Być może nie słyszał kanonik tych wyjątkowo paskudnych plotek krążących na mój temat.

Przymrużył oczy i wtedy rozpoznała, że jednak słyszał.

- Miałem nadzieję, że nie będę musiał tego mówić. Z pewnością jest to argument, i zapewne pani też to dostrzega, przemawiający za wyjazdem. Lepiej wyjechać i pozwolić całej tej okropnej sprawie ucichnąć.

- Nie. To jest właśnie powód, aby zostać na miejscu.

- Nie wyobrażałem sobie - powiedział z nutą goryczy w głosie - że będzie pani tak bardzo przeciwna. Czuję głębokie niezadowolenie.

- Przykro mi. I zdaję sobie sprawę, że jeżeli jest pan naprawdę niezadowolony, to może pan zakazać mi przychodzić do szkoły i może wypędzić mnie z tego domu. Wtedy znajdę sobie pracę w Selbury, kupię skuter, taki jak ma panna Halstead, i każdego wieczoru będę tutaj przyjeżdżać i krążyć po błoniach, aby udowodnić, że wcale nie wstydzę się pokazywać twarzy w Walwyk.

Ku jej zdziwieniu kanonik wybuchnął gromkim śmiechem. Śmiał się tak długo, aż zaczął kaszleć i musiał wyciągnąć z kieszeni chusteczkę, aby przetrzeć nią sobie oczy.

- Droga panno Mayfield! Kiedy wyobraziłem sobie panią na skuterze, próbującą oczyścić swoje dobre imię... Naprawdę, jeszcze wpędzi mnie pani do grobu! I mówienie o zakazywaniu czy wypędzaniu... jak gdybym kiedykolwiek chciał to zrobić. Powiedziałem, że jestem niezadowolony, ponieważ poczułem się rozczarowany. Zdawało mi się, że to taki dobry plan. Wszystkim wyszedłby na dobre. Ale jeżeli jest pani zdecydowanie przeciwna, to nie ma o czym mówić. Czy na pewno nie chce pani trochę czasu na przemyślenie sprawy?

- Nie, już postanowiłam.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu odezwał się kanonik:

- No dobrze, aby pokazać pani, jaki ze mnie wielki altruista, to coś pani powiem. Wczoraj otrzymałem długi list od pani Halstead. Mówiła, że jej córka była zbyt nieśmiała, aby sama napisać. W liceum w Selbury pojawił się etat. Panna Halstead chciałaby starać się o tę pracę i pani Halstead również by chciała, aby córka złożyła tam podanie. W swoim liście pani Halstead zaznaczyła, że dojeżdżanie na skuterze jest przyjemne latem, ale w zimie to zupełnie co innego, a jej córka często się przeziębiała. List miał dwie strony, ale kiedy dotarłem do jego głównego punktu - no cóż, może się pani domyślić, co napisała pani Halstead.

Panna Mayfield, która z hartem ducha, ale bez przyjemności stanęła przed perspektywą grania drugich skrzypiec w swojej własnej szkole, radośnie powiedziała:

- Panna Halstead nie chce tu wracać?

Kanonik skinął głową i odrzekł:

- Skoro krzywym okiem patrzy pani na mój plan związany z wyjazdem, to z wielką

przyjemnością złapię za słuchawkę tego wieczoru i powiem pani Halstead, że jeżeli o mnie chodzi, to panna Halstead może iść do pracy do... liceum w Selbury Czy podczas tej rozmowy mam złożyć ofertę na skuter?

Panna Mayfield - nie spontanicznie lecz celowo - zaczęła śmiać się wraz z kanonikiem. Ale kiedy już go pożegnała i zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i przez chwilę stała nieruchomo. Jej twarz była poważna i ponura. Wygrała kolejną rundę, ale ile jeszcze będzie musiała ich stoczyć?

18

Rok szkolny rozpoczął się w złocisty wrześnieowy poranek. Ponieważ panna Mayfield wiedziała, co mówi się o niej w wiosce, pierwszy kontakt z klasą był dla niej swego rodzaju męką i po cichu cieszyła się, że Juliet Reeve nie było już w szkole. W zadowalający sposób pozdawała egzaminy, jednak tego osiągnięcia panna Mayfield w żaden sposób nie mogła przypisać sobie. Jeżeli chodzi o dzieci, to one prawdopodobnie nie miały pojęcia o żadnych plotkach. Panna Benson, odnosząc się do tego, co trapiło pannę Mayfield, powiedziała:

- Nie ma się czym martwić. Gdyby nie wymyślili tego, to stworzyliby sobie inne głupoty. Stoimy na linii strzału. Zawsze twierdzili, że pani Westleton była kochanką kanonika, natomiast ja jestem nie tylko rozwiązła, ale również często pijana i niechlujna. - Parsknęła śmiechem i dodała: - To zdumiewające, że takim jak my powierzają pod opiekę swoje wspaniałe potomstwo. Nie sądzi pani?

Panna Benson podczas wakacyjnej przerwy obchodziła urodziny i teraz posiadała auto - był to nowy dwumiejscowy kabriolet, czerwony niczym wóz strażacki.

Po trzech tygodniach od rozpoczęcia roku szkolnego, panna Benson, otwierając pianino, powiedziała:

- Zdaje mi się, że na dzisiejszych zajęciach nie będzie pani miała Sydneya Bainesa, panno Mayfield. Następnym razem, kiedy zobaczę się z jego mamą będę musiała z nią pogadać.

Serce panny Mayfield lekko podskoczyło.

- Dlaczego? - zapytała.

- W piątek pan Tharkell zawiózł ją i jej syna do Selbury. Pojechali na weekend do Cambridge, do jej siostry. Obiecał, że zeszłej nocy odbierze ją o dwudziestej; w niedzielę o tej godzinie przychodzi ostatni pociąg z Cambridge. Jednak w niedzielę rano jeden z jego koni zachorował na kołowaciznę, nosaciznę, czy coś takiego. A więc zadzwonił do wuja Erica i zapytał go, czy ten mógłby „podskoczyć” i ją odebrać. Ponieważ wuj Erie miał inne obowiązki na głowie, zrzucił ten obowiązek na mnie. W sumie i tak miałam być w Selbury i nic by mi nie zaszkodziło, gdybym, będąc tam, raz zwinęła się nieco wcześniej i zrobiła dobry uczynek. A więc poszłam na stację i czekałam. Pociąg przyjechał, ale Bainesów ani śladu.

Trochę popytałam i dowiedziałam się, że jeżeli ktoś był na tyle szalony, to mógł jeszcze wsiąść do pociągu późniejszego, który jechał dookoła, przez Ely, i przyjeżdżał do Selbury za dziesięć jedenasta w nocy. Jak głupia czekałam dalej, myśląc sobie, że była naprawdę w kropce, jeżeli spóźniła się na pociąg pospieszny i musiała jechać osobowym. Nie wzięłam płaszcz, a zrobiło się cholernie zimno, i wypaliłam wszystkie papierosy; wie pani, jakie jest Selbury w niedzielę. W końcu, za dziesięć jedenasta pojawił się pociąg, jednak Bainesów wciąż nie było. Zmarnowałam cały wieczór.

Jeżeli chodzi o Walwyk, to można to było uznać za epitafium pani Baines i Sydneya.

Wiejskie plotkarki, niczym sępy żywiące się padliną, którą w tym wypadku był związek panny Mayfield z Wesleyem, teraz zaczęły przeżuwać nowy kęs w postaci tajemniczego zniknięcia pani Baines.

Jak mogła w taki sposób opuścić pana Tharkella, który stworzył dla niej stanowisko pracy. No, ale nawet jeżeli miała złożyć wypowiedzenie z miesięcznym wyprzedzeniem, to w tej sytuacji mogła odejść, nie zgłaszając tego, ponieważ pan Tharkell - jak sam mówił - miał wypłacić jej miesięczną pensję dopiero w poniedziałek. Był niezły tą sytuacją zakłopotany. Od zawsze miał do niej słabość, a zwłaszcza od czasu, gdy pielęgnowała go, kiedy chorował na żółtaczkę. Zadzwoił na policję. No bez żartów, na policję? Tak, zgłosił im, że zaginęła. A co oni na to? Jeżeli nie popełniła żadnego przestępstwa, to nie jest ich problem. Jest dorosła i może wychodzić i wracać, kiedy chce. Czy pan Tharkell miał powód, aby myśleć, że przydarzyło się jej coś złego, na przykład została zamordowana, czy coś takiego? Jeżeli nie, to sprawa ich nie dotyczy.

Jednak był jeszcze dom pełen mebli i różnych małych gadżetów zrobionych przez Wesleya Bainesa. No i ubrania! Pan Tharkell mówił, że kiedy wiózł ją na stację, miała przy sobie tylko małą walizkę, Sydney natomiast trzymał torbę podręczną, taką, którą ludzie zabierają ze sobą, gdy wyjeżdżają gdzieś na weekend. Chłopak miał na sobie swój najlepszy garnitur i niósł płaszcz przeciwdeszczowy. Pani Baines tymczasem ubrana była w czarny żakiet i spódnicę, które wdziała na siebie w dniu pogrzebu Wesleya, miała także płaszcz.

A co z czynszem? Należy go zapłacić do trzydziestego września, tak jak robią to wszyscy inni. Czy potem dom przejmie kanonik i podaruje go Dickowi Hayerowi i Clarze Woodley? Czas, żeby w końcu wzięli ślub...

Domek Bainesów praktycznie natychmiast przybrał ponury wygląd opuszczonego budynku. Przez okno w pracowni Wesleya wpadł kamień i zapewne wleciałby jeszcze niejeden, gdyby kanonik Thorby następnego dnia podczas lekcji religii nie zaczął mówić o szacunku względem własności należącej do innych ludzi, zaznaczając, że jeśli jeszcze raz

ktoś wrzuci kamień przez to czy inne okno, to wycieczka do Londynu na finał rozgrywek pucharowych się nie odbędzie. Już więcej nikt nie odważył się rzucać kamieniami.

*

Po tygodniu nieobecności pani Baines, Ethel Rigby, kiedy wszyscy inni uczniowie poszli już do domu, została w szkole nieco dłużej i zapytała:

- Proszę pani, czy mogę z panią porozmawiać?

- O co chodzi, Ethel?

Czujny wzrok panny Mayfield dostrzegł, że od wyjazdu Sydneya Ethel stała się weselsza i nawet teraz, choć to, co jej przekazała, nie było specjalnie pomyslnie w jej głosie i zachowaniu dało się wyczuć pewną beztróskę.

- Pomyślałam, że lepiej powiem pani o tym jak najszybciej. Moja babcia mówi, że nie mogę grać Marii Stuart.

W wyniku choroby i nieobecności panny Mayfield scenki historyczne nie zostały przedstawione na festynie letnim, ale zaplanowano ich odegranie podczas widowiska bożonarodzeniowego.

- Ach, Ethel - zwróciła się do niej panna Mayfield z wyraźną konsternacją - przykro mi to słyszeć. Świetnie się przecież nadajesz. Z twojej roli cieszyłam się bardziej niż ze wszystkich innych. A jeszcze teraz, kiedy nie ma już z nami Juliet ani Christine, brakuje mi wysokich dziewczynek, takich jak ty. Czy nie możesz przekonać babci, aby zmieniła zdanie?

- Nie.

- Myślisz, że ja mogłabym spróbować?

- Nie. I wolałabym, aby pani nie próbowała.

- Czy babcia podała ci jakiś powód?

- Tak.

Panna Mayfield czekała, aż Ethel odkryje przed nią ten powód, ale dziewczynka milczała.

- Czy nie sądzisz, że powinnam znać powód, dla którego nie możesz grać Marii Stuart? Stawiasz mnie w trudnej sytuacji.

- Mogę przekazać pani, co babcia powiedziała. - Ostatnie słowo nieznacznie zaakcentowała. - Powiedziała, że jest przeciwna przebieraniu się i udawaniu.

- Ale to wcale nie jest prawdziwy powód. Jest jeszcze inny.

Ethel skinęła głową.

- Tak, ale on musi pozostać między mną a nią.

- Naprawdę nie możesz powiedzieć mi, o co chodzi? Ethel, nie ujawnię niczego, co mi

przekażesz. Możesz mi zaufać. Pomiedzy tobą a twoją babcią... coś jest nie tak, prawda? Od początku to podejrzewałam.

- Wiem to. I ona też.

- Nie uważasz, że gdybyśmy o tym porozmawiały, to znalazłybyśmy jakieś rozwiązanie?

- Żadna rozmowa niczego tu nie zmieni, a może nawet pogorszy sprawę. Ja powiedziała Ethel ze swego rodzaju dumą - nigdy niczego nie powiedziałam. Tylko Sydney ciągle paplał. I wtedy dostałam lanie, sama pani widziała. Jedyne, co mogę teraz powiedzieć, to to, że nie mogę grać Marii I Stuart.

- A ja jedynie powiedziałam, że przykro mi z tego powodu. Ale to nie jest ważne. Lubię cię Ethel i chcę żebyś była szczęśliwa.

- T e r a z wszystko będzie dobrze. Wcale mnie to nie martwi, że nie wezmę w tym udziału.

- Ale za to ja martwię się o ciebie.

- Nie musi się pani martwić z mojego powodu. Dam sobie radę.

Nagle drzwi od szatni otworzyły się i pojawiła się pani Rigby. Na głowie miała czarny, staromodny słomkowy kapelusz, przyozdobiony różowymi i niebieskimi chabrami.

- Przepraszam panią. Widziałam, że wszyscy uczniowie wychodzili, ale nie zauważyłam Ethel, więc pozwoliłam sobie tutaj przyjść.

Zanim panna Mayfield otworzyła usta, marudnym głosem odezwała się Ethel:

- To przez te rachunki musiałam dłużej zostać.

Mówiąc to, szybko odwróciła głowę w kierunku tablicy, na której znajdowały się pewne matematyczne obliczenia.

Co za przytomność umysłu! Co za zdolność oceniania sytuacji!

- Czy może pani przytrzymać ją dłużej jutro? Jesteśmy umówione z panią Head, krawcową. Chodzi o zimową sukienkę dla Ethel.

- Pani Rigby, gdybym wiedziała, że pani czeka...

- Sądzę, że Ethel zapomniała.

- Te rachunki namieszały mi w głowie.

- Według mnie, mogłaby pani trzymać ją tutaj do świąt Bożego Narodzenia, a ona i tak nie nauczyłaby się liczyć - powiedziała miłym głosem pani Rigby. - Nawet własnych królików nie potrafi policzyć. Jednego dnia jest ich dziesięć, a drugiego dwanaście.

Panna Mayfield zauważyła, że Ethel zeszytniała, gdy usłyszała, jak jej babcia mówi o królikach. Jednak z pewną opryskliwością odpowiedziała:

- Było dwanaście. Za dużo, zwłaszcza teraz, kiedy nikt mi przy nich nie pomaga. Myślę, że je wszystkie sprzedam.

Pani Rigby lekko się zaśmiała i powiedziała:

- Aleś ty głupia. I co jeszcze powiesz? Przecież poza tymi królikami świata nie widzisz.

- Lepiej, żeby pani Head nie czekała na ciebie zbyt długo - odezwała się panna Mayfield.

*

Kiedy wróciła do domu, zauważyła, że przyszedł do niej list, który Berta zabrała z wycieraczki i położyła na stole z rozkładanym blatem. Adres wpisano na maszynie, a w lewym górnym rogu długiej, szarej koperty znajdował się wydrukowany napis: „Firma Ubezpieczeniowa - *Pewna Przyszłość*”.

Jak każdy mieszkaniec Wysp Brytyjskich, tak i ona, od czasu do czasu otrzymywała ostrzegawcze listy od różnych firm ubezpieczeniowych, które sugerowały, że powinna zadbać o swoją przyszłość na stare lata, namawiały do wykupienia ubezpieczenia na wypadek pożarów i powodzi oraz przypominały o podjęciu działań, aby w wyniku nagłego zgonu, osoby pozostające na utrzymaniu, nie musiały umierać z głodu. Niewiele brakowało, aby tego właśnie listu w ogóle nie otworzyła. Wzięta go ze stołu, zaniósła do kuchni i tam położyła. Następnie zrobiła sobie herbatę i poszła z nią do salonu. Kiedy już miała iść do łóżka, przypomniała sobie, że ostatnio wiele razy myślała o tym, aby zostawić Bercie wiadomość, i poprosić ją, by poranna herbata nie była taka mocna. Dziewczyna robiła ją coraz mocniejszą i coraz bardziej czarną, a to zaczęło wpływać na jej trawienie. Podczas ostatniego semestru bez problemów mówiła Bercie o takich rzeczach, ale teraz, kiedykolwiek miała z nią do czynienia, zdawała sobie sprawę, że dziewczyna - prawdopodobnie niechcący - miała swój udział w szerzeniu plotek na temat jej rzekomego związku z Wesleyem, a to wpłynęło na ich wzajemne relacje; teraz pannie Mayfield łatwiej było zostawić dla niej wiadomość, niż z nią rozmawiać.

Wzięła więc nóż i przecięła niedawno otrzymaną kopertę, zamierzając wykorzystać jej czyste wnętrze do własnych celów. Jednak wiadomość do Berty nie została napisana tego wieczoru, ponieważ z koperty wysliznęła się kartka papieru gęsto zapisana pozbawionym charakteru pismem pani Baines.

Nie było żadnego adresu. Ani daty.

Droga Panno Mayfield,

Gdyby to było bezpieczne, to przed wyjazdem przyszedłbym do Pani osobiście, ale po namyśle zdecydowałam, że lepiej nie. Kiedy miałam kłopoty, Pani była dla mnie uprzejma. Przepraszam za to, jak się wyrażałam, gdy przyniosła Pani papiery dotyczące stypendium Sydneya. Wtedy jeszcze wiele spraw było nieuporządkowanych. Teraz jest inaczej. Opisanie wszystkiego trwałoby zbyt długo, a więc jedyne, co chcę Pani powiedzieć, to: Proszę być ostrożną. Nie wiem, ile Pani wie ani czy zdaje sobie Pani sprawę, co się dzieje. Pani wypadek powinien być dla Pani ostrzeżeniem. I dobrze Pani wie, co przytrafiło się Wesleyowi.

Nie ocali Pani Ethel - jeżeli to chodzi Pani po głowie. Jedyne, co może Pani zrobić, to uważać na siebie, tak jak robiłam to ja.

Mam nadzieję, że nikomu nie będzie Pani pokazywać tego listu. Dowiem się, jeżeli tak się stanie i nie wyjdzie to Pani na dobre. Zerwałam z nimi z powodu ich plugastwa i złych poglądów, ale ja zawsze szybko się uczyłam i proszę mi wierzyć, że wiem wszystko. Wszyscy w tym siedzą i nikomu nie może Pani ufać, a więc niech weźmie sobie Pani do serca moje ostrzeżenie i pilnuje własnych spraw, a najlepiej niech Pani stamtąd ucieka.

*Z poważaniem
Emily Frances Baines*

Gdyby nie wiedziała od kogo był ten list, to pomyślałaby, że od kogoś trochę obłąkanego. Jednak, w tej sytuacji z pewnością składał się on w jedną logiczną całość i stanowił kolejny element zagadki. Z dość absurdalnym poczuciem otuchy panna Mayfield pomyślała, że nie myliła się co do pani Baines. Przeszła na drugą stronę, aby ratować Sydneya. Tę samą inteligencję i zdolność szybkiego uczenia, dzięki którym zdała egzaminy pielęgniarskie, wykorzystwała teraz do zgłębienia tajników czarnej magii. Jednak brzydziła się ich „plugastwem” i wcale nie była nawrócona, tak jak im się wydawało.

Przeciwnie, Emily Baines przypominała niektórych Afrykanów, których kiedyś знаła panna Mayfield. Przybywali oni do palcówki misyjnej, ponieważ pragnęli się kształcić lub potrzebowali opieki lekarskiej; uczyli się hymnów, odmawiania modlitw, byli chrzczeni i przyjmowali chrześcijańskie imiona. Ale potem, gdy stawali w obliczu suszy lub innego nieszczęścia, wracali do starych zwyczajów i biegli do czarownika. Ale przez to wcale nie pozbywali się wiedzy, którą nabyli.

Emily Baines, która od początku niezbyt chętnie nawróciła się na czarną magię, potem ją porzuciła i uciekła, niemniej jednak, zabrała ze sobą całą wiedzę, którą posiadała: „Dowiem się, jeżeli tak się stanie i nie wyjdzie to pani na dobre”.

Trzymając w rękach starannie napisany list, panna Mayfield doszukiwała się w nim

kolejnych analogii. Był to list napisany przez członka plemienia Kikuju - zmuszonego do złożenia przysięgi Mau-Mau, z potęgi której zdawał sobie sprawę - świadomego, że mimo to powinien wykazywać się pewną lojalnością w stosunku do niektórych uprzejmych Europejczyków. „Kiedy miałam kłopoty, pani była dla mnie uprzejma”.

Spojrzała jeszcze raz na kopertę. Imię i adres zostały napisane wyraźnie, ale niezbyt umiejętnie i trochę krzywo. Musiała trzymać długopis tylko w dwóch palcach.

Wesley Baines mógł mieć wykupioną polisę tej firmy ubezpieczeniowej, a pani Baines mogła pójść do londyńskiego biura owej firmy i powiedzieć: „Czy mogę pożyczyć kopertę i skorzystać na chwilę z waszej maszyny do pisania?”. A może pracowała w tej firmie na jakimś stanowisku.

Tak czy owak, dzięki temu adresowi mogła się z nią skontaktować. Panna Mayfield usiadła i starannie dobierając słowa, napisała do niej list:

Cieszę się, że otrzymałam wiadomość od Pani. Mam nadzieję, że zarówno Pani, jak i Sydney szybko odnajdziecie się w nowym otoczeniu. Proszę mi wierzyć, będę bardzo ostrożna. Bez żadnej szkody dla siebie, mogłaby mi Pani pomóc w tym, co jestem zdecydowana zrobić. Czy mogłybyśmy spotkać się niedługo w dowolnym, wybranym przez Panią miejscu?

List nadała na pocztę w Selbury. Po jakimś czasie urząd pocztowy odesłał go jej z powrotem. Ktoś napisał na kopercie: „Adresat nieznan”.

19

Mijał dzień za dniem, a każdy był nieco krótszy od poprzedniego. Kiedy przychodziły wieczory, panna Mayfield wybiegała w przyszłość i drżąc, myślała o tym, co musi zrobić. Pewnego poranka w połowie października, kiedy uczniowie zebrali się w klasie, a ławka Ethel stała pusta, pannę Mayfield tknęło przecucie jakiegoś nieszczęścia, którego od dawna się spodziewała. Zapytała: „Czy ktoś wie, gdzie jest Ethel?”. Wtedy twarze uczniów skierowały się w stronę drzwi od szatni, znajdującej się za jej plecami. Panna Mayfield szybko się odwróciła i zobaczyła panią Rigby. Staruszka stała dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wtedy, gdy przyszła, by zabrać Ethel do krawcowej. Jednak tym razem wyglądała zupełnie inaczej. Była szczerze zrozpaczona, blada na twarzy, a wzrok miała błędny. Kiedy zwróciła na siebie uwagę panny Mayfield, zrobiła krok w tył do szatni, dając nauczycielce znak, że chce, aby ta do niej przyszła. Gdy panna Mayfield do niej dołączyła, pani Rigby ochryplym głosem powiedziała:

- Niech pani zamknie drzwi. Nie chcę, żeby się to rozniosło. Miałam nadzieję, że może przyjdzie do szkoły, że będzie tutaj. Ale teraz nie wiem, co robić.

Oparła się plecami o ścianę i położyła dłoń na piersi. Zarówno sztywny głos, jak i maniery osoby będącej niegdyś na „poważnym stanowisku” - zniknęły. Opuściło ją także opanowanie, które czyniło z niej tak nieobliczalnego przeciwnika.

- Nie wie pani, gdzie jest Ethel? - zapytała panna Mayfield. - Kiedyś już spędziła noc poza domem, ale potem przyszła do szkoły. Więc miałam nadzieję...

- Czy znowu była pani nieuprzejma w stosunku do niej?

- Niech padnę trupem, jeżeli choć podniosłam na nią palec lub w surowy sposób zwróciłam się do niej. Gotowałam kielbaski - jej ulubione - które miała zjeść do herbaty. Ona tymczasem poszła po jedzenie dla królików i już nie wróciła.

- Czy szukała jej pani zeszłej nocy? Z pewnością...

- Proszę pani, wzięłam latarkę i poszłam. Wołałam ją i wołałam. Zaglądałam w każde miejsce, gdzie mogłaby być. Szukałam godzinami. Potem, jak już mówiłam, pomyślałam, że zrobiła to samo co kiedyś.

- Natychmiast musimy zorganizować akcję poszukiwawczą. Musi pani pójść na pocztę

- albo nie, do probostwa, jest bliżej - i zadzwonić na policję.

- Policja?! - Szara twarz pani Rigby jeszcze zbladła. - Ale proszę pani, jeżeli tak zrobię, to dziewczynka znajdzie się w rubryce osób zaginionych w gazecie *News of the World*. Nie możemy na to pozwolić! Sama w końcu wróci. - Coś na nowo zaczęło umacniać swoją pozycję. Pani Rigby powtarzała: - O tak, ona na pewno wróci. Wyszłybyśmy na głupie, gdybyśmy zawiadamiwały policję z powodu czyjegoś złego humoru.

- Wyszłybyśmy na jeszcze głupsze, gdyby jej się coś stało, a my byśmy ich o tym nie poinformowały. Ethel ma dopiero czternaście lat.

Szok, który przeżyła pani Rigby, kiedy przyszła do szkoły i nie znalazła tu wnuczki, zaczął powoli słabnąć. Było również jasne, że staruszka żałowała, iż poddała się impulsowi, który ją w to miejsce sprowadził.

- Pójdę i zapytam kanonika o radę - oświadczyła, wracając do swojego poważnego sposobu bycia.

- Mądra decyzja - odpowiedziała panna Mayfield. - Proszę dać mi znać, jak tylko się pani czegoś dowie.

- Odezwę się, proszę pani. Odezwę się.

Dziesięć minut później z klasy, w której uczyły się maluchy, pod byle pretekstem wyszła panna Benson. Zapytała:

- Czy to nie babcię Rigby widziałam na terenie szkoły?

Panna Mayfield skinęła głową i powiedziała:

- Przyszła sprawdzić, czy Ethel jest w szkole. Zniknęła zeszłego wieczoru.

- Identycznie robiła jej matka. Trochę za wcześnie na Ethel, aby zaczynała się w to bawić.

- Mogą być inne przyczyny - odrzekła panna Mayfield spokojnym głosem.

- Na przykład?

- Z tego, co mówiła pani Rigby, na przykład napad gniewu.

- Czy ta starsza dama była bardzo zdenerwowana?

Panna Mayfield już miała powiedzieć: „Tak, zwłaszcza kiedy zasugerowałam, by poprosiła o pomoc policję”. Ale przypomniała sobie swoją nową zasadę, która brzmiała: „Nie ufaj nikomu”.

- Tak, wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

- A mówiłam pani, że to kochająca wnuczkę staruszka, prawda?

- Zgadza się. Ale w Alchester, raz czy dwa razy, miałam do czynienia z rodzicami, którzy nie byli za bardzo kochający. Dlatego też byłam tak podejrzliwa. Ale teraz już wiem.

Pomyślała, że zamienia się w taką samą, pozbawioną skrupułów kłamczuchę jak babcia Rigby.

*

O dwunastej w południe do szkoły przyszedł kanonik Thorby. W ręce trzymał kilka listów.

- Pomyślałem, że może niepokoi się pani o Ethel - powiedział. - Oczywiście nie wiemy, gdzie dokładnie jest, ale jej babcia domyśliła się, dokąd mogła się udać. Zeszłego lata obie pojechały do Great Yarmouth, aby tam spotkać się z jakąś daleką krewną, z pasierbicą dziadka stryjecznego czy kimś takim, która w tamtych stronach prowadzi mały pensjonat. Ethel bardzo polubiła się z tą młodą kobietą i w tym roku chciała znowu do niej jechać. Pani Rigby napisała już list do owej damy, która nazywa się - może mi pani wierzyć lub nie - Bedfellow⁶. Ponieważ wybieram się do Selbury, wezmę ten list i stamtąd go wyślę. Poprosiliśmy w liście, aby panna Bedfellow, gdy tylko otrzyma naszą wiadomość, natychmiast zadzwoniła do probostwa. A zatem już jutro rano powinniśmy wiedzieć, czy Ethel tam jest.

Pannie Mayfield wydawało się, że istnieje inny, szybszy sposób na zebranie informacji o Ethel, ale już nigdy więcej nie zamierzała krytykować ich planów.

- Mam nadzieję, że tam się znajdzie - powiedziała.

- Wszyscy mamy taką nadzieję. Miała ze sobą trzydzieści szylingów, które dostała za kilka sprzedanych królików. Czy jest coś, co potrzebuje pani z Selbury? Jestem gotów przyjąć niewielkie zamówienia.

*

Następnego poranka, gdy w szkole zgromadzili się już uczniowie, przyszedł Baxter i przekazał pannie Mayfield wiadomość na piśmie, która brzmiała: „Chciałbym Pani przekazać, że Ethel jest cała i zdrowa. Przebywa z panną Bedfellow. Dowiedziałem się o tym pięć minut temu”.

Jak wszystko inne, wiadomość ta była wiarygodna i spójna. Ale w przeciwieństwie do wielu innych rzeczy, jej prawdziwość akurat dało się udowodnić. Tego samego dnia, podczas obiadu, panna Mayfield zapytała pannę Benson:

- Przypuszczam, że skoro ma pani samochód, to nic pani nie wie o rozkładzie jazdy autobusów z Renham do Selbury

- Tylko tyle, że „starannie” go zaplanowano, tak aby autobusy przyjeżdżały w innych

⁶ Bedfellow - towarzyszka łoża.

godzinach niż pociągi. Co jakiś czas w gazecie *Free Press*, sprzedawanej w Selbury, pojawia się zrzędlivy list na ten temat. Ale sądzę, że jeżdżą dwa razy dziennie. Dlaczego pani pyta?

- Na poczcie w Selbury czeka paczka, która, jak sądzą pracownicy tejże instytucji, należy do mnie. Opakowanie zostało podarte, brakuje części adresu, a jej zawartość jest - cytuję - „mokra i odstająca”. Naczelnik urzędu pocztowego chce, abym przyjechała i ją obejrzała. Jednak ja chyba wiem, co się w niej znajduje. Kobieta, z którą kiedyś mieszkałam, i która jest nauczycielką gospodarstwa domowego, sądzi, że skoro teraz mieszkam sama, to pewnie głoduję. Z tego powodu często przysyła mi paczki zawierające to, co jej uczniowie przyrządzili na zajęciach. Zawsze wybiera najdziwniejsze rzeczy i nieostrośnie je pakuje. Pomyślałam, że jeżeli do soboty jej nie odbiorę, to zawartości paczki prawdopodobnie nie da się już uratować.

- Podrzucę panią - powiedziała gorliwie panna Benson. - Teraz do Selbury dojeżdżam w czternaście minut.

Panna Mayfield przesadnie zadrżała.

- To bardzo miło z pani strony, ale ja jestem niezwykle nerwową pasażerką. Lepiej poczekam do soboty.

- Przyrzekam - odezwała się panna Benson - całą drogę będę jechała nie szybciej jak sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Powiem szczerze, że nie miałam zamiaru nikogo prosić o podwiezienie mnie do Selbury. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- Ja też o tym nie pomyślałam. Ale naprawdę chcę tam pojechać. Byłam w Selbury w zeszłą sobotę i zapomniałam o najważniejszym. Nie kupiłam sobie nowej szminki, a jutro wieczorem mam randkę. Szminka bardzo jest mi potrzebna.

Na koniec panna Benson błagała, aby panna Mayfield dała się jej podwieźć do Selbury.

*

Panna Mayfield cały czas zerkąła na szybkościomierz i kiedy kołysząca się wskazówka przekraczała sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, mówiła: „Proszę”. Tylko raz zaniechała odgrywania swojej roli nerwowego i odrobinę niechętnego pasażera, a stało się to, kiedy panna Benson powiedziała: - Wie pani, mam swoją teorię na temat Ethel Rigby. Nikt wcześniej o tym nie pomyślał, a gdybym wyjawiała, co myślę, zaczęliby się śmiać i mówić: „Ale to tylko dzieciaki”. Przeciętna osoba odznacza się dużą ignorancją i sentymentem w stosunku do młodych. Ale ludzie wyedukowani myślą inaczej. Ethel miała fioła na punkcie Sydneya Bainesa, prawdziwego fioła.

- W takim razie po co jechałaby do Varmouth? Przykro mi, ale nie rozumiem...

- Założę się z panią, że Sydney wiedział, dokąd wyjeżdża z matką i jej o tym powiedział.

Boję się myśleć, bo jeżeli telepatia, jak niektórzy twierdzą, jest skuteczna, mogłabym się zdradzić, pomyślała panna Mayfield. Ale przecież pani Baines pisała do mnie z Londynu.

Na głos powiedziała:

- To możliwe. Bardzo możliwe. I nikt inny nigdy o tym nie pomyślał.

- Jestem trochę psychologiem. Ethel i Sydney robili coś więcej niż tylko zbieranie razem jedzenia dla królików.

- Ale on miał tylko dwanaście lat - zaprotestowała panna Mayfield.

- Nigdy nie czytała pani Aldousa Huxleya?

- Jedziemy prawie sto dziesięć na godzinę. Proszę! - odezwała się panna Mayfield.

*

- Tam jest poczta. Ja zaparkuję w rynku i pójdę do drogerii, potem zawrócę i przyjadę po panią.

- Zastanawiam się, czy byłby to wielki problem, gdyby i dla mnie coś pani kupiła? Zrobiłam listę, a tutaj - przez chwilę szukała w torebce - a tutaj mam receptę i pieniądze.

Recepta była stara. Był to lek na niestrawność, której nabawiła się, mieszkając z Janet Lovelace. Ostatnim razem, aby użyć tego leku, musiała przygotowywać go przez piętnaście minut. Cała reszta rzeczy na liście była tak staropanieńska i kłopotliwa, jak tylko można sobie wyobrazić, na przykład piętnaście gram sproszkowanego korzenia fiołkowego.

- Może się to wydać staromodne - wyjaśniała - ale lepiej odstrasza ćmy niż wszystkie razem wzięte nowe produkty dostępne na rynku. Tak samo roztwór saletry. Wystarczy wlać pół łyżeczki do szklanki z gorącą wodą i dodać dwie kostki cukru, a przeziębienie minie szybciej niż po innych środkach, które znam.

Stwierdzą, że zbzikowałam, pomyślała panna Benson.

Mamrocząc coś pod nosem, i sprawiając wrażenie niewiniątka, panna Mayfield ruszyła w stronę poczty. Gdy weszła do środka, nagle, jakby w przypiływie energii, żwawo udała się w kierunku rzędu budek telefonicznych. Zamknęła się w jednej z nich i poprosiła o kontakt z centralą telefoniczną w Varmouth.

Odezwał się męski głos i natychmiast panna Mayfield znowu stała się niewinną, mamroczącą kobietą. Udawała głupkowatą, starszą panią, której powiedziano, że niejaka panna Bedford prowadzi pensjonat w Varmouth, ale ona zapomniała adresu. Czy mogą pomóc? Czy mają księgę adresową? Przeprosiła, że sprawia kłopot.

Męski głos w słuchawce dość uprzejmie poinformował ją, że w tej sprawie musi skontaktować się z biurem numerów. W biurze numerów słuchawkę podniosła kobieta, która ożywionym głosem oznajmiła, że myślała, iż rozmawia z panną Bedfellow (każdy zwraca uwagę na to nazwisko, czyż nie?). Tak, pani w biurze numerów miała całkowitą rację. Jasno i wyraźnie podała pannie Mayfield zarówno adres panny Bedfellow, jak i jej numer telefonu.

Panna Mayfield pospiesznie podziękowała, znalazła trochę pieniędzy, podała numer panny Bedfellow i czekała, czując, jak po szyi ścieka jej pot.

Odezwał się kolejny kobiecy głos, który spokojnie i wolno powiedział:

- Tu pensjonat „Morska Mgła”. Panna Bedfellow przy telefonie.

- Czy mogłabym rozmawiać z panną Ethel Rigby?

- Przepraszam, proszę powtórzyć imię, nie dosłyszałam.

Powtórzyła.

- Nie ma tu nikogo takiego, kto by się tak nazywał... Ach, Ethel, Ethel Rigby! Już wiem. Znajdzie ją pani w Walwyk. W-a-l-w-y-k. To wieś w hrabstwie Essex. Ethel mieszka przy Curlew Lane w Walwyk. Dlaczego pani pomyślała, że może być tutaj? Minęły dwa lata od jej wizyty.

Boże, proszę, Boże, pomóż mi dać jej jakąś rozsądną odpowiedź, inaczej napisze list czy zrobi coś innego i dowiedzą się, że to ja.

Nagle - łącznie z imionami i całą resztą - przyszło jej do głowy, co powiedzieć.

- Tak, dwa lata. Ale ten czas leci. Jestem pani Crawford z Gorleston. Moja córka podczas tamtych wakacji poznała się z Ethel, a ponieważ organizujemy przyjęcie... No, ale Essex jest dość daleko, prawda? Znaczący, daleko, żeby jechać na przyjęcie... Dziękuję. Do widzenia.

Wyszła z budki, zachowując się tak, że patrząc na nią, można było uznać ją za ekscentryczkę. Wyjęła z torebki list i podeszła do okienka, aby zapytać o opłatę za pocztę lotniczą do Barranquilli. Cały czas, kiedy urzędnik konsultował zasady wysyłania listów lotniczych, ona przykładła list do mokrej gąbki, która była udogodnieniem dla klientów poczty niemających ochoty lizać swoich znaczków. Kiedy pismo się zamazało, a papier stał się miękki i mokry, wówczas roztargniona petentka usłyszała informację, o którą wcześniej prosiła, po czym udała się w kierunku drzwi wyjściowych.

Minęło jeszcze trochę czasu, zanim pojawiła się panna Benson.

- To pani wina, że musiała pani czekać - krzyknęła, kiedy już przyjechała. - Ta recepta! Co w niej jest? Róg nosorożca? Tak czy owak, gdzie pani przesyłka?

- W śmietniku. Był w niej słoik, który się zbił i wszystko przemokło. Ale udało mi się

ocalić list, chociaż nie wiem, czy dam radę go przeczytać.

- Kiedy wyschnie, będzie bardziej czytelny - powiedziała panna Benson, aby ją pokrzepić. Biedna starsza kobieta, wyglądała na zmartwioną, prawdopodobnie w jej skromnym życiu, paczka ta wiele dla niej znaczyła, pomyślała. - Skoro jesteśmy już w tej oszałamiającej metropolii, to czy chciałaby pani pójść gdzieś jeszcze?

Chciałabym - a przynajmniej powinnam - pójść na policję. Ciekawe, co powiedziałyby panna Benson, gdybym jej to oznajmiła? Jak bym to wytłumaczyła? Nie jest głupia. Powiązałyby ze sobą moje pójście na pocztę i na policję. Nie, muszę odłożyć to do soboty.

- Nie, nigdzie. Dziękuję.

- Żeby zrekompensować pani stratę tej paczki, zabiorę panią do klubu i postawię drinka.

- Ja nie piję.

- Proszę posłuchać - powiedziała panna Benson - jeśli wolno mi tak powiedzieć, to to, co pani mówi, jest głupie i naiwne. Na pewno chodzi pani o to, że nie pije pani alkoholu, ale jest wiele innych drinków bezalkoholowych. Na przykład znakomity sok pomidorowy. Ale wtedy będzie to wyglądało, jakby dbała pani o talię. Chociaż wcale nie musi się pani o nią martwić, ma pani świetną figurę.

- Ja?

- Tak, pani. Ma pani również cudowną cerę. A teraz, kiedy pani włosy są krótkie i kręcą się... - W tym miejscu zamilkła i zaśmiała się.

- Chyba gadam niezbyt stosowne rzeczy, ale gdyby zadała pani sobie trochę trudu, mogłaby wyglądać znacznie lepiej.

Panna Mayfield wydała z siebie jeden z tych niewyraźnych dźwięków, który miał oznaczać, że uważnie słucha, i na który ludzie pozwalają sobie, gdy ich uwaga tak naprawdę jest skupiona na czymś innym. Panna Benson potraktowała to jako zaproszenie do kontynuowania wykładu.

- Na przykład ta szminka. Znam ją. Naturalny róż Eve Eden. Malowałyśmy się nią w szkole i niech sobie pani wyobrazi, jakimi diabolicami czułyśmy się z tego powodu! Chodzi o to, że jeżeli używa pani szminki, to równie dobrze mogłaby pani używać prawdziwej. I jeżeli nie ma pani żadnych moralnych oporów przed nakładaniem pudru, to po co wzdrygać się przed plamką różu? Czy obraziłam panią? Szczerze, mówię to, ponieważ jest pani urocza i szkoda, że nie uwypukla pani tego najlepiej, jak może. Jeżeli chodzi o panią Westleton, to dla mnie mogłaby rozcierać sobie na twarzy nawet proszek do szorowania. Mówiąc prawdę, zawsze zdręczała mnie pytaniami: gdzie mnie tak ścieli, jaki puder sobie nałożyłam i tak

dalej. Za każdym razem ściemniałam.

- Słucham? - zapytała panna Mayfield, czując mimo roztargnienia, że słowo, które jak jej się wydawało, usłyszała, zabrzmiało dziwnie.

- Przepraszam. Chodzi mi o to, że wprowadzałam ją w błąd, podawałam jej mylne informacje. Miałam niezły ubaw, kiedy wyglądała głupiej niż zwykle. Oczywiście, wszystko na użytek kanonika. Ale pani to co innego... Jesteśmy na miejscu.

Zręcznie wjechała na dziedziniec budynku, który stał w niewielkiej odległości od drogi. Mieścił się tu Miejsko-Wiejski Klub Miasta Selbury. Zaparkowała obok trzech innych pojazdów.

- Nikogo jeszcze nie ma. Jesteśmy zbyt wcześnie.

W środku budynek wyłożony był ciemnymi panelami, na podłodze leżały grube dywany, a na ścianach wisiały reprodukcje przedstawiające rozrywki sportowe. Panna Benson pchnęła jakieś drzwi, a panna Mayfield, podążając za nią, nagle spostrzegła, że znalazła się w damskiej toalecie.

- A teraz, tak dla zabawy - odezwała się panna Benson - proszę pozwolić mi poprobować. Na wypadek, gdyby pani grymasiła, niech pani spojrzy, wszystko jest nowiutkie, prosto ze sklepu. Znacznie bardziej higieniczne, niż gdyby poszła pani na zabieg oczyszczania cery, i nieważne do jak bardzo ekskluzywnego salonu. Proszę usiąść, a ja się trochę panią pobawię. Jak się pani nie spodoba, to będzie mogła pani wszystko zmyć.

Było coś niemal makabrycznego w tym siedzeniu przed lustrem i przyglądaniu się, jak jej zewnętrzny wygląd ulega zmianie, podczas gdy za maską, którą przybrała, wciąż kłębiły się te same myśli. Ethel Rigby nie było w Yarmouth z panną Bedfellow. A więc gdzie była? Gdzie?

- Superczysty grzebień, proszę spojrzeć - powiedziała panna Benson, która musiała dojść do wniosku - choć panna Mayfield nie wiedziała na jakiej podstawie - że jej dyrektorka ma bzika na punkcie czystości.

Zwilżyła go, a potem przejechała nim po włosach, pamiętając o bliźnie, co ucieszyło pannę Mayfield bardziej, niż zmiana jej zewnętrznego wyglądu.

- Muszę uważać, to była ta strona, prawda? Otóż, wie pani, dwa razy przychodziłam, żeby się z panią zobaczyć. Za pierwszym razem powiedzieli mi, że nie wpuszczają żadnych odwiedzających, a za drugim, że już pani wyszła. Często zastanawiałam się, czy aby nie myślała pani, że mi nie zależało. Czy nie przyszło to pani do głowy?

Cały czas swymi smukłymi, brązowymi palcami zakręcała małe loczki, umieszczając je na swoim miejscu.

- O, nie. Pod tym względem byli bardzo surowi. Podczas pobytu w szpitalu w Wandford z nikim się nie spotkałam.

- Ale kanonik Thorby powiedział wujkowi Ericowi, że... - Zamilkła, a wtedy w tafli lustra spotkały się ich spojrzenia. Wpatrywały się w siebie przez niekończącą się chwilę. - No, może źle zrozumiałam. Wuj Erie ma skłonności do głędzenia, a ja nie zawsze słucham. Proszę. I jak? Nie chwałąc się, nawet sama Elizabeth Arden nie zrobiłaby tego lepiej w tak krótkim czasie.

Panna Mayfield zmusiła się do okazania entuzjazmu i zainteresowania.

- Zupełnie nie jestem do siebie podobna - odrzekła, komplementując dzieło panny Benson tak bardzo, jak tylko mogła.

- A zatem chodźmy - odezwała się panna Benson.

Poruszając się ostrożnie, ze względu na nową twarz, panna Mayfield poszła za panną Benson do holu, a potem schodami na górę, gdzie znajdował się bar. Pierwszą osobą, którą tam zauważyły, był pan Freeman, który zazwyczaj, pomiędzy wyjściem z biura a powrotem do samotnego domu, umiłał sobie czas, wypijając dwa kieliszki sherry i wysłuchując najświeższych plotek.

Kiedy je zobaczył, natychmiast stanął na równe nogi, z zachwytem przywitał pannę Benson i ze swej strony skomplementował jej dzieło, nie rozpoznając panny Mayfield. Kiedy panna Benson w bezceremonialny sposób zaczęła przedstawiać swoją towarzyszkę, pan Freeman był tak zdziwiony i tak zszokowany swoim zdziwieniem, że prawie bełkotał.

- Oczywiście, oczywiście, że znam pannę Mayfield. Dobry wieczór. Przez chwilę byłem tak zaskoczony. Dano mi do zrozumienia, że opuściła pani te strony. Co za miła niespodzianka. Czego się pani napije?

- Sok pomidorowy - powiedziała panna Mayfield posłusznie.

- A, tak. Doskonale pamiętam. Razem piliśmy kawę, nieprawdaż? A ty, moja droga? Jak zwykle wytrawne martini? Taka szkoda. Należyte uznanie dla sherry zniknie wraz z odejściem mojego pokolenia i nikt nie będzie zdawał sobie sprawy z tego, co świat utracił.

Miejsko-Wiejski Klub Miasta Selbury nie zatrudniał nikogo, kto donosiłby trunki do klientów, i dlatego członkowie klubu sami przynosili sobie drinki. Kiedy więc pan Freeman dziarskim krokiem poszedł w stronę baru, panna Benson półgębkiem zwróciła się do panny Mayfield:

- Proszę na niego uważać. To idealny przykład starego kobieciarza. I powiem jeszcze na jego korzyść, że trzyma się kobiet ze swojego rocznika, bo są tacy w jego wieku, którzy postępują odwrotnie.

- Złożyłem pani moją obiecaną wizytę - powiedział pan Freeman, stawiając na stół kieliszki i zajmując krzesło obok panny Mayfield. - Miałem powód, aby jechać do Renham, chodziło o interesy, a ponieważ dzień był ładny i była sobota - tak, pierwsza sobota sierpnia, jeżeli pamięć mnie nie myli - to pojechałem jeszcze do Walwyk, aby upomnieć się o swoją kawę. Pakowali wtedy pani rzeczy. Czuję się zawiedziony.

- Przykro mi - odpowiedziała. - Mam nadzieję, że jeszcze raz się pan na to zdobędzie.

Spojrzał na nią lekko osłupiały.

- Czy pani wciąż mieszka w Walwyk?

- Oczywiście, że mieszka - wtrąciła się panna Benson. - Ach, już wiem, co się stało. Usłyszał pan tę idiotyczną historyjkę, która krążyła dokoła. Wszystkie bachory też ją słyszały i zalewały się łzami.

- Miałam drobny wypadek, panie Freeman i chwilowo straciłam pamięć. Przypuszczam, wiedząc, jak lubią wyolbrzymiać, że powiedzieli panu, iż resztę życia spędzę w celi obitej materacami.

To, co mówiła panna Mayfield, było tak bliskie temu, czego dowiedział się od młodej kobiety i szofera kanonika, który skrzynkę pełną książek zabijał gwoździami, że pan Freeman zarówno czuł się, jak i wyglądał nieswojo. Wyglądało na to, że jego konsternacja wywarła również wpływ na pannę Benson, która zaczęła bawić się swoim kieliszkiem, a potem zapaliła papierosa, z większą siłą i czyniąc większe zamieszanie wokół siebie niż zwykle.

- Wypadek? - powtórzył pan Freeman. - Przykro mi to słyszeć, moja droga. Wygląda pani - jeżeli wolno mi tak powiedzieć - dużo lepiej, niż kiedy widziałem panią ostatnim razem. Mam nadzieję, że jest to oznaka całkowitego wyzdrowienia. Co się wydarzyło?

Panna Mayfield zwięźle mu wszystko opowiedziała. Panna Benson dodała:

- To typowe. Najlepsze unowocześnione modele są dla młodych, dla nauczycieli takich jak z książek *Dziwne losy Jane Eyre* lub *Nicholas Nickleby*. Tak samo było z pianinem. Męczyliśmy się z pierwszym modelem, jaki kiedykolwiek wyprodukowano - przyrzekam. Dopiero gdy trzy lata temu jakiś mały kretyn o krótkich paluszkach wpadł na pomysł, że chce się uczyć grać na tym instrumencie, kupiliśmy pianino Broadwood.

- No cóż - powiedział pan Freeman - młodość musi się wyszumieć.

Potem spojrzał czule na pannę Mayfield, ponieważ ona również utraciła tę hałaśliwą, niezdarną, wymagającą i niezwykle cenną rzecz zwaną młodością, i tak jak on sam, ona też zniosła tę utratę. Tego wieczoru wyglądała naprawdę atrakcyjnie, a on wiedział, że jak się postara, tak właśnie może wyglądać. Jedyne, czego teraz potrzebowała, to piękne ubrania. Zaczął myśleć o delikatnym, srebrnoszarym, niefarbowanym futrze z wiewiórek. Czytał

gdzieś lub ktoś mu mówił, że futro z wiewiórek nie jest zbyt trwałe, ale co tam, miał dużo pieniędzy.

Dobry Boże, powiedział sam do siebie, o czym ja myślę? W moim wieku! I oczywiście powinienem dokładnie zbadać tę plotkę o załamaniu nerwowym, nie ma dymu bez ognia. Nie ma wątpliwości, że pakowali jej rzeczy, jak gdyby miała już nie wracać, i mogliby nie podać mi jej adresu. Podejrzane to wszystko.

Następnie przypomniał sobie ich wspólną rozmowę w jego biurze, kierunek, w którym zmierzała, i jej treść oraz wspomnienia, dotyczące odległej przeszłości, które owa rozmowa w nim obudziła. Było w tym coś tajemniczego. Jego ciekawość, wyczulona niczym nos psa gończego, przeszkolonego specjalnie do szukania trufli, wzmagająca się. Gdyby tylko coś zabrało stąd tę pannę Benson...

Miał szczęście. Gdy tylko owa myśl przeszła mu przez głowę, otworzyły się drzwi i do środka weszło trzech młodych ludzi: dziewczyna i dwóch mężczyzn.

- Witajcie! - zawołała panna Benson.

Po czym wstała, powiedziała: „Przepraszam was na chwilę” i dołączyła do znajomych, którzy zatrzymali się przy barze.

- Jak stoją sprawy w Walwyk? - zapytał pan Freeman, rozsiadając się wygodnie. - Jeżeli dobrze pamiętam, w dniu naszego pierwszego spotkania, które jeśli wolno mi tak powiedzieć, wspominam z wielką przyjemnością, była pani zatroskana o jednego ze swych uczniów.

Czuła wtedy wielką pokusę, aby krzyknąć, i teraz również. Co to by była za ulga, niewyobrażalna ulga, gdyby mogła podzielić się z kimś całą prawdą o wypadku, o Barnhurst, o listach, które nigdy nie dotarły do adresatów, i o tym, że każdego dnia musiała wszystkich zwodzić, i bała się, iż ktoś ją w końcu nakryje. Ale pamiętała o swojej decyzji, aby już w nikim nie pokładać zaufania. Pamiętała o słowach pani Baines, która w liście napisała: „Wszyscy w tym siedzą i nikomu nie może Pani ufać”. Pan Freeman miał porządne maniery i mieszkał w niewielkiej odległości od Walwyk, ale to wcale nie znaczyło, że był godny zaufania. Ponieważ jej umysł skłaniał się ostatnio ku ponurym scenariuszom - takie i teraz przyszły jej do głowy - panna Mayfield pomyślała, że to wszystko mogło być potajemnym i głęboko przemyślanym spiskiem. Tak samo jak ona nie mogła ufać nikomu, podobnie i inni z pewnością wątpili w jej wiarygodność i całkowitą zmianę postawy. Mogli równie dobrze powiedzieć do panny Benson: „Pod jakimkolwiek pretekstem zabierz pannę Mayfield do Selbury, zaprowadź ją do klubu, posadź koło pana Freemana, a potem zostaw ich samych. On szybko wyciągnie z niej prawdę”.

- Z radością mogę panu powiedzieć, że dziewczynka odeszła od swojej babci, która mnie niepokoiła, i zamieszkała z kimś innym. Myślę, że jest w Yarmouth.

- Cieszę się, jeżeli dzięki temu lżej pani na duszy - powiedział z taką uprzejmością, że - podejrzewając go o nieszczerłość - poczuła gwałtowne bicie serca. Jeszcze przez jakiś czas muszę pozostać podejrzliwa w stosunku do wszystkich. Aby ukryć tę myśl, uśmiechnęła się do niego, a on znowu zauważył tę uroczą niewielką zmarszczkę w kształcie półksiężyca, która pojawiała się na jej górnej wardze.

- Zastanawiam się - powiedział pan Freeman - czy pani, i panna Benson oczywiście też, zechciałybyście zjeść ze mną obiad. Podstawowe potrawy nie są tutaj zbyt ekscytujące, ale - spojrzął na zegarek - jesteśmy dość wcześnie. Moglibyśmy zamówić wszystko, co lubimy.

- To miło z pana strony, ale tego wieczoru jestem w rękach panny Benson. Ona mnie tutaj przywiozła, ponieważ musiałam pójść na pocztę w sprawie przesyłki. Być może zaraz będzie chciała wracać.

- Mam nadzieję - powiedział z dozą rozgoryczenia w głosie - że pojedzie zaraz lub zdecyduje się zjeść obiad, zanim panią odwiezie. Obawiam się, że pije już czwarte martini.

- Zapewne jest przyzwyczajona.

- Jak na kogoś, kto nie pije, jest pani bardzo tolerancyjna.

- Kiedy widzę pedagogów z alkoholem - powiedziała - to przypomina mi się pewna historyjka. Sądzę, że ją pan słyszał. To opowieść o nauczycielu, który ubiegał się o posadę.

- Raczej nie słyszałem.

A więc zapoznała go z historyjką, którą kiedyś opowiedziała jej Janet Lovelace. Pewien młody mężczyzna, oczekujący na rozmowę kwalifikacyjną, został przez kogoś ostrzeżony, że jeden z członków komisji do spraw nominacji był zagorzałym abstynentem. Nagle, pomiędzy innymi pytaniami, ów członek komisji wypalił: „Panie Smith, czy imię Haig coś panu mówi?”. „O tak, podczas pierwszej wojny światowej był on feldmarszałkiem”. Potem padło pytanie o Gordona. Mężczyzna odpowiedział, że był generałem, który zginął w Chartumie. Następnie pytano o Bootha, ten z kolei był założycielem Armii Zbawienia. W końcu członek komisji, ponieważ był wielce zdeterminowany, aby oszukać kandydata, zapytał: „A co to jest Vat 69?”. Młodzieniec przez chwilę pomyślał i odpowiedział: „Obawiam się, że tego nie wiem. Czy to może numer telefonu papieża?”

Pan Freeman, którego jakimś cudem ta opowieść do tej pory omijała, był nią zachwycony i śmiał się głośno. Częściowo ów zachwyt brał się stąd, że nie spodziewał się, iż usłyszy ją z takiego źródła. I ani na jotę zachwyt ten nie osłabł, gdy panna Mayfield dodała:

- Oczywiście, kiedy mi opowiedziano tę historię, w ogóle jej nie zrozumiałam, ponieważ nie miałam pojęcia, że te nazwiska, to nazwy drinków.

Jej słowa, z jakiegoś powodu, wydały mu się jednymi z najbardziej urzekających, jakie kiedykolwiek usłyszał od kobiety.

- Mówi pani, że tego wieczoru jest w rękach panny Benson. Jeżeli nie czuje się pani w jakiś sposób do tego zobowiązana, to nie rozumiem, dlaczego miałaby pani wracać do Walwyk z nią. Byłbym zaszczycony, gdybym mógł panią odwiedzić do domu.

Bardzo pragnęła być już w domu, sama, porzucić ten cały wysiłek, który wiązał się z udawaniem, że jest spokojna i radosna. Po raz kolejny powiedziała mu, że jest niezwykle uprzejmy i że to docenia, oraz dodała:

- Prawdę mówiąc, bardzo chcę już jechać. W domu zostawiłam kilka niedokończonych rzeczy, ale oczywiście, jeżeli panna Benson nie chce jeszcze wracać, wtedy bezwstydnie skorzystam z oferty dotyczącej zarówno obiadu, jak i przejażdżki do Walwyk w pana towarzystwie.

- Znakomicie - powiedział i właśnie w tym momencie podeszła do nich panna Benson.

- Przepraszam - powiedziała - ale muszę już iść. Ciotka Edith dziś wieczorem gra w brydża.

- Panna Mayfield właśnie zgodziła się... - zaczął mówić pan Freeman.

- Niezupełnie. - Panna Mayfield uśmiechnęła się do niego. - Tak naprawdę wolałabym, żebyśmy spotkali się innego wieczoru, kiedy będę miała spokojną głowę, bo będę wiedziała, że dokończyłam wszystkie swoje obowiązki. Dopiero wtedy będę się dobrze bawić.

- Więc, czy może pani zaproponować jakąś datę?

- Najlepiej dla mnie byłoby po przerwie semestralnej.

- A kiedy jest ta przerwa?

- W weekend, trzydziestego pierwszego.

Do tego czasu - pomyślała - zrobię to, co zrobić muszę. I jeżeli wciąż jeszcze będę żywa, to nie będę już musiała podejrzewać tego starszego i miłego dżentelmena o szpiegostwo. W rzeczywistości, jeżeli przyjdę na umówione spotkanie, to opowiem mu całą historię.

- W weekend... po Halloween - powiedział wolno. - W tej samej chwili spojrział na nią surowo, porzucając swoje wytworne, samcze maniery. - To dość odległa data. Czy na pewno nie może pani poświęcić mi jednego wieczoru nieco wcześniej? - Ostrzegę ją, pomyślał.

- Widzi pan, w czasie przerwy semestralnej wybieram się do Londynu. Zamierzam...

zamierzam kupić sobie nową sukienkę.

W Londynie, z dala, byłaby bezpieczna. I jakie to wzruszające, że chciała kupić sobie nową suknię. Gdyby tylko wybrała coś delikatnego, w niebieskim kolorze...

- A zatem, tak wcześnie jak się da, po przerwie semestralnej. Co powie pani na wtorek?

- Świetnie.

- Przyjadę i odbiorę panią. O osiemnastej trzydzieści, może być?

Bardzo dziwnie ustala się termin spotkania przypadający na dzień, którego może nigdy się nie zobaczy, dzień, który równie dobrze może być - szybko pomyślała - dniem jej pogrzebu. Po sekcji zwłok, po której uprzejmie orzekliby, że była niespełna rozumu i popełniła samobójstwo - tyle że tym razem mieliby pewnie sporo dowodów na jej niepoczytalność. Uszło im na sucho z Wesleyem Bainesem, to ze mną też może im się udać. Czy nie pakuję czasem tej miłej osoby w jakąś kłopotliwą sytuację, która - być może - wywoła u niej małe ukłucie żalu? A może on też w tym siedzi? To okropne. Jeżeli potrwa to jeszcze trochę dłużej, zwariuję.

- Osiemnasta trzydzieści, we wtorek, trzeciego listopada. Będę czekać z niecierpliwością - oznajmiła mu.

Kiedy tak się ze sobą umawiali, jeden z młodych mężczyzn, stojących przy barze, odwrócił się w ich stronę i podał pannie Benson drinka.

- Tego masz na drogę, kochana - powiedział do niej.

Ona przyjęła trunek, poklepała go po ramieniu i odrzekła:

- Dzięki, Davy.

Stojąc, piła swojego drinka, gdy tymczasem pan Freeman i panna Mayfield umawiali się na spotkanie. Przyglądała się im rozbawionymi, lekko przymrużonymi oczami. Pan Freeman, gdy osiągnął już swój główny cel, odwrócił się do niej i z lekkim powątpiewaniem w głosie, powiedział:

- Jeżeli rzeczywiście musi pani już iść... to czy nie uważa pani, że może kanapka... Nie zajęłoby to pani nawet minuty.

- Myśli pan, że kanapka zadziała jak bibuła? Czy insynuuje pan, że ja wraz z panną Mayfield skończymy w rowie? Serio! Uraził mnie pan do żywego. Gdyby był pan krawcem, a nie kupcem winnym, to pewnie miałby pan przy sobie trochę kredy. Mógłby mi pan wtedy narysować linię na podłodze i kazać się po niej przespacerować. A my, gdybyśmy były prawdziwymi nauczycielkami, a nie jakimiś amatorkami, to miałybyśmy wystarczającą ilość kredy do tego celu za paznokciami... Oświadczam panu, że w tej chwili wychodzę wraz z

moją dyrektorką. Ona lubi, jak wiozę ją dokładnie z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. I tak też będzie. Dlatego w t e j c h w i l i musimy wyjść.

To była typowa gadanina panny Benson, ale tym razem brzmiała ona nieco inaczej, dało się w niej wyczuć nutkę zadziorności. Uwaga o krawcach i kupcach winnych nie była specjalnie kulturalna i o co jej chodziło z tymi amatorkami? Może i panna Benson uczyła za grosze, ale na pewno była odpowiednio wykształcona, panna Mayfield natomiast nauczaniu poświęciła całe swoje życie. Była trochę... troszeczkę pijana.

Pan Freeman poszedł z nimi na parking. Kiedy panna Benson wsiadała do samochodu, otworzył jej drzwi, a potem je za nią zamknął.

- Pamiętałam nawet o włączeniu świateł! - krzyknęła do niego panna Benson.

Następnie starannie i dokładnie wycofała, przejechała przez bramę i skręciła na drogę. Po chwili zwróciła się do panny Mayfield, mówiąc:

- Kompletnie pani załamała tego staruszka! Ale proszę uważać, okropny z niego flirciarz i ma za pasem więcej upolowanych kobiet niż jakikolwiek inny mężczyzna w hrabstwie Essex, oczywiście z wyjątkiem naszego drogiego kanonika.

- Kanonik Thorby nigdy nie wydawał mi się flirciarzem.

- Nie - odpowiedziała panna Benson, zgadzając się z nią. - Jest między nimi różnica. On w ogóle się nie stara. Kobiety same na niego lecą. A w jego życiu tak naprawdę liczy się tylko jedna kobieta - jego siostra Izabel. Ach, nie mam na myśli nic bajronicznego. Chodzi o to, że odkąd powstała z martwych...

- Odkąd co? - zapytała ostro panna Mayfield.

- Powstała z martwych - powtórzyła panna Benson, lekko rechocząc. - Oczywiście słyszałam o tym na długo przed tym, zanim zaczęłam tutaj uczyć, i muszę przyznać, że nigdy nie poznałam całej historii, niechętnie o tym mówią. Nie sądzę, że była naprawdę martwa - z klinicznego punktu widzenia, o to mi chodzi - ale prawie martwa. Ciotka Edith mówi, że w pewnym sensie wciąż j e s t, i że stara Phoebe Rigby nie bardzo jej pomogła.

- Pani Rigby? Co ona miała z tym wspólnego?

- Gdy Izabel Thorby, że tak powiem, konała, pani Thorby, która wtedy jeszcze żyła i przy okazji była dziwaczką, upierała się, aby wezwać Phoebe Rigby. Staruszka przyszła, zaparzyła herbatę z pokrzyw czy jakieś inne obrzydlistwo i przywróciła ją do życia.

- Co za fascynująca historia. I raczej... raczej nieprawdopodobna, czyż nie? W pannie Thorby jest coś dziwnego, robi wrażenie nieobecnej, a przynajmniej tak sobie myślałam w dniu, kiedy poszłam tam na lunch.

- Ta kobieta przyprawia mnie o gęsią skórę, ale on w sumie też.

- Kanonik Thorby?

- A któżby inny?

- W jaki sposób? Dlaczego?

- Nie wiem. Dla takich rzeczy nie ma żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Niech pani pomyśli o ludziach, którzy nie wiadomo dlaczego boją się pajaków. Wiem jedynie, że nie lubię nawet, jak przychodzi do mojej klasy. Kiedy pani Westleton odeszła, zaproponował mi stanowisko dyrektorki szkoły. Wtedy pomyślałam sobie, że non stop będzie przyłaził do mojej klasy i suszył mi głowę swoim *amo, amas, amat* i równaniami kwadratowymi. Stanowczo powiedziałam mu, że mam kwalifikacje do uczenia dzieci młodszych, i tego wolę się trzymać.

- Mnie to było na rękę.

- Powiem pani coś jeszcze. Jest to tak głupie, że nikomu wcześniej tego nie opowiadałam. Trzy lub cztery razy do roku - na Boże Narodzenie, Wielkanoc i jeszcze kiedy indziej - muszę pojawiać się w kościele i za każdym razem przyjmować... od niego... Dławię się wtedy, dosłownie. Robiłam, co mogłam, aby jakoś to przetrwać, ale nie daję rady.

Uważaj, panna Mayfield przestrzegła samą siebie. Ta poufała gadka lekko odurzonej panny Benson też może być pułapką.

- Jaka szkoda. Jest taki miły i wielkoduszny.

- I jeszcze przystojny, inteligentny, prawy, czarujący, nie brak mu poczucia humoru i jest słynny ze swego wymuszanego wyglądu. Wiem, wiem, ale nie ma na to rady. Kiedyś, gdy miałam jedenaście lat i na święta przyjechałam do domu, ciotka Edith urządziła bożonarodzeniowe przyjęcie. Wszyscy się wygłupiali i całowali pod jemiolą, wie pani jaki jest zwyczaj. O n pocałował m n i e. Zrobił to z czystej dobroci serca. Byłam taka niezdarna i niezbyt ładna, i do tego jeszcze nosiłam aparat na zębach. W ogóle nie byłam kimś, kogo można chcieć całować, zapewniam panią. Nie zgadnie pani, co się wtedy stało. Zemdlałam i upadłam na podłogę - jedyny raz w życiu, jak do tej pory. Musieli podać mi brandy. - Ryczała ze śmiechu, zbyt głośno i zbyt długo, a samochód zaczął pędzić naprzód z zatrważającą prędkością. - To panią zabije. Wszyscy myśleli, że ośwładnęły mną e m o c j e. Gdy później ciotka Edith zebrała się w sobie, aby odbyć ze mną nieudolną, małą pogawędkę o ptaszkach i pszczołkach, ostrzegła mnie, że najwyraźniej mam b a r d z o silny popęd seksualny i muszę uważać. J a muszę uważać!

- Nie miałam pojęcia, że ma pani taki stosunek do kanonika.

- Ukrywam to tak dobrze, jak potrafię. Pobyt tutaj mi odpowiada. Żyję za darmo i do tego jeszcze cholernie wygodnie. Jeżdżę na benzynie od wujka Erica, a wszystkie wydatki za

samochód pokrywane są z jego działalności. Potem jakiś przekręt na podatku dochodowym czy na czymś innym. Dlatego też mogę oszczędzać jak szalona, a oszczędzam po to, aby wyjść za mąż. Tylko na miłość boską, niech nikomu pani nie piśnie o tym ani słowa...

Resztę podróży poświęciła na opowiadanie pannie Mayfield o mężczyźnie, którego sobie upatrzyła, o tym, jaki jest cudowny i jaki biedny, i ile jeszcze lat będzie musiało upłynąć, zanim zacznie zarabiać jakiegokolwiek godziwe pieniądze. Kiedy o nim mówiła, jej głos i zachowanie zmieniły się.

- Trzymam to w tajemnicy. Inaczej chcieliby, żebym go przyprowadziła, aby mogli mu się d o k ł a d n i e p r z y j r z e ć, a ta biedaczyna nie będzie im ani trochę pasować. Zresztą, gdybym chodziła dokoła z nalepką „zarezerwowana” na czole, to nie byłoby mi lekko. Przecież, jeżeli nie wyszaleję się teraz, to pewne jak w banku, że już nigdy nie będę miała na to okazji...

Wszystkie te zwierzenia sprawiły, że panna Mayfield czuła się trochę zawstydzona. Pomyślała, że dziewczyna otworzyła przed nią serce, a ona nie dała jej nic w zamian. W rzeczywistości była tylko jedna rzecz, którą tego wieczoru mogłaby podzielić się z panną Benson: był to wiadomość, że Ethel Rigby wcale nie przebywa w Yarmouth. Jednak tego nie odważyła się jej przekazać.

Kiedy wysiadała z samochodu, powiedziała:

- Bardzo dziękuję za przejażdżkę i za mile spędzony czas.

- Zbyt dużo gadam - odezwała się panna Benson. - Ale z drugiej strony, bardzo rzadko mam okazję, aby z kimś porozmawiać. Proszę to wziąć. Drobnny prezent ode mnie. Przydadzą się pani w przygotowaniach na randkę. - W ręce panny Mayfield wcisnęła rzeczy, które poszła kupić w apteczkę i te, które rozpakowała i używała w toalecie w klubie.

- Nie wiem, czy powinnam to przyjąć, jest pani dla mnie zbyt uprzejma. Ale przyrzekam, że będę z tego korzystała na specjalne okazje.

Widzisz, powiedziała sama do siebie - kiedy otworzyła drzwi od domu, weszła do środka, zamknęła je za sobą i była w końcu sama - cała ta sprawa jest jak trucizna. Wkrada się wszędzie i zatrąwa każdą przyjaźń. Jestem prawie pewna, że ta dziewczyna jest miłą osobą, że pan Freeman jest miłym mężczyzną, ale nie mam odwagi, aby kierować się tym przeświadczeniem. Do tego dochodzi jeszcze ten dręczący niepokój o Ethel. Chciałabym, aby najbliższe osiemnaście dni już minęło...

20

- Naprawdę martwię się o panią - powiedział kanonik Thorby. - Nie wygląda pani dobrze. Mam nadzieję, że w czasie przerwy semestralnej gdzieś się pani wybierze.

- O tak, istotnie. Jadę do Londynu.

Zmusiła się, aby na jej zmęczonej twarzy pojawił się jakikolwiek wyraz ożywienia. Miał rację, co do jej kiepskiego wyglądu. Ostatnie dni, podczas których martwiła się o Ethel i planowała najbliższą przyszłość, były dla niej wyjątkowo ciężkie. Nocami, kiedy nie potrafiła utrzymać w ryzach wyobraźni, a ta zdawała się lubować w przedstawianiu okropnych scen, robiło się nawet gorzej. Ulżyło jej dopiero, gdy uciekła się do małych, różowych pigułek, będących spuścizną po przebytej chorobie. Dzięki nim mogła spać, za to każdego ranka głowę miała ciężką jak kamień.

- To będzie już jakaś zmiana, a zmiana - jak powiadają - działa tak samo dobrze jak odpoczynek. Jeżeli pani chce, to mogę nawet zarekomendować pewne ładne i wygodne miejsce, w którym mogłaby się pani zatrzymać.

- Bardzo dziękuję, ale moja przyjaciółka - ta, z którą mieszkałam w Alchester - dołączy do mnie i obie zatrzymamy się u jej ciotki w Chiswick.

- W czwartek po południu Baxter zawiezie panią na stację kolejową i odbierze z tego samego miejsca w poniedziałek wieczorem. No, chyba że zechce pani przedłużyć sobie przerwę o dzień lub dwa. Bez problemu da się to załatwić. Troszczę się o panią, wygląda pani na bardzo słabą.

- Dobrze wiem, gdzie tkwi problem, kanoniku Thorby. Potrzebuję okularów. W zeszłą sobotę byłam na badaniu oczu i dowiedziałam się, że cierpię na ostre przemęczenie wzroku i że oczy w tak złym stanie pobierają siłę z innych organów ciała. Wiedział kanonik o tym? Ja nie. Pan Saunders opowiedział mi o przypadku osoby, która cierpiała na chroniczną niestrawność - wyleczenie nastąpiło dzięki parze okularów.

- Szkoda, że nie zapytała pani mnie! Saunders nie jest najlepszym lekarzem. Co za pech!

Tak czy owak, pannie Mayfield udało się odwrócić jego uwagę i wyjaśnić swój zmęczony wygląd. Żadne inne porzekadło nie było w tej sytuacji bardziej adekwatne niż to z

rymowanki o poplątanej sieci⁷. Niemniej jednak, jej sieć była już prawie skończona. Był to tydzień, kiedy rozpoczynała się krótka przerwa semestralna; w tym roku trzydziesty pierwszy października wypadał w sobotę. W piątek będzie miała czas, aby zrobić wszystko, co zrobić musi, by się przygotować. Sobota natomiast będzie dniem akcji. Poza sobotę starała się już nie wybiegać, myślała jedynie, że jeżeli sprawy pójdą źle, to nie będzie już musiała zaopatrywać się w okulary korekcyjne, by uśpić czujność kanonika.

*

Znajdź Emily Baines, znajdź Emily Baines - słowa te przebiegały przez jej głowę w rytm stukotu kół pociągu wyjeżdżającego ze stacji w Selbury. Potem, gdy pociąg przyspieszył, rytm zmienił się na: *Znajdź Emily Baines, znajdź Emily Baines*.

W Liverpool Street Hotel, jak każdemu nieśmiałemu i wyglądającemu na niedoświadczonego podróżnika gościowi, tak i jej dano pokój od strony stacji. Potraktowała to jak błogosławieństwo, ponieważ dzięki temu wierzyła, że to hałas, a nie własny niepokój, nie pozwalał jej w nocy zasnąć.

Biuro firmy ubezpieczeniowej *Pewna Przyszłość*, które można było znaleźć pod adresem wybitym na ich kopertach, znajdowało się na pierwszym piętrze biurowca w Holborn. Panna Mayfield, ponieważ nie mogła znaleźć schodów, pojechała na górę windą. Chwilę potem wyszła na pokryty wykładziną podest, wielkości dywanika przed kominkiem. Przed sobą zobaczyła drzwi, na których widniał napis: „Bivco - usługi inżynierskie”. Po prawej stronie, na innych drzwiach, wisiała informacja, że za nimi znajduje się biuro A. Schmidta, kuśnierza, a po lewej stronie odczytała słowa, których szukała. Otworzyła drzwi i weszła do klatki ze szkła i mahoni, w której za biurkiem siedziała atrakcyjna blondynka o surowych rysach twarzy, w wieku około trzydziestu lat.

Pospiesznie się przywitały, po czym nadszedł czas, aby panna Mayfield oznajmiła, w jakiej sprawie przyszła, a ze względu na kameralność tego miejsca, było to łatwiejsze, niż sobie wyobrażała. Myślała, że znajdzie się w ogromnym, otwartym pokoju pełnym ludzi, którzy po usłyszeniu jej słów podnieśliby głowy i przysłuchiwali się wszystkiemu, co mówi.

Kiedy jechała windą, z torebki wyjęła kopertę, w której przyszedł list od pani Baines. Trzymała kopertę tak, aby blondynka za biurkiem mogła ją widzieć.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę - powiedziała z pokorą i żalem. - Moja siostra przysłała mi ten list i domyślam się, że musiała napisać go w tym miejscu. Sądzę, że zrobiła

⁷ Aluzja do fragmentu poematu *Marmion* Waltera Scotta: „Jakże splątana sieć, pleciemy, gdy pierwszy raz oszukujemy!”.

to celowo, ponieważ, widzi pani, w o g ó l e nie powinna do mnie pisać. Mój ojciec jest na nią bardzo zły i powiedział, że nie możemy ze sobą korespondować. Ale nie będę pani zdręczać całą tą historią... Chodzi o to, że ona napisała do mnie, a ja jej odpisałam na ten adres. Jednak list do mnie wrócił i zaczęłam się o nią bardzo martwić.

- Jak się nazywa?

- Moja siostra? Baines. Emily Baines.

- Nie ma tutaj nikogo o takim nazwisku.

- Tego się właśnie obawiałam, ale musiała tutaj być. Niedawno straciła męża i dlatego ta sprawa jest tak bardzo smutna. Zastanawiałam się, czy nie przyszła tu czasem w sprawie jego ubezpieczenia albo w poszukiwaniu pracy? Ten adres był moją jedyną nadzieją. Może sobie pani tylko wyobrazić, jak się czuję.

- O, tak!

W ciągu trzydziestu lat owa blondynka nawiązała wiele przyjaźni z różnymi ludźmi, ale nigdy nie miała siostry i nagle zdała sobie sprawę, ile straciła. Siostra byłaby z tobą na dobre i na złe, nie zważając nawet na gniew ojca, a jak okropny był ojciec tej kobiety, wskazywała jej wychudzona figura, wstydlive zachowanie i przerywany sposób mówienia.

- Jaka jest data na stemplu pocztowym? - zapytała, a gdy panna Mayfield ją poinformowała, wskazała na obitą skórą ławkę, postawioną przy jednej ze ścian klatki, i powiedziała: - Proszę tam usiąść, niedługo wrócę. - Po tych słowach otworzyła inne drzwi znajdujące się po drugiej stronie i zniknęła.

Panna Mayfield, czekając, zaczęła się zastanawiać, jakie były szanse na to, że pani Baines zmieniła nazwisko. Doszła do wniosku, że raczej niewielkie. Po pierwsze, nie miała powodu, a po drugie, na pewno będzie szukać pracy związanej z jej zawodem i wtedy będzie musiała przedstawić kwalifikacje.

A zresztą, pomyślała, dam sobie radę bez jej pomocy, choć odnalezienie jej znacznie ułatwiłoby mi zadanie.

W końcu blondynka wróciła. W ręce trzymała świstek papieru.

- Znalazłam - ogłosiła, z nutką triumfu w głosie. - Rzeczywiście, tamtego dnia szukała tutaj pracy. Starła się o stanowisko recepcjonistki-pielęgniarki u jednego z naszych lekarzy. Ale musiałaby pracować w soboty rano, a ona ma dziecko, prawda?

- Zgadza się - odpowiedziała panna Mayfield z zapartym tchem. - Małego chłopca.

- Powiedziała, że przemyśli tę ofertę i da znać panu Stegglesowi, kierownikowi kadr. Następnego dnia tak zrobiła. Mówiła, że znalazła pracę, która da jej wolne soboty. Pan Steggles był zaskoczony jej zachowaniem, ponieważ zadzwoniła. W większości ludzie, którzy

mówią, że tak zrobią, nigdy nie dzwonią. Mieszkała wtedy pod tym adresem, ale proszę pamiętać, że było to jakiś czas temu.

Panna Mayfield przeczytała adres: „44 Macebury Street, SW4”.

- Bardzo dziękuję za pomoc. Nawet jeżeli się przeprowadziła, to może będą znali jej nowy adres. Była pani dla mnie bardziej niż uprzejma.

Blondynka odpowiedziała - i mówiła zupełnie serio - że cała przyjemność po jej stronie i że ma wielką nadzieję, iż kobieta znajdzie swoją siostrę.

*

Macebury Street wyglądała znajomo. Przypominała ulicę, przy której w Alchester panna Mayfield i Janet miały swoje mieszkanie. Była to ulica, która zaciekle broniła się, już nie przed sklepami sprzedającymi rybę z frytkami, ale przed papierkami rzucanymi na ziemię; ulica, która starała się zachować chociaż resztki przyzwoitości. Kiedy panna Mayfield zatrzymała się przy numerze 44, pomyślała, że jest to właśnie takie miejsce, którego - w wyniku przymusowej emigracji, bez grosza przy duszy - szukałaby Emily Baines i czułaby się szczęśliwa, gdyby je znalazła.

Budynek, tak samo jak te stojące obok, był wysoki i wąski; niegdyś służył zamożnej wiktoriańskiej rodzinie, której służba zamieszkiwała piwnicę i strych. Błady tynk złuszczył się i pociemniał, a drewniana konstrukcja od lat nie widziała farby. Niemniej jednak, kołatka i klamka u drzwi niedawno zostały wypolerowane, a zasłony - choć widać, że wiele razy cerowane - były czyste.

Gdy panna Mayfield zastukała do drzwi, otworzyła jej pogrążona w melancholii kobieta, odziana w wytarte czarne ubranie, które było oznaką wdowieństwa.

- Pani Baines. Jest u siebie. Proszę wejść na samą górę. Pierwsze drzwi na lewo.

Hol przez te wszystkie lata przesiąkł zapachem kuchni, wilgotnych płaszczy, które zawieszano na gniewnie wyglądających wieszakach, oraz setkami pełnych niepokoju rozmów, które toczono przy słuchawce, w miejscu przypominającym budkę telefoniczną. W powietrzu unosił się także zapach pasty do podłogi.

Panna Mayfield pokonała rząd okazałych schodów, potem trochę mniej okazałych, a potem stromych i wąskich. Zdyszana, częściowo z wysiłku, częściowo z podekscytowania, zapukała do pierwszych drzwi po lewej stronie i usłyszała głos Emily Baines, która krzyknęła:

- Proszę wejść!

Panna Mayfield otworzyła drzwi prowadzące do pokoju całkiem okazałej wielkości, który był rozsądnie, aczkolwiek nędznie umeblowany. Koło okna znajdował się stół i dwa

krzesła z oparciem. Natomiast w pobliżu piecyka gazowego stało wiklinowe krzesło z zapadniętym siedzeniem, które mimo to wyglądało na wygodne, oraz sofa, jedna z tych, które mogą służyć za łóżko. Na niej leżała niebieska narzuta z czerwoną podszewką. Po przeciwnej stronie pokoju ustawiono parawan składający się z trzech paneli, który w tej chwili był odwrócony, tak że kuchenka gazowa i szafka, które zazwyczaj za nim się skrywały, teraz były widoczne. Pani Baines, ubrana w niebieską suknię, która kolorem pasowała do narzuty, przewiązana jaskrawym fartuchem, stała przy kuchence, mieszając coś w rondlu. Nie odwracając się, powiedziała:

- Są na stole, pani Morgan.

Na stole, obok małego niebieskiego dzbanka z trzema płowożółtymi chryzantemami, leżało parę zwiniętych banknotów o wartości kilku funtów.

- To nie pani Morgan - odezwała się panna Mayfield.

Pani Baines odwróciła się raptownie, a z łyżki, którą trzymała w ręce, skapnęło na podłogę kilka kropel sosu.

- Panna Mayfield!

Z szoku aż ochrypl jej głos. Panna Mayfield zganiła samą siebie za brak rozwagi. Zanim zdążyła przeprosić, pani Baines odezwała się:

- Kto jeszcze z panią przyszedł?

- Nikt. Jestem sama. Przepraszam, że panią przestraszyłam. Nie zastanowiłam się. Po prostu wpadłam do Londynu - wie pani, jest przerwa semestralna - i pomyślałam, że panią poszukam.

- Jak, u licha, mnie pani odnalazła?

Panna Mayfield pokrótce wszystko jej opowiedziała.

- A myślałam, że jestem taka sprytna. Sądziłam, że zwykłą kopertę ze stemplem pocztowym z Londynu ktoś może otworzyć. Ale okólniki czy listy z firm ubezpieczeniowych dostaje każdy...

Po chwili odwróciła się, włożyła łyżkę z powrotem do rondla i jednym małym ruchem, po którym nastąpił głuchy dźwięk, wyłączyła gaz. Następnie, przesuając parawan w odpowiednie miejsce, zasłoniła kuchenkę. Gdy z powrotem zwróciła się twarzą do pokoju i panny Mayfield, była już opanowana.

- Proszę spocząć - powiedziała, przesuając w jej stronę fotel. - Przepraszam, że zastała mnie pani w takim bałaganie. - Mówiąc to, z dezaprobatą spojrzała na niebieską narzutę i kosz z artykułami spożywczymi, stojący na podłodze obok sofy. - Godziny pracy mam trochę nietypowe. Rano pracuję od szóstej do jedenastej, w drodze do domu robię

zakupy i zanim wróci Sydney, przygotowuję posiłek. Potem idę z powrotem na dyżur, który trwa od czternastej do osiemnastej. W ten sposób wieczory i weekendy spędzam w domu, pilnując, by chłopak nie włóczył się po ulicach.

- Zdaje się, że to znakomity układ. Jak miewa się Sydney?

- Ach, wszystko w porządku. W tej chwili jest w szkole - to stąd jakieś piętnaście minut jazdy autobusem. To zwykła szkoła średnia, ale widziałam się z dyrektorem i robił wrażenie rozsądnego człowieka. Mówił, że będzie przyglądał się Sydneyowi i jeżeli okaże się, że jest tak dobry, jak myślałam, to dopilnuje, aby miał lepszą opiekę dydaktyczną. Najprawdopodobniej pójdzie na uczelnię techniczną, jest uzdolniony w tym kierunku.

Mówiła to z pogodnym wyrazem twarzy, uśmiechała się. I tylko jej ulotne, krótkie i nerwowe spojrzenia zdradzały wewnętrzny niepokój.

- Bardzo się cieszę, że wszystko się pani ułożyło. Często się nad tym zastanawiałam.

- Mieliśmy szczęście. Choćby z tym mieszkaniem. Stąd pieszo mogę chodzić do pracy. Zatrudniłam się w szpitalu św. Filipa. Czy przechodziła pani obok parku? Szpital to taki duży, czerwony budynek na rogu. Oczywiście mają tam spore niedobory kadrowe i przyjęli mnie z otwartymi ramionami. A więc przyjechała pani na weekend do Londynu?

- Przyjechałam panią odszukać. Potrzebuję pani pomocy, a przynajmniej - dodała szybko, widząc, że kobieta zaczęła mrugać oczami jak szalona - chcę zadać pani kilka pytań.

W końcu twarz pani Baines przybrała kamienny wyraz i zastygła.

- Proszę posłuchać. Jeżeli chodzi pani o Walwyk, to traci pani czas. Nie chcę o tym rozmawiać ani myśleć, ani pamiętać. Wyniosłam się stamtąd. Dla mnie sprawa jest zakończona. I jeżeli jest pani rozsądna, to powinna pani zrobić to samo co ja.

- Nie mogę - odpowiedziała wprost panna Mayfield. - Widzi pani, chodzi o Ethel. Ona zniknęła. Bardzo się o nią martwię. Myślę, że gdzieś ją ukryli. Zastanawiałam się, czy pani będzie mogła podsunąć mi jakiś pomysł, co mogli z nią zrobić i gdzie mam jej szukać.

- Nic o tym nie wiem - odpowiedziała pani Baines stanowczo. - A gdybym wiedziała, to i tak nic bym nie powiedziała. Skończyłam z tym. Dokładnie: odcięłam od siebie ten fragment życia.

- Domyślam się, że musiało to być dla pani okropne, skoro reaguje pani tak gwałtownie.

Pani Baines nie połknęła haczyka.

- Koniec z tym raz na zawsze - powtórzyła.

- To dla dobra Ethel, pani Baines. Dla biednego, bezbronnego dziecka. Gdyby pani tylko...

Pani Baines zaczęła mówić dziwnym, opanowanym głosem.

- Panno Mayfield, gdyby Ethel stała na drodze, a w jej stronę pędziłby autobus, to nie ruszyłabym nawet ręką, aby zepchnąć ją na chodnik. Od kiedy zaczęłam się o nią martwić, wszystko w moim życiu przestało się układać. Przez nią straciłam męża i szacunek dla samej siebie. Tego pierwszego nigdy nie odzyskam, a odzyskanie drugiego zajmie mi lata.

- Czy nie uważa pani - zwróciła się do niej panna Mayfield nieśmiało - że gdyby mi pani pomogła, to może taki gest walnie przyczyniłby się do odzyskania przez panią szacunku do samej siebie - to znaczy, oczywiście, jeżeli naprawdę pani czuje, że go utraciła.

- Próbowałam pani pomóc, kiedy do pani napisałam. I na co się to zdało? Tropi mnie pani jak detektyw, nie wzięła sobie pani mojej rady do serca. Brnie pani w to dalej, jest coraz bardziej ciekawska. Zobaczysz pani, że pewnego dnia powiedzą: „Biedna panna Mayfield! Musiała mieć słabe serce. Zbyt długo klęczała! Co za wspianiała śmierć, w kościele, podczas modlitw”. No cóż, ostrzegałam panią.

I również mi pomogłaś, jeżeli chcesz wiedzieć. Nigdy nie myślałam, że ośmieliliby się użyć kościoła...

Pani Baines ruszyła ręką i spojrzała na zegarek.

- Nie powinnam już dłużej zajmować pani czasu - powiedziała panna Mayfield, po czym niechętnie wstała i spojrzała z góry na kształtną głowę pani Baines, myśląc o całej wiedzy, którą tam przed nią skrywała.

Przez chwilę znajdowała się na krawędzi gniewu, ale zaraz przypomniała sobie o tych mężczyznach, którzy kiedyś byli jeńcami wojennymi i z których nie dało się wyciągnąć opisu tego, co naprawdę przeżyli. Jeżeli kult babci Rigby reprezentował typową formę czarnej magii, to panna Mayfield potrafiła sobie wyobrazić, jak zetknięcie z czymś takim, dla kobiety pokroju pani Baines, musiało być obrzydliwe.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedziała pani Baines, nieco innym głosem niż wcześniej, teraz błagalnym i niepewnym. - Nie zdradzi pani nikomu, gdzie jestem, prawda? Ciężko znaleźć przyzwoite miejsce do mieszkania. Nie chcę się znowu przeprowadzać.

- Wie pani, że tego nie zrobię. Mam nadzieję, że zawsze wszystko będzie układało się dobrze zarówno pani, jak i Sydneyowi. Proszę nie zapomnieć go ode mnie pozdrowić, dobrze? Bardzo lubiłam Sydneya. A skoro już wiem, gdzie mieszkacie, to być może następnym razem, kiedy zjawię się w Londynie, mogłabym wpaść i was odwiedzić.

- Byłoby miło - odezwała się pani Baines bez większego entuzjazmu.

Obie stały i patrzyły na siebie, i choć raz oczy pani Baines nie unikały kontaktu. Ich spojrzenia spotkały się i kobiety przyglądały się sobie tak długo, że praktycznie w każdym

innych okolicznościach wydawałoby się to krępujące. I nagle, gdzieś głęboko pod warstwami uporu i niechęci pani Baines, coś zadrżało, zaczęło się szamotać i wypłynęło na powierzchnię.

- Proszę dać sobie z tym spokój - powiedziała cichym głosem pani Baines. - Nie ma pani pojęcia, w co się pakuje. To takie... - Zamilkła i wzdrygnęła się.

- Cieszę się, że martwi się pani o mój los - odpowiedziała jej panna Mayfield. - To miłe, ale proszę się nie niepokoić. Myślę, że nic złego mi się nie przydarzy.

21

Sobotni dzień w Londynie był zimny, ale pogodny. Jednak im dłużej pociąg wiozł pannę Mayfield na wschód, tym robiło się coraz bardziej deszczowo. Ciemnoszare chmury wisiały na niebie prawie tak samo nisko jak kłęby dymu wydobywające się z lokomotywy, a krople deszczu zaczynały uderzać o szyby. Panna Mayfield jechała zwykłym pociągiem osobowym, takim, który zatrzymywał się na każdej stacji. Gdy przesiadła się do kolejnego, który dojeżdżał do samego Selbury, było już prawie ciemno. Wieś była całkiem pokaźna, wystarczająco duża, aby znaleźć w niej taksówkę czekającą na klienta.

- Chcę dostać się do Renham - powiedziała do kierowcy.

- Renham. Och, to źle pani zrobiła, że wysiadła tutaj. Powinna pani jechać pociągiem aż do samego Selbury. Ale co się stało, to się nie odstanie. Dobra, Renham jest za rzeką czy po tej stronie? Mówiąc szczerze, nie za bardzo lubię jeździć w taki deszcz tą drogą, ponieważ może zostać zalana.

- Renham jest po tej stronie rzeki.

Dojechanie do Walwyk taksówką w taki dzień byłoby prawie takim samym wyczynem jak wmaszerowanie tam z orkiestrą dętą i sztandarami.

Skrupulatnie wybrała swój cel, zapamiętała go podczas jednej ze swych podróży z Walwyk do Selbury. Był to pusty dom, który stał tak już od jakiegoś czasu, chociaż nie było przy nim żadnej tabliczki wskazującej na to, że ktoś chciałby go sprzedać. Dom znajdował się w niewielkiej odległości od drogi głównej i był od niej oddzielony wysokim murem, w którym znajdowała się brama; zbyt wąska jednak, aby mógł przejechać przez nią jakikolwiek pojazd. Między domem a murem rosły dwie wysokie jodły. Zdawało się jej, że wszystko to zostało przygotowane specjalnie dla niej; nawet najbardziej uprzejmy i rycerski kierowca musiał wysadzić ją przy bramie i pozwolić dojść do drzwi domu pieszo, oszczędziło jej to skrępowania związanego z tym, że ktoś mógłby się jej przyglądać, jak puka do drzwi opuszczonego budynku.

W czasie gdy rozglądała się za takim właśnie miejscem i gdy znalazła już odpowiednie, naszło ją identycznie przecucie jak wówczas, kiedy kanonik Thorby ogłosił, że przerwa semestralna będzie pod koniec października. Przez chwilę zdawało się jej, że coś nią

kierowało, że takie było jej przeznaczenie. Niemniej jednak, szybko tę myśl od siebie odepchnęła, ponieważ doszukiwanie się znaczenia w każdej najmniejszej rzeczy było oznaką dziwactwa, a być może nawet arogancji. Mimo to uczucie powróciło, a po wizycie u pani Baines było jeszcze bardziej intensywne. Dzięki uprzejmości dwóch kobiet zyskała dwie rzeczy, a pierwszą z nich było przekonanie, że Ethel Rigby żyje. To jej wystarczyło, aby być pewną, że gdy w ostatniej sekundzie ogarnie ją przerażenie i będzie chciała zawrócić - a wiedziała, że tak się stanie - wtedy poczucie obowiązku przyjdzie jej z pomocą.

- To Renham - powiedziała, pochylając się w stronę kierowcy. - Dom, do którego zmierzam, jest po drugiej stronie, za pubem. Rosną przed nim takie wysokie drzewa.

Gdy dotarli już na miejsce, mężczyzna odrzekł:

- Przemoknie pani. Nie ma tu jakiegoś wjazdu, abym mógł wysadzić panią przy drzwiach?

- Z boku jest wejście na farmę, ale stamtąd wcale nie będzie bliżej, i jeszcze pełno błota. Tutaj mi pasuje. Dziękuję bardzo.

Zapłaciła, podziękowała i pospiesznie udała się w stronę bramy, która - ponieważ od miesięcy nikt jej nie otwierał - opierała się jej naciskowi, aż w końcu zaskrzypiała i uchyliła się. Ale taksówkarz do tej pory zdążył już zawrócić i odjechać.

*

Gdy znalazła się już za murem i poczuła się bezpieczna, położyła na ziemi walizkę i otworzyła ją. Na wierzchu leżał jeden z jej nowych nabytków, czyli latarka, która działała na dwa sposoby. Wyposażona była w przycisk. Kiedy go naciskała, latarka świeciła, a gdy puszczała, światło gasło. Był jeszcze jeden przycisk, który można było wcisnąć, i latarka świeciła cały czas. Spód latarki był płaski i kwadratowy, a więc można było postawić ją pionowo, nie martwiąc się, że upadnie. Reflektorkiem natomiast, podobnie jak w lampach biurowych, można było kręcić. Obok latarki leżała torba projektu Mackintosha⁸, która mieściła w sobie coś kwadratowego i ciężkiego oraz - sądząc po tym, w jaki sposób panna Mayfield się z tym obchodziła - delikatnego i cennego. Na górze zapinana była na zamek błyskawiczny, który teraz został rozpięty. Panna Mayfield włożyła do środka swoją wytartą torebkę, kładąc ją na tym, co już znajdowało się w torbie. Następnie, po chwili wahania, wzięła do ręki wełniany sweter, rzuciła go na torebkę i zapięła zamek.

A teraz kamuflaż. I znowu można było pomyśleć, że z pewnością coś nią kierowało,

⁸ Torba zaprojektowana przez Charlesa Renniego Mackintosha (1868-1928) - szkockiego architekta i malarza tworzącego w stylu secesji.

ponieważ w piątkowe popołudnie, chodząc po suchych londyńskich chodnikach, nawet przez chwilę nie pomyślała o deszczu. Tak naprawdę szukała wtedy ubrania, które kształtem i kolorem nie przypominało niczego, co posiadała. Szukała czegoś, dzięki czemu, gdyby miała pecha i ktoś ją zauważył, nie rozpoznano by jej od razu jako panny Mayfield. W dodatku rzecz ta musiała być tania, ponieważ inny z jej nabytków był naprawdę bardzo drogi. Wydała na ten zakup wszystkie pieniądze pożyczone jej przez pana Frisby'ego i większość własnych.

Spacerowała wzdłuż (Mord Street i, gdy wszystkie inne kobiety oglądały wystawy sklepowe, szukając czegoś, co p a s o w a ł o b y do nich, ona szukała rzeczy, w której byłaby do siebie niepodobna. Nagle natknęła się na wystawę pełną odzieży, pod nazwą „Deszczowa piosenka”. Wszystkie ubrania zrobione były z jakiegoś sztucznego materiału, płaszcze i czapki stanowiły komplet. Płaszcze były bardzo obszerne i miały karczek marszczony pod szyją, natomiast nakrycia głowy przypominały czepki ze zwisającymi sznurkami, które pod brodą można było zawiązać na kokardkę. Niektóre komplety miały pospolite kolory, były żółte, jasnoczerwone, zielone i niebieskie, część była w szkocką kratę, która, oczywiście, nie miała nic wspólnego z żadnym z klanów. Najważniejsze jednak było to, że cały taki strój można było dostać za jedyne trzydzieści szylingów.

Po raz pierwszy w życiu, jeden jedyny raz, panna Mayfield gotowa była zakupić coś, co nie rokowało, że będzie jej długo służyć. Weszła do środka i kupiła jeden z kompletów zwanych „Deszczowa piosenka”. Wzięła ten w zieloną, jasnobrazową i żółtą kratę.

A zatem teraz, na swój czarny płaszcz zarzuciła drugi, który kształtem przypominał namiot. Z głowy ściągnęła niemodny kapelusz i wcisnęła go do walizki. Zamiast niego wdziała czepkę w kratę i mocno zawiązała sznurki pod brodą. Następnie zamknęła walizkę i wepchnęła ją w przestrzeń między murem a pniem jodły. Czy przeżyję, aby potem ją stąd odebrać? Tego rodzaju myśli n i e w o l n o mi do siebie dopuszczać!

Torbę Mackintosha wetknęła sobie pod lewe ramię, w prawą rękę chwyciła latarkę, otworzyła skrzypiącą bramę i wyruszyła w kierunku Walwyk.

Już po kilku minutach uświadomiła sobie, że darzy szacunkiem i wdzięcznością projektanta kostiumów „Deszczowa piosenka”. Krople, które spadały jej na ramiona, spływały wzdłuż fałd i marszczeń, a potem ściekały na ziemię po rąbku płaszcza, który z każdej strony znajdował się w odległości przynajmniej dwudziestu centymetrów od jej nóg. W rzeczywistości, kiedy miało się na sobie taki strój, można było stanąć w miejscu i ochronić przed deszczem obszar wielkości małego stolika. W ten sam sposób odstający brzeg czepka powstrzymywał deszcz przed dostaniem się do oczu osoby, która go nosiła. Panna Mayfield, biorąc pod uwagę zaistniałe warunki atmosferyczne, czuła się względnie komfortowo i

zmierzała w stronę mostu.

Taksówkarz miał rację, droga znajdowała się pod brązową, błotnistą i wirującą wodą. Ciągnęła się tam, gdzie rzeka wdarła się na suchy ląd, a nad nią widać było jedynie wysoko wzniesiony, wystający most, który przypominał teraz wyspę. Pośrodku drogi, czyli tej części, która nadawała się do użytku dla pojazdów poziom wody musiał być powyżej osi kół.

Odkąd wyruszyła z opuszczonego domu, co chwila naciskała przycisk latarki i oświetlała raz jedną, raz drugą stronę drogi, by ocenić sytuację. Woda była na wysokości kolan, a może trochę wyżej.

Jednak po obu stronach drogi znajdowały się niewielkie wały. Nad wirującą wodą o brązowym kolorze, dało się dostrzec koniuszki zwiędłych chwastów i małe krzaki, które wyznaczały granicę drogi. Trzymając się lewej strony, szła naprzód, a zimna woda obmywała jej kostki. Dotarła do mostu. Kiedy przeszła przez niego, po przeciwnej stronie musiała zacząć brnąć w błocie, które było gęste i lepkie niczym owsianka. Zapaliła latarkę, ale okazało się, że tutaj granic drogi nie było widać, a zatem jedyne, co mogła teraz zrobić, to po prostu z trudem posuwać się dalej. Szła więc przez gęste, wsysające błoto, które najpierw sięgało jej do połowy łydek, potem do rąbka nowego płaszcza przeciwdeszczowego, a potem już do kolan.

Panna Mayfield zaczęła słabnąć. Brakowało jej tchu. Nie dam rady. Utknę tutaj, jak patyk w błocie⁹. To oczerniające określenie używane jest tak lekko, a ilu z tych, którzy wymawiają te słowa, kiedykolwiek wiedziało, co ono naprawdę oznacza. A oznacza, że z wielkim wysiłkiem i trudem, używając wszystkich swoich sił i całego jestestwa, wyjmujesz jedną nogę z imadła i stawiasz ją kilka centymetrów dalej - jak długi jest normalny krok? - czując, że znowu zanurza się w biocie. Robisz to raz, a potem drugi, trzeci i czwarty...

Znajdując się w lepkim błocie aż po same kolana, panna Mayfield wyginała się w przód i z trudem oddychała. Żeby tylko mogła znaleźć coś, na czym mogłaby się oprzeć, choćby na chwilę, po to, by uspokoić oddech. Wystarczyłaby jakaś poręcz, jakiś patyk, słupek, cokolwiek...

W końcu wsparcie, którego potrzebowała, nadeszło, tyle że w najdziwniejszej formie, jaką mogła sobie w tej chwili wyobrazić. Usłyszała radosny i beztroski głos panny Benson, która dawno temu - zanim to wszystko się zaczęło, kiedy jeszcze mogła uwagi tego typu przyjmować za dobrą monetę - mówiła jej: „Widzi pani, mamy tutaj pogodę, która sprzyja

⁹ *Stick-in-the-mud* - potocznie: konserwa, osoba o tradycyjnych poglądach, a w tłumaczeniu dosłownym: patyk w błocie.

wzrostowi traw. Bydło potrzebuje pastwisk, a trawa deszczu. Większa część Anglii Wschodniej, w porównaniu z resztą kraju, jest sucha, ale tutaj, w tym zakątku, dostajemy tyle deszczu, ile jak się wydaje, jest potrzebne”.

Tyle deszczu, ile potrzeba, pomyślała panna Mayfield, wyjmując nogę z grząskiego bagna, którą z trudem postawiła piętnaście centymetrów dalej, po raz kolejny zanurzając ją w błocie. I nagle zdała sobie sprawę, że pogoda należy do arsenału jej wroga, któremu trzeba stawić czoła, wzgardzić nim i go podeptać. Ta myśl sprawiła, że zaczęła posuwać się naprzód nieco żwawiej i po kilku następnych, z trudem zrobionych krokach, zarówno błoto, jak i woda stały się płytsze. Znowu znalazła się na drodze pomiędzy bukowymi drzewami, a deszcz padał coraz słabiej i słabiej.

Na długo przed tym, zanim dotarła do pierwszego domu, zeszła z głównej drogi i poszła przez pola Mavericka. Wcześniej już trzy razy pokonywała ten polny odcinek, starając się go jak najlepiej zapamiętać: tutaj brama pomiędzy dwoma polami, tutaj przełaz, w innym miejscu rów, w poprzek którego leżała deska, a gdzie indziej kolejny rów, przez który trzeba było przeskoczyć. Pod koniec tej okrężnej drogi, którą wybrała, minęła, w dość bliskiej odległości, skraj lasu, gdzie znajdował się Puddler Pond. Gdy poszła jeszcze kawałek dalej, znalazła się wystarczająco blisko, żeby zobaczyć - gdyby tylko był dzień - tył swojego domu. Ponieważ było ciemno, widziała jedynie światła w domach położonych na błoniach i zastanawiała się, w ilu z nich - i z jakimi uczuciami - mieszkańcy z niecierpliwością oczekiwali na wieczorne świętowanie.

Posuwała się dalej w kierunku wsi, aż w końcu wyszła na dróżkę, przy której stały szkoła i kościół.

Wytropiła panią Baines specjalnie po to, aby dowiedzieć się, gdzie odbywa się sabat podczas Halloween, jednak kobieta odmówiła udzielenia jej tej odpowiedzi. Potem jednak powiedziała: „To będzie pani koniec; wyglądał będzie gładko i prosto. Biedna panna Mayfield, miała słabe serce, zbyt długo klęczała”. A tego rodzaju śmierć mogła dopaść kogoś tylko w kościele. W zasadzie, podejrzenia względem kościoła pojawiły się na samym początku, ale musiała się upewnić.

Ostrożnie zbliżyła się do świątyni. Zatrzymała się w cieniu jednego z ogromnych cisów i wstrzymując oddech oraz wyężdżając słuch, spokojnie tam stała. Podeszła bliżej do przedsionka i nasłuchiwała. Gdy podniosła i przekręciła ciężką, żelazną klamkę, ta wydała dźwięk, który sprawił, że serce zaczęło jej walić, a z każdego poru na skórze zaczął wyciekać pot. Potem, ciągle trzymając rękę na klamce, czekała przez chwilę, która wydawała się trwać wiek. Jednak nic się nie wydarzyło, nie usłyszała żadnego dźwięku. W końcu zebrała się na

odwagę i powoli, centymetr po centymetrze, zaczęła otwierać drzwi szerzej.

W tym momencie do głowy przyszła jej jedna z tych dziwnych myśli, która może nie była zupełnie nieistotna, ale raczej zjawiała się nie w porę i w niewłaściwym miejscu. Niepotrzebnie brała wełniany sweter! Kościół - w którym, nawet w słoneczne, wiosenne popołudnie, czuło się chłód jak w grobowcu, a w ostatnią niedzielę było przyjemnie ciepło - tej nocy rozgrzany był niczym cieplarnia. Gorące powietrze uderzyło jak z otwartego piekarnika. W ciemnościach i duchocie wypełniającej kościół, panna Mayfield stała i czekała, aż w końcu, gdy zebrała się na odwagę, nacisnęła przycisk w latarce, kierując promień światła na podłogę. Po chwili jednak wyłączyła latarkę i w mroku przemierzyła odcinek, który przed chwilą omiotła wzrokiem. Zatrzymała się, czekała i nasłuchiwała, a następnie, w ciemnościach, jak poprzednim razem, powtórzyła krótką wycieczkę. Wreszcie dotarła do celu, którym było małe pomieszczenie znajdujące się u podstawy wieży.

Już dawno temu, kiedy po raz pierwszy jej podejrzenia skupiły się na kościele, upewniła się, że u podstawy wieży, pod ciężkimi drewnianymi belkami, które tworzyły sufit tego małego pomieszczenia, nie było żadnego z tych wąskich, półokrągłych okienek. Ktokolwiek zbudował tę wieżę w celach obronnych, miał zamiar strzelać do swoich wrogów z góry. Z tego też względu, nie narażając się na nadmierne ryzyko, choć też nie będąc bezpieczną, ponieważ w tych okolicznościach nic nie było dla niej bezpieczne, mogła mieć zapalone światło. Latarkę postawiła na podłodze za drzwiami, których nie odważyła się zamykać, ponieważ musiała uważnie nasłuchiwać, czy ktoś się czasami nie zbliża. Przy słabym świetle wypełniającym pomieszczenie, otworzyła swoją torbę Mackintosha i wyciągnęła z niej kamerę filmową, która sporo ją kosztowała. Poprzedniego dnia, pewien miły, przyszczyty, młody mężczyzna nauczył ją, jak należy ten sprzęt obsługiwać. Wymaganie panny Mayfield, aby kamera pracowała „cicho”, rozbawiło go. Nigdy wcześniej nie zdarzył mu się klient, który zwracałby uwagę na hałas tego typu urządzenia, ale ta mała, zabawna istota, która tak czy owak była nietypowym klientem, zachowywała się, jak gdyby kupowała instrument muzyczny. Mówiła: „Chcę ją u s ł y s z e ć jeszcze raz”. Jej ostateczny wybór, kamery najdroższej ze wszystkich, które jej pokazywał, nie był podyktowany profesjonalnymi funkcjami sprzętu, lecz faktem, że po kilku testach powiedziała: „Ta robi najmniej hałasu”. I trudno było się z tym nie zgodzić, ponieważ ta sama reguła obowiązywała w przypadku drogich samochodów.

W obliczu wszechobecnego londyńskiego hałasu, dobiegającego z każdej strony, różnica w głośności pomiędzy jedną sekwencją cichych pstryknięć a drugą mogłaby wydawać się niezwykle mało ważna, jednak panna Mayfield wiedziała, że w Walwyk, ta nieistotna z

poзору cecha, stanowiłaby o sukcesie lub porażce.

Gdy była już pewna, że kamera działa, jak należy, zwinęła torbę, w której ją przyniosła, i niepotrzebny sweter, po czym wepchnęła do przedniej części płaszcza. Następnie światło latarki skierowała na wytarte kamienne schody przylegające do ściany, które kończyły się za otworem w suficie. Po chwili zgasła latarkę i zaczęła wchodzić na górę, a robiąc to, poruszała się, jak jakieś zdeformowane zwierzę - używała stóp i łokci; w jednej ręce trzymała kamerę, tak aby ta nie dotykała kamiennych stopni, a w drugiej miała latarkę. Gdy dotarła na miejsce, pokryte grubą warstwą kurzu, mieszanką odchodów nietoperzy i zbitych w masę wymiocin wielu pokoleń sów, usadowiła się i czekała. Zanim wcisnęła przycisk, który sprawił, że ogarnęły ją ciemności, zdążyła spojrzeć na zegarek. Była dwudziesta czterdzieści. Nie zostało już zbyt wiele czasu.

22

Rzecz, która zadziwiała ją najbardziej, było jej własne zdziwienie. Przecież w końcu podejrzewała, a potem była już pewna, że coś takiego miało miejsce. Była gotowa mówić i rozgłaszać publicznie, że Wesley Baines wcale nie popełnił samobójstwa. Co więcej, sporo naczytała się na ten temat, a informacje z lektur czasami wywoływały w niej przerażenie i obrzydzenie, a czasami ją rozbawiały, ponieważ pewne szczegóły w nich zawarte w swej naiwności były niedorzeczne. Niemniej jednak, najsilniejsze emocje, które zaważnęły ją podczas pierwszych minut sabatu, wiązały się ze zdziwieniem. A więc, to j e s t prawda, pomyślała. I czy faktycznie widzę to, co widzę? Tak samo mógł poczuć się ktoś, kto wcześniej czytał o Sfinksie albo Koloseum, a potem stanął twarzą w twarz z budowlą naturalnej wielkości.

Zaczęli się ukradkiem zbierać, krzątali się i szeptali; dało się wyczuć, że w tym opustoszałym kościele byli czymś zajęci. Aż tu nagle, poczuła przyjemny, domowy zapach pieczonej wieprzowiny. Przez chwilę panna Mayfield, która czytała o „ucztowaniu”, była zaskoczona, a zaraz potem pełna zdumienia, że w ogóle to zaskoczenie odczuwa.

Na początku nie ośmieliła się wychylić ze swojej kryjówki. W każdym momencie mógł przybyć ktoś, kto miałby powód, aby zajrzeć do tego małego pomieszczenia u podstawy wieży. Wiedziała, że musi czekać, aż zacznie się hałas.

W końcu hałas się zaczął i - jak na każdym przyjęciu, kiedy pierwsza ostrożność, powściągliwość i wstyd słabną - stopniowo wzrastał.

W rzeczywistości mogła przysłuchiwać się jakiemukolwiek innemu przyjęciu, tyle że podczas tego odgłosy zebranych były głośniejsze, a ich śmiech odrobinę mniej powściągliwy. Nagle zdała sobie sprawę, że pora już opuścić to względnie bezpieczne miejsce. Czas nadszedł.

W ciemnościach zeszła po wytartych schodach w taki sposób, jak czasami robią to małe dzieci, czyli w pozycji siedzącej, ostrożnie zsuwając się stopień po stopniu. Gdy schody zakręciły, dostrzegła oświetlony zarys na wpół uchylonych drzwi. Hałas zrobił się teraz znacznie głośniejszy, a zapach pieczonej wieprzowiny - silniejszy. Ucieszyła się, gdy ujrzała, że drzwi pozostały w takiej samej pozycji, w jakiej je zostawiła, a były otwarte na tyle

szeroko, aby swobodnie mogła przez nie zerkać, a jednocześnie skrywać się za nimi. Jeżeli ktokolwiek tutaj wchodził, to nie pozostawił po sobie żadnego znaku. Skradając się, podeszła do drzwi i popatrzyła na to, co działo się w kościele.

Wtedy gwałtownie ogarnęło ją pierwsze zaskoczenie. Nie powinna być tak zdziwiona, tak zszokowana. Przecież w Afryce widziała mnóstwo nagich ciał..

Przez jej głowę niemalże błyskawicznie potrafiły przepływać długie myśli i w ułamku sekundy, kiedy podnosiła kamerę, miała czas, aby pomyśleć, że czarna skóra - w jakiś dziwny sposób - sama w sobie jest pewnego rodzaju strojem. Żaden czarnoskóry człowiek nie mógł wyglądać tak nago, jak ci mieszkańcy Walwyk. Przez głowę przeleciała jej również myśl, że w biblijnej opowieści o nagości i listkach figowych, która powszechnie traktowana była alegorycznie, kryje się pewna głęboka prawda. Duży krok naprzód dokonany przez człowieka, dzięki któremu wyszedł on z królestwa zwierząt, wcale nie nastąpił wtedy, gdy *Homo sapiens* stanął na dwóch tylnych nogach - małpy też to potrafiły. Nie, człowiek przekroczył Rubikon, kiedy po raz pierwszy zakrył swą nagość, prawdopodobnie liśćmi, jak podaje Biblia. Naszła ją także myśl, że istnieje pewna różnica między nagością osoby dla nas obcej, a nagością kogoś, kogo znamy...

Ale po co w ogóle tym wszystkim zawracać sobie głowę?, zapytała samą siebie, włączając kamerę. Przecież sama temperatura panująca w kościele mogła ją o tym poinformować.

Niestety, okazało się, że zdjęcia nie wyjdą najlepiej. Kościół rozświetlały świece, było ich mnóstwo, ale dawały prawie tyle samo dymu co światła. A pośrodku stołu rozstawionego na kozłach, na którym znajdowało się mięso i napoje, stała również miska, z której dymiło się niczym z wulkanu.

Był to narkotyk. Ktokolwiek wdychał opary wystarczająco długo, nie mógł już potem polegać na swoich zmysłach.

Ale to - mocno zacisnęła palce na kamerze - to jest maszyna, która nie czuje i nie myśli, i żaden narkotyk nie ma na nią wpływu. Potrafi jedynie nagrywać. I teraz właśnie nagrywa! Jakimś dziwnym trafem, kiedy patrzyła na grube, pełne pośladki naczelniczki urzędu pocztowego, która zwykle, gdy zakładała gorset, nabierała okrągłości solidnych niczym pień drzewa - myśl ta wydała się jej bardzo wstrętna; tak samo, gdy patrzyła na obwisłe piersi Phoebe Rigby przypominające puste papierowe torby lub kiedy zobaczyła...

Ale ja tak naprawdę nie patrzę. Jestem jedynie częścią tej maszyny, która trzyma ją prosto i kieruje w odpowiednią stronę. Cała cząstka mnie, która jest w stanie odczuwać szok lub rozbawienie, została w domu, w łóżku. I niech tak pozostanie.

Panna Mayfield szukała Ethel, ale nigdzie, pomiędzy rozbawionymi hulakami, nie mogła jej dostrzec.

Troska o Ethel zaczęła rosnąć i rozprzestrzeniać się w jej umyśle, jak te małe rzeczy zwane - jak to było? - japońskie kwiatki¹⁰, które po włożeniu do wody, otwierały się. Przez cały czas tym kwiatkiem była Ethel.

Nie mam nic przeciwko całej reszcie. Oni są ochotnikami. Dołączyli do pozostałych. Sami wybrali to, co robią teraz. A zatem niech sobie baraszkują, żrą i chleją...

Ale gdzie jest Ethel?

Niebawem. Znowu odezwał się głos w jej głowie. To dopiero początek. Rozgrzewka. Chyba dłużej nie będę marnować filmu na coś takiego.

Odsunęła się za drzwi i po raz kolejny oddała się szybkim głębszym rozmyślaniom. Zachowanie przy stole. I znowu wystąpił konflikt pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem. Aby żyć, trzeba jeść, a rzucanie się na jedzenie, rozdzieranie go pazurami i zębami, a w końcu pożeranie - to wszystko cechy instynktu prymitywnego. Przez wieki istota, której celem było stać się człowiekiem, stworzonym na boskie podobieństwo, istota, która miała być Shakespearem, Beethovenem i Einsteinem, mozolnie wdrapywała się po długiej drabinie. Wreszcie dotarła do punktu, gdy zaczęła siadać przy stole z talerzem pełnym jedzenia, rozwijała papierową serwetkę, prowadziła rozmowy, podawała sól.

Ci, zgromadzeni w kościele, wzgardzili tymi wszystkimi konwenansami, zrzucając z siebie również ubranie. Mięso rozrywali rękami, wpychali je sobie do gęby, śmiali się, gadali, całowali ustami świecącymi od tłuszczu, przeżuując jeszcze jedzenie.

Po chwili hałas stał się jakiś inny, powiadamiając ją tym samym, aby z powrotem zajęła stanowisko. Znowu, pomimo tego wszystkiego, co czytała wcześniej, była zdumiona, zszokowana i oburzona. Książki pisały o „seksualnych orgiach”, „rozpuście” i „perwersji”, ale dla niej były to jedynie zbitki liter tworzące pewne słowa. Na to, co ujrzała, kiedy skończyło się ucztowanie i picie podczas sabatu w Halloween w Walwyk, przygotowały ją one w tak samo niewielkim stopniu, jak słowa „czerwony” i „pachnący” przygotowałyby kogoś do spoglądania na piękno róży, której nigdy wcześniej w życiu nie widział. Samo patrzenie na te sceny było gorszące i sprawiało, że czuła się brudna. Nazywanie tego zezwierżeniem obrażałoby każde zwierzę na świecie, to była umyślnie czyniona obrzydliwość.

Groteskowe, szalone, myślała, starając się za wszelką cenę trzymać kamerę

¹⁰ Japońskie papierowe kwiatki, które - po umieszczeniu ich w wodzie - „rozkwitają”.

nieruchomo i słuchać jej delikatnych pstryknięć.

Nie myśl o tym, mówiła sama do siebie. Niech kamera wykonuje swoją pracę, a ty oderwij od tego swój umysł. Zauważ, że Harold Thorby nie bierze w tym udziału, i żałuj, że od czasu swojego wypadku czyniłaś go jednym z podejrzanych. Zwróć uwagę, że w żadnym wypadku nie są w to zaangażowani obaj małżonkowie. W noc świętojańską nad Puddler Pond Wesley Baines musiał złamać jedną z nienaruszalnych zasad. Erie Frisby jest tutaj, ale nie ma Edith, Freda Tharkell przysłała, ale nie John. Panna Benson się nie zjawiała - mogłaś jej ufać. Państwo Maverick są niewinni. Natomiast Berta Creek jest jedną z nich, i tak samo Baxter, i Juliet Reeve - o Boże, taka młoda, piękna i bystra. Tego dramatu nie da się wyrazić słowami. Jest gorzej, znacznie gorzej, niż sobie to wyobrażałam...

Jeszcze chwila i zaczęłyby płakać. Muszę przyjąć bardziej akademicki punkt widzenia - pomyślała. Czy to ten narkotyk sprawia, że potrafią robić to tak długo i w tak różnorodny sposób? Od zawsze było wiadomo, że prostytutki... ale ich rola jest pasywna. Jaki afrodyzjak działa tak, że mężczyźni... I gdyby ktoś nie widział tego na własne oczy, to czy uwierzyłby, że stara babcia Rigby...

Mam dość, pomyślała z odrazą. Przecież to może być dopiero wstęp. Starła się przypomnieć sobie liczby, które podawał jej młody sprzedawca w sklepie: taka długość filmu to będzie tyle minut. Ale czy wyświetlając zdjęcia, czy robiąc je? Nie wiem, ale żeby nie było żadnych niespodzianek, lepiej zachować ostrożność.

Skierowała kamerę w dół, zastanawiając się, czy ci ludzie w rui, tam w kościele, mieliby coś przeciwko i wstydziłoby się, wiedząc, że ich... figle zostały nagrane. A może mieliby odwagę głosić swoje przekonania i powiedzieliby: „To nasz rytuał. My twoich nie krytykujemy. Nikt nie kazał pani tego oglądać!”.

Po raz pierwszy, w dziwny, niemal komiczny sposób zdała sobie sprawę z dwuznaczności swojej sytuacji. Jak do tej pory nie wyrządzili szkody nikomu innemu, tylko sobie. Stali się cudzołożnikami i cudzołożnicami, ale naprawdę, najgorsze, co można było o nich powiedzieć, to to, że byli nudystami praktykującymi pewną formę wolnej miłości. Natomiast ona była podglądaczką, której motywów mogły być bardzo podejrzane. Ethel - osoby, na której najbardziej jej zależało - nawet tutaj nie było. *Ale zjawia się* - zapewniał ją wewnętrzny głos. *To też jest tylko wstęp.*

Nagle uświadomiła sobie, że jest fizycznie wyczerpana. Poruszając się bardzo delikatnie, podeszła do schodów i usiadła.

Upłynęło sporo minut, zanim charakter hałasu dobiegającego z zewnątrz ponownie się zmienił. W hałasie tym można było między innymi usłyszeć wyraźny dźwięk butów

stapających po kamiennej podłodze. Zakradła się z powrotem na swoją pozycję przy drzwiach i po raz kolejny ogarnęło ją zdziwienie. Wszelkie oznaki ucztowania zostały usunięte, a biesiadnicy z powrotem mieli na sobie ubrania. To, co robili, przypominało zwykłą scenę, którą można zobaczyć w niedzielny poranek w świątyni. Dokładnie w chwili gdy się im przyglądała, wszyscy padli na kolana, chociaż inaczej niż robią to wierzący podczas nabożeństwa. Ich ręce i głowy spoczywały na podłodze, a zadki uniesione były do góry. Szybko przypomniała sobie kolejne słowo, o którym czytała: „parodia”.

Drzwi od zakrystii, z których co niedziela wyłaniał się kanonik Thorby, otworzyły się i do kościoła weszły dwie postaci. Jedną z nich była Ethel Rigby, od szyi do stóp odziana w jasnoczerwoną pelerynę z powyszywanymi na niej biało-czarnymi symbolami kabalistycznymi. Na głowie niosła wieniec zrobiony z czerwonych kwiatów, spod którego delikatnie opadały na ramiona jej płowe włosy. Miała szeroko otwarte oczy, była jakby w transie. Czy lunatykowała? Czy była na narkotykach lub została upojona alkoholem? A może doprowadzono ją do takiego stanu, w którym ostatni możliwy opór był do osiągnięcia tylko poprzez odłączenie się od własnego „ja”? Gdy tak nad tym rozmyślała, w jej umyśle pojawiło się inne, znacznie bardziej istotne pytanie i nagle zaczęła się trząść, jak gdyby dopadły ją drgawki, cała się pociła.

Co ja teraz zrobię?

Ty głupia, głupia, nieudolna, niezdarna, stara wariatko! Nie masz dla siebie żadnej wymówki. Wiedziałaś. Czytałaś o tym. Jak mogłaś być tak całkowicie stuknięta, by myśleć, że będziesz w stanie ocalić tę dziewczynkę? Na Boga, jak? Za pomocą kamery? Domyślałaś się, podejrzewałaś, wiedziałaś. Zamierzałaś uratować Ethel, ale nie podjęłaś w tym celu żadnych rozsądnych, praktycznych kroków.

W tym momencie, w którym uświadomiła sobie swoje własne szaleństwo i nieudolność, rozpoznała drugą postać. Miała ponad dwa metry wysokości, ale była to tylko iluzja wywołana wysokim, srebrzystym przybraniem głowy i długą, białą szatą, przepasaną srebrnym pasem. Postać była bardzo wysoka, bardzo dumna, dominowała nad innymi. A przecież zawsze do tej pory, kiedy widziała Izabel Thorby sprawiała ona wrażenie osoby słabowitej, pozbawionej energii, zamkniętej w sobie i usposobionej negatywnie. Ale to była ona. Trzymała Ethel za rękę i prowadziła ją naprzód, aż w końcu po łacinie powiedziała:

- Przyprawiam oblubienicę.

Na co oni - zepsuta, kuchenna łacina, która, od nie wiadomo ilu pokoleń, była im ustnie przekazywana - odpowiedzieli:

- Niech znajdzie przychylność przed jego obliczem.

Wtedy odezwała się panna Thorby:

- Oto oblubienica! Kiedy to powiedziała, szarpnięciem ściągnęła z dziewczyny pelerynę. Nagość Ethel miała klasyczne piękno. Dziewczyna była gładka, biała i smukła niczym posąg, i tak samo jak on nieświadoma.

Cały czas trzymając dziewczynkę za rękę, panna Thorby zaprowadziła ją do ołtarza. Następnie Ethel, z dłońmi za głową i jednym uniesionym kolaniem, położyła się na nim.

- Zgromadziliśmy się - odezwała się panna Thorby.

- Zgromadziliśmy się. Czekamy na jego przybycie.

Potem, uroczyście parodiując czynności, które w tym miejscu jej brat wykonywał co niedzielę, panna Thorby wzięła do ręki opłatek i srebrny kielich komunijny. Opłatek położyła na ciele Ethel zaraz pod jej piersiami, a kielich wsunęła w łuk, które tworzyło jej zgięte, uniesione kolano.

Jeżeli na tym się skończy, pomyślała panna Mayfield, to jeszcze tak wielkiej krzywdy Ethel nie zazna. To bluźniercze, złe i głupie, ale ona nie wie, że to się dzieje, i jeżeli to będzie wszystko...

Panna Thorby podniosła opłatek.

- Oto ciało Uzurpatora. Niech stanie się pokarmem dla psów!

Skądś pojawił się pies pana Frisby'ego, Lassie, który, jak mówił jego właściciel, znakomicie radził sobie z bydlęciem. Szedł przed siebie w sposób typowy dla zwierzęcia, które musi robić coś wbrew woli, czyli z nisko pochyloną głową i podwiniętym ogonem. Powąchał hostię, zawahał się i odszedł.

- Nawet pies tym gardzi - zawołała z triumfem panna Thorby, a potem rzuciła opłatek na podłogę i przycisnęła obcasem.

Następnie podniosła kielich, mówiąc: „Oto krew”, i podała go babci Rigby, która zrobiła coś tak hańbiącego, że panna Mayfield zamknęła oczy i zwolniła palec na przycisku od kamery, mając nadzieję, iż zdążyła na czas. Chciała mieć to zdjęcie nawet nie dla celów dowodowych!

Teraz panna Thorby zaczęła się modlić - jeżeli w ogóle tak to można nazwać. Mówiła, że wszystko jest gotowe, że wszyscy zgromadzeni dali dowód swojej wiary i poświęcenia. Znowu wspomniała oblubienicę, szczegółowo rozprawiając o dziewictwie delikatnej Ethel, w taki sposób, w jaki burdelmama kusząco mówiłaby do opornego klienta o swoim nowym nabytku. Zakończyła słowami: „Wielki Mistrzu, czekamy na ciebie”. Zgromadzeni powtórzyli za nią.

Wszyscy wstali. Panna Thorby sięgnęła za leżące na wznak ciało Ethel i chwyciła za

miszkę. Trzymając miszkę w prawej ręce, lewą zanurzyła w niej. Każdy z członków zgromadzenia ustawił się w szeregu i po kolei do niej podchodził, a ona lewą ręką dotykała ich obu dłoni, czoła, policzków, podbródka i gardła. Było to siedem niewielkich maźnięć wykonywanych z prędkością ukąszenia węża. Gdy wszyscy już zostali namaszczeni i wrócili na swoje miejsca, zaczęli pocierać jedną dłoń o drugą, tarli sobie szyje i twarze, obracali się i przykładali dłonie do dłoni sąsiadów, a potem nawzajem znowu pocierali sobie twarze i szyje. Od czasu do czasu, gdy światło padało pod odpowiednim kątem, panna Mayfield dostrzegała tłusty połysk mazidla. Przypomniała sobie, co czytała na temat zastosowania pokrzyku wilczej jagody, rośliny która mogła doprowadzać do szału i halucynacji.

Wszyscy ustawili się teraz w koło, zaczęli poruszać się w jednym kierunku i nucili, najpierw względnie cicho, a potem, w coraz większym podnieceniu, głośniej i głośniej. Podskakiwali i krzyczeli. Panna Thorby wzięła Ethel za rękę, szarpnęła nią, przywracając dziewczynkę do pozycji wyprostowanej, a potem pchnęła w środek koła, które kręciło się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Wtedy panna Mayfield przypomniała sobie kolejne ze słów, które niewiele jej mówiło, a mianowicie: *widdershins*¹¹.

Znienacka panna Thorby krzyknęła: „Stop!” i wszyscy, niczym roboty, zatrzymali się w miejscu.

- Jest jakaś przeszkoda. Czy wszyscy jesteśmy jednej myśli? Czy ktoś z was był niewierny?

Te słowa nie były częścią rytuału, ponieważ wymawiała je w ojczystym języku i z widocznym wzburzeniem.

Panna Mayfield, ogarnięta przerażeniem, pomyślała: „Czy to moja obecność stanowi przeszkodę dla czegoś, na co oni czekają? Jeśli mnie wywęszą, to znaczy, że nie jest to zwykły paskudny nonsens”. Znowu zaznała strachu, który odczuwała nad Puddler Pond; strachu, który wiązał się z manifestacją zła, a okazało się nim przerażone stado owiec. Przypomniała sobie swoje odczucia względem kota.

„Drogi Boże - modliła się z głębi serca - przebacz mi. Jestem bardzo słabej wiary. Nieustannie przeceniam siłę wroga, co w pewnym sensie jest zdradą”.

- To chrzcielnica - powiedziała panna Thorby. - Wyczuwam jakiś opór pochodzący z tamtego kierunku. Przypuszczam, że woda w niej była używana i poświęcona i od tamtej pory

¹¹ *Widdershins* - stare szkockie słowo *withershins* oznacza „przeciwnie do ruchu wskazówek zegara/w lewo”, prawdopodobnie wywodzi się od wyrazu *weddersinnes* („w przeciwnym kierunku”) z języka średnio-dolno-niemieckiego.

nikt jej z chrzcielnicy nie wylewał.

Mówiła w sposób, w jaki gospodyni domowa mówiłaby o rondlu, który ktoś odłożył na miejsce, nie umywszy go, a słowo „poświęcona” wypowiedziała tak, jak każda inna, normalna osoba powiedziałaby „po trzykroć przeklęta”.

Chrzcielnica znajdowała się w pobliżu wieży, jakieś dwa metry od drzwi, za którymi skrywała się panna Mayfield. Niewiele się pomylili. Znowu zaczęła się wahać. Oni naprawdę mieli moc. Przypomniała sobie, że Lucyfer, Ahriman, diabeł - nazwij go, jak chcesz - przed swoim upadkiem był aniołem wystarczająco potężnym, by zazdrościć Bogu. I całkiem możliwe, a nawet logiczne, że cała ta parodia, te zabiegi z opłatkiem i winem sakramentalnym to kontynuacja odwiecznego buntu. Przypominali rebeliantów, którzy darli, deptali i pluli na flagę.

Teraz rzucili się w kierunku chrzcielnicy.

Muszę schować kamerę. Złapią mnie. Zachowałam się jak idiotka, a za swoją głupotę muszę teraz zapłacić. Ale najpierw spróbuję. Powiem im, że chciałam do nich dołączyć. Może to zadziała. Mniejszości zawsze chętnie przyjmują do siebie nawróconych. Będę kłamać, ile się da, ale muszę schować tę kamerę.

W górę pięły się schody, obejmując ścianę, do której przywierały. Pod najniższym schodkiem, a także za nim, znajdowała się ciemna, wydrążona przestrzeń. Panna Mayfield wepchnęła w nią kamerę tak daleko, jak tylko zdołała, po czym wróciła i stanęła za drzwiami, czekając, aż ją zaatakują i oskarżą.

Jednak na razie wszyscy byli zaabsorbowani chrzcielnicą.

- Tak jak myślałam. Ona jest skazą, a on czeka. Szybko, zbeczczyć ją.

Wokół chrzcielnicy utworzyli koło i zaczęli do niej pluć, użyli jej do tego samego, do czego wcześniej stara pani Rigby użyła komunijnego kielicha.

A kiedy już skończą, pomyślała panna Mayfield, wtedy zorientują się, gdzie znajduje się prawdziwe ognisko oporu; poczują szpiega między sobą.

Ethel krążyła dokoła z całą resztą. Nie śpiewała, nie podskakiwała i nie krzyczała. Jej białe ręce zwisały bezwładnie, a dłonie znajdowały się w gorącym uścisku jej sąsiadów. Dwa razy minęła pannę Mayfield i przy trzecim okrążeniu, gdy była już prawie naprzeciw drzwi od wieży, nagle coś się wydarzyło. Ustał wszelki ruch i hałas. Następnie, tak nagle i tak cicho jak zboże upadające po uderzeniu kosy, wszyscy, z wyjątkiem Ethel, padli płasko na posadzkę. Przez gorące powietrze wypełniające kościół przemknął chłód, zupełnie tak, jak gdyby do środka wdarł się wiatr z pól lodowych Arktyki.

W tej ogromnej konsternacji i śmiertelnym przerażeniu, ze sterczącymi jak szczecina

włosami i z gęsią skórką na całym ciele panna Mayfield była w stanie myśleć tylko o jednej rzeczy. Ocalić Ethel!

Wyszła na zewnątrz i złapała Ethel za ramiona, a czerwony wieniec znajdujący się na jej głowie przesunął się i spadł. Zaciągnęła dziewczynkę do pomieszczenia pod wieżą, a gdy były już w środku, panna Mayfield zamknęła drzwi i podniosła żelazną sztabę zwisającą z pierścienia przytwierdzonego do ściany po jednej stronie wejścia i umieściła ją w żelaznym okuciu umocowanym po drugiej stronie. Jednak gdy to robiła, doszła do wniosku, że jeżeli w kościele jest to, co przypuszcza, wtedy solidne drzwi i żelazna sztaba jej nie uchronią.

Potem zaczęła odczuwać niechęć do myślenia o tym, czego się bała. W pewnym sensie stała się ofiarą własnej wiary. Uznawała prawdziwość siły, która sprawiła, że rozstąpiło się Morze Czerwone, runęły mury Jerycha, zasłona Świątyni rozdarła się na dwoje, a kamień u wejścia do Grobowca został odsunięty. Wiara w tego rodzaju rzeczy, w sposób niemal nieunikniony, prowadziła do uznawania także innej siły, tej odpowiedzialnej za wszelkie zło, za wszystkie kłamstwa, okrucieństwa i niesprawiedliwość na świecie; siły, która solidną żelazną sztabę złamałaby jak zgniły patyk.

Niczym mama kuropatwa broniąca swe piskłę stała tam i czekała, kiedy się to stanie.

Przez kilka następnych minut kompletnie nic się nie działo. A gdy ci na zewnątrz w końcu się poruszyli, poczuła wielką otuchę. Wrzeszcząc i krzycząc, rzucili się na drzwi, ludzie z krwi i kości przeciwko zimnemu żelastwu i mocnemu drewnu. Wtedy przypomniała sobie słowa Rose, było to jedno z jej powiedzonek: „Bóg nie ma innych rąk niż ludzkie”. Ta sama prawda tyczyła się diabła. Wszystko inne - czarna magia, biała magia, cuda, wysłuchane modlitwy - to jedynie pozostałości, resztki, śladowe szczątki po człowieku pierwotnym, który z lękiem patrzył na zjawiska naturalne i próbował je kontrolować.

Gdyby mieli jakąkolwiek moc poza swoją własną, nie waliliby w drzwi, pomyślała panna Mayfield i zwróciła się w stronę Ethel.

- Już jesteś bezpieczna. Ethel, spójrz na mnie. Ethel, przecież mnie znasz, to ja, pani Mayfield.

Ethel nie odzywała się, stała, na nic nie reagując, niczym lalka, a w dotyku była zimna jak lód.

Panna Mayfield rozpięła spódnicę i zsunęła ją przez nogi. Następnie nałożyła ją Ethel przez głowę i zapięła wokół pasa. W rękawy zapasowego swetra, który miała ze sobą, zaczęła wkładać zwiotczałe ręce Ethel. Wyglądało to dokładnie tak samo jak ubieranie manekina na wystawie sklepowej. Gdy zapięła guziki swetra, narzuciła na Ethel swój plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. Pomyślała, że jeżeli zeszywniałe ciało dziewczynki kiedykolwiek

wygeneruje trochę ciepła, to przynajmniej dzięki temu zaraz się ono nie ulotni. Co pewien czas odzywała się do Ethel, każąc jej się obudzić, błagając, aby zaczęła mówić i patrzeć na nią. Raz nawet delikatnie nią potrząsnęła. Jednak Ethel była poza zasięgiem zwykłych dźwięków i normalnego dotyku.

Z zewnątrz dobiegały wrzaski i niewyraźne odgłosy gniewu i frustracji. Wreszcie przez ten hałas przedarł się głos panny Thorby. Panna Mayfield nie usłyszała, co dokładnie siostra kanonika powiedziała, ale zapewne kazała im się uciszyć. Co teraz? - zastanawiała się panna Mayfield i znowu stanęła pomiędzy Ethel a drzwiami.

Nic się nie działo, a cisza w sposób przejmujący tak się wydłużała, że nawet oddychanie czy łomot bijącego serca zdawały się ją naruszać. Nie poszli chyba do domu...

Nagle, w tym przeogromnym spokoju, do jej uszu dotarł dźwięk tak słaby, że w żadnym innym miejscu i w żadnej innej chwili nie usłyszałyby go. A był to delikatny szelest włosów Ethel, które muskały powierzchnię plastikowego płaszcza. Panna Mayfield w porę odwróciła głowę, aby dostrzec ich ostatni ruch: lekko się zakołysały, gdy Ethel przechyliła głowę w stronę drzwi, nasłuchując.

Nigdy wcześniej panna Mayfield nie widziała, aby ktoś był tak całkowicie skoncentrowany. Ethel słuchała całą sobą, czynność ta pochłaniała ją od stóp do głów. Raz wolno i ze zrozumieniem skinęła głową i uśmiechnęła się. Pannę Mayfield, która nie słyszała niczego, ponownie naszło uczucie, że opierała się czemuś, czego nie potrafiła ocenić. I ponownie przeciwstawiła się temu jedyną bronią, którą dysponowała.

- Masz nie słuchać, Ethel! Cokolwiek by nie mówili, to jest złe. Masz słuchać mnie, Ethel, a nie ich! Nie ich!

Ethel nie dała żadnego znaku świadczącego o tym, że ludzki głos, znajdujący się tak blisko jej ucha, był dla niej w ogóle słyszalny. Jej oczy nie drgnęły, ani spojrzeniem, ani gestem nie zdradziła, czy desperackie słowa panny Mayfield w jakikolwiek sposób przerwały jej nasłuchiwanie. Kiedy się poruszyła, zrobiła to z precyzją doskonałej maszyny i tak nagle, że panna Mayfield, która cały czas na nią patrzyła, była mimo to kompletnie zaskoczona. Ethel chwyciła latarkę, którą, gdy minęła potrzeba ukrywania się, jej nauczycielka zapaliła i postawiła na podłodze. Kiedy ręka Ethel zaciskała się na niej, panna Mayfield pomyślała: „Potrzebują ciemności”. Potem miała już czas tylko na to, aby zrobić unik głową, kiedy dziewczynka z całych sił, jakie mogła z siebie wykrzesać, machnęła latarką w jej kierunku.

Dosłownie o centymetr latarka minęła głowę nauczycielki i trafiła ją w ramię, sprawiając, że wzdłuż piersi i do koniuszków palców przedarł się paraliżujący ból.

I już po mojej prawej ręce! Teraz będzie silniejsza ode mnie. Obezwładni mnie i

otworzy drzwi. Ją zgwałcą, a mnie zabiją!

Siła, z którą wykonała zamach, wytrąciła Ethel z równowagi i kiedy dziewczynka się chwiała, panna Mayfield, głupio i bez uzasadnienia, szybko wyciągnęła lewą rękę, złapała za latarkę i zadała w płową głowę swój pierwszy w życiu, gwałtowny cios. Ethel padła na podłogę, a kształt jej leżącego ciała przypominał malutką górkę.

O Boże, zabiłam ją. Nie chciałam uderzyć tak mocno. Co we mnie wstąpiło? Muszę być szalona. Boże, nie pozwól, aby umarła. Dla nich byłby to wielki triumf!

Kiedy postawiła latarkę na podłodze i skierowała promień światła na Ethel, zauważyła, że dziewczynka ma równomierny oddech, niczym osoba we śnie, a jej puls - choć trochę za wolny - jest dobrze wyczuwalny i regularny. Wtedy już wiedziała, że jej modlitwa została wysłuchana.

Ledwo upewniła się, że Ethel nie umarła ani nawet nie krwawi, usłyszała głos panny Thorby:

- Ethel!

W jakiś niejasny dla panny Mayfield sposób tamta musiała zdać sobie sprawę, że urwał się między nimi kontakt.

- Ethel! Słyszysz mnie? Odezwij się!

Panna Mayfield spojrzała na Ethel, poniekąd spodziewając się, że dziewczynka zaraz wstanie i da automatyczną odpowiedź, ale Ethel leżała jakby we śnie.

Kiedy panna Thorby zawołała znowu, w jej głosie dało się wyczuć nutkę hysterii:

- Odpowiedz mi, odpowiedz mi. Boisz się jej? Jeżeli będziesz robić, co ci każę, nie skrzywdzi cię. Ethel, Ethel, Ethel!

Jej cienki, niemal skomlący okrzyk wdarł się do małego, okrągłego pomieszczenia, odbił się od jego ścian i ucichł. Przez chwilę panowała cisza.

Wtedy, nadal ostrym, ale już bardziej opanowanym głosem, panna Thorby zawołała:

- Panno Mayfield!

Nie było w tym nic niezwykłego. Panna Thorby mogła ją widzieć, a na pewno mogła się domyślić.

- Nie obchodzi mnie, czy odpowie pani, czy nie, chcę się tylko upewnić, że mnie pani słyszy.

- Słyszę doskonale - odpowiedziała panna Mayfield.

- Wiemy, że jest pani szalona. W głębi duszy pani też musi to wiedzieć. Proszę wyjść i oddać się w nasze ręce, a przyrzekam, że potraktujemy panią życzliwie. Jeżeli nie, to trafi pani do państwowego domu wariatów. Rozumie pani, co to znaczy?

Widać było, że duża wiedza panny Thorby, którą najwidoczniej posiadała o zakładach dla psychicznie chorych, pochodziła z pierwszej ręki. Używając fraz, które robiły się coraz mniej spójne, i mówiąc głosem, który był coraz bardziej piskliwy i wzburzony, panna Thorby wyrzucała z siebie groźby i obietnice zawsze przeplatane oskarżeniami o szaleństwo. „Już wcześniej robiła pani tego typu rzeczy. Była pani zamknięta...”. W potoku słów wypływających z ust panny Thorby była zarówno prawda, jak i kłamstwa. Wspomniała nawet nazwę miejsca, w którym przebywała panna Mayfield w czasie załamania nerwowego po powrocie z Afryki. Przeprowadzili dokładne śledztwo.

Krzykliwa tyrada siostry kanonika, składająca się trochę z faktów, a trochę z fantazji - połączona z coraz silniejszym bólem przeszywającym jej ramię - tak silnie wdzierала się do umysłu panny Mayfield, że praktycznie całkiem ją przytłoczyła. Panna Mayfield podeszła do schodów i usiadła na najniższym stopniu. Lewą ręką zakryła sobie lewe ucho, myśląc z rozgoryczeniem, że tego samego nie może zrobić z drugim uchem. Niemniej jednak, ciągle słyszała słowa dobiegające z zewnątrz i powoli zaczynała ją ogarniać myśl, że r z e c z y w i ś c i e może być niespełna rozumu. Czy wcześniej, tego samego wieczoru, po zapytaniu samej siebie: „Co teraz zrobię?”, nie przyznała, że jej zachowanie jest szalone. Czy ktokolwiek, kto nie byłby stuknięty i wiedziałby tak dużo, zdecydowałby się w pojedynkę wyrwać ofiarę ze szponów stada wilków? Nawet jej nieufność względem kanonika, panny Benson i pana Freemana przebudziła się teraz, aby poddać w wątpliwość jej zdrowy rozsądek. Brak zaufania do kogokolwiek - to symptom jakiejś formy obłądki. Tak samo jak pomysł, że samemu można odnieść zwycięstwo; rozdmuchane poczucie własnej ważności i siły - paranoja...

- Jeżeli nie wyjdzie pani z własnej woli, to zmusimy panią do wyjścia, zmusimy do wyjścia. Słyszysz pani? Ma pani ostatnią szansę. Niech pani wyjdzie, a zrobimy, co w naszej mocy, aby nic się pani nie stało. Jeśli postanowi pani inaczej, to siłą zostanie pani stamtąd wyciągnięta i trafi prosto do domu wariatów. - Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia, a zaraz potem panna Thorby dodała: - Samej sobie będzie pani dziękować za to, co się wydarzy. A krew Ethel będzie na pani rękach.

Nastąpiła cisza, która trwała tak długo, aż Ethel nie zaczęła płakać.

23

Ethel, zagubiona i nieszczęsna, płakała niczym ktoś, kto przebudził się z okropnego koszmaru. Panna Mayfield uklękła przy niej i jedną ręką, bardzo nieporadnie, podniosła jej głowę i położyła na swoich kolanach. Trzymała ją w objęciach, stale poklepując i pocieszając, że wszystko będzie dobrze.

Przez kilka minut Ethel szlochała i pociągała nosem, wtulając się w ciepłe, mocne ciało drugiego człowieka, nie martwiąc się w ogóle, czyje ono było. Po chwili podniosła głowę, spojrzała na pannę Mayfield i z ogromnym zdumieniem powiedziała:

- Pani Mayfield!

- Tak, to ja. Proszę. Wszystko jest już dobrze.

- Jak mnie pani odnalazła?

- Trochę się domyślałam, a trochę szczęście mi dopisało. Proszę... - Po omacku wyjęła swoją chusteczkę i podała ją Ethel w sposób, w jaki już dziesiątki razy robiła to wcześniej. Biedne dzieci, kiedy nadchodził kryzys, n i g d y nie miały przy sobie chusteczki, a kiedy im się ją pożyczają, to albo natychmiast, całe zaryczane i zalane łzami, zwracały ją albo nie oddawały jej w ogóle. Ethel bez wątplenia należała do tej drugiej grupy. Wytarła sobie oczy, wydmuchała nos, po czym wetknęła chusteczkę w rękaw swetra. Następnie wstała, rozejrzała się dookoła i zapytała:

- Jesteśmy w więzieniu?

Pytanie to w nieproporcjonalnym stopniu rozbawiło pannę Mayfield. Czegokolwiek dziewczynka doświadczyła, jej szybkość rozumowania została nienaruszona. Istniał dość powszechny pogląd, że cele znajdowały się w pomieszczeniach z gołymi, kamiennymi ścianami.

- Nie. Znajdujemy się w kościelnej wieży - odpowiedziała panna Mayfield z uśmiechem na twarzy. Drzwi są zaryglowane, a więc jesteśmy dość bezpieczne. Musimy po prostu poczekać tutaj aż do rana.

- W kościele - odrzekła Ethel. - Ale... przysięgam sobie, że nigdy mnie tu nie zaciągną. Jednak im się udało. Po tym wszystkim, co przeszłam, i Sydney, i jeszcze moje stare, drogie, małe króliczki! - powiedziała głosem pełnym rozpacz i znowu zaczęła płakać.

Trochę niepewna o co chodzi, panna Mayfield zwróciła się do niej:

- Nic się nie wydarzyło, Ethel. Zupełnie nic. Przyprawdzili cię tutaj, ale ja czekałam. Złapałam cię w odpowiedniej chwili i wciągnęłam do tego pomieszczenia.

Ethel ręką dotknęła głowy, a potem popatrzyła na siebie.

- To nie moje ubranie! I gdzie moje buty? Proszę pani! Mówi to pani tylko po to, aby mnie pocieszyć? Dopadli mnie. Dopadli! Dopadli! Mimo wszystko.

- Nikt cię nie dopadł - powiedziała panna Mayfield stanowczo. - Musisz mi uwierzyć, Ethel. Mówię prawdę. Zdażyłam cię tu wprowadzić. - Zdała sobie sprawę, że nie może kłamać o ubraniu, bo inaczej dziewczynka nie uwierzy jej w całą resztę. - Założyłam ci swoją spódnicę i swój zapasowy sweter, ponieważ kiedy cię od nich wyrwałam, miałaś na sobie jedynie wieniec z kwiatów, ale nawet on spadł ci z głowy. Nie chciałam, żebyś się przeziębiła.

- Palę się ze wstydu - odezwała się Ethel. - Palę się ze wstydu.

- Zupełnie niepotrzebnie. - Postawiła się na miejscu Ethel i kontynuowała: - W zasadzie miałaś na sobie długą pelerynę i w takim ubraniu zostałaś od nich wyrwana, ja cię wyrwałam. Rozumiesz? Nie sądzę, że ktokolwiek inny oprócz mnie widział cię nagą, a mną nie musisz się przejmować. Widziałam dziesiątki rozebranych dziewczyn. Najpierw podczas zajęć praktyczno-technicznych w szkole, a potem w szpitalu, w którym pomagałam... Dla mnie to nic nowego, Ethel. Zapomnij o tym.

- Pani zawsze tak mówi - powiedziała Ethel. - Od początku była pani najbardziej miłą... wszyscy mówili, że była pani najbardziej miłą nauczycielką...

Znowu powstało zagrożenie, że zaraz pojawią się łzy. Mrużąc oczy i szukając po omacku swojej chusteczki, Ethel schyliła głowę i wtuliła ją w zranione ramię panny Mayfield. Szybko jednak poczuła wzdrygnięcie i pewien unik. Natychmiast wyprostowała się, przybierając na nowo tę mało dziecinną postawę samokontroli, która - jak doszła do wniosku panna Mayfield - była typową cechą jej charakteru.

- Jest pani ranna - odezwała się. - Po raz kolejny coś pani zrobili.

- Nie. Po prostu niezdarnie poruszałam się w ciemnościach i uderzyłam się w ramię. Nie są w stanie nic mi zrobić.

- Niech pani nie będzie taka pewna! Moja babcia jednym spojrzeniem wyrządzi pani krzywdę. Rzeczy, które zrobiła mi... zresztą, o niektórych dobrze pani wie, chociaż pozwoliła się pani jej zwieść.

- A ty jej w tym zwodzeniu pomagałaś, Ethel. Gdybyś tylko mi zaufała, mogłybyśmy tego wszystkiego uniknąć.

- Nie odważyłam się. Chodziło o Sydneya i o moje drogie, małe króliczki... - Przeszył ją silny, konwulsyjny dreszcz. - I wtedy miarka się przebrała. Powiedziałam jej: „Kończę z tobą” i wyszłam.

- Naprawdę ciężko mi opisać, jak bardzo się o ciebie martwiłam. Gdzie byłaś, Ethel?

- W probostwie. Najzabawniejsze jest to... Czy miała pani kiedyś sen, z którego zapamiętała pani jedynie pewne fragmenty, a inne zapomniała? Właśnie tak było ze mną. Szłam wzdłuż Curlew Lane i rozmyślałam. Przeszłam przez posiadłość pana Tharkella i wyszłam z powrotem na drogę, tam zobaczyłam pannę Thorby. Oczywiście, ryczałam wniebogłosy, bo kochałam swoje króliki, ale ponieważ nie chciałam, aby mnie zatrzymywała i pytała o powód mojego płaczu, schyliłam się i udawałam, że zbieram dla nich pokarm. Okazało się, że postąpiłam bardzo głupio, ponieważ przez to zaczęłam płakać tak mocno jak nigdy dotąd. A więc podeszła do mnie i zapytała. Zanim się zorientowałam, wszystko jej już wyśpiewałam. Nie wiem, co się stało później, ten fragment mojego życia jest całkowicie zamazany. Następnie zauważyłam, że jestem w probostwie. Powiedziała mi, że babcia tu mnie nie znajdzie. Ani, że nigdy... no, przynajmniej nie znalazła mnie. - Zamilkła i spochmurniała. - Ja i pani Thorby spędzałyśmy razem dużo czasu, bawiąc się w jakieś głupie gry.

- Jakie gry?

- Na przykład sprawdzanie, która z nas dłużej będzie wpatrywać się w lustro bez mrugania oczami. Czasami zamiast w lustro wpatrywałyśmy się w kałużę atramentu, a nawet w siebie nawzajem. Często mnie to męczyło i szłam spać, a potem znowu wszystko się rozmazywało. Zawsze miałam mętlik w głowie i nie wiedziałam, która jest godzina. Podwieczorek jadłam w godzinach rannych.

- Byłaś zahipnotyzowana. Panna Thorby jest hipnotyzerką.

- Co? Tak jak ten stary mężczyzna, który potrafił sprawić, że dziewczynka śpiewała? Widziałam zdjęcie. A więc to tak! Teraz rozumiem. W ten sposób mnie tu zaciągnęli i zdjęli ze mnie ubranie. Widzi pani, ostatnie słowa, które powiedziałam do panny Thorby, to to, że nigdy im na to nie pozwolę. Tego samego dnia siostra kanonika sprawdzała, czy pas na nią pasuje. W chwili gdy to zobaczyłam, zdałam sobie sprawę, że mnie oszukała, tak samo jak zrobiłaby to babcia, gdybym z nią została. Powiedziałam jej wtedy, że nigdy mnie nie dopadną... i nagle budzę się tutaj z panią, a im niemal się udało.

- O nie. Pamiętaj, co ci powiedziałam.

Słuchanie Ethel miało podwójną zaletę. Nie tylko odwracało uwagę od niebezpiecznej sytuacji, ale także od bólu w ramieniu. Poza tym, opowieść nie była jeszcze kompletna.

- O co chodzi z tym pasem, Ethel? Czy już wcześniej go widziałaś?

- Raz. Wtedy zaczęły się wszystkie kłopoty. Chociaż, być może, nie powinnam o tym mówić. Gdyby nie ta sprawa z pasem, mogłabym teraz... Miałam jakieś dziesięć lat. Tak, to było cztery lata temu. Pewnego ranka obudziłam się z bólem zęba. Zeszłam na dół i zobaczyłam, jak babcia robiła wieniec ze swoich najlepszych bodziszków - kwiatów, na które nie powinno się nawet chuchać, nie mówiąc o ich ścinaniu. Pomyślałam, że oszalała, i mówię do niej: „Babciu, co robisz?”. A ona na to, że to wieniec dla pewnej dziewczynki, że będzie go nosiła podczas jakiejś zabawy. I dodała, że to sekret. Kazała mi nikomu o tym nie wspominać i jeżeli się nie wygadam i będę grzeczna, to pewnego dnia i ja go założę. Potem, z wacikiem nasączonym olejkami goździkowymi przyłożonym do zęba oraz z wywarem ziołowym, który pomaga zasnąć, odesłała mnie z powrotem do łóżka. - Przez sekundę blade usta Ethel wygięły się w sposób przypominający psotny uśmiech. - Wie pani, jakie są dzieci. Ciekawskie niczym fretki! Tak naprawdę wcale nie wypięłam tych ziółek. Kiedy babcia zajrzała do mojego pokoju, udawałam, a gdy wyszła z domu, poszłam za nią. Przy jednym z okien na zewnątrz kościoła znajduje się stary, wykrzywiony kamień nagrobny. Weszłam na niego i zerknęłam do środka. Tamtego roku tą dziewczyną była Berta Creek... Berta Creek z Frankiem Revattem. Widziałam wszystko, zachowałam się jak diabeł.

Panna Mayfield ledwo powstrzymała się przed powiedzeniem: „Ach, ty moje biedne dziecko!”. Wiedziała, że niektóre rzeczy lepiej przemilczeć i nie ciągnąć dyskusji.

Ethel kontynuowała ze zdrowym rozsądkiem.

- Nie jestem ograniczona. Trzymałam króliki i widziałam psy, to jak to robią, ale oni to było zupełnie co innego. Z miejsca postanowiłam, że nie chcę mieć nic do czynienia z takimi rzeczami. Najzabawniejsze, że chociaż rozpoznałam pas od razu, jak go zobaczyłam, to nigdy nie przyszła mi do głowy panna Thorby...

- Jesteś bardzo dzielną i bardzo zdeterminowaną dziewczyną, Ethel.

- Nie miałam innego wyboru. Paradowanie tam bez ubrania, a potem jeszcze to, z kimkolwiek oni do tego wyznaczą. To jednak nie wszystko. Jak raz weźmie się w tym udział, to już się do nich przynależy. Nic nie można na to poradzić. Robisz to znowu i znowu. Na przykład moja babcia. Na swój sposób lubi mnie. Jest znacznie bardziej wyrozumiała i pozwala mi na dużo więcej, niż powiedzmy mama Audrey. Ale jeżeli chodzi o tę jedną sprawę, to patrzyłaby, jak tną mnie na kawałki. Ona zrobiłaby... - Ethel zamilkła i, kręcąc głową raz w jedną, raz w drugą stronę, szukała źródła jakiegoś zapachu. - Pani Mayfield, czy czuje pani, jakby coś się paliło? Bo ja tak.

Panna Mayfield podniosła się, a ponieważ nie mogła odwrócić głowy, całym ciałem

zwróciła się w kierunku schodów. Kwadratowa dziura wycięta w poddaszu u szczytu schodów była lekko rozświetlona i kiedy tak na nią patrzyła, pojawił się kłęb szarego dymu, który zaraz został wessany z powrotem.

Powinam była się domyślić, powiedziała sama do siebie. Nie poddałoby się tak prędko. Panna Thorby przecież powiedziała: „Samej sobie będzie pani dziękować za to, co się wydarzy. A krew Ethel będzie na pani rękach”.

- Wejdę na górę i sprawdzę, jak duży jest pożar. Może uda mi się zdeptać ten ogień. Możesz pójść na sam szczyt schodów, Ethel, i poświecić mi latarką.

- Pójdę z panią. Jeżeli trzeba będzie zdeptywać... - W tym momencie Ethel użyła słowa, którego panna Mayfield nigdy przedtem nie słyszała, i mogła się jedynie domyślać, że było to przekleństwo. - Nie mam butów. A, wezmę to i będę uderzać! - Chwyliła za torbę Mackintosha, z której panna Mayfield wyjęła zapasowy sweter.

Zaczęły wspinać się po schodach. Panna Mayfield, która czuła się słabo i chwiała się na nogach, lewą ręką podpierała się o ścianę. Gdy prawie były już na górze, Ethel przepchnęła się obok niej i pierwsza wydała werdykt.

- Ogień jest zbyt duży, aby go zdeptać. Wiem, co zrobili. Powpychali patyki i inne rzeczy przez tę szczelinę, o tam, a potem rozniecili ogień. Nie zdziwiłabym się, gdyby użyli szmaty zamoczonej w nafcie. Czuję jej zapach. I co teraz zrobimy?

- Nie mam pojęcia, Ethel. Nie mam pojęcia.

Dla niej była to porażka. Rozpacz, przynębnienie i wyrzuty sumienia spiętrzyły się niczym fala i zalały ją. Boże, nie możesz pozwolić, aby w ten sposób się to zakończyło. Ona zniosła tak wiele i była taka dzielna. Wiem, że jestem głupia, ale... ale naprawdę próbowałam! Proszę, Boże, pomóż mi w tej trudnej chwili. Jeżeli moja śmierć ocaliłaby Ethel, to z chęcią umrę.

- Musimy schodzić. Ty pierwsza - powiedziała.

Ethel zwinnie zeszła po schodach, a za nią, nieco wolniejszym krokiem, ruszyła panna Mayfield. Ponieważ jej prawe ramię znajdowało się od strony ściany, nie mogła się o nią opierać. Miała mdłości, kręciło się jej w głowie i bała się, że zaraz spadnie. Ethel, gdy dotarła już na sam dół, odwróciła się i światło latarki skierowała na schody. Kiedy wydłużony snop światła na chwilę zmienił kierunek, oświetlony został sznur dzwonu.

„Jedno szarpnięcie” - mówił kanonik Thorby - „i każda fizycznie zdrowa, dorosła osoba, przybiegnie tu, aby walczyć z pożarem czy powodzią”.

- Dzwon - powiedziała - musimy zadzwonić dzwonem.

To „jedno szarpnięcie” było nieporozumieniem.

- Złap za pompon obiema dłońmi, Ethel, a potem ja położę na nich swoją sprawną rękę. Teraz razem, ciągniemy!

Choć udało im się lekko pociągnąć za sznur, dzwon nie wydał żadnego dźwięku. Wysilek, na który zdobyła się lewą, zdrową ręką, sprawił, że ból w tej drugiej, rannej, zwiększył się dziesięciokrotnie. Na jej czole i wokół ust pojawił się pot, aby nie krzyknąć, zacisnęła zęby.

- Gdybym mogła zrobić to sama - powiedziała Ethel - poradziłabym sobie lepiej. Wskoczę na ten sznur.

Panna Mayfield cofnęła się, usiadła na schodku i prawy łokieć umieściła w swojej lewej dłoni. Gdy ręka została odciążona, ból złamanej kości co nieco osłabł.

Ethel zawiesiła się na sznurze. Nie zwracając uwagi na pompon, złapała za sznur tak wysoko, jak mogła, i podskoczyła. Przez sekundę sznur musiał dźwigać cały ciężar jej ciała.

- Poruszyłam nim - powiedziała i zaraz ponownie wskoczyła na sznur.

Nagle dzwon odezwał się z takim hałasem, że zdawało się, iż kamienna posadzka w tym zamkniętym pomieszczeniu cała się zatrzęsała.

- Jak się go rozrusza, to idzie łatwo - krzyczała Ethel, której głos gubił się w dudniącym huku. Kiedy tak ciągnęła za sznur, posłała pannie Mayfield uśmiech triumfu i - tak - czystej przyjemności.

Wciąż jest dzieckiem, myślała panna Mayfield, a dzięki Bogu dzieci są bardzo wytrzymałe. Jeżeli ujdzie stąd żywa i wymknie się z ich sideł, to nic jej nie będzie.

Ethel już dłużej nie musiała podskakiwać. Ogromny dzwon nabral pędu i wystarczyło, że regularnie pociągała za sznur, aby dalej się kołysał. Jego hałas - niczym sama dusza zbezczeszczonego kościoła obdarzona głosem - przypominał gniew. Rozbrzmiewał w mroku listopadowej nocy i unosił się nad moczarami, pędząc aż do samego Renham i zakłócając mieszkańcom spokojny sen.

24

W Walwyk zasnęli małżonkowie, tacy jak państwo Maverick, Hayward i Driver, obudzili się, mówiąc zgodnie:

- Dzwon! Znowu Curlew Lane.

Mężczyźni, wkładając na siebie ubranie i sięgając po buty, narzekali oraz przeklinali radę hrabstwa za to, że nie zrobiono nic z rzeką, która tak łatwo wylewa, i że musiało lać mocniej, niż im się wydawało.

W sypialni państwa Mavericków, pan Maverick, wciskając na nogi kalosze, czuł lekki wstyd z powodu cichego uczucia przyjemności, które go naszło. Ostatnim razem, gdy domki przy Curlew Lane znalazły się w niebezpieczeństwie, zorganizował akcję ratunkową za pomocą konia i dwukołowego wozu. W tym roku miał land rovera. Kupił go po udanych zniwach i zawsze powtarzał, że tam, gdzie może wjechać koń z dwukołowym wozem, tam też dostanie się land rover. Dziś nadarzyła się okazja, aby to udowodnić.

- Jest tak samo dobry jak koń i dziesięć razy szybszy niż on - powiedział do żony. - Zanim zdążyłbym zaprząć starego Puncha, to samochodem dojadę już do kościoła i będę zbierał chłopaków.

- Nie wydaje mi się - powiedziała pani Maverick - że tym razem to powódź. Być może to pożar. Jeżeli to pożar... Tom, przyrzeknij, że będziesz ostrożny.

- A czy kiedykolwiek nie jestem?

W pozostałych domach, kiedy niewinna druga połówka, po wypiciu jakiegoś wywaru babci Rigby, spała twardym snem, nie bacząc na nic, druga po cichu wkradła się na zimną część łóżka i leżała w bezruchu. Ale niedługo niektórzy będą musieli na powrót wypełznąć z łóżek, aby zachować twarz, aby udawać.

*

Kanonik Thorby nie musiał po omacku szukać swoich spodni ani szarpać się ze sznurówkami, ponieważ w ogóle nie spał i miał na sobie ubranie. W takiej nocy jak ta nigdy nie szedł do łóżka, dopóki Izabel nie wróciła bezpiecznie do domu. Nie był ani pijany, ani całkowicie trzeźwy. Dawno temu przekonał się, że brandy stanowi najskuteczniejszą ochronę między nim a resztkami jego sumienia.

Kiedy pierwszy dźwięk bijącego dzwonu przedarł się przez ciszę nocy, kanonik zerwał się na równe nogi niczym wartownik. Tym razem, coś się wydarzyło. Coś, czego z lękiem wyczekiwał przez trzydzieści siedem lat.

W ciągu tego czasu udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że człowiek jest w stanie pogodzić się i wieść względnie szczęśliwe życie, wiedząc o czymś, co z początku wydawało mu się nie do przyjęcia. Można by powiedzieć, iż znalazł się w swego rodzaju sytuacji humanitarnego antywiwiskcjonisty, który pewnego dnia dowiaduje się, że jedyna osoba, którą kocha, cierpi na ciężką chorobę wymagającą ciągłego brania surowicy pozyskiwanej w jakiś niewyobrażalnie okrutny sposób. I on tak samo odczuwał wewnętrzny przymus, aby ignorować wszystko inne i troszczyć się jedynie o zdrowie bliskiej mu osoby.

Izabel była jego ukochaną. To niemal patologiczne przywiązanie do niej miało związek z jego wczesnym dzieciństwem. Siostra, niczym nieustraszona tygrysica, zawsze stawiała pomiędzy nim a Freddie, który uwielbiał obmyślać tortury dla wszystkich mniejszych i słabszych od siebie. Choć tylko dwa lata starsza od niego, Izabel była jego orędowniczką, jego matką. Jego prawdziwa matka całą swą opiekę roztaczała nad Izabel i Freddie. Ojciec natomiast był głęboko pochłonięty genealogicznymi badaniami dotyczącymi każdej rodziny mieszkającej w Walwyk, której dane zostały odnotowane w księgach parafialnych. Dzień był dla niego niezwykle udany, kiedy mógł powiedzieć: „Czy zdajesz sobie sprawę, że kiedy Ralph Fletcher żenił się z Matyldą Hayward, to tak naprawdę brał ślub z ciotką swojej babci? Ciężko w to dziś uwierzyć, ale kiedy spojrzysz się na daty...”.

Tylko Izabel troszczyła się o Harolda, a Harold za to troszczył się wyłącznie o nią. Takie to piękne, mądre i miłe.

W 1922 roku, gdy Harold służył jako wikariusz w parafii w Stepney, Izabel, wyjechała do Afryki Północnej, gdzieś w okolice Kartaginy, by wziąć udział w wykopaliskach archeologicznych. Do domu wróciła w stanie, którego żaden dwudziestowieczny lekarz nie potrafił określić, chociaż przyziemni ludzie z epoki wiktoriańskiej nazywali to dogorywaniem. Nie mówiła, nie chciała jeść, leżała w łóżku, z utęsknieniem czekając na śmierć. Nawet on, który zawsze był tak blisko siostry, i z parafii w Stepney specjalnie dla niej wrócił do domu, nie dał rady nawiązać z nią żadnego kontaktu. Dwa dni po jego przyjeździe, Izabel wzięła nadmierną dawkę tabletek nasennych i umarła.

Myśleli, że tylko spała i przez cały dzień nie podjęli żadnych działań, a kiedy wieczorem przyszedł lekarz, robił im wyrzuty, mówiąc: „Gdybyście tylko wezwali mnie wcześniej...”. Rodzice byli roztrzęsieni, zwłaszcza matka, ale dla Harolda cały świat pogrążył się w ciemnościach. Potem, gdy w gabinecie lekarz wraz z jego ojcem ostrożnie i w okolicy

sposób dyskutowali o tym, jak sformułować akt zgonu, matka powiedziała:

- Mówią, że Phoebe Rigby... Zawieź mnie na Curlew Lane.

- Ale... - powiedział.

- Nie sprzeczasz się. Zmarnowaliśmy już za dużo czasu.

Poszli więc do jego samochodu, małego, dwumiejscowego Morrisa o zaokrąglonym przodzie. Gdy byli już na Curlew Lane i zbliżali się do zwyczajnie wyglądającego domku, matka powiedziała:

- Zatrzymaj się. Zawróć gdzieś tutaj, najlepiej, jak potrafisz.

Zanim na tej wąskiej i pochyłej drodze udało mu się zawrócić, czekała już na niego matka w towarzystwie schludnej, poważnej, drobnej kobiety.

- Zawieź panią Rigby do naszego domu i zaprowadź do pokoju Izabel. Ja pójde pieszko.

Miał jakieś mgliste wrażenie, że kobieta była miejscową osobą przygotowującą zwłoki do pochówku, a pośpiech dodawał jeszcze całej tej sprawie grozy. Zaprowadził kobietę pod drzwi pokoju, w którym leżała Izabel, i powiedział: „Jeżeli będzie pani czegoś potrzebować, to proszę zadzwonić”. Dziwnie na niego spojrziała, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Harold wrócił do swojego pokoju, gdzie przez chwilę stał, powstrzymując łzy. Potem wsiadł z powrotem do samochodu i pojechał po matkę, która nigdy, odkąd pamiętał, nie pokonywała na nogach odcinka dłuższego niż od drzwi ogrodowych do kościoła.

Gdy zajechali pod drzwi probostwa, matka poinstruowała go:

- Siedź tu przez chwilę spokojnie. Nic nie mów.

Ona również siedziała z nim, milczała i nie ruszała się, gapiała się ciągle przez przednią szybę. Harold rozmyślał, jak będzie wyglądało życie bez Izabel, i po raz pierwszy zdał sobie w pełni sprawę, że całą miłością, którą mógł obdarować jakąkolwiek kobietę, obdarował własną siostrę. Jego żal był ogromny.

Po chwili jego matka zaczęła wzdychać i wiercić się, a więc poszli do domu. Pani Rigby, blada i wycieńczona, schodziła po schodach.

- Już wszystko z nią dobrze, proszę pani. Idę do kuchni przygotować jej trochę wywaru.

Lekarz oczywiście zaprzeczył, że doszło do jakiegokolwiek cudu, a raczej obwinił się za zbyt pośpiesznie wydany werdykt. Czcigodny Thorby także uparcie twierdził, że to wszystko bzdury, ale w rzeczywistości to za sprawą jego kpin cała tajemnica wydostała się na zewnątrz.

Pani Thorby, o czym wiedział Harold, mówiła o tym wszystkim tylko raz, kilka lat po tych wydarzeniach, tuż przed własną śmiercią.

Zwróciła się do Harolda, mówiąc: „Musisz być tolerancyjny. Świat jest starszy niż chrześcijaństwo. Opiekuj się Izabel, ale nie mieszaj się”.

*

I faktycznie, był tolerancyjny i nigdy się nie mieszał. Były czasy, kiedy z powodu napięcia wywołanego ambiwalentną postawą niemal się nie załamał. Ale nawet to napięcie z upływem lat osłabło. Mówił sobie, że hinduizm, buddyzm, mahometanizm i chrześcijaństwo mają prawo współistnieć, że żadna wiara nie ma monopolu na moralność. A jeżeli chodzi o szczegóły kultu Izabel, to cały czas - celowo - pozostawał w nieświadomości. Nigdy o tym nie dyskutowali, a on sam, w swoim umyśle, szczelnie tę sprawę zamknął i odsunął od siebie; w ogóle go nie interesowało, co skrywa komnata Sinobrodego¹². Jego jedyną troską było utrzymanie wszystkiego w tajemnicy. Jednak drobna panna Mayfield - celowo wybrana ze względu na swoją nieszkodliwość - otworzyła drzwi owej komnaty i zmusiła go, aby zerknął do środka. Jego natychmiastowa reakcja wcale nie miała nic wspólnego z jakimkolwiek obrzydzeniem, ale z lękiem, że ktoś inny mógłby cokolwiek zobaczyć. Bardzo zależało mu na jego wiosce. Troska o nią, upiększanie jej, dbanie o dobro jej mieszkańców - wszystko to było jego podświadomą próbą odpokutowania. Jednak obawa o wybuch skandalu w Walwyk wcale nie była tak wielka, jak strach przed tym, że Izabel mogłaby utracić dobre imię. Wieczorem, tego samego dnia, kiedy rozeszła się wieść o śmierci Wesleya Bainesa, poszedł do Izabel i powiedział jej:

- Sytuacja jest dość beznadziejna. Staralem się ją przekonywać i stosowałem groźby, ale ona jest niezwykle zdeterminowana. Powiedziałem jej, że wyjechałaś, i m u s i s z wyjechać. Za chwilę zawiozę cię do Wandford, a stamtąd udasz się do Stelli Mott-Tyler. W najgorszym wypadku, jeżeli będzie trzeba, to Stella będzie przysięgać, że przebywasz tam od tygodnia.

Jednak Izabel nie wykazywała żadnego niepokoju i wcale się nie martwiła. Powiedziała mu, że ulegnie jego żądaniom, ale tylko wtedy, jeżeli poinformuje on Phoebe Rigby o planach panny Mayfield. „Tego rodzaju sprawami Phoebe Rigby zajmuje się niezwykle skutecznie” - powiedziała mu.

Przypuszczalnie Phoebe wykonała robotę, a on zajął się kamuflażem. Potem, w ten ciemny, burzowy wieczór, panna Mayfield, której, jak przypuszczał, pozbył się na zawsze - i

¹² Tajemnicza komnata z jednoaktowej opery ekspresjonistycznej pt, *Zamek Sinobrodego*.

z przyjemnością zadbał o to, aby stało się to w jak najbardziej komfortowy sposób - wróciła. Jednak Izabel pozostała beztroska.

- Ona wie, co dla niej dobre. Już więcej nie popełni żadnych błędów. Najlepiej, jak zostanie tutaj, gdzie będziemy mogli mieć ją na oku.

Miał przecucie, że wówczas, pewien niewidzialny punkt zwrotny został już przekroczony. Niemniej jednak, obawę tę wetknął pomiędzy wiele innych rzeczy, których nie zamierzał roztrząsać.

Gdy zadzwonił dzwon, wcale nie pomyślał ani o pożarze, ani o powodzi, ale o Izabel i drobnej nauczycielce, która powinna była spędzać przerwę semestralną w Londynie.

*

Kiedy biegł przez ogród, zauważył, że choć w kościele panowała ciemność, to wieża była rozświetlona - otwory strzelnicze dla łuczników, znajdujące się w jej górnej części, lśniły na żółto. Gdy otworzył drzwi, nacisnął przełącznik i całe miejsce wypełniło się światłem. Nie miał pojęcia, co ujrzy - była to jedna z tych rzeczy, o których nigdy nie myślał - ale nic nie mogło zaskoczyć go bardziej niż widok pustego, uporządkowanego kościoła, który wyglądał tak samo jak zwykle.

Panna Thorby pozwoliła swoim towarzyszom na krótki atak gniewu i frustracji w postaci wilczego zawodzenia i bezskutecznych szturmów na drzwi. Potem dała znak, aby sobie poszli. Podobnie jak wszystkie podziemne ruchy, tak i wiedźmy z Walwyk potrafiły szybko i skutecznie usuwać wszelkie ślady swojej obecności. Świeczniki, miska, przybranie głowy panny Thorby i jej srebrny pas - każda z tych rzeczy została zabrana przez wcześniej wyznaczone do tego ręce. Tłum się rozszedł, a w kościele pozostało jedynie siedmioro niezbędnych członków ścisłego grona.

Im właśnie panna Thorby wydała rozkazy, które poskutkowały roznieceniem ognia. Była przekonana, iż pewnego dnia, dzięki wierze i poświęceniu, osiągnie taką moc, że nie będzie już musiała dłużej polegać na rzeczach materialnych, powie tylko: „Niech zapłonie ogień!” i tak się stanie.

Gdy ogień już się palił, pięcioro członków zostało odesłanych do domu. Babcia Rigby i panna Thorby siedziały same w kościele.

Babcia Rigby z niepewnością w głosie zwróciła się do panny Thorby:

- To ma ich tylko przestraszyć. Nie chcesz s p a l i ć Ethel!
- Ethel jest cenna dla ciebie, a dla mnie jeszcze bardziej - odpowiedziała jej tamta zwięźle. - Kiedy wyjdą, zabierz dziewczynkę, a kobietę zostaw mnie.
- Myślisz, że wyjdą?

- Przed ogniem wszyscy uciekają.

Kiedyś, dawno temu, ich role były odwrócone. Wtedy Phoebe Rigby, która była już wtajemniczona, wydawała rozkazy i w sposób lakoniczny zwracała się do Izabel Thorby, nowicjuszki. Jednak stopniowo uczeń prześcignął nauczyciela. Na pewnym poziomie Phoebe Rigby radziła sobie bardzo dobrze, ale brakowało jej mistycznych cech i hipnotycznych zdolności, które posiadała Izabel. Często, kiedy szala mocy przechylała się na jedną stronę, Phoebe Rigby patrzyła na Izabel i myślała: „Gdyby nie ja, już dawno by cię pogrzebali. Szkoda, że im na to nie pozwoliłam!”.

- Ogień już mocno się rozprzestrzenił. Czuję dym.

Babcia Rigby nerwowo powiedziała:

- Dym też potrafi zabić. Ta Ethel jest uparta jak osioł...

Wstała, aby podejść do drzwi. Chciała w nie walić i wołać Ethel, wtedy panna Thorby odezwała się:

- Zaczekaj.

I w tym momencie rozległ się dźwięk dzwonu.

- To Ethel! - staruszka krzyczała z komiczną mieszanką konsternacji i dumy. - Można jej zaufać, nigdy nie traci głowy! - Potem ogarnęła ją trwoga: - Ale co teraz? Za pięć minut wszyscy tu będą.

- Musisz iść do domu - oznajmiła spokojnym głosem panna Thorby. - Nie masz powodu, aby tutaj być. Ja zamknę kościół. Zanim znajdą zapasowy klucz, wszelkie dowody zostaną usunięte. Powiem, że to ciepłe powietrze wprawiło dzwon w ruch. Będę czekać tu w koszuli nocnej, tak jakbym wybiegła prosto z łóżka.

Był to plan, który w każdych innych okolicznościach babcia Rigby pochwalałaby, biorąc go za dowód opanowania i pomysłowości panny Thorby, ale przecież Ethel była jednym z tych dowodów, które miały być zniszczone!

- Nie możesz tego zrobić. Ethel spłonie!

- Chodź. Będzie inna Ethel.

Pani Rigby rzuciła się na drzwi i mimo huku bijącego dzwonu - w tej samej chwili, kiedy Ethel po drugiej stronie drzwi ze zwycięskim uśmiechem i zadowoloną miną spoglądała na pannę Mayfield - zawołała:

- Ethel, wyjdź! Spłoniesz. Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz. Przyrzekam. Ethel! Przyrzekam na Biblię. Panno Mayfield! Słyszysz mnie pani? Niech pani ją wyprowadzi! Spalicie się... spalicie się...

Panna Thorby zbliżyła się do pani Rigby i szepnęła jej do ucha:

- Tracisz czas. Nawet cię nie słyszą. Chodź.

Złapała ręką nadgarstek staruszki. Dotyk ten sprawił, że tłumiona przez wiele lat nienawiść i zazdrość zaczęły wrzeć i przelewać się. Zaledwie kilka dni temu ta bezdusznajędzza zabrała jej Ethel i nawet nie zawracała sobie głowy, aby ją o tym poinformować. Przez nią szukała Ethel całą noc, a potem, rankiem, poszła do szkoły i zrobiła z siebie idiotkę przed nauczycielką. Ten czyn panny Thorby sam w sobie był niewybaczalny, a teraz jeszcze chciała zostawić Ethel i pozwolić jej spłonąć.

Pani Rigby gwałtownie odsunęła od siebie pannę Thorby, która myślała tylko o jednym: „Jeżeli znajdę Phoebe w zamkniętym kościele, na pewno poważnie skomplikuje to późniejsze wyjaśnienia”. Panna Thorby ponownie wyciągnęła ręce w kierunku staruszki; chciała ją mocno złapać za ramiona i, trzymając przed sobą, wyprowadzić z kościoła. Jednak pani Rigby opierała się i w końcu ją uderzyła. Sekundę później kościół, który był świadkiem wielu dziwnych scen, miał okazję przyglądać się jeszcze jednej, a mianowicie walce dwóch kobiet uprawiających wolną amerykanke.

Co do jej wyniku nie było wątpliwości. Panna Thorby była młodsza, znacznie wyższa i nieco cięższa, za to pani Rigby prowadziła aktywne życie: szorowała podłogi, polerowała meble, robiła pranie, kopała w ogrodzie. Dysponowała ukrytą siłą niczym osioł, a także emanowała z niej nienawiść, podczas gdy panna Thorby kierowała się wyłącznie doraźną korzyścią. Na ułamek sekundy przed tym, zanim kanonik zapalił światła, pani Rigby mocno pchnęła swoją przeciwniczkę i odrzuciła ją od siebie. Panna Thorby, idąc chwiejnym krokiem do tyłu, straciła równowagę i, upadając, uderzyła głową w chrzcielnicę.

Nastała jasność, a wtedy kanonik zawołał:

- Izabel!

Odezwała się babcia Rigby:

- Ethel jest w środku z nauczycielką. Pali się strych. Ethel, musisz wyjść!

Być może kanonik w ogóle jej nie usłyszał, ponieważ udał się prosto w kierunku chrzcielnicy, u stóp której leżała Izabel. Gdy podniósł ciało, bezwładnie zwisająca głowa siostry, powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Nie czuł żadnego smutku. Nikt nie cierpi dwa razy z powodu tej samej straty. Jego głęboki żal wywołany śmiercią siostry trwał już trzydzieści siedem lat i zdążył porosnąć zieloną trawą. Ulga - tak! To był koniec. Nie. Niezupełnie koniec. Po raz ostatni musi postarać się, aby jej dobre imię nie zostało zszargane. Ogień w wieży kościoła, potknięcie się w ciemnościach - tak, to wszystko dałoby się poskładać w jedną logiczną całość, dałoby się wytłumaczyć, gdyby tylko...

Podbiegł do drzwi wieży i bez ceremonii odepchnął babcię Rigby na bok.

- Musi pani natychmiast wyjść - zawołał pewnym głosem, głosem kogoś, kogo autorytet nigdy w poważny sposób nie został nadszarpnięty. - Panno Mayfield, nie wiem, co się tutaj działo, ale jestem tu teraz. Może pani bezpiecznie wyjść. - Po tych słowach nastąpiła zauważalna przerwa, po czym dodał: - Czy chce być pani odpowiedzialna za śmierć tego dziecka?

- To kanonik - odezwała się Ethel radośnie. - Jesteśmy uratowane. On nigdy nie miał z nimi nic wspólnego.

- Zaczekaj - powiedziała panna Mayfield, walcząc z gwałtownym przypływem zawrotów głowy, z bólem, który doprowadzał ją prawie do obłędu, a także z dymem i hałasem oraz koniecznością wyboru mniejszego zła. Gdy spojrzała w górę zobaczyła, że blisko szczytu schodów pojawiły się języki ognia i jedna z belek zaczęła się uginać. - Zaczekaj - powtórzyła. - Jeszcze tylko minutkę. Ktoś inny może... i... ach...

Z trudem utrzymując się na nogach, podeszła do kryjówki znajdującej się pod schodami. Kiedy się pochyliła, aby wyciągnąć stamtąd kamerę, dostała mocnych zawrotów głowy.

Ją mogą zabić, ale nie zabiją Ethel, ponieważ dziewczynka jest dla nich zbyt cenna.

- Schowaj to, Ethel, pod swetrem. Są tu zdjęcia wszystkiego, co działo się tutaj wieczorem. To dowód. Jeżeli przytrafi mi się coś złego, zanieś tę kamerę na policję. Tam się tobą zaopiekują. Cokolwiek będziesz robiła, nie oddawaj jej nikomu. I pamiętaj, nie wolno ci się poddać. Na zawsze pozostań tą samą odważną i dobrą dziewczynką. A teraz otwórz drzwi.

I oto, w ten sposób wychodzimy w końcu z pułapki wprost w ręce naszych wrogów. No cóż, lepsi ludzie niż ja byli nieraz pokonywani. Chrześcijanie szli na arenę ze śpiewem na ustach, ale i tak pożerały ich lwy.

Próbowała iść z dumą, ale żeby mogła utrzymać się prosto i aby łatwiej jej się szło, Ethel podtrzymała pannę Mayfield za zdrową rękę. Kiedy otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka świeże powietrze, ogień nad ich głowami zaczął buzować niczym w piecu. Z chwilą gdy wyszły na zewnątrz, spadła jedna z belek tworzących sufit tego małego pomieszczenia, dając pokaz fajerwerków z iskier i kłębow śmierzącego dymu. Wyglądało to tak, jakby Ethel i panna Mayfield zostały wyplute z paszczy piekieł.

Potem, w tym samym czasie, wydarzyło się kilka rzeczy. Babcia Rigby, niczym zwykła staruszka, chcąc przywitać się z ukochaną, od dawna niewidzianą wnuczką, zaczęła biec w stronę dziewczynki, krzycząc: „Ethel!”. Wtedy Ethel puściła rękę panny Mayfield, przełożyła latarkę do prawej ręki i powiedziała:

- Trzymaj się z dala ode mnie, bo pożałujesz.

W przedsionku słychać było stukot ćwiekowanych butów. Przybył Tom Hayward, panna Mayfield go rozpoznała.

Pierwszy z ucziwych mężczyzn, którego ze snu wyrwał dźwięk dzwonu. Muszę z nim porozmawiać, poprosić go o ochronę, pomyślała.

Zrobiła krok w przód i wpadła w gęste, wsysające błoto. Zaczęła z nim walczyć, tak samo, jak robiła to godziny temu, ale to było głębsze, bardziej klejące. Wciągało ją głębiej i głębiej...

Zanurzała się coraz bardziej, topiła się, nie mogła już widzieć ani mówić, ale jeszcze słyszała. Było tak samo jak wtedy, gdy pod znieczuleniem wrywano jej ząb, nie czuła żadnego bólu, ale wszystko dobrze słyszała, nawet odgłos łamanego i odrywanego się od szczęki korzenia.

Do jej uszu dotarł głos kanonika Thorby'ego, który mówił:

- Ha, Hayward. Pierwszy, jak zwykle. Obawiam się, że niewiele da się już zrobić. Musimy się stąd wszyscy wynosić. Zajmę się siostrą, a ty pomóż panie Mayfield.

Ostatnią rzeczą, którą zdołała usłyszeć, zanim na jakiś czas przestały dobiegać do niej jakiegokolwiek odgłosy, był dźwięk trących o siebie złamanych kości w prawym ramieniu, kiedy Tom Hayward ją podnosił. Ból przeszywał ciało, a Tom Hayward pomimo swej siły nie potrafił wyciągnąć jej z błota. Zanurzyła się głębiej... i utopiła.

25

W końcu ktoś musiał wyciągnąć jej głowę, ponieważ znowu zaczęła słyszeć. Jednak to, co usłyszała, na początku nie miało większego sensu.

- ..dam ci znać, a dziewczynkę zostawię z tobą - powiedział męski głos.

W odpowiedzi na to spokojnym, kojącym tonem odezwała się jakaś kobieta:

- Powinniśmy się upewnić, jakie odniosła obrażenia. Trzęsąc nią całą drogę do Selbury, możesz tylko pogorszyć jej stan. Chociaż pierwszej pomocy już jej udzieliłam i nie widziałam śladów krwi.

W kolejnym głosie - ten, co rozpoznała, należał do Ethel - dało się wyczuć pewną makabryczną radość.

- To panna Thorby krwawiła! A niech mnie, gdybyście widzieli...

Wtedy odezwał się męski głos:

- Zamknij się. Dość już narobiłaś kłopotów jak na jedną noc.

Dobrze, muszę otworzyć oczy, zacząć myśleć i planować.

Znajdowała się w land roverze, o którym na początku jesienno- zimowego semestru Bobby Maverick tak dużo mówił. Auto stało pod jakimś oślepiającym światłem na otwartej przestrzeni z budynkami - tak, to było podwórze Mavericka.

- Wszystko w porządku - powiedziała pani Maverick. - Już wszystko dobrze. Sprawdzam tylko, czy lepiej będzie, jak Tom zawiezie panią do Selbury teraz czy rano.

- Moje ramię - powiedziała panna Mayfield - prawe ramię.

Delikatne i zręczne ręce zaczęły badać miejsce bólu. Po chwili pani Maverick powiedziała:

- Dzięki Bogu. To tylko obojczyk, a na nich akurat się znam. Każdy z moich braci miał je kiedyś połamane, a Tom aż dwa razy. Czy może pani swoją zdrową ręką objąć mnie za szyję i wesprzeć się na mnie? Tak będzie lepiej, niż gdybyśmy mieli panią wnosić. To tylko jeden schodek.

Ale nawet ten jeden schodek to już było dla niej za dużo. Przestronna, ciepła kuchnia, kiedy do niej weszli, zaczęła wirować w jej głowie niczym karuzela.

- Wszystko ze mną OK - poinformowała panna Mayfield. - Ale czuję się lepiej... kiedy

mam zamknięte oczy.

Pani Maverick spokojnym głosem zaczęła wydawać polecenia.

- Podaj te nożyczki... Tom, przynieś temu dziecku moje kapcie, są koło łóżka. Ty, Ethel, otwórz tamten kredens. Znajdziesz w nim dwa termofory. Wypełnij je wodą z czajnika, który stoi na piecyku. Tom, pokaż dziecku, gdzie jest pokój gościnny.

Jej ręce cały czas były zajęte bandażowaniem obu ramion panny Mayfield. Dlaczego obu? Nie, żeby to było ważne. Nagle ulżyło jej, tak jak wtedy, kiedy włożyła łokieć prawej ręki w lewą dłoń. Zdołała wynurzyć się na powierzchnię na wystarczająco długo, aby powiedzieć:

- Od razu czuję ulgę. Dziękuję.

- Wystarczy do czasu, zanim zjawi się lekarz. Tom, w szafce w łazience jest kodeina. Przynieś też whisky. Dobry Boże, dziecko, co za ziewnięcie. Możesz iść i wskoczyć do mojego łóżka. Stoi obok tego, do którego wkładałaś termofory. A może jesteś głodna?

- Ja zawsze jestem głodna - odpowiedziała Ethel.

- Zajrzyj do spiżarni, to te drzwi, o tam. Wiem, że znajdziesz tam paszteciki z kielbasą i... sprawdź sama, co w niej jeszcze jest. Dzięki, Tom. Pocukruj jeszcze. Po doznaniu szoku zawsze należy wypić słodkiego drinka i odrobinę gorącej wody. Teraz, panno Mayfield, gdyby zechciała pani połknąć te tabletki i popić wodą... o, właśnie tak. Będzie pani po nich dobrze spała. W porządku, czy wejdzie pani po schodach, czy Tom powinien panią wnieść?

Kiedy przypomniała sobie, że tego wieczoru już raz ją nosili, zdecydowała się wstać i pójść na górę o własnych siłach. Na chwilę przed tym, zanim ogarnęło ją ciepło i miękkość łóżka, pomyślała: „Kamera!”. Ale była już zbyt senna, aby ktokolwiek mógł usłyszeć jej głos.

*

Kiedy się zbudziła, było jasno, a słońce świeciło na bodziszki cygańskie i fuksje stojące się na szerokim parapecie, który pani Maverick podczas zimy wykorzystywała jako cieplarnię. Ethel siedziała na krześle stojącym pomiędzy skrajem łóżka a oknem. Z bladą twarzą i czerwonymi oczami, które były rezultatem niewyspania, teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej przypominała białego królika.

Kiedy panna Mayfield powiedziała: „Ethel!”, była zaskoczona, że jej głos zabrzmiał tak mocno i wyraźnie.

- Dzień dobry, pani. Już myślałam, że nigdy się pani nie obudzi. Minęła dziesiąta. Choć prawda jest taka, że poszłyśmy spać około szóstej rano. Pani Maverick od razu wzięła się za dojenie, pan Maverick powiedział, że nie było sensu, aby o tej godzinie wracała do łóżka. Za to ja do niego weszłam, ale i tak nie zmrużyłam oka. To była pierwsza noc w moim

życiu, której w ogóle nie przespałam.

- Ethel, masz kamerę?

- Dokładnie tutaj, gdzie kazała mi ją pani trzymać - powiedziała, uderzając się w pierś.

- Dostałam koszulę nocną od pani Maverick, ale było mi trochę zimno i założyłam sweter, a więc kamera została na swoim miejscu.

- Będę jej teraz potrzebowała.

- Co dokładnie zamierza pani z nią zrobić?

- Jeżeli pan Maverick ma sejf, to poproszę go, aby przechował ją w nim do jutra.

Potem zaniosę ją do skrytki bankowej i tam zamknę na klucz. Następnie napiszę listy do kilku zaufanych osób, informując ich, gdzie ona jest i co się w niej znajduje, i że jeżeli mnie lub tobie coś złego się przydarzy, to mają ją stamtąd wyciągnąć i wywołać film. Kiedy już to zrobię, będę mogła zająć się twoją babcią, kanonikiem i panną Thorby.

- Nie, panną Thorby nie. Ona nie żyje.

Panna Mayfield lekko się podniosła, a wtedy cały pokój zaczął jej wirować przed oczami. Położyła się z powrotem.

- Skąd wiesz? Co się stało?

- Wiem, bo ją widziałam. Miała rozwalony cały tył głowy, a w ogóle głowa jej wisiała. O tak... - Ethel w okropnie realistyczny sposób pokazała jej, jak to wyglądało. - Nie pytałam, co się wydarzyło. Byłam bardziej zajęta tym, żeby babcia nie złapała mnie w swoje szpony, i żeby wydostać się z probostwa. Już było prawie po nas, kiedy nagle, z głośnym rykiem, zajechał swoim samochodem pan Maverick, a ja zaczęłam na niego wrzeszczeć, żeby zabrał panią do lekarza. Wykazał się zdrowym rozsądkiem - trzeba mu to przyznać. Zdaje mi się, że wyczuł pismo nosem. - Ethel wzięła głęboki oddech i dodała: - Zastanawiam się, co teraz. Wiem jedynie, że na pewno nie wrócę do babci, nie po tym, co zrobiła moim królikom.

- Oczywiście, że nie powinnaś wracać. Możesz zamieszkać ze mną, jeżeli chcesz. No chyba, że masz inne plany.

- Niczego bardziej nie pragnę niż mieszkać z panną Bedfellow w Yarmouth. Ach, ona jest taka miła.

- Mogłabym to bez problemu załatwić. - Mówiąc, że pokaże pani zdjęcia? Znaczy, nie pokazując ich.

- To coś więcej niż zdjęcia, to film, taki jaki oglądasz w kinie.

- Z tym wszystkim, co działo się zeszłej nocy?

- Tak. Rozumiesz, teraz, gdy go mam, mogę położyć kres temu wszystkiemu. Niczego nie boją się bardziej, niż tego, że ktoś mógłby ich zdemaskować.

- Zgadza się - odrzekła Ethel w zamyśleniu, po czym kontynuowała:

- Ale jeżeli nigdy nie zobaczą, że pani go ma... znaczy, czy od samego początku nie mogła pani mówić, że go ma. Jaka jest różnica?

- Bo teraz naprawdę go mam i jeżeli nie zaprzestaną robić tego, co robili do tej pory, albo jeżeli tobie lub mnie przydarzą się jakieś „wypadki”, wtedy wszyscy zobaczą ten film.

- Tak, rozumiem - odpowiedziała Ethel i wstała z krzesła. - Pani Maverick mówiła, że kiedy się pani zbudzi, to mam ją o tym poinformować. A co chciałaby pani na śniadanie?

- Napiłabym się trochę herbaty, Ethel, i może zjadła kromkę chleba z masłem.

*

W połowie podestu znajdowała się łazienka. Ethel weszła do środka i zamknęła drzwi. Podwinęła sweter i wyjęła kamerę z futerału. Nigdy wcześniej nie obsługiwała takiego urządzenia, a więc to, co chciała zrobić, zajęło jej trochę czasu. Aby się upewnić, dwa razy pociągnęła za spłuczkę. Nie miała żadnych wyrzutów sumienia w związku z tym, co uczyniła. Ufała panie Mayfield i skoro ta mówiła jej, że to, co chce zrobić, zrobi z kamerą znajdującą się w skrytce bankowej, to co za różnica, czy będzie w niej film, czy nie? Dlaczego miałyby zostawić w niej taśmę filmową, aby ktoś, pewnego dnia, oglądał ją nagą z wieńcem kwiatów na głowie? Czy właśnie nie temu od samego początku się sprzeciwiała?